



DOROTHY ALLISON

BĘKART Z KAROLINY



Przełożył: Robert P. Lipski

Dla Mamy Ruth Gibson Allison 1935- 1990

Ludzie płacą za swoje czyny, a jeszcze bardziej za to, kim się stają. I płacą za to w prosty sposób: życiem, które prowadzą. James Baldwin

Rozdział pierwszy

Przez całe życie mówili na mnie Kostka, ale naprawdę nazywam się Ruth Anne. Zostałam tak nazwana na cześć mojej najstarszej ciotki Ruth, i to właśnie przez nią. Moja mama nie miała w tej kwestii wiele do powiedzenia, bo krótko mówiąc, po prostu jej przy tym nie było. Mama, moje ciotki i wujowie jechali właśnie samochodem na lotnisko, by spotkać się jednym z kuzynów, który wracał akurat z trwającej jakiś czas zabawy w żołnierza. Ciocia Alma, ciocia Ruth i jej mąż, Travis, siedzieli ściśnięci z przodu, a mama wyciągnęła się z tyłu i zasnęła. Mama nie znosiła ciąży zbyt dobrze i już w ósmym miesiącu cierpiała na bezsenność. Mówiła, że kiedy kładła się na plecach, miała wrażenie, jakbym ją przygniatała, a gdy leżała na boku, wydawało się jej, że wspinam się po jej kręgosłupie, i nie umiała znaleźć wytchnienia dla swego brzucha. Jedyłą ulgę czuła na tylnym siedzeniu chevroleta wujka Travisa, które można było regulować, tak że było wręcz idealne dla małych dzieci w kołyskach albo ciężarnych kobiet. Chwilę potem, gdy sama ułożyła się na siedzeniu, po raz pierwszy od ośmiu miesięcy zapadła w głęboki sen. Zasnęła tak twardo, że nawet wypadek jej nie obudził.

Ciocia Alma do dziś się upiera, że do kraksy nie doszło z winy wujka Travisa, ale ja wiem, że po raz pierwszy widziałam wujka Travisa trzeźwego, kiedy miałam siedemnaście lat, a jemu właśnie lekarze wycięli połowę żołądka wraz z wątrobą. Nie mam wątpliwości, że oni wszyscy byli pijani, z wyjątkiem mamy, która nigdy nie piła, a już na pewno nie w ciąży. Nie, mama po prostu zasnęła, a oni wszyscy byli podpici. I właśnie dlatego zderzyli się czołowo z nadjeżdżającym wolno z naprzeciwka samochodem. Przód chevroleta wujka Travisa zmienił się w harmonijkę; tył wyskoczył w górę; ciotki i wujek Travis byli ściśnięci tak mocno, że tylko trochę nimi zatrzęsło, mama zaś, wciąż śpiąca z dłońmi pod brodą przeleciała nad ich głowami, przebiła przednią szybę i przefrunęła nad samochodem, z którym się zderzyli. Rozbiwszy szybę, skaleczyła się w głowę, a kiedy uderzyła o ziemię, potłukła sobie siedzenie, ale nic więcej jej się nie stało. Rzecz jasna nie obudziła się przez trzy dni, do czasu gdy babcia i ciocia Ruth podpisały wszystkie papiery i wybrały dla mnie imię.

Jestem Ruth, po mojej cioci Ruth, i Anne, po mamie. Przydomek „Kostka” przylgnął do mnie wkrótce po tym, jak mama przyniosła mnie do domu ze szpitala, a wujek Earle oznajmił, że jestem mała jak kostka palca, Deedee zaś, najmłodsza córka cioci Ruth, skróciła to do „Kostki”. Całe szczęście, że nie nazywam się Mattie Raylene, jak chciała babcia. Mama zawsze obiecywała, że

nazwie swoją pierwszą córkę na cześć jej najstarszej siostry, a ciocia Ruth uznała, że to oczywiste, iż powinnam nosić imię po mamie, zwłaszcza że tak niewiele brakowało, bym ją straciła.

Poza imieniem wszystko poszło nie tak. Ani babcia, ani ciocia Ruth nie umiały za dobrze pisać i nie przyszło im do głowy, aby ustalić, jak literuje się imię Anne, toteż w formularzu widniało ono w trzech różnych odmianach. Ann, Anne i Anna. Co się tyczy nazwiska ojca, babcia nie zdecydowała się podać go po tym, jak przegnała tego faceta z miasta za to, że zadał się z jej córką, a ciocia Ruth w ogóle nie wiedziała, jak on się nazywał. Próbowaly wspólnie coś wymyślić, ale jeżeli w szpitalu nikt nie przejął się zbytnio pisownią mego drugiego imienia, w kwestii nazwiska ojca urzędnicy wykazali się wyjątkową skrupulatnością i rzetelnością. W tej sytuacji babcia podała jedno nazwisko, ciocia Ruth inne, urzędnik się zirytował, a ja formalnie zostałam uznana przez władze stanu Karolina Południowa za bękarta.

Mama zawsze mówiła, że gdyby była wtedy przytomna, to wszystko nigdy by się nie wydarzyło.

- Bądź co bądź - rzekła do cioci Almy - kiedy kładą cię na stół, nikt nie domaga się od ciebie aktu ślubu.

Była pewna, że poradziłyby sobie z tym, bez dwóch zdań, wystarczyło, aby zdecydowanie oświadczyła, że jest mężatką, i nikt na pewno nie próbowałby tego zakwestionować.

- Zapisują to wszystko, dopiero kiedy im o tym przypomnisz.

Babcia powiedziała, że to bez znaczenia. Kogo obchodziło, co jest napisane? Czy ludzie czytają rejestry sądowe? Czy chcą zobaczyć twoją metrykę urodzenia, zanim pozwolą ci usiąść na ganku? Wszyscy, co mieli wiedzieć, wiedzieli, a cała reszta była jej obojętna. Drażniła się z mamą na temat tej cholernej kartki papieru z czerwonym stemplem u dołu.

- O co chodzi? Chciałaś oprawić to w ramki? Zamierzałaś powiesić to na ścianie na dowód, że zrobiłaś jak trzeba? - Gdy w grę wchodziła jej duma, babcia bywała naprawdę podła. - Dziecko stanowi wystarczający dowód. I nie potrzebuje żadnej pieczętki.

Jeżeli nawet dla babci nie miało to znaczenia, z mamą było inaczej. Mama nie cierpiała, gdy nazywano ją śmieciem, nienawidziła wspomnień tych wszystkich dni, które przepracowała na plantacjach orzeszków ziemnych albo truskawek zgięta wpół, podczas gdy właściciele tych pól patrzyli na nią jak na kamień leżący na ziemi. Pieczętka na metryce urodzenia paliła ją niczym piętno, którym ją samą próbowano naznaczyć. Wycieruch, popychle, leniwa krowa. Wtedy zaciskała palce w pięści, prostowała grzbiet, a na jej ustach

pojawiał się nieśmiały, słaby uśmiezek - była gotowa na wszystko, aby zaprzeczyć opiniom, jakie krążyły na jej temat w hrabstwie Greenville. A teraz gładko mówiący czarnooki mężczyzna znowu to zrobił, naznaczył ją i jej potomstwo. Mogła jedynie wziąć się w garść i osiem dni po tym, jak mnie urodziła, wrócić do pracy w barze, gdzie z zaciśniętymi kurczowo ustami i podpuchniętymi oczami pracowała jako kelnerka.

Mama odczekała rok. Na cztery dni przed moimi pierwszymi urodzinami i na miesiąc przed jej szesnastymi owinęła mnie kocykiem i zaniosiła do gmachu sądu. Urzędnik był uprzejmy, choć znudzony. Nakazał jej wypełnić odpowiedni formularz i wnieść opłatę w wysokości dwóch dolarów. Mama wypełniła właściwe rubryki ładnym, starannym charakterem pisma. Nie chodziła do szkoły od trzech lat, ale pisała listy dla całej rodziny i szczyliła się pełnym gracji, nieco pochyłym, drobnym pismem.

- A co się stało z poprzednią metryką? - zapytał urzędnik.

Mama nie uniosła wzroku, wpatrując się w moją główkę, opartą o jej ramię.

- Przedarła się u dołu.

Urzędnik przyjrzał się jej baczным wzrokiem, po czym spojrzał na mnie.

- Doprawdy?

Wyszedł na zaplecze i długo go nie było. Mama uparcie, w milczeniu stała przy kontuarze. Kiedy wrócił, podał jej dokument i wciąż bacznie się jej przyglądał.

Metryka była identyczna z poprzednią. U dołu, wielkie czerwone litery układały się w napis **DZIECKO NIEŚLUBNE**.

Mama oddychała ciężko, jak staruszka cierpiąca na zapalenie opłucnej, a jej twarz mocno poróżwiała.

- Nie chcę takiej metryki - wybuchnęła.

- Cóż, młoda damo - rzekł tamten, przeciągając zgłoski. Z tyłu, za nim w drzwiach zebrało się kilka urzędniczek, z równie zaczerwienionymi jak ona twarzami, ale w ich oczach kryły się całkiem inne emocje. - Tak musi być. Fakty zostały ustalone.

Ostatnie słowo wypowiedział ze szczególnym namaszczeniem. Jego echo zawisło w powietrzu, jak dźwiękowa interpretacja rumieńca na twarzy mamy. Kobiety w drzwiach kręciły głową i wydymały wargi. Jedna mruknęła do drugiej:

- Co za ludzie.

Mama wyprostowała się, przytuliła mnie mocniej i ruszyła w stronę wyjścia.

- Zapomniała pani metryki! - zawołał za nią urzędnik, ale ona się nie zatrzymała. Jej dłonie wpiły się w moje ciało tak mocno, że zaczęłam głośno kwilić. Mama nie zwolniła uścisku, pozwalając mi się wykrzyczeć.

Wróciła raz jeszcze, po roku, tym razem z ciocią Ruth; mnie zostawiła pod opieką babci.

- Byłam przy tym - zapewniała ciocia Ruth - i to tak naprawdę moja wina. W całym tym zamieszaniu kompletnie się pogubiłam, zwłaszcza że Anney wyglądała jak martwa dla świata, a wszyscy krzyczeli i ganiili dookoła. Parę minut po tym, jak przyszliśmy, przywieziono ofiary wypadku, w którym zderzyły się trzy auta.

Ciocia Ruth posłała urzędnikowi szczere, przejmujące spojrzenie i starała się sprawiać wrażenie otwartej i przyjaznej.

- Wie pan, tak czasem bywa.

- Tak, wiem - przyznał urzędnik, nieźle tym wszystkim ubawiony. Dokument, który przyniósł, wyglądał identycznie jak dwa poprzednie.

Spojrzenie, jakie posłał mojej mamie i ciotce, miało usprawiedliwić tak funkcjonujące prawo. A czego się spodziewałyście? - zdawało się mówić. Twarz miał spokojną, niemal łagodną, ale jego oczy zdawały się śmiać z nich obu. Ciocia już miała grzmotnąć go w głowę torebką, ale matka złapała ją za rękę. I tym razem zabrała ze sobą egzemplarz metryki.

- Czemu mam tego nie wziąć, skoro zapłaciłam aż dwa dolary - rzekła.

W wieku lat siedemnastu była o wiele dojrzała niż jako szesnastolatka. W następnym roku poszła do sądu sama, podobnie jak dwa lata później. W tym samym roku poznała Lyle'a Parsonsa i więcej czasu zastanawiała się nad poślubieniem go niż nad kolejną wizytą w sądzie. Wujek Earle przekomarzał się z nią, że gdyby spędziła z Lyle'em siedem lat, mogłaby zyskać to samo bez konieczności wnoszenia opłaty u urzędnika sądowego.

- Ze strony prawa nigdy nie spotkało nas nic dobrego. Równie dobrze możemy obejść się bez niego.

Wkrótce po tym, jak mama poślubiła Lyle'a Parsonsa, rzuciła pracę kelnerki, choć nie była pewna, czy to dobry pomysł.

- Będziemy potrzebować różnych rzeczy - powiedziała mu, ale nie słuchał. Lyle był jednym z najmłodszych chłopców wywodzących się z Parsonsów, atrakcyjnych młodzieńców, o łagodnym spojrzeniu i grzecznych, któremu znudziła się rola maminsynka. Pragnąc zapewnić swojej rodzinie jak najlepszy byt, niemal natychmiast sprawił, że mama ponownie zaszła w ciążę, i upierał się, że nie wolno jej dalej pracować. Jednak z tego, co zarabiał na stacji Texaco u swego kuzyna, gdzie obsługiwał dystrybutor i wymieniał opony, ledwie

wystarczało na czynsz. Mama pracowała na pół etatu w sklepie spożywczym, ale zrezygnowała, kiedy w swoim stanie nie mogła już dźwigać pudeł. Łatwiej było siedzieć na stołku przy taśmie w fabryce Stevensa do czasu przyjscia na świat Reese, ale Lyle'owi to się nie spodobało.

- Jak dziecko może mieć długie nogi jak ja, skoro cały czas jesteś przygarbiona, zgięta w pół? - skarżył się. Chciał pożyczyć pieniądze a konto drugiej pracy, zrobiłby wszystko, aby tylko jego żona nie musiała harować w fabryce. Słoneczko - mówił na nią - cukiereczek.

Ona nazywała go - Pierozkiem, albo - Cycuszkim, a kiedy nikt nie słyszał, „chłopaczkiem”. Kochała go jak dziecko, szeptem opowiadała siostrze o delikatnych, jasnych włoskach na jego brzuchu i o tym, jak spał z jedną nogą na jej biodrze, a także o planach, jakie miał wobec niej, o miejscach, dokąd zamierzał ją zabrać.

- On kocha Kostkę, naprawdę - rzekła do cioci Ruth. - Chce ją adoptować, kiedy tylko zdobędziemy dostatecznie dużo pieniędzy.

Uwielbiała robić mu zdjęcia. Najlepsze z nich zrobiła na stacji paliw, w słoneczny, letni dzień, Lyle zwiesza się na nim z szyldu Texaco i ma na sobie kurtkę z logo „Torów wyścigowych Greenville”. Udało mu się znaleźć pracę na torze, gdzie odbywały się wyścigi samochodów, w iście morderczym tempie wymieniał opony w punkcie serwisowym i dorabiał też na boku podczas niszczycielskich derbów w niedzielne popołudnia. Mama mu nie towarzyszyła. Nie lubiła hałasu, smrodu ani tego, jak inni mężczyźni stawiali Lyle'owi ciepłe piwo, aby sprawdzić, czy to spowolni jego reakcję. Choć lubiła robić zdjęcia, na torze pstryknęła mu tylko jedno - stoi na nim z oponą opartą o lewe biodro i umorusaną twarzą rozjaśnioną śmiechem tak szerokim, że niemal można było poczuć woń piwa. Lyle umarł w niedzielę, nie na torze, ale w drodze do domu i stało się to tak cicho i spokojnie, że zbieracze orzeszków, którzy widzieli cały wypadek, nie mogli uwierzyć w jego śmierć. Było to po jednej z tych krótkich, letnich ulew, choć słońce nie przestało świecić ani na chwilę, a wszyscy zgodnie ignorowali gęste strugi ciepłego deszczu. Furgonetka Lyle'a pokonała zakręt przy przejeździe kolejowym. Lyle pomachał do zbieraczy, uśmiechając się od ucha do ucha. W tej samej chwili furgonetką zarzuciło, gdy wóz wjechał w kałużę rozmytej deszczem ropy, a Lyle wypadł z szoferki na pobocze.

- Taki przystojny chłopak - powiedział do policjanta z drogówki jeden ze zbieraczy. - Nie zrobił nic złego, po prostu prowadził w deszczu, ten diabelski deszcz jest cholernie zdradliwy. Słońce świeciło jasno, a chłopak wciąż się uśmiechał.

Staruszek raz po raz zerkał w stronę, gdzie na poboczu leżał Lyle.

Przez dwadzieścia minut ciała Lyle'a nikt nie przykrył. Wszyscy spodziewali się, że wstanie. Nie miał żadnych śladów, a na jego twarzy widniał łagodny uśmiezek. Jednak jego roztrzaskana potylica zdawała zlewać się ze żwirem, a rozwarte dłonie były wilgotne od wody rozprysniętej przez auta objeżdżające miejsce wypadku.

Mama tuliła do siebie Reese, gdy pod dom cioci Almy zajechał radiowóz i od razu się zorientowała, co miał jej do zakomunikowania szeryf, bo odchyliła głowę do tyłu i zawyla jak stara, rodząca suka. Kołysała się przy tym dziko w przód i w tył, przyciskając do siebie małą tak mocno, że ciocia Alma musiała ją uszczypnąć, aby odebrać jej dziecko.

Mama miała dziewiętnaście lat, dwoje dzieci i trzy egzemplarze mojej metryki w szufladzie. Kiedy przestała wyć, zamilkła na dobre i tylko kiwała głową do osób, które próbowały coś do niej mówić. Zabrała obie córeczki na pogrzeb, na który przyszły też jej siostry. Parsonsowie prawie się do niej nie odzywali. Matka Lyle'a powiedziała mamie, że jej syn żyłby dziś, gdyby nie znalazł sobie dodatkowej roboty przez wzgląd na mamę. Mama puściła te słowa mimo uszu. Jej jasne włosy wydawały się rzadkie i ciemne, skóra poszarzała i w ciągu paru dni w kącikach jej oczu pojawiły się kurze łapki. Ciocia Ruth odprowadziła ją, podczas gdy ciocia Raylene włożyła kilka kwiatów do rodzinnej Biblii i przystanęła, by powiedzieć pani Parsons parę słów do słuchu.

Ciocia Ruth była wtedy w ciąży z ósmym dzieckiem, musiała uściskać mamę, wzięc ją w ramiona jak ukochaną córeczkę. Przy wozie wujka Earle'a przystanęła i oparła się o przednie drzwiczki, tuląc mamę. Odgarnęła jej włosy z czoła i spojrzała głęboko w oczy.

- Nic gorszego cię już nie spotka - zapewniła. Dotknęła kciukami skóry pod oczyma mamy, palce oparła na jej skroniach. - Teraz wyglądasz jak Boatwrightówna - rzekła. - Masz to coś. Ten charakterystyczny wygląd. I bardziej już się nie postarzejiesz, dziewczyno. Tak będziesz wyglądać aż do śmierci.

Mama tylko skinęła głową, wygląd nie miał już dla niej żadnego znaczenia.

Po pogrzebie Lyle'a mama przepracowała w fabryce jeszcze tylko rok; kurz w powietrzu bardzo jej doskwierał. Później nie miała wyboru, musiała wrócić do pracy w barze. Napiwki przesądziły o wszystkim, choć wiedziała, że mogłaby zarobić więcej w klubie honkytonk albo jako kelnerka roznosząca koktajle. Roznoszenie piwa i wina było znacznie lukratywniejsze, a mocniejszych alkoholi opłacało się jeszcze bardziej, ale musiałyby w tym celu

opuścić hrabstwo Greenville, a nie wyobrażała sobie rozstania z rodziną. Potrzebowała pomocy sióstr przy wychowaniu córek.

Kafejka White Horse okazała się dobrym wyborem, jednym z przyzwoitszych barów restauracyjnych w centrum. Po pracy mama była bardzo zmęczona, ale nie ślaniała się na nogach jak w fabryce, a poza tym lubiła gości lokalu, napiwki i rozmowy.

- Uśmiechając się w ten sposób, daleko zajdziesz - rzekł do niej kierownik.

- Och, przez ten uśmiech już daleko zaszłam.

Zaśmiała się i nikt nie mógł wiedzieć, że zrobiła to nieszczercze. Kierowcy czy sędziowie, wszyscy lubili mamę. Ciocia Ruth miała rację, jej twarz już się nie zmieniała. Po pewnym czasie odzyskała kolory, a kurze łapki w kącikach oczu zdawały się zwiastować pojawienie się na jej ustach promiennego uśmiechu. Kiedy mężczyźni przy ladzie nie wciskali jej do kieszeni ćwierćdolarówek, przynosili jej różne rzeczy, pamiątki, widokówki, ten i ów ofiarował jej nawet obrączkę. Mama uśmiechała się, żartowała, poklepywała swoich klientów i nie brała nic, co wyglądało jak zaliczka na poczet jakichś usług lub czego nie chciałyby sprzedać.

Reese miała dwa lata, kiedy mama znów zawitała do gmachu sądu. Urzędnika najwyraźniej ucieszył jej widok. Tym razem nie wdawała się z nim w dyskusje, tylko zabrała swoje papiery i zaniósła je do nowej kancelarii adwokackiej niedaleko salonu części samochodowych Searsa i Roebucka. Wujek Earle podzielił się z nią pieniędzmi z ubezpieczenia po kolejnym wypadku samochodowym i postanowiła wykorzystać tę kwotę na wynajęcie choćby na parę godzin solidnego adwokata. Prawnik przyjął pieniądze, a potem uśmiechnął się jak to urzędnik, kiedy wyjaśniła mu, o co jej chodziło. Jej oblicze stężało, a on gwałtownie przełknął ślinę, aby nie wybuchnąć śmiechem. Lepiej nie robić sobie wroga z siostry Earle'a Boatwrighta.

- Przykro mi - powiedział, zwracając jej połowę otrzymanej sumy. - Zgodnie z tym, co stanowi prawo, nic nie mogę dla pani zrobić. Nawet gdybyśmy spróbowali szczęścia w sądzie, wynik byłby taki sam jak dotychczas. Niech pani zaczeka parę lat. Prędzej czy później to cholerne rozporządzenie zostanie zniesione. Zresztą i tak prawie w ogóle nie jest ono stosowane.

- Skoro tak - rzekła - to dlaczego stosuje się je wobec mnie?

- Cóż, moja droga - westchnął, wyraźnie zażenowany. Zaczął wiercić się na siedzeniu i przesunął w jej stronę resztę pieniędzy po blacie biurka. - Nie potrzebujesz mnie, aby poznać odpowiedź na to pytanie. Żyjesz w tym hrabstwie od urodzenia i wiesz, jak się mają sprawy. - Uśmiechnął się ponuro. -

Od tej pory powinnaś mieć już z górki. Nie przejmuj się. Ci wszyscy ludzie są tępi i ograniczeni - powiedział, ale uśmiezek nie zniknął z jego twarzy.

- Bękart! - syknęła mama i ugryzła się w język. Nienawidziła tego słowa.

Co rodzina, to rodzina, ale nawet miłość nie może powstrzymać ludzi przed skakaniem sobie do gardeł. Duma mamy, oburzenie babci, że może uważać cokolwiek za rzecz wstydliwą, obawy i gorzki humor moich ciotek oraz surowa pogarda moich wujków wobec rzeczy, z którymi nie można sobie poradzić dzięki strzelbie lub solidnej desce - wszystko to najwyraźniej zawzięło się, aby dopiec mamie. Był tylko jeden sposób, aby pokonać nienawiść i współczucie. Mama nauczyła się śmiać razem z nimi, zanim tamci zaczęli śmiać się z niej, i robiła to z taką wprawą, że nikt nie potrafił zorientować się, co naprawdę myślała czy czuła. Miała reputację osoby pogodnej, zawsze uśmiechniętej, ale o ciętym języku - wykorzystywała jedno, aby zrównoważyć drugie - i sprawiała wrażenie przyjaznej, choć zachowującej pewien dystans. Nikt nie wiedział, że nocami opłakiwała Lyle'a i utracone szczęście, że pod zewnętrzną powłoką pozornej twardości kryły się smutek, głód i żal, ani że bardziej niż czegokolwiek na świecie pragnęła, by ktoś naprawdę silny pokochał ją tak, jak ona kochała swoje córki.

- Lepiej uważaj, gdy masz do czynienia z moją siostrą - rzekł wujek Earle Glenowi Waddellowi, kiedy zabrał go do baru na lunch. - Powiedz coś nie tak, a powybijają ci wszystkie zęby.

Był czwartek, w barze podawano steki z kurczaka i surówkę z kapusty, właśnie to stanowiło dla Earle'a wymówkę, aby zaciągnąć swego nowego kumpla z roboty na drugi koniec Greenville w godzinach pracy.

Zdążył już polubić Glena, choć od czasu do czasu trudno mu było stwierdzić, co czaiło się za tymi niebieskimi oczami i o czym myślał ten niski, uparty chłopak. Waddellowie byli właścicielami mleczarni, a najstarszy syn Waddellów ubiegał się o posadę prokuratora okręgowego.

Chudy, nerwowy, drobny Glen Waddell nie sprawiał imponującego wrażenia, kiedy prowadził ciężarówkę należącą do huty lub dygotał za każdym razem, gdy miał spojrzeć komuś prosto w oczy. Jednak Glen ma siedemnaście lat i wystarczy, że po prostu się stara - powiedział sobie w duchu Earle i aby go rozluźnić, opowiadał mu rozmaite historie o swojej siostrze.

- Anney robi najlepsze sosy w hrabstwie, piecze najśłodsze biszkopty i dodaje do sałatek tyle octu, ile trzeba. Wiesz, o co mi chodzi?

Glen pokiwał głową, choć prawdę mówiąc, nigdy nie gustował w surówkach, a jego wykształcona mama zawsze mawiała, że sosy szkodzą na serce. Dlatego też nie był przygotowany na moment, kiedy marna odgarnęła

blond włosy z czoła i postawiła przed nim na stoliku solidny talerz gorącego jadła. Glen spróbował kaszy z sosem i poczuł, że rozplywa mu się w ustach. Surówka była słodko-słona i tłusta. Ślinka pociekła mu do ust, mięśnie szyi zwiotczały, włosy opadły na twarz. To jedzenie było jak seks, zbyt dobre, aby pochłonąć je w pośpiechu, i nie sposób było odejść od stolika, nie skończywszy posiłku. Zuł i przetykał powoli, coraz bardziej ożywając. Po raz pierwszy poczuł się jak jeden ze swojaków, dorosły mężczyzna, zaakceptowany przez cieszącego się złą sławą i niebezpiecznego Czarnego Earle'a Boatwrighta. Wpatrując się ponad ladą w jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie kiedykolwiek widział, zarumienił się i łyknął mrożonej herbaty, aby trochę ochłonać.

- Ta dziewczyna to twoja siostra? - spytał Earle'a. - Ta jasnowłosa ślicznotka? Toż to jeszcze dziewczynka.

Earle uśmiechnął się. Twarz Glena była pogodna jak niebo po wiosennej ulewie.

- To świetna dziewczyna - oznajmił, kładąc wielką dłoń na ramieniu Glena. - Ukochana córeczka mojej matki. Ale wiesz, że nasza mamuśka jest jak grzechotnik, a nasz ojciec to prawdziwy sukinkot. - Zaśmiał się głośno i rechotał, dopóki nie zobaczył, że Glen wciąż przygląda się Anney, patrzy na jej pośladki rysujące się pod sukienką i podkreślone przez ciasno opięty fartuszek. Przez chwilę ogarnął go gniew; pohamował się jednak. Chłopak jak to chłopak, choć trochę przygłupi. I prawdopodobnie niegroźny W przyływie nagłej szczodrości Earle raz jeszcze ścisnął ramię Glena i dodał: - Miej się na bacności, chłopcze. Miej się na bacności.

Glen Waddell pokiwał głową, wyraz twarzy Earle'a mówił sam za siebie. Bądź co bądź tamten był Boatwrightem i on oraz jego dwaj bracia siedzieli w więzieniu za pobicia i poważne uszkodzenia ciała. Plotki głosiły, że Boatwrightowie mieli na sumieniu o wiele poważniejsze grzeszki; tego typu historie mężczyźni opowiadają sobie przy szklaneczce whiskey, kiedy kobiet nie ma w pobliżu. Earle był mistrzem w posługiwaniu się młotkiem i piłą, a kilof w jego dłoniach wręcz fruwał. Prowadził ciężarówkę tak, jakby każda zmiana biegów była zmysłową pieszczotą, a w bocznej kieszeni roboczych spodni zawsze nosił długi na siedem cali nóż sprężynowy. Earle Boatwright był wszystkim, kim Glen zawsze pragnął się stać, zwłaszcza od momentu, gdy starsi bracia zaczęli kpić z jego zapalczego charakteru, kiepskiej pamięci i niezdarności. Co więcej Earle miał dar oczarowywania ludzi, mężczyzn i kobiet, i udało mu się oczarować czarną owcę rodu Waddellów, mimo iż inni mężczyźni pracujący z nim na jednej zmianie bali się go jak ognia;

oczarowanie to było związane z niechęcią, jaką rodzina Glena żywiła do Earle'a. Kiedy Earle uśmiechnął się do niego, Glen odpowiedział uśmiechem, radując się myślą, że rozwścieczyłby w ten sposób ojca i wzbudził oburzenie ze strony braci. Ten luzacki, rozbrajający uśmiech Earle'a był czymś, o co warto było powalczyć. Sprawiał, że chciało się ujrzyć go ponownie, raz jeszcze poczuć uścisk dłoni Earle'a i zyskać jego podziw. Bardziej niż czegokolwiek innego Glen Waddell pragnął, by Earle go polubił. Do licha, to piękna dziewczyna, powtarzał sobie i trzymał fason, dopóki Earle był obok niego. Glen zachowywał się wobec kelnerki usłużnie i zaoferował się zapłacić rachunek Earle'a, choć z tego, co pozostało, nie starczy mu nawet na papierosy.

Kiedy jednak Earle wyszedł do toalety, Glen znów zaczął przyglądać się dziewczynie, krągłościom jej pośladków i temu, jak przy uśmiechu prezentowała garnitur śnieżnobiałych zębów. Anney tylko raz spojrzała mu w oczy, ale to wystarczyło, by poznał ją na wskroś. Uśmiechała się do brata szczerze i otwarcie, miała pogodne oczy, ciepły uśmiech, delikatne usta i niewinną twarz, na której nie dostrzegł śladu obawy. Uśmiech, jakim obdarzyła Glena i wszystkich innych przy ladzie, był równie swobodny, choć nie tak otwarty. Pomiedzy oczami miała wąską kreskę, która pogłębiała się, gdy w jej uśmiechu pojawiło się napięcie. Mroczny cień przemknął w głębi jej źrenic chwilę przed tym, jak odwróciła wzrok. To nie odebrało jej ani odrobiny uroku, lecz przydało aury osobliwego smutku.

- Wpadniesz dziś, Earle? - zapytała, gdy wrócił, głosem słodkim jak biszkopty. - Dziewczynki tęsknią za tobą równie mocno jak ja.

- Może zajrzę - odparł, przeciągając zgłoski, Earle - jeżeli ten dzieciak tu spisze się jak należy i tym razem skończymy robotę przed zmierzchem. - Lekko klepnął Glena po ramieniu i mruknął do Anney: - Może nawet zabiorę go z sobą.

Tak, pomyślał Glen, o tak, ale nie odezwał się słowem, tylko napił herbaty. Najedzony odprężył się, ale to uśmiech Anney pozwolił mu naprawdę się rozluźnić. Czuł się tak silny, że miał ochotę splunąć. Będzie ją miał, obiecał sobie. Poślubi młodszą siostrę Czarnego Earle'a, poślubi legendę Boatwrightów, przyniesie hańbę ojcu i zaszokuje braci. Będzie nosił nóż w kieszeni i zabije każdego mężczyznę, który odważy się ją tknąć. Tak, pomyślał, o tak.

Mama spojrzała na chłopaka stojącego przy kasie, ciemnowłosego i niebieskookiego. Kiedyś pod wpływem jego spojrzenia by się zaczerwieniła, ale przez chwilę po prostu patrzyła mu prosto w oczy. Byłby dobrym ojcem, skonstatowała, jest rzeczowy, solidny. Uśmiechnął się; miał krzywy, nieszczerzy

uśmiech. Świdrował ją wzrokiem i jego spojrzenie stało się jeszcze mroczniejsze. Dopiero wtedy się zarumieniła, poczuła woń swego potu, choć nie potrafiła stwierdzić, czy to ze strachu, czy z pożądania.

Potrzebuję męża, pomyślała, odwracając się plecami i ocierając twarz. Tak, a poza tym przydałby mi się samochód, dom i sto tysięcy dolarów. Pokręciła głową i pomachała Earle'owi na pożegnanie, nie patrząc ponownie na chłopaka, który mu towarzyszył.

- Siostrzynie Anney, może podeszłabyś tu i stanęła przy moim kubku kawy - rzucił filuternie jeden ze stałych klientów. - Sama twoja bliskość powinna nieźle ją podgrzać.

Mama zaśmiała się leciutko i podeszła do niego z dzbankiem kawy.

- Nie mam czasu na podgrzewanie twojej kawy, będzie szybciej, jeżeli doleję ci gorącej - odparowała.

Nie zwracaj uwagi na przygłupich kumpli Earle'a, upomniała się w duchu, napełniając kolejne kubki świeżą, gorącą kawą, aż nadszedł czas i mogła wreszcie zrobić sobie z dawna wyczekiwaną przerwę.

- Gdzie masz ten dokument, metrykę urodzenia Ruth Anne, klienci w barze bez końca przekomarzali się z mamą.

- Pod zlewem, razem z innymi śmieciami - odpowiadała z tak srogim spojrzeniem, że niejeden zastanowił się dwa razy, zanim znów ośmielił się poruszyć ten temat.

- Pozbądź się tego - powtarzała jej babcia. - Jeżeli przestaniesz o tym myśleć, to inni także. Dopóki będziesz się tym zadrećcać, ludzie nie dadzą ci spokoju.

Kaznodzieja też był tego zdania.

- Twój wstyd to sprawa pomiędzy tobą a Bogiem, siostrzynie Anne. Nie musisz jeszcze naznaczać nim dziecka.

- Stek bzdur - warknęła ciocia Ruth pod adresem kaznodziei. - Nikt nie będzie mówić w ten sposób do mojej młodszej siostrzyczki i nikomu nie wolno tknąć jej ani tym bardziej dzieci.

Lepiej uważaj. Miej się na baczności. Uważaj, co mówisz na jej temat.

Spójrz na nią, jak pracuje w barze, śmieje się, nalewa kawę, przyjmuje napiwki i smaży jajecznicę. Zobacz, jak upina włosy do tyłu, poprawia fartuszek, odmawia pójścia na randkę, odprawia potencjalnych zalotników, nie daje się podszczypywać. Spójrz jej w oczy, są takie zapadnięte, zwróć uwagę na bruzdy przy kącikach jej zaciętych ust, dostrzeż tę twardość w jej wnętrzu.

- Czy nie czas już na kolejną wizytę w sądzie, siostrzynie Anney?

- Może lepiej zapnij rozporek, bracie Calvinie?

Czy już nie czas, aby Bóg wziął się do dzieła i zesłał ognisty deszcz oraz serię plag na hrabstwo Greenville? Czy nie dość już grzechu, bólu i cierpień? Czy wszystko zostało już odpowiednio zmierzone i osądzone? Anney nigdy nie zdradziła, co myśli, ale jej umysł pracował bez wytchnienia.

Glen Waddell przez cały rok pracował z Earle'em w hucie i niemal każdego dnia roboczego, a czasami także w soboty przyjeżdżał na lunch do baru w śródmieściu.

- Chciałbym zobaczyć twoje córki - powtarzał Anney co parę tygodni, aż w końcu mu uwierzyła. - Muszą być piękne, skoro mają taką śliczną mamusię.

Spojrzała na niego, przyjęła ćwierć dolara napiwku i przyznała mu rację. Owszem, miała dwie piękne małe córeczki. Tak, może do niej przyjechać, pozna dziewczynki, posiedzi na ganku, trochę porozmawiają. Wytarła spoczone dłonie w fartuszek, zanim podała mu rękę. Ramiona miał spalone na brąz i po pracy z Earle'em wyraźnie zmęśniał. Za sprawą mięśni wyłaniających się spod znoszonego, wełnianego podkoszulka przypominał jej Lyle'a, choć nie był tak urzekający i uroczy jak on. Uścisk dłoni miał silny jak Earle, ale tak władczego uśmiechu jeszcze u nikogo nie widziała. Wzięła głęboki oddech i odpowiedziała uśmiechem. Może faktycznie, pomyślała raz jeszcze, byłby z niego niezły materiał na ojca.

Mama pracowała w kafejce White Horse przy grillu tego dnia, kiedy w radiu podano, że pożar w śródmieściu wyrwał się spod kontroli i gmach sądu wraz z archiwum spłonął do fundamentów. Było akurat południe, sporo pracy, tłok. Mama trzymała w jednym ręku dzbanek z kawą, a w drugim ręku dwa kubki. Postawiła kubki i podała dzbanek swojej przyjaciółce, Mab.

- Idę do domu.

- Ze co?

- Muszę iść do domu.

- Dokąd ona się wybiera?

- Kłopoty w domu.

Kosztowne pudło z pomiętymi, poplamionymi kartkami papieru było wciśnięte pod prześcieradła, na samym dnie komódki cioci Almy. Mama wyjęła papiery, o które jej chodziło, zaniosiła do kuchni i nie rozkładając, wrzuciła do zlewu. Właśnie zapalała zapałkę, kiedy zadzwonił telefon.

- Pewnie już słyszałaś. - To była ciocia Ruth. - Mab mówiła, że zwiewałaś, jakby się paliło.

- Nie u mnie - odparła mama. - Wykorzystam jednak okazję, by spalić plik niepotrzebnych papierów.

Śmiech cioci Ruth wypłynął ze słuchawki i rozniósł się po całej kuchni.

- Dziewczyno, żadna kobieta w tym mieście nie uwierzy, że to nie ty puściłaś ten gmach z dymem. Połowa hrabstwa będzie opowiadać drugiej, że spalenie sądu to twoja robota.

- Niech sobie gadają - mruknęła mama, dmuchając na buchające w górę iskry. - Plotki nie zaprowadzą mnie do więzienia. Szeryf i połowa jego zastępców wie, że pracowałam dziś od białego rana, bo sama podawałam im kawę. Nie napytam sobie biedy tylko dlatego, że cieszę się, iż ten cholerny sąd się sfajczył.

Znów dmuchnęła na iskry, zagwizdała do telefonu, po czym zaśmiała się w głos. Po drugiej stronie miasta ciocia Ruth, przycisnąwszy słuchawkę do ramienia, ścisnęła palcami dłoń babci i zaśmiała się wraz z nią. W fabryce ciocia Alma wyjrzała przez okno na słup dymu bijący w niebo z centrum miasta i aby nie zachichotać jak nastolatka, odruchowo zasłoniła usta dłonią. Na dziedzińcu przy hucie wujek Earle i Glen Waddell przynosili żelazo i słuchali radia. Obaj uśmiechnęli się i spojrzeli jeden na drugiego w tej samej chwili, po czym wybuchnęli śmiechem. Wydawało się, jakby wszyscy słyszeli się wzajemnie w całym Greenville i na wieść o tym, że gmach sądu doszczętnie spłonął, zaśmiewali się do rozpuku.

Rozdział drugi

Greenville w Karolinie Południowej w roku 1955 było najpiękniejszym miasteczkiem na świecie. Z orzechów czarnych rosnących na zaniedbanym trawniku przed domem cioci Almy spadały zielono-czarne kosmate kulki, a z ziemi wyłaniały się gruzłowate korzenie, przypominające opalone, poorane bliznami łokcie i kolana umorusanych dzieci. Wierzby płaczące rosły na podwórzach, przy wszystkich strumieniach, potoczkach i rowach, ich długie, przypominające bicze gałęzie tworzyły osłonę, pod którą kryły się słodko pachnące splechotki koniczyny. Przy wynajętym domu cioci Raylene nad rzeką wszystkie drzewa zostały wycięte, a pędy winorośli wykarczowano. Wśród biało-żółtych kwiatów koniczyny kryły się smukłe, czerwono-czarne pasiaste gąsienice i tłuste szaroczarne ślimaki, te, na które wujek Earle ponoć łapał ryby nawet w czasie burzy, zaklinał się, że tak było. Jednak u cioci Almy, przy Eustis Highway, właściciel odciął wodę, aby ograniczyć jej zużycie. Bez działających spryskiwaczy i szlauchów promienie słońca wypaliły trawę, a połączone wysiłki psów i dzieciaków zmieniły wąskie podwórko w sprażony pas gołej ziemi, usianej tu i ówdzie kamieniami.

- Na podwórzu jest gorąco jak w piekarniku - poskarżyła się ciocia Alma. - Zar odbija się od blaszanego dachu i skupia się na podwórku. Ziemia jest tak nagrzana, że można by pichcić na niej posiłki.

- Och, gorąco jest wszędzie. - Babcia nigdy nie zgadzała się z ciocią Alną, zwłaszcza tego lata, kiedy zapłacono jej znacznie mniej, niż sobie życzyła, za opiekę nad dziećmi Almy.

Drobna kwota dorzucona przez mamę za opiekę nade mną i Reese bynajmniej nie poprawiła jej nastroju. Babcia kochała wszystkie swoje wnuczeta, ale zawsze powtarzała, że na córkach się zawiodła.

- Moi trzej chłopcy mnie uwielbiają - powtarzała wszystkim - ale Boże drogi, moje dziewczyny! Mam ich pięć i żadna nie potrafiła mnie należycie uszanować! Takie już są dziewczeta, samolubne, egoistyczne i zadufane w sobie. Nie spodziewałam się niczego innego.

- Twoja babcia chce dobrze - powiedziała mi mama, zanim odwiozła nas na jeden dzień do cioci Almy - ale nie zwracaj większej uwagi na to, co mówi. Zawsze bardziej lubiła swoich chłopaków. Niektóre kobiety już takie są.

Pokiwałam głową. Wierzyłam we wszystko, co mówiła mama.

Pierwsza rzecz, jaką pamiętam, to dom cioci Almy i podwórko na tyłach niewielkiego sklepiku, który próbowała prowadzić wraz z wujkiem Wade'em. Było to latem, po narodzinach Reese, co oznacza, że musiałam mieć wtedy

jakieś pięć lat, byłam niewiele większa od małego Earle'a, najmłodszego dziecka Almy. Ale mały Earle, wówczas tłusty niemowlak, wciąż jeszcze chodził w odparzającej gumowej pieluszce i próbował wszystko chwycić swoimi lepkiemi rączkami, podczas gdy ja byłam ponurym, bacznie obserwującym świat dzieckiem o długich, cienkich kościach i gęstej czuprynie czarnych włosów. Patrzyłam na małego Earle'a jak na coś gorszego, trzymałam się poza zasięgiem jego tłustych paluchów i wydętych, grubych warg. Tego lata było tak gorąco, że nawet świerszcze nie chciały grać, a wieczorami wszyscy przesiadywali na ganku ze szklankami mrożonej herbaty i wilgotnymi ręcznikami, którymi chłodzili sobie karki. Przyrządzanie posiłków Alma zaczynała dobrze po zachodzie słońca. Zmierzch jednak nadchodził wcześnie, sprawiając, że upał i żar powoli zaczynały słabnąć, a wszystko nabierało osobliwie magicznej łagodności, pojawiały się pierwsze świetliki, dodając chłodnego uroku metalicznemu echu gitarowych dźwięków płynących z radia w kuchni. Babcia usadowiła się na bujanym fotelu na ganku, pozostawiając córki cioci Almy, aby zajmowały się łuskaniem fasoli, wyczekiwały na burzę i nakłaniały ją do opowiadania rozmaitych historii.

Zawsze siadałam za babcią pod ścianą, przy siatkowych drzwiach, gdzie mogłam słuchać Kitty Wells i George'a Jonesa, jęków gitary i toczących się w kuchni rozmów, a także bliźniaków Almy tupiących nogami w stopnie schodów i chichotu dziewczynek, muskających dłońmi zakurzone strąki fasoli. Nic mi tam nie groziło ze strony małego Earle'a biegającego od babcinego fotela w stronę schodów, gdzie jego bracia bawili się drobnymi i zakładali się, o co popadło. Mały Earle maszerował jak okaleczony rak, przechylając się lekko w bok i chichocząc w nieco dziwny sposób, chłopcy śmiali się z niego, babcia tylko się uśmiechała. Nie zważając na nic, w pełni szczęśliwy mały Earle tłukł piąstkami w ramiona Greya, po czym, obróciwszy się na pięcie, biegł co sił w nogach w stronę babci, Tempie i Patsy Ruth. Nagusieńki, tłusciutki ze zbrązowiałą skórą wyglądał jak uosobienie niezłomnej determinacji, a jego maleńki siusiak kołysał się jak gumowa zabawka pomiędzy kabłąkowatymi udami, kiedy chłopiec, pokrzykując w głos, podbiegał i uderzał głową w biodro babci. Był jak puszczona luzem nakrecona zabawka, a jego radość wzrosła jeszcze bardziej, gdy wszyscy zaczęli śmiać się z niego po tym, jak klapnął na tyłek tuż obok miednicy z fasolą.

Babcia zasłoniła usta dłonią, by nie pokazać zębów.

- Ty paskudny, mały chłopcze - zaczęła przekomarzać się z małym Earle'em, z trudem pohamowując śmiech. - Ty mała, obrzydliwa, nic niewarta paskudo.

Earle przystanął, zahukał jak sowa i zakołysał się w przód i w tył, jakby impet okazał się zbyt silny, by mógł zatrzymać się, nie padając przy tym. Tempie i Patsy Ruth pokazywały wilgotnymi palcami na jego pękaty brzuszki, podczas gdy Grey i Garvey wydeli wargi i dołączyli do babci.

- Paskuda, brzydal, paskuda, brzydal! Jesteś tak brzydki, że aż wydajesz się piękny!

Earle zapiszczał, podskoczył i zaśmiał się w głos.

- Pas-ku-da! - zaczął ich papugować. - Pass-ku-da! - Buzię miał promienną i uśmiechniętą, machał cały czas rączkami w górę i w dół jak oszalały.

- Paskuda. Brzydal. Paskuda.

- Jesteś naprawdę najpaskudniejszą paskuda. - Babcia wychyliła się do przodu i ujęła małego Earle'a pod rączki, po czym dźwignęła w górę. - Ty pękaty brzuszku - powiedziała z przekąsem - ty tłuściutki tyłeczku.

Przywarła ustami do jego przepony i dmuchnęła tak, że jej wargi zatrzepotały, struga powietrza omiotła pępek małego Earle'a, a chłopiec wybuchnął śmiechem tak przeciągłym i donośnym, że balansującym na granicy hysterii. Chłopiec podkulił kolana i złączył rączki na wysokości krocza, na ten widok Tempie i Patsy Ruth zaśmiały się jeszcze głośniejsze. Babcia zakołysała malcem w przód i w tył, po czym postawiła go na ziemi. Chłopiec czym prędzej rzucił się do ucieczki i ukrył się za plecami starszego braciszka.

- Pulchny tyłeczek - parsknął Grey, ale przyciągnął zdecydowanym ruchem brata ku sobie. - Może jednak nie jesteś taki brzydki. - Potarł kłykciami niemal łysą główkę małego Earle'a i zawołał: - Jesteś po prostu duży i tyle. - Grey zaśmiał się, babcia przetarła oczy dłońmi, a dziewczynki nalały wody do miednicy z fasolą.

Wychyliłam się do przodu, aż dotknęłam dłonią bujanego fotela babci, przesunęłam palcami po gładkiej, mocno już podniszczonej konstrukcji z plecionych listewek, by poczuć ciepło ciała babci przez materiał bawełnianej sukienki. Wokół mnie rozbrzmiewało echo śmiechu, dźwięki muzyki, od strony autostrady dochodził pisk hamulców, gdzieś tam w ciemnościach ktoś zaczął krzyczeć, a wokół głów chłopców unosiły się w powietrzu chmary robaczek świętojańskich. Babcia wyciągnęła rękę i schwyciła mnie za przegub. Nachyliła się i splunęła strużką brązowej cieczy ponad barierką ganku. Usłyszałam ciche plaśnięcie, gdy brązowa struga spadła na pyliste podwórze. Wślizgnęłam się pod ramię babci, oparłam się o fotel i przyłożyłam głowę do piersi babci. Poczułam woń łuskanej fasoli, tytoniu, soku z cytryny, moczu oraz soli.

- Paskuda - powtórzyłam i ukryłam twarz w fałdach jej sukienki; uśmiechnęłam się szeroko, dotykając zębami ciepłej bawełny.

- Jeszcze jaka - wyszeptała babcia, przesuając palcami po mojej głowie, rozcierając włosy i unosząc je znad karku. - Prawie piękna. O tak, jesteś Boatwrightówną, bez dwóch zdań.

Śmiałam się, wtulając twarz w jej szyję. Babcia też była paskuda, często to powtarzała, choć wcale o to nie dbała. Jej szerokie, spalone słońcem oblicze pokrywały zmarszczki i piegi. Włosy miała rzadkie, siwe, związane z tyłu kawałkiem czarnego sznurka, tego samego, którego używała do ściągania kapciucha z tytoniem. Mocno pachniała, gorzko i słono, kwaśno i słodko zarazem. Mój pot wsiąknął w jej sukienkę, oplatałam ją ramionami w pasie i chuchałam na nią jak na talerz z gorącą zupą. Tuliłam się do niej, szczęśliwa i bezpieczna, jak mały Earle, gdy dmuchała mu w goły brzusek.

- Wiesz, Kostko, twoja mama chyba się spóźni - rzekła Tempie. - Noce są gorące, a wówczas sprzątanie w barze przeciąga się w nieskończoność, w dodatku stary Glen na pewno znów tam przesiaduje, utrudniając jej pracę. Przez to wszystko idzie wolniej i o wiele dłużej. Wiesz, że on ma na punkcie twojej mamy niezłego bzika.

Pokiwałam głową posepnie, tuląc się do babci. Dźwięki radia przybrały na sile, chłopcy zaczęli się bić. Wszyscy byli czymś zajęci, wszyscy coś mówili, ale ja u boku babci czułam się naprawdę szczęśliwa, cieszyłam się, że mama wróci z pracy i zabierze mnie i Reese do maleńkiego bliźniaka, który wynajęła w centrum. Gdyby noc była równie gorąca, mama urządziłaby nam posłanie na przesłoniętym siatką ganku. A potem ułożyłaby nas do snu, nucąc pod nosem, paląc w ciemnościach, podczas gdy w tle płynęłyby prawie niedosłyszalne dźwięki radia.

Świat dochodzący do nas w dźwiękach radia był tak odległy, że Wydawał się zupełnie inny. Przez całe lato spędzałyśmy czas na tym czy innym ganku, śmiejąc się z małego Earle'a, przekomarzając z chłopcami, łuskając fasolę, słuchając różnych historii, albo świerszczy grających skoczne melodie. Kiedy wracam myślami do tego lata, gdy sypiałam równie często w domach ciotek jak i u mamy, wspominam zapach szyi mamy, gdy nachylała się w ciemnościach, aby nas przytulić, chichot małego Earle'a albo ciche plaśnięcie tytoniu wyplukanego przez babcię na podwórko, a także rozbrzmiewające bez przerwy w tle dźwięki muzyki country, stanowiące nieodłączny element wieczoru, jak świerszcze i blask księżycy - zawsze znów czuję się bezpieczna. Żadne miejsce nigdy nie wydawało mi się równie spokojne, ciche i cudowne, nigdzie indziej nie czułam się bardziej w domu.

Uwielbiałam moich wujków - Earle'a, Beau i Nevila. Byli potężnymi mężczyznami o szerokich barach, z połamanymi zębami i kościstymi twarzami.

Mieli psy szkolone do polowań i jeździli starymi pikapami z metalowymi skrzynkami na narzędzia przykręconymi do wzmocnionych drewnianych burt. Pracowali w fabryce lub w hucie, niekiedy też przy naprawie dachu albo na budowie, w zależności od tego, jaka była sytuacja w przemyśle. W weekendy wspólnie pracowali przy samochodach, przesiadując na podwórzu, sącząc whiskey, opowiadając sprośne historyjki i kopiąc bez litości brudne szczątki silników, których nigdy nie udało im się nareperować. Oczy mieli wąskie, brwi pojaśniałe od słońca, w rękach zawsze trzymali nóż, kawałek drewna albo olejarkę.

- Trzymaj nóż w ten sposób - mówili mi. - Śrubokrętem pracujesz, wkładając w to całą siłę ramienia. Młotkiem uderzasz z biodra, jeśli chcesz coś właściwie przytrzymać, rozcapierzaj palce.

Choć połowa hrabstwa bała się ich jak ognia, moi wujkowie byli bardzo łagodni i czuli w stosunku do mnie i moich kuzynów.

Tylko kiedy się popili albo bili między sobą, pokazywali, jacy naprawdę są niebezpieczni. Noże, jakie nosili, były ostre, błyszczące i fascynujące, skrzynki z narzędziami masywne i pełne najrozmaitszych metalowych przyborów, jakie można sobie wyobrazić. Nawet ich portfele były pękate i wypełnione nieznanymi, tajemniczymi przedmiotami - nieważnymi legitymacjami pracowników obsługi naziemnej bazy lotniczej, biletami wstępu na tor wyścigowy, rachunkami za naprawy samochodów i pokwitowaniami za wygrane w grze w karty, jak również wyblakłymi, niedużymi fotografiami przedstawiającymi piękne kobiety, które jednak nie były ich żonami. Ciotki traktowały wujków jak przerośniętych chłopców - lubiących rozróbę nastolatków, na których wybryki należało raczej spojrzeć przez palce, niż się nimi przejmować, i oni najwyraźniej też tak uważali. Wyglądali młodo, nawet Nevil, ten z powybijanymi zębami, podczas gdy ciotki - Ruth, Raylene, Alma, a nawet mama wydawały się stare, sterane życiem, powolne, urodzone po to, aby być matkami, opiekunkami i sprzątać po mężach.

Mężczyźni mogli wszystko i wszystko, co robili, niezależnie od tego, jak byłoby to brutalne czy niesłuszne, odbierano z humorem i wyrozumiałością. Szeryf zamykał ich za strzelanie do okien, nielegalne wyścigi na torze, czy pobicie barmana w Rhythm Ranch, a moje ciotki tylko wzruszały ramionami i pilnowały, aby dzieciom w domu nic się nie stało. Mężczyźni po prostu robili swoje. Bywały takie dni, kiedy żałowałam, że nie urodziłam się chłopcem. Poprosiłam ciotki, aby podarowały mi stare drelichowe koszule robocze Earle'a i Beau, abym mogła nosić je tak jak oni, gdy pracowali przy furgonetkach, z przodu zatknięte w spodnie, z tyłu wypuszczone. Beau śmiał się pogodnie, gdy

go naśladowałam. Earle i Nevil przeczesywali sękatymi palcami moje czarne włosy i próbowali złapać mnie z tyłu za koszulę, gdy przebiegałam obok nich, ale ich silne palce nigdy nie zrobiły mi krzywdy, a duma, w jaką ich wbijałam, płonęła jasno niczym żarzący się koniuszek papierosa, który zawsze trzymali luźno między palcami. Nie odstępowałam ich na krok i zdarzało mi się podwędzić im tę czy inną rzecz, której już nie potrzebowali albo o którą nie dbali - stare narzędzia, kawałki łańcucha, fragmenty uszkodzonego silnika. Najbardziej chciałam mieć nóż, taki jak oni, nóż myśliwski z mosiężno-drewnianym trzonkiem, albo sprężynowiec z rękojeścią z macicy perłowej. Znalazłam uszkodzony sprężynowiec z odłamaną rękojeścią i posklejałam ją kawałkiem taśmy i wzmocniłam drutem. Nosiłam ten nóż stale przy sobie, aż mój kuzyn Grey zlitował się i dał mi drugi, lepszy.

Z moich wujków najbardziej lubiłam Earle'a. W trzech okolicznych hrabstwach znanego jako Czarnego Earle'a. Mama mówiła, że nazywano go tak z uwagi na jego gęste, czarne włosy, ale ciocia Raylene upierała się, że to dlatego, iż miał serce czarne jak smoła. Był przystojnym mężczyzną, pracowitym, o miłym, łagodnym głosie. Powiedział mamie, że wszystkie dziewczyny kochały się w nim, bo był podobny do Elvisa Presleya, choć był od niego szczuplejszy i bardziej muskularny. W pewnym sensie faktycznie tak było, ale jego twarz była poorana głębokimi bruzdami i spalona słońcem na ciemny brąz. Brakowało mu z pewnością dziecinnej niewinności Elvisa, miał natomiast diabelski błysk w oku i ciało, zdaniem cioci Almy, wręcz stworzone do seksu. Był potężnym mężczyzną, wysokim i szczupłym, o szerokich dłoniach pokrytych licznymi bliznami. „Earle wygląda jak kłopoty, które mogą cię spotkać” - mawiał, śmiejąc się, mój wujek Beau. Wszystkie ciotki przyznawały mu rację, a ich pomarszczone twarze rozpromieniał uśmiech, gdy wodziły palcami po masywnych barkach wujka Earle'a, delikatnie, miękko i czule, jak skrzydła kolibrów.

Wujek Earle chyba nigdy nie narzekał na brak gotówki, rzucał jedną robotę, ale miał już na oku drugą, bardziej intratną. Zona zostawiła go mniej więcej wtedy, gdy zginął Lyle Parsons, bo jak twierdziła, miała już dość jego bezczelnych kłamstw. Nie potrafił trzymać się z dala od kobiet i to ją denerwowało. Teresa była katoliczką, traktowała poważnie złożone śluby, czego Earle oczekiwał, nie spodziewał się jednak, że mogłaby rzucić go za zadawanie się z kobietami, których nie kochał i których nigdy by nie poślubił. Smutek i gniew wywołany utratą jej i trzech córek przepelniły go głębokim rozgoryczeniem, które czyniło go jeszcze atrakcyjniejszym.

- Ten Earle ma w sobie magię - rzekła do mnie ciocia Ruth. - Mężczyzna jest jak magnes dla kobiet. Łamie ich serca i sprawia, że to im się podoba. - Pokręciła głową i uśmiechnęła się do mnie. - Wszyscy ci młodzi, udający kogoś, kim nie są, wyobrażający sobie, że mogą doprowadzić kobietę do szału swymi wąskimi biodrami i słodkimi, dziecięcymi uśmiechami, nigdy nie rozumieją, jakim darem dysponuje Earle, nie potrafią nawet tego rozpoznać. Smutny, zraniony mężczyzna, który naprawdę lubi kobiety. Oto kim jest Earle, zranionym chłopcem, mającym w sobie dość zła i podłości, by na dobre zainteresować kobietę.

Odgarnęła mi włosy z twarzy i przesunęła kciukiem po brwiach, wygładzając delikatne włoski.

- Twój prawdziwy tato... - Przerwała, rozejrzała się dokoła i zaczęła raz jeszcze. - On też miał to w sobie, w każdym razie tyle, że zdołał zdobyć twoją mamę. On także lubił kobiety i to wszystko, co mogę o nim powiedzieć. Mężczyzna, który kocha kobiety, zawsze ma w sobie pewnego rodzaju magię.

Nie było żadnych zdjęć mojego prawdziwego taty, a mama nie chciała ze mną o nim rozmawiać, podobnie jak o reszcie rodziny. To babcia powiedziała mi, jaki był z niego łajdus, podobno mieszkał niedaleko Blackburn z żoną i szóstką dzieci, które nawet nie wiedziały o moim istnieniu; rzekomo sprzedawał ubezpieczenia wszystkim kolorowym w hrabstwie i nie spędził w areszcie nawet jednego dnia.

- Żałosna parodia mężczyzny - powiedziała o nim, przez co poczułam się naprawdę fatalnie, aż ciocia Alma zaprotestowała, że wcale nie był taki zły, po prostu wkurzył wszystkich, kiedy nie wrócił i nie próbował poprosić babci o przebaczenie po tym, jak przegoniła go z miasteczka.

- Osiem dni po twoich narodzinach - powiedziała mi ciocia Alma - zjawił się, aby załatwić porachunki z jednym z chłopaków, babcia była akurat w fabryce. Anney nie była pewna, czy w ogóle chce się z nim widzieć, ale Raylene i ja przekonałyśmy ją, żeby pozwoliła mu ciebie zobaczyć. Chłopak był śmiertelnie przerażony, kiedy brał cię na ręce umazane zieloną farbą do malowania burt pikapu ojca. Ty popatrzyłaś na niego tymi czarnymi, indiańskimi oczami jak na służącego, który spełniał którąś z twoich zachcianek. A potem po prostu zlałaś się na niego, obsikałaś mu cały przód koszuli i spodni aż do kolan! Obsikałaś tego sukinsyna od stóp do głów!

Ciocia Alma posadziła mnie sobie na kolanach. Uśmiechnęła się tak szeroko, że jej nos wydał się dziwnie mały. Wyglądało, jakby chciała opowiedzieć mi tę historię, odkąd przyszłam na świat, pragnąc pochwalić mnie i podziękować za coś, co zrobiłam, a o czym nawet nie miałam pojęcia.

- Zupełnie jakbyś wyraziła opinię swojej mamy na jego temat. A ten chłopak w mig pojał, co to oznaczało, i nie chodziło tylko o to, że cały cuchnął moczem. Podał mi ciebie tak energicznie, jakby bał się, że chcesz go utopić w siuśkach. A potem zwinął żagle, nie zamieniwszy nawet słowa z twoją mamą, i więcej się już nie pokazał. Kiedy doszły nas słuchy, że poślubił inną dziewczynę, która nosiła już jego dziecko, Earle skwitował tę wiadomość żartem, że chłopak jest zbyt płodny i nie potrafi bzyknąć dziewczyny, żeby nie zrobić jej bachora, i kto wie, może to i prawda. Biorąc pod uwagę szóstkę, którą spłodził z żoną, i inne dzieciaki, które, jak głoszą plotki, przyszły za jego sprawą na świat po całym hrabstwie od Spartanburga po Greer, można powiedzieć, że to jednoosobowa armia inseminacyjna. Masz rodzinę, która nawet o tobie nie wie - i nigdy się nie dowie - i rodzeństwo o gęstych czarnych włosach. Takich jak twojego ojca.

Uśmiechnęła się do mnie, odgarniając kosmyki kruczoczarnych włosów opadające mi na twarz.

- Och, Kostko! - zaśmiała się. - Może dla bezpieczeństwa powinnaś wydać się za blondyna? Co ty na to?

Babcia nie chciała mówić o moim prawdziwym tacie, a jeżeli nawet, to tylko po to, by go przeklinać, ale opowiedziała mi o wszystkim innym. Rozsiadła się w fotelu i zaczynała snuć opowieści, wyteżając pamięć i nie rozróżniając pomiędzy tym, co wiedziała, że jest prawdą, a tym co doszło do niej pocztą pantoflową. Historie, którymi się ze mną dzieliła, były jak smętne pieśni, ballady mówiące o rodzinie, miłości i rozczarowaniu. Wszystko sprowadziło się do smutku i krwi i wszyscy wydawali się urastać do legendarnych postaci.

- Mój dziadek, a twój prapradziadek, był Czirokezem i nie przepadał za nami, swoimi niechcianymi wnukami. Niektórzy powiadają, że miał w Eustis inną rodzinę i żonę, prawdziwą Indiankę, która urodziła mu czarnowłose, niebieskookie dzieci. Ha! Niebieskie oczy nie są w tej okolicy niczym szczególnym wśród Czirokezów. Jeżeli o mnie chodzi, zawsze było mi wstyd, że nigdy nie utrzymywaliśmy z nimi kontaktu, jak z innymi dziećmi. Rzecz jasna on sam był czarnookim bękartem i może wcale nie spłodził tylu dzieci, jak o nim mówią. Pewne jest jedno, że moja babcia nigdy się od niego nie odwróciła. Ta kobieta miała istną obsesję na jego punkcie, obsesję graniczącą z szaleństwem. Kiedy odchodził, nocami wyła jak pies. Nigdy nie zatrzymywał się na dłużej, ale za każdym razem, kiedy wracał do domu, robił jej kolejne dziecko, jeszcze jedno dziecko o rudoblond włosach i mętnych, brązowych oczach, które traktował gorzej niż psa czy kota. Ten człowiek nigdy w życiu nie podniósł ręki na dziecko ani nie uderzył babci. A przecież mógł, bo nigdy

mu na niej zbytnio nie zależało. W dodatku był małomówny. Nie był porywczy, rzadko się odzywał. Na pewno nie pochodził z Boatwrightów.

Ale kochaliśmy go, niemal tak bardzo jak babcia. Byliśmy gotowi zabić, byle tylko zechciał choć na chwilę zwrócić na nas uwagę, i moglibyśmy umrzeć, aby tylko stać się bardziej podobni do niego, choć różniliśmy się od niego pod każdym względem. Żadne z nas nie było ciche, wszyscy byliśmy wojownikami. Nikt z nas nie miał niebieskich oczu i nikt prócz ciebie nie ma granatowoczarnych włosów. Boże, byłaś naprawdę niezwykła! Jak lalka o porcelanowej buzi i kruczoczarnych włosach. Cicha, łagodna i delikatna, prawdziwy aniołek. Nawet nie zapłakałaś, dopóki w wieku czterech miesięcy nie zachorowałaś na krup. Zawsze uważałam, że dziadek by cię pokochał. Masz w sobie cząstkę jego uroku. Te ciemne włosy i oczy czarne jak heban. Taka się już urodziłaś. Byłam przy tym, to wiem.

- A niech mnie. - Earle zaśmiał się, gdy powtórzyłam mu niektóre z opowieści babci. - Co trzecia rodzina w hrabstwie Greenville zarzeka się, że ma wśród przodków Czirokezów. To bez znaczenia, czy nasz pradziadek był Indianinem. Jesteś Boatwrightówną, Kostko, nawet jeżeli jesteś najdziwniejszą dziewczynką w całej naszej rodzinie.

Spojrzałam na niego ostrożnie, nie podnosząc moich indiańskich oczu i zachowując nieodgadniony wyraz twarzy. Nie powiedziałabym ani słowa, nawet gdyby prapradziadek stał wtedy i patrzył na mnie takimi samymi jak moje, przenikliwymi, czarnymi oczami.

Mama miała krótko obcięte włosy, kręcone i tlenione. Co drugi miesiąc ona i ciocia Alma zajmowały się nawzajem swoimi włosami, myły je w piwie albo soku cytrynowym, aby trochę je rozjaśnić, przycinały z tyłu i farbowały na ciemny blond, jak lubiła mama. Następnie jedna drugiej nakręcała włosy na wałki, a gdy je suszyły, namawiały Reese, aby posiedziała w spokoju dostatecznie długo, aby mogły zrobić małej papiloty z gałganków. To ja rwałam materiał na gałganki, myłam wałki i przygotowywałam sok z cytryny, ale stanowczo odmawiałam, gdy mama proponowała, że i mnie zrobi trwałą ondulację.

- To śmierdzi i boli - skarżyłam się. - Zrób to Reese.

- Ale Reese wcale tego nie potrzebuje, spójrz na nie. - To rzekłszy, ciocia Alma zdjęła część papilotów z długich loków Reese. Kręcone włosy unosiły się i opadały sprężysto, jakby obdarzone magiczną mocą. - To dziecko ma najwspanialsze włosy na świecie, jak ty, Anney, kiedy byłaś dzieckiem. Wydaje mi się, że twoje włosy też miały lekko rudawy odcień.

- Nie. - Mama pokręciła głową, zdejmując resztę papilotów z włosów Reese.
- Wiesz, że zawsze miałam włosy blond. To ty miałaś rudawe, ty i Ruth. Pamiętasz, jak kłóciłyście się, która z was ma ciemniejszy odcień?

- Ale to ty miałaś najładniejsze włosy, jakie można sobie było wymarzyć. I jakie miękkie! W porównaniu z nimi włosy Reese są sztywne jak druty. To były najdelikatniejsze włosy w całym hrabstwie Greenville, złote jak blask słońca odbijający się od arkuszy blachy na dachu. Nie ściemniały, dopóki nie urodziłaś dzieci, troszkę przy pierwszym dziecku i na dobre, kiedy przyszła na świat Reese. Tak to bywa z włosami, ciemnieją podczas ciąży. I kiedy już raz się zacznie, nic nie zatrzyma tego procesu.

Mama zaśmiała się.

- Pamiętasz, kiedy Carr po raz pierwszy zaszła w ciążę i poprzysięgła, że ogoli się na łyso, jeżeli zauważy, że włosy jej ciemnieją?

Ciocia Alma pokiwała głową i ciemnobrązowe wałki zakołysały się miarowo.

- Myła je w moczu co niedzielę wieczór. W moczu małego Tommy'ego Lee, który wypraszała u Ruth. Wszystko dlatego, że babcia twierdziła, że mycie włosów w moczu zachowuje ich jasny odcień.

- Czy one nie śmierdziały? - Przygryzłam gumowaną końcówkę spinki do włosów, zdzierając zewnętrzną warstwę z metalu, aby poczuć słodkawy smak znajdującego się pod nią żelaza.

- Mocz dziecka nie śmierdzi - odparła ciocia Alma - chyba że jest chore, a Tommy Lee nigdy w życiu nie chorował. Carr nie pachniała inaczej niż zwykle, ale włosy i tak jej pociemniały. Taką płaci się cenę za urodzenie dzieci.

- Och, to nie tak. - Mama wzięła mnie na kolana i zaczęła mozolnie rozczesywać moje włosy. - W miarę jak robimy się coraz starsze, nam, wszystkim Boatwrightom, ciemnieją włosy. Tak to już jest. Włosy blond rudzieją albo robią się kasztanowe i coraz bardziej ciemnieją. Z czasem nikomu z nas nie zostają włosy blond.

- Z wyjątkiem ciebie, moja droga. - Ciocia Alma uśmiechnęła się.

- No tak, ale ja mam clairol, prawda? - Mama zaśmiała się i przytuliła mnie.
- Co myślisz, Almo? Powinnam ściąć te kudły czy nie? Ona sama nie potrafi o nie zadbać, a mnie krew zalewa za każdym razem, kiedy mam ją uczesać.

- Pewno, że tak, zetnij. Przyniosę miskę. Skrócimy jej włosy na pazia.

- Niiieeeee! - zawołałam i przyłożyłam ręce do głowy. - Chcę zachować moje włosy. Chcę zachować moje włosy.

- Ale nie pozwalasz nam nic z nimi zrobić, kochanie.

- Nie! Nie! Nie! To moje włosy i chcę, żeby pozostały takie, jakie są. Długie i zmierzwione.

Ciocia Alma sięgnęła i wyjęła mi spinkę z ust.

- Boże, spójrz na nią - rzekła. - Uparta jak osioł.

- Uhm-hm. - Mama położyła dłonie na moich ramionach i mocno ścisnęła. Nie sprawiała wrażenia zagniewanej. Uniosłam głowę, aby na nią spojrzeć. Jej brązowe oczy wydawały się olbrzymie z tej odległości, a w źrenicach widać było małe świetlne plamki.

- A czego się spodziewałaś, hę?

Przeniosłam wzrok na ciocię Almę. Jej oczy miały równie ciepły, brązowy odcień, głęboki i pełen złocistego blasku; po chwili uświadomiłam sobie, że miała takie same kości policzkowe i takie same usta jak mama.

- Jest taka sama jak ty.

Moje usta wyglądały inaczej, podobnie jak cała twarz. Co gorsza w moich oczach nie było złocistych drobin. Nie przypominałam nikogo.

- Chyba raczej taka jak ty - rzekła mama.

Obie z ciocią Almą przytaknęły, uśmiechając się do siebie nawzajem. Powoli opuściłam ręce, pozwalając, aby mama mnie uczesała. Reese włożyła pulchne paluszki do buzi i przyglądała mi się z przejęciem.

- Ko-ko-kostka - wykrztusiła.

- Tak - powiedziała ciocia Alma, biorąc Reese na ręce. - Nasza uparta Kostka jest taka sama jak jej mama, rybeńko. Tak jak jej ciotki, jak Boatwrightowie, jak ty.

- Ale ja nie wyglądam jak żadna z was - zaszlochałam. Ciocia Alma się zaśmiała.

- Ależ moja droga, przecież wyglądasz jak nasza Kostka.

- Nie wyglądam jak mama. Ani jak ty. Ani jak nikt inny.

- Wyglądasz jak ja - odparła mama. - Jak moja ukochana córeczka. - Delikatnie dotknęła palcami mego policzka i skóry pod oczami. - Masz to w sobie bez dwóch zdań. Widzę to. Wem, jak będziesz wyglądała, gdy dorośniesz, jak będą się kształtowały twoje kości. - Powoli przesunęła palcami po moich ustach i podbródku. - I tutaj. Będziesz wyglądać jak nasz pradziadek, to pewne. A te kości policzkowe, wykapaną Indianką, prawda, Almo?

- O tak, z pewnością. Będzie prawdziwą ślicznotką, jeszcze jedną, o którą się będą zabijać.

Uśmiechnęłam się szeroko i choć nie bardzo w to wierzyłam, mimo wszystko chciałam jej uwierzyć. Znieruchomiałam, próbując nie zadrzeć, gdy mama zaczęła rozczesywać moje przeraźliwie skołtunione włosy. Gdybym

miała zrobioną trwałą, zmarnowałabym ten czas, siedząc na kolanach mamy, podczas gdy ona cesałaby bez końca moje włosy, szepcząc przy tym cichutko pod nosem. Zawsze mam wrażenie, że pachniała mąką pszenną, sobą i lakierem do paznokci - roztaczał się wokół niej delikatny aromat znanych i ostrych woni. Wydychałam głęboko powietrze i przygryzałam wargi, aby nie jęknąć, podczas gdy cała skóra na czaszce paliła mnie żywym ogniem. Prędzej obciąłabym sobie głowę, niż pozwoliłabym, aby obcięli mi włosy; nie chciałam tracić przyjemności, jaką dawało mi siadanie co wieczór u mamy na kolanach.

- Czy wyglądam jak mój tato?

Zapadła cisza. Mama wciąż zawzięcie mnie cesała, a ciocia Alma skończyła zdejmowanie papilotów z włosów Reese.

- To jak? Mamusiu, czy wyglądam jak mój tato?

Mama ujęła moje włosy w jedną rękę i zaczęła rozczesywać końcówki.

- Almo, podaj mi trochę tego słodkiego olejku, kochanie, niedużo, tylko trochę, na dłoń. Wystarczy.

Grzebień znów zaczął wykonywać długie, posuwiste ruchy. Ciocia Alma zaczęła nucić pod nosem. Opuściłam głowę. Nie chodziło mi o to, że chciałam dowiedzieć się czegoś konkretnego o zaginionym ojcu. Zadowolilibym się nawet kłamstwem. Chciałam po prostu usłyszeć historię z ust matki. Co sprawiło, że zaczęła różnić się od rodzeństwa? Dlaczego o tym nie opowiadała?

Mama cesała mnie tak mocno, że odchyliłam głowę do tyłu.

- Kostko, jesteś nieznośna, nie umiesz nawet posiedzieć przez chwilę w spokoju.

- Tak, mamó.

Zamknęłam oczy i pozwoliłam, aby kierowała moją głowę tak, jak chciała, szarpiąc mnie za włosy i ciągnąc, aż w końcu sama się odprężyła. Ciocia Alma wciąż nuciła pod nosem. W powietrzu unosił się zapach słodkiego olejku, który mama roztarła w dłoniach. Reese przyłączyła się do cioci Almy i też zaczęła podśpiewywać. Uniosłam powieki i spojrzałam mamie prosto w oczy. Można w nich było dostrzec radosny uśmiech małej Reese. W źrenicach lśniły i skrzyły się złociste drobinki, jak fragmenty czegoś jasnego, co silnie przyciągało światło.

Rozdział trzeci

Do miłości, a przynajmniej do miłości wobec mężczyzny nienależącego do rodziny podchodziłam wyjątkowo podejrzliwie. Ciocia Alma powiedziała, że miłość ma więcej wspólnego z wyglądem fizycznym, niż ktokolwiek chciał przyznać, a Glen jej zdaniem prezentował się całkiem atrakcyjnie, z szerokimi barkami, długimi ramionami, włosami zaczesanymi do tyłu i kołnierzykiem zapiętym pod samą brodą.

Niekiedy, po odwiedzinach Glena, mama siadała na ganku i paliła papierosa, wpatrując się w dal. Czasami wsuwałam się jej pod ramię i siedziałam razem z nią, nie mówiąc ani słowa. Zastanawiałam się, o czym myślała, lecz nie odważyłam się zapytać. Gdybym to zrobiła, odparłaby, że myśli o drodze, drzewach albo gwiazdach. Zaczęłaby mówić o pracy albo o tym, co zrobił któryś z moich kuzynów czy wujków, albo kto wie, może przetrzepałaby mi skórę i odesłała do łóżka, a potem znów wróciłaby na ganek, aby siedzieć tam z poważną miną i palić pall maila aż do filtra.

- Ty i Reese lubicie Glena, prawda? - pytała mama od czasu do czasu, zaniepokojonym głosem. Ja za każdym razem kiwałam głową. Oczywiście, że go lubiliśmy, odpowiadałam i patrzyłam, jak jej twarz się rozjaśnia, a na usta powraca promienny uśmiech.

- Ja też. To dobry człowiek. - Powoli przesunęła dłońmi po udach, podciągnęła kolana do piersi i bardziej do siebie niż do mnie skinęła głową. - To dobry człowiek.

Wieczory, kiedy mama pracowała w barze, spędzałyśmy u cioci Ruth albo Almy. Czasami jednak, kiedy nie pracowała tak długo, przygotowywała dla nas posłanie na tylnym siedzeniu pontiaca i zabierała nas ze sobą. Dawała nam kolację w małej kanciapie przy kuchni i przez pewien czas pozwalała słuchać muzyki z szafy grającej, później zaś układała nas do snu w aucie, zakazując nam odblokowywać drzwiczki dla kogokolwiek oprócz niej. Gdy siedziałyśmy przy stoliku, obserwowałam ją przy pracy. Była urzekająca, młoda, miła i zbyt piękna, aby ktokolwiek mógł zachować się wobec niej podle. Kierowcy ciężarówek przekomarzali się z nią i puszczali z szafy grającej jej ulubione piosenki. Młodzi próbowali się z nią umówić, ale delikatnie ich spławiła. Starsi, co ją znali, słali komplementy pod naszym adresem. Obserwowałam to wszystko, podziwiając mężczyzn z ich muskularnymi przedramionami i szerokimi barkami, sączących kawę podawaną przez mamę, chłonąc grającą bez przerwy muzykę, uważając, aby Reese nie rozlała mleka, i uśmiechając się do mamy, kiedy na mnie patrzyła.

- Jesteś córką Anney, prawda? - zwrócił się do mnie jeden z nich. - Twoja młodsza siostrzyczka wygląda kubek w kubek jak ona, zgadza się? Ty musisz wyglądać jak twój tato. - Pokiwałam niepewnie głową.

Kiedy przychodził Glen Waddell, mama przynosiła mu piwo i jeżeli tylko mogła, siadała razem z nim. Czasem, kiedy była zajęta, to on odprowadzał nas do auta, gdy Reese robiła się senna, trzymając nas w swoich silnych, potężnych ramionach z tą samą wystudiowaną łagodnością jak wówczas, gdy dotykał mamy. Lubiłam, jak mama układała nas do snu w samochodzie, ale ona chyba wołała, żeby Glen wynosił nas z baru na oczach tych wszystkich kierowców. Widziałam, jak na niego wtedy patrzyła, jej twarz łagodniała i lśniła. Może w tym spojrzeniu zawierała się miłość. Nie potrafiłam tego stwierdzić.

Moja mama widywała się z Glenem Waddellem przez dwa lata. Ludzie mówili, że potrzebowała czasu, aby po śmierci Lyle'a Parsonsa znów zaufać mężczyźnie. Od czasu do czasu zabierała mnie i Reese, gdy jechała po Glena, który znalazł sobie nową pracę w fabryce RC Coli. Czasami zastawaliśmy go przy pracy, jak zanosił skrzynki z butelkami napojów gazowanych do swojej ciężarówki, przygotowując się do porannego kursu. Wszystkie te pełne skrzynki trzeba było załadować na pakę, a skrzynki z pustymi zdjąć i przenieść na pas transmisyjny do umycia i ponownego napełnienia. Z głuchym stęknieniem unosił skrzynkę z dwudziestu czterema butelkami nad głowę i stawiał na ciężarówkę płynącym z bioder sprawnym ruchem, w który wkładał całą masę ciała, a jego usta w czasie głębokiego skupienia zaciskały się w wąską kreskę. Kołnierzyk miał rozpięty, a jego jasnoniebieska koszula robocza przylepiała mu się do pleców wzdłuż ciemnego pasa ciągnącego się w dół kręgosłupa. Mama wciąż jeszcze miała na sobie strój kelnerki, pachnący solą i smaženiną, była równie zmęczona i spocona jak on. Glen jednak uśmiechał się do niej, jakby mama pociła się słodko, cukrem i śmietanką. Mama wychylała się przez boczną szybę auta i półgłosem zaczynała nawoływać go po imieniu, a on czerwienił się i przyspieszał tempa, aby popisać się swoją siłą, a może jak najszybciej zakończyć pracę, nie wiedzieliśmy tego na pewno.

Glen był niskim mężczyzną, ale tak silnym i muskularnym, że trudno było dostrzec w nim chociaż cień delikatności, a jednak wyglądał dość wdzięcznie w stroju roboczym i ciężkich skórzanych butach. Na chodniku walały się resztki potłuczonych butelek, wbite głęboko w asfalt i wszyscy robotnicy nosili ciężkie buty na grubej, ochronnej podeszwie. Glen Waddell miał tak małe stopy, że buty dla niego trzeba było kupować w dziale obuwia dziecięcego u Searsa i Roebucka, podczas gdy rękawice można było znaleźć wyłącznie w wyspecjalizowanych sklepach dla wysokich mężczyzn. Obracał się na swoich

małych stopkach, kręcąc przy tym wąskimi biodrami, i stękał pod ciężarem swojego brzemia, wszystko wydawało się wyjątkowo wyteżone i wymuszone, podczas gdy jego ręce unosiły skrzynie i pojemniki tak delikatnie, jakby były wypełnione nie butelkami, lecz wydmuszkami. Rozcapierał palce tak bardzo, że z łatwością mógł nimi objąć pół skrzynki, a wstawienie jej na pakę, niezależnie, na jaką wysokość, nie sprawiało mu najmniejszych problemów.

Ludzie mówili o porywczosci Glena i o jego rękach. Nie pił, nie łajdaczył się, nie opowiadał sprośnych historyjek, ale powietrze wokół niego zdawało się wibrować, a dłonie miał naprawdę wielkie. Zwieszały się na końcach krótkich, muskularnych ramion jak rękawice do baseballu. W porównaniu z jego szczupłą, drobnokościstą sylwetką wyglądały nie na miejscu, irracjonalnie, a w dodatku stale były w ruchu i stanowiły jedyny prawdziwy dowód jego siły. Kiedy sięgał po Reese albo po mnie, ujmował nas dłonią za tył głowy i patrzył na nas, delikatnie gładząc ciepłymi, wilgotnymi palcami nasze włosy. Był wobec nas nieprawdopodobnie ostrożny, delikatny i powolny, jednak po mamę zawsze sięgał gwałtownie, energicznie i obiema rękami. Gdy ją obejmował, łączył dłonie na jej plecach, tak że sięgały od jej szyi aż po talię i przyciągał ją mocno do siebie. Mama zawsze ujmowała dłonie Glena w swoje, jej palce sprawiały, że jego wydawały się jeszcze większe, silniejsze i dłuższe. „Jest bardzo delikatny - mówiła siostrze. - Powinnyście widzieć, jaki jest łagodny, kiedy podnosi śpiącą Reese, by wynieść ją z samochodu, niczym najcenniejszy, najdelikatniejszy skarb, ze szkła albo z kryształu”. Moje ciotki tylko kiwały głową, ale bez większego przekonania.

Nie miałam jednak wątpliwości, że mama zaczęła darzyć Glena miłością. Pokochała go. Widziałam, jak się czerwieniła, kiedy na nią patrzył albo jej dotykał, choćby tylko przelotnie. Rumieńce pojawiały się na jej szyi i policzkach, a po chwili cała jej twarz lśniła jaskrawą czerwienią. Glen Waddell zmienił mamę z zaniebanej, ponurej, wiecznie zatroskanej mamuśki w rozchichotaną, pełną nadziei dziewczynę. Któregoś popołudnia Glen wrzucił ostatnią skrzynię na pakę ciężarówki i odwrócił się, by spojrzeć na mamę, Reese i na mnie, czekające w starym pontiacu. W promieniach słońca zalśniły strużki i kropelki potu na jego ciele. Otarł twarz dłonią, ale pot wciąż spływał po niej strużkami i wyglądało, jakby Glen płakał. Podszedł do nas powoli. Przy drzwiczkach przykucnął i sięgnął przez opuszczoną szybę, by mocno uściskać mamę.

- Och, Anney - wyszeptał. - Anney, Anney. - Jego głos przeszedł w chrapliwe tremolo. - Wiesz. Przecież wiesz, że cię kocham. Nie mogę już

dłużej czekać, Anney. Po prostu nie mogę. Kocham cię z całego serca, dziewczyno.

Wyciągnął ręce nad fotelem i przyciągnął mnie i Reese, tak że przyłgnęliśmy mocno do szyi i pleców mamy.

- I twoje córeczki, Anney! Na Boga, kocham je! Nasze dziewczynki, Anney. To nasze dziewczynki. - Zaczął szlochać i przyciągnął nas do siebie jeszcze bardziej, tak mocno, że drobne kostki Reese wpiły się w moje ramię, a w powietrzu wokół nas zaroilo się od kropelek jego potu. Pochylił głowę ponad włosami mamy i dotknął moich, jego usta i zęby musnęły mój policzek.

- Mówcie mi tatko - wyszeptał. - Mówcie mi tatko, bo kocham was i waszą mamę. Będę dla was dobry. Zobaczycie. Jesteście moje. Wszystkie.

Jego ramiona zdrząły, wprowadzając w drżenie całe auto.

- Och, Anney. - Zadygotał. - Nie odmawiaj mi. Proszę, Anney, nie rób mi tego!

- Glen - wyszeptała mama. - Och, Glen, sama nie wiem. - Zatrzęsła się i powoli uniosła ręce, aby go objąć. - O Boże. No dobrze, zastanowię się nad tym. Dobrze, kochanie. Niech będzie.

Glen cofnął się gwałtownie. Uderzył dłońmi w dach auta, raz, drugi, trzeci. Echo tego dźwięku zabrzmiało jak wystrzały. Mama pochlipywała cichutko, ciężko opierając ramiona o mnie i o Reese.

- Do kroćset! - zawołał. - Do kroćset, Anney! - Okręcił się na pięcie, pohukując głośno. - Wiedziałem, że się zgodzisz. De dla ciebie zrobię. Przekonasz się, Anney! Obiecuję. Nawet sobie nie wyobrażasz!

Rozłożył szeroko ramiona i ponownie wydał z siebie przeciągły okrzyk. Jego twarz wyglądała, jakby ktoś podświetlił ją różową lampą. Otworzył drzwiczki i wyciągnął do mamy ręce, jego dłonie wciąż drżały, kiedy ją obejmował. Przyciągnął ją do siebie tak mocno, że aż jej stopy oderwały się od ziemi, a potem zaczął kręcić się z nią w kółko, śmiejąc się i pokrzykując. Reese położyła mi dłonie na ramionach. Poczułam wibrację, gdy zaczęła kołysać się delikatnie w rytm echa okrzyków Glena. Uśmiechnęliśmy się do siebie, podczas gdy Glen tańczył z mamą po całym parkingu, trzymając ją w mocnym uścisku.

- Ty po prostu nie lubisz Waddellów - rzekła mama do babci. Stała na ganku domu cioci Almy, ubrana w niebiesko-białą bluzkę w grochy, którą kupił jej Glen. Pasowała do koloru jej oczu, powiedział. Sądząc po wyrazie twarzy mamy, widać było, że w rozmowie z babcią stara się zachować spokój.

- Glen mnie kocha, kocha też dziewczynki. To bez znaczenia, że jego rodzina to banda nadętych bufonów. Glen nie jest taki.

- Nie wiesz, jaki on jest, Anney. Po prostu nie wiesz.

- Wiem, że mnie kocha - odrzekła z przekonaniem mama, pewna że Glen kochał ją całą duszą i nic nigdy tego nie zmieni. - Wiem swoje.

- Z tym chłopakiem jest coś nie tak. - Babcia odwróciła się do cioci Almy, szukając u niej wsparcia. - Zawsze patrzy na mnie kątem oka jak stary bezdomny pies, który tylko czeka, aby zwędzić kość. I wiesz, Anney, o jaką kość mu chodzi.

- Ty po prostu uważasz, że dla Anney nie ma odpowiedniego kandydata na męża. Nikt nie jest dla niej dość dobry - wtrąciła z przekąsem Alma. - Chcesz, aby płaciła ci za opiekę nad dziećmi aż do dnia, kiedy wyschnie na wiór i przestanie wierzyć, że jeszcze kiedyś wyjdzie za mąż.

Ta utarczka słowna toczyła się z przerwami od tygodnia. Teraz była niedziela i Glen miał przyjechać, aby zabrać wszystkich na piknik nad jezioro. Babcia powiedziała mamie, że nie pojedzie, mimo iż mama z myślą o niej zapakowała galaretkę i pieczonego kurczaka.

- Daj spokój, Anney, i pomóż mi z tym aparatem. - Ciocia Alma miała nowy aparat fotograficzny i postawiła sobie za cel udokumentowanie każdej ważniejszej uroczystości rodzinnej. - Z mamą nie wygrasz. Daj jej spokój, a po pewnym czasie na pewno zmieni zdanie.

Kiedy zjawił się Glen, to właśnie aparat fotograficzny sprawił, że babcia wyszła z domu i stanęła razem z nami na ganku. Jednak Glen powiedział, że nie chce, by robiono mu zdjęcia.

- Nie jestem gwiazdą filmową - rzeki do Almy, zasłaniając dłońmi twarz, gdy próbowała go sfotografować.

- To przez tę nową fryzurę - zażartował Earle. - Glen nie chce, aby ludzie zobaczyli, jakie ma odstające uszy. Jestem po twojej stronie, Glen. Jesteśmy za brzydki, aby robiono nam zdjęcia. Niech się fotografują kobiety i dzieci, a nas zostawia w spokoju.

Wujek Earle lubił Glena Waddella, ale podobnie jak babcia nie przepadał za rodziną Waddellów. Powiedział to Glenowi prosto w oczy, ale tamten tylko się uśmiechnął i ta reakcja wydała się wujkowi podejrzana. Earle uważał, że nawet jeśli Glen nie miał najlepszych układów z rodziną, nie powinien pozwolić, by ktokolwiek ją szkalował. Gdyby doszło pod tym pretekstem do bójki, nawet całkiem ostrej, a potem Glen i Earle by się pogodzili, cała sprawa przedstawiałaby się całkiem inaczej - normalnie. Earle na pewno poczułby się dzięki temu lepiej. A jednak Glen był typem milczka i nigdy nie walczył na pół gwizdka. Albo tylko się uśmiechał, albo puszczały mu hamulce i próbował zabić swego przeciwnika. Za to drugie zyskał sobie swego rodzaju szacunek

Earle'a. Któregoś razu do huty trzeba było wezwać gliny, gdy Glen wdał się w bójkę, zanim jeszcze przeniósł się do fabryki RC Coli. Glen był dorosłym mężczyzną, miał pracę i kochał Anney Boatwright. Wszyscy o tym wiedzieli, nawet babcia.

- Ejże, Earle, przestań mącić. - Babcia odgarnęła włosy za uszy i wygładziła z przodu pofałdowaną, zieloną perkalową bluzkę. - Chcę, żeby Alma zrobiła zdjęcia wszystkim. Chcę mieć w cedrowej komódce album z rodzinnymi fotografiami.

Earle zaśmiał się i podszedł ukradkiem, aby szturchnąć Almę, która próbowała zrobić właśnie zdjęcie babci i mamie, po czym zaczął gonić Reese i mnie po całym podwórku. Kiedy złapał Reese, podrzucił ją tak wysoko, że zatrzepotała rękoma, jakby chciała wzbić się do lotu. Uchyliłam się przed nim i przedarłam przez krzaki, nie zważając na jeżyny, których kolce zahaczały o spódnicę nowej sukienki, prezentu od mamy. Znalazłszy się po drugiej stronie furgonetki Earle'a, zatrzymałam się i spojrzałam na nich; babcia stała na ganku z pełnym wahaniem, niepewnym uśmiechem, a na jednym ze stopni mama w nowej bluzce i Glen, z nową fryzurą „na zapalną”, podczas gdy Alma z aparatem fotograficznym w dłoni próbowała uchwycić ich wszystkich razem. Wyglądali na podenerwowanych i zdeterminowanych zarazem; mama stała sztywno w niezdatnym uścisku Glena, on sam natomiast omal nie spadł ze schodów, usiłując odwrócić wzrok od obiektu aparatu. Od samego patrzenia na nich zdrętwiała mi szyja.

Jedynie Earle i Reese byli rozluźnieni; Reese pokrzykiwała i chichotała, na rękach Earle'a, który wirował z nią dokoła, w promieniach słońca.

- Kostko, Kostko - wołała Reese. - Pomóż mi, Kostko, ratunku!

- Wystrzelę cię do gwiazd, maleńka - wycedził żartobliwie wujek Earle przez zaciśnięte zęby, a Reese zaczęła krzyczeć jeszcze głośniejsze. Ledwie to powiedział, gdy poślizgnął się na wilgotnej trawie i ciężko klapnął na tyłek. Wylądował z rękami wyciągniętymi do przodu, a Reese spadła mu na kolana. Nie krzyczała już, lecz chichotała, podczas gdy Earle kłął z cicha.

- A niech to, upaprałem sobie spodnie.

- Dobrze ci tak - rzuciła do niego babcia. - Mogłeś zabić to dziecko. Reese, pulchny tyłeczku, chodź do mamusi.

- Ty też tu podejdz, Kostko! - krzyknęła do mnie mama. - Stańcie tak, żeby ciocia Alma mogła zrobić zdjęcie całej naszej czwórce.

- Tak, chodźcie tu, dziewczynki. - Glen obiema rękami obejmował mamę w talii.

- A teraz uśmiechnijcie się wszyscy! - zawołała Alma, gdy dał się słyszeć trzask migawki.

Rozdział czwarty

Tej wiosny, kiedy mama poślubiła Glena Waddella, każdego popołudnia szalały burze, a gęste, czarne chmury przetaczały się po niebie z północy na zachód, od wzgórz aż do Smokies. Niemal każdej nocy wokół księżyca widać było upiorną aureolę, a o zmierzchu nad horyzontem pojawiała się niebieskawa poświata.

- To nie jest dobry czas na małżeństwo - oznajmiła babcia. - Ani na zasiew czy budowanie czegokolwiek.

- Jesteś pewna, że akurat teraz, Anney? - zapytał Earle mamę dwukrotnie, zanim zawiózł ją swoim pikapem do sądu, aby wzięła tam z Glenem ślub. Nie przyjmował jej uśmiechu jako odpowiedzi, mimo iż zgodził się być drużbą po tym, jak brat Glena odmówił. Zapytał ją raz jeszcze, zanim wysiadła z furgonetki.

- Jesteś gorszy niż babcia - odparła Anney. - Nie chcesz, żebym się ustatkowała i była szczęśliwa?

Wtedy zrezygnował i pocałował ją.

Babcia nie zdziwiła się, gdy usłyszała, że prababcia Shirley nie przyjęła zaproszenia na weselny obiad zorganizowany przez ciocię Almę. Ciocie Eustis, Marvella i Maybelle, te, które rzekomo umiały przepowiadać przyszłość z fasoli, także nie przyszły, choć Marvella starała się załagodzić całą sprawę.

- Wiem, że on kocha Anney - rzekła do Almy Marvella, gdy przyszła narwać kwiatów z ich ogródka. - A niekiedy miłość może wszystko zmienić.

Maybelle nie była aż tak delikatna.

- Tak, Glen kocha Anney. Kocha ją jak hazardzista rączego konia wyścigowego albo jak pijaczek butelkę whiskey. Tego rodzaju miłość wypala mężczyznę. Nie ufam temu chłopakowi i nie chcę, aby Anney za niego wyszła.

- Ale Anney kocha Glena - rzuciła ze zniecierpliwieniem Alma. - Powinnyście wziąć to pod uwagę. Ona go potrzebuje, jak konający mięsiwa, i nie pozwolę, aby ktokolwiek jej to odebrał. Daj spokój, Maybelle, wiesz, że nie sposób przewidzieć, co może się stać między mężczyzną a kobietą, niech oni załatwią to między sobą.

Alma ujęła dłonie Maybelle w swoje.

- Musimy wesprzeć naszą dziewczynkę, uczynić, co w naszej mocy, aby już dłużej nie cierpiała.

- O, Boże. - Maybelle pokręciła głową. - Nie chcę się z tobą spierać, Almo. Poza tym może masz rację. Wiem, jak samotna czuła się Anney. Doskonale

wiem. - Poprawiła kok i odwróciła się do siostry. - Musimy się nad tym zastanowić, Marvello. Musimy się poważnie zastanowić nad tą dziewczyną.

Uczyły, co w ich mocy. Siostry przysłały mamie prezent weselny, węzeł miłości, który Marvella uplotła z własnych włosów, po tym jak Maybelle podczas pełni księżyca nacięła uszy paru królikom, by dodać ich krwi do węzła. Potem puściły króliki wolno, a następnie obie zlikwidowały sześć rzędów fasoli tyczkowej i zakopały w ziemi, tam gdzie fasola urosła najbujniej, plaster miodu owinięty w koronkowy obrus. Na kartce dołączonej do węzła wyjaśniły mamie, że powinna schować go pod materacem nowego łóżka, zakupionego przez Glena, ale mama powąchała prezent, poczuła woń krwi i suchych włosów, po czym zmarszczyła nos i pokręciła głową. Nie potrafiła wyrzucić podarku, ale schowała go w jednej z doniczek w składziku, gdzie Glen nie mógł poczuć nieprzyjemnego zapachu wydzielanego przez węzeł miłości.

Reese i ja zniecierpliwiłyśmy miesiąc miodowy. Obie uważałyśmy, że powinnyśmy w nim uczestniczyć. Przez całe tygodnie przed ślubem mama opowiadała nam, że to związek łączący nasz wszystkich, bo tak jak my przyjmujemy Glena, żeby został naszym tatą, tak ona bierze go za męża. Ona i Alma uszyły dla nas nawet krótkie weloniki, w których miałyśmy iść przed parą młodą, Reese z kwiatami, a ja z obrączkami. Jednak mama i Glen wyszli w połowie obiadu u cioci Almy, pożegnawszy się z nami krótkim całusem.

- Dlaczego nie możemy jechać razem z nimi? - pytała Reese, podczas gdy wszyscy się z niej śmiali. Tak się rozłościłam, że ukryłam się w szwalni Almy i zapłakana usnęłam na jej bujanym fotelu. Obudziłam się już za dnia, w łóżku, przykryta kapą, a w domu było cicho. Wyciągnęłam album Almy i wspięłam się na fotel. Z tyłu znajdowały się zdjęcia z pikniku. Było tam też kilka fotografii przedstawiających Reese i mnie, w pojedynkę, wspólnie, z babcią czy Earle'em. Ujrzałam też jedyne udane zdjęcie Glena i mamy, na którym widać było jej uśmiech i jego oczy. Na większości z nich mama miała odwróconą głowę, tak że dostrzec można było jedynie podbródek, a Glen, ustawiony bokiem, prezentował do obiektywu bladą linię szyi i ucho wyłaniające się spod nowej fryzury. Może właśnie dlatego to udane zdjęcie wydawało się tak zdumiewające.

Wszystko na tej fotografii było ostre, wyraźne, czyste, kontrast tak silny, że można było rozróżnić granicę, gdzie sięgały promienie słońca i zaczynał się cień. Na policzku mamy widać było rumieniec, delikatny jak cień ptaka; na jej sukience odcinały się grochy, przy ciemnej spódnicy do pół łydki dostrzec można było plisę, a na jej starannie zaczesanych do tyłu jasnych włosach - przedziałek. Mama wyglądała pięknie, bez dwóch zdań, choć miała

podpuchnięte oczy i napięte mięśnie szyi, co sprawiało, że trochę za wysoko wysuwała do przodu podbródek. A jednak uśmiechała się szeroko, miała czyste, wesołe oczy i można było wejrzeć w głąb niej, łagodność odzwierciedlała się w sposobie, w jaki przechylała głowę, jak patrzyła ponad ramieniem Glena na Reese i na mnie, oraz w tym, jak trzymała dłonie na podołku, rozwarłe, z lekko zgiętymi palcami, jakby usiłowała chwytać nimi promienie słońca.

Glen stojący obok mamy znajdował się częściowo w cieniu, z głową zwróconą w bok, ale światło podkreśliło jego uśmiech, policzek, silne dłonie i szczupłą sylwetkę. W tym uśmiechu kryła się determinacja, siła i przekonanie, oczy lśniły wewnętrznym blaskiem i odbitym światłem słońca, ramiona były naprężone, plecy odrobinę przygarbione, jedną ręką obejmował i przyciągał mamę do siebie. Patrząc na to zdjęcie, trzeba było przyznać, że Glen to przystojny, silny mężczyzna, szczęśliwy, że ma obok siebie akurat tę kobietę. W oczach mamy kryło się wspomnienie dawnego bólu i nowa nadzieja. Oczy Glena nie zdradzały niczego. Jego oblicze było płaskie i puste jak arkusz blachy na dachu, w którym odbija się słońce. Nie można było nic z niego wyczytać i tak naprawdę nie było wiadomo, co czai się w sercu tego człowieka.

Próbowałam sobie wyobrazić, jak to będzie mieszkać razem z nim, kiedy minie już miesiąc miodowy. Znowu spojrzałam na zdjęcie i przypomniałam sobie dzień pikniku, jak Glen przyciągał mamę do siebie i jak władczo kładł dłonie na jej brzuchu. Słyszałam, jak Alma przekomarzała się z mamą na dzień przed ślubem, nakłaniając ją, aby się pospieszyła i wyszła za męża, zanim zacznie być widać. Mama się zdenerwowała i kategorycznie zapytała Alnę, skąd wie, że jest w ciąży. Zastanawiałam się, czy powiedziała o tym Glenowi.

- Chodźcie tu, dziewczynki. - W głosie Glena, kiedy wolał mnie i Reese do zdjęcia, pobrzmiwała nuta zniecierpliwienia, której wcześniej nie słyszałam.

Obeszłam pikapa Earle'a powoli i spojrzałam na jego twarz. Tak, wiedział. Był z siebie tak zadowolony, całe jego oblicze pęczniało z dumy pod tą fatalną fryzurą. Mama powiedziała, że chciał, aby urodziła mu syna, i wyglądało na to, że był pewien, iż dziecko jest już w drodze.

Siedziałam na bujanym fotelu, oglądając zdjęcia, aż z nadejściem poranka obudził się cały dom i ciocia Alma przyszła zobaczyć, co porabiam. Wodziłam palcami po uśmiechniętej twarzy Reese na jednym ze zdjęć i gęstej, ciemnej czuprynie Earle'a na drugim, a potem przyjrzałam się sobie samej, temu, jak postrzegał mnie obiektyw aparatu - zobaczyłam moje oczy, wyglądające jak oczy mamy, ciemniejsze, ale równie szczere i otwarte jak jej, mój uśmiech,

szerszy i bardziej drapieżny niż u Reese, i moje ciało w biegu, na podwórku zatrzymane w kadrze jak zwierzę dające susa w powietrzu.

Glen był jak mały chłopiec, jeżeli chodzi o dziecko, uśmiechał się, puszył i przytulał dłonie do brzucha mamy przy każdej okazji, kiedy mógł poczuć, że jego synek kopie. Jego synek - nigdy nie brał pod uwagę, że mama mogłaby urodzić dziewczynkę. Nie, Glen był pewien, że to będzie chłopiec. Kupił na raty kołyskę i wyprawkę, wstawił je do sypialni i wypełnił łóżeczko zabawkami dla chłopca.

- Mój synek będzie miał w sobie to, co najlepsze ze mnie i z Anney - powtarzał wszystkim w kółko, jak gdyby mówienie tego samego po wielekroć mogło sprawić, że to stanie się faktem. Odwiedził nawet ciotki Maybelle i Marvelle z prezentem w postaci kukurydzy dla królików, aby spojrzeć im w oczy, gdy będzie opowiadał o swoim synu, i usłyszeć, jak potwierdzą jego przypuszczenia, dziękując mu za podarek.

- Powiedziały, że będzie chłopiec - rzekł później do Earle'a w domu cioci Ruth, przy posiłku złożonym z fasoli i placka kukurydzianego. Uwierzył w słowa ciotek rzekomo parających się kobiecą odmianą magii. Wprost promieniał z dumy.

- A niech mnie, Glen. Gratulacje. - Oblicze Earle'a pozostało nieodgadnione.

- Nigdy nie mieszaj się między mężczyznę i jego ambicje - powiedział do wujka Beau, kiedy Glen już sobie poszedł. - Glenowi wydaje się, że każdy próbuje pokrzyżować mu szyki, jeśli chodzi o splotenie syna z Anney, i kompletnie mu na tym punkcie odbiło.

- Mężczyzna nigdy nie powinien lokować swoich ambicji w brzuchu kobiety. - Beau nigdy nie przepadał za Glenem, twierdził, że nie potrafi zaufać komuś, kto nie pije, a cała rodzina uważała Glena za abstynenta. Beau splunął kącikiem ust. - Dobrze by było, gdyby urodziła mu kolejną dziewczynkę.

Wujek Nevil mruknął i nalał im obu po szklaneczce whiskey z domowych zapasów. Nevil nigdy nie marnował słów, kiedy mógł mruknąć albo chrząkać, nie mruczał też ani nie chrząkał, gdy mógł po prostu poruszyć rękami. Uważano go za najcichszego mężczyznę w hrabstwie Greenville, a jego żona Fay miała opinię najgrubszej kobiety.

- Tych dwoje przypomina raczej meble niż ludzi - powiedziała kiedyś babcia. - Tylko zajmują miejsce i pokrywają się kurzem jak komódka czy kanapa.

Nevil i Fay usłyszeli to i od tej pory unikali przebywania z nią w jednym pokoju. To trochę skomplikowało sytuację, gdy odbywały zjazdy rodzinne, ale nie za bardzo. Jak mawiała Alma, Nevil i tak nie był duszą towarzystwa.

Wszyscy zatem zdziwili się, kiedy Nevil, sącząc whiskey, uniósł głowę i tak wyraźnie, że usłyszeli go aż na ganku, powiedział:

- Jeżeli o mnie chodzi, mam nadzieję, że Anney da mu syna albo nawet kilku. Ten Glen jest jakiś dziwny. Prawie go polubiłem, ale ten chłopiec wydaje się jakiś taki śliski. Mam nadzieję, że się mylę. Anney dość już miała kłopotów w życiu. - Znów wypił łyżeczek i ponownie zamilkł, tym razem już na dobre.

Earle i Beau patrzyli na niego, nie wiedząc, czy powinni się zaśmiać, czy zakląć, ale w końcu wlepili wzrok w dna swoich szklaneczek. Obaj przyznali Nevilowi rację. Anney zasługiwała na odmianę swego niezbyt do tej pory szczęśliwego życia.

Tej nocy, kiedy mamę złapały bóle porodowe, Glen wrzucił do pontiaca koce, colę dla Reese i dla mnie, po czym zaparkował wóz na szpitalnym parkingu i przygotował się na dłuższe czuwanie. Został pouczony, że to zapewne trochę potrwa, i kiedy nie mógł już dłużej krążyć po korytarzach, skoncentrował się na paleniu papierosów i słuchaniu muzyki płynącej z radia w aucie, podczas gdy ja i Reese drzemałyśmy na tylnym siedzeniu. W którymś momencie, tuż przed świtem, kiedy wciąż było ciemno i zimno, sięgnął ręką ponad oparciem fotela i przeciągnął mnie na przednie siedzenie. Poczęstował mnie colą i połową batonika Baby Ruth, po czym wyjaśnił, że wcześniej zajrzał do szpitala i powiedziano mu, że mama świetnie sobie radzi.

- To dobrze - odparłam i pokiwałam głową, nie bardzo wiedząc, co powinnam była powiedzieć.

Palił jak lokomotywa, wydmuchując dym przez opuszczoną na kilka cali szybę, i rozmawiał ze mną jak z dorosłą.

- Wydaje się jej, że jak urodzi dziewczynkę, to jej nie pokocham. Ale nawet gdyby to była dziewczynka, to będzie naszym dzieckiem, a później zawsze możemy mieć następne. Będę miał mego synka. Anney i ja będziemy mieć naszego chłopca. Wem to. Po prostu wiem.

Mówił dalej, szepcząc z przejęciem, niekiedy tak cicho, że prawie nie mogłam go zrozumieć. Otuliłam się kocem i patrzyłam na migoczące gwiazdy widoczne tuż nad wierzchołkami strzelistych świerków rosnących na skraju parkingu. Przez radio leciała piosenka Kitty Wells, którą mama bardzo lubiła. Kołysałam się w rytm muzyki i patrzyłam w noc. Myślałam o dziecku, które urodzi mama, jakie będzie, jeśli nie będzie dziewczynką. Jakie nadadzą mu imię? Glen junior, jeśli to będzie chłopiec? Nigdy o tym nie rozmawiali. Mama uważała, że wybieranie imienia dla dziecka przed jego narodzinami przynosi pecha.

Glen położył mi dłoń na karku, a gwiazdy zaczęły do mnie mrugać. Nie przywykłam do tego, że mnie dotykał, więc otuliłam się mocniej kocem i znieruchomiałam. Wysunął się trochę zza kierownicy i posadził mnie sobie na kolanach. Zaczął nucić pod nosem, przesuwając mnie trochę wyżej, na uda. Odwróciłam głowę, by spojrzeć mu w oczy. Na parkingu było ciemno, ale czerwone i żółte światelka z radia rozjaśniały mu twarz. Uśmiechnął się i po raz pierwszy ujrzałam, że się naprawdę uśmiechał. Uśmiech ten wykwitł nie tylko na jego ustach, ale pojawił się także w oczach. Podciągnął mi spódniczkę i wsunął rękę między moje uda, opierając ją o bawełniane majteczki. A potem zaczął mnie kołysać, a palcami zaczął manipulować przy spodniach.

I wtedy zaczęłam się go bać, jego wielka dłoń spoczywała między moimi nogami, a oczy lśniły w półmroku. Znow zaczął zapewniać, że z mamą będzie wszystko dobrze, że mnie kocha i że wszyscy będziemy szczęśliwi. Bardzo szczęśliwi. Rękę miał twardą, a jego przegub mnie boleśnie uciskał. Patrzyłam na wprost, przez przednią szybę, za bardzo się bałam, aby zacząć krzyczeć czy próbować się wyrwać, byłam zbyt przerażona, by się w ogóle poruszyć.

Wciąż powtarzał: „Wszystko będzie dobrze”. I nadal mnie kołysał, oddychając przez usta i patrząc przed siebie. W szybie widziałam jego odbicie. Przez gałęzie drzew zaczęło przesączać się światło dnia, wszystko stało się jasne i zimne. Wsunął rękę głębiej, trzymał coś w palcach. Wiedziałam, co to takiego. Widziałam moich kuzynów nagich, jak śmiali się, żartowali i potrzęsali tym czymś; ale to była dla mnie tajemnica, twarda i przerażająca. Pot spływał mu po ramionach aż na moją skórę i miał ostry, nieprzyjemny zapach. Stęknął, ściskając moje uda rękami i nogami. Oparł się podbródkiem o moją głowę i równocześnie zaczął poruszać biodrami. Krzywdził mnie! Sprawiał mi ból!

Zaszlochałam cichutko, podczas gdy on osunął się do tyłu i puścił mnie. Przygryzłam dolną wargę i znieruchomiałam. Uniósł rękę, aby wytrzeć ją w koc, i poczułam, że jego palce były umazane czymś, co dziwnie i gorzko pachniało. Odsunęłam się, a on wybuchnął śmiechem. Wciąż się śmiał, wycierając rękę w koc. Potem podniósł mnie lekko, odwracając ku sobie. Spojrzałam mu w oczy. Światło było szare i perlowe, powietrze chłodne i rześkie, twarz Glena emanowała ciepłem i była mocno zaróżowiona. Znow się do mnie uśmiechnął, ale tym razem uśmiech nie dotarł do jego oczu. Znow były puste i mroczne, a w moim wnętrzu pojawiła się rozdygotana gęź strachu.

Otulił mnie kocem i posadził z powrotem na tylnym siedzeniu wśród pościeli, które ułożył nam parę godzin wcześniej i gdzie smacznie spała Reese. Oparłam się plecami o tylną kanapę i obserwowałam głowę Glena w

szarym świetle, jego krótkie włosy były zjeżone i sztywne. Zapalił kolejnego papierosa i znów zaczął nucić pod nosem. W pewnej chwili odwrócił się, a ja zamknęłam oczy i za bardzo się bałam, by znowu je otworzyć. Jego melodyjka złała się w jedno z piosenką z radia, a zapach pall maili zaczął mnie uspokajać. Nie wiedziałam, że zasypiam, dopóki nie obudziłam się w świetle dnia późnym rankiem.

Glena nie było, w aucie panowała cisza i chłód. Czułam ból między nogami, ale za dnia już się nie bałam. Usiadłam prosto i spojrzałam na szare chmury i wilgotne od rosy gałęzie świerków. Asfalt wydawał się ciemny i martwy. Przez główne drzwi prowadzące na ostry dyżur wyszło kilka pielęgniarek, rozmawiając o czymś półgłosem. Oddychałam przez usta i patrzyłam na ludzi wjeżdżających na parking, zastanawiając się, czy całe to poranne zdarzenie tylko mi się przyśniło. Mocno zaciskałam uda, czując silny ból od otarć i próbowałam pojąć, jak to możliwe, że mam na udach siniaki, skoro to wszystko było snem.

Kiedy z ostrego dyżuru wyszedł Glen, drzwi zamknęły się za nim z głuchym trzaskiem, który w ten chłodny poranek wydał mi się wyjątkowo donośny. Twarz Glena była zacięta, nogi sztywne, raz po raz wyginał dłonie, które trzymał zaciśnięte przed sobą. Przyciągnęłam do siebie Reese, nie zważając na jej cichy płacz. Glen wszedł do auta i trzasnął drzwiczkami tak mocno, że Reese obudziła się gwałtownie. Odwróciła lekko głowę, zerkając to na mnie, to na kark Glena i z powrotem. Siedziałyśmy w bezruchu, czekając.

- Wasza mama się wyliże - powiedział. - Ale nie będzie już miała więcej dzieci - dodał po chwili. Oparł ręce na kierownicy, wychylił się do przodu i dotknął ustami palców. - Moje dziecko nie żyje. Mój chłopiec. Mój synek.

Przytuliłam mocno Reese, podczas gdy na przednim siedzeniu Glen tylko szlochał w przypiływie niepohamowanej rozpacz.

Kiedy mama wróciła ze szpitala, jej siostry odwiedzały nas codziennie. Zaledwie przed kilkoma tygodniami ciocia Ruth była w szpitalu, bo cierpiała na - jak to określiła babcia - przypadłości kobiece i wciąż nie czuła się dość dobrze, by móc dłużej niż przez godzinę, dwie siedzieć przy mamie, niemniej odwiedzała ją co rano. Ciocia Alma praktycznie się do nas wprowadziła i ona wszystkim zarządzała, nie pozwalając mamie wstawać z łóżka, zajęła się gotowaniem i przyrządzaniem gulaszu oraz zupy fasolowej.

- Musisz się wzmocnić, kochanie, brakuje ci żelaza - mówiła.

Ciocia Raylene zjawiała się, ubrana w niskie botki i kombinezon roboczy, i wysprzątała cały dom od piwnicy aż po dach, co więcej, zmusiła mnie i Reese, abyśmy pomogły jej wynieść meble na podwórko, aby ogrzały się w słońcu.

Kiedy miała zmienić pościel na łóżku mamy, podnosiła mamę bez trudu i wynosiła na zewnątrz, aby posiedziała trochę na kanapie na świeżym powietrzu.

Wszyscy omijali Glena, jakby był jeszcze jednym fotelem albo stolikiem i od czasu od czasu tylko ktoś pospiesznie go uściskał czy poklepał po ramieniu. Glen nie reagował, kiedy Raylene zabrała się do sprzątanía. Wyszedł bez słowa na ganek. Gdy zjawili się Nevil i Earle, stanął z nimi na powietrzu i pił, aż jego ramiona zaczęły unosić się i opadać w przypiływie gwałtownego, tłumionego szlochu, a obaj mężczyźni odwrócili wzrok, aby nie wprawić go w zażenowanie.

Obserwowałam go z uwagą, pozostając na podwórku tak długo, jak tylko mogłam, ukryta w krzakach, gdzie, jak sądziłam, nikt nie mógł mnie zauważyć. Oparłam podbródek na kolanach i opłotłam je rękami z całej siły. Mama była taka blada. Kiedy przywieziono ją do domu, oczy miała wielkie i w ogóle nie mrugała powiekami. Prawie na mnie nie spojrziała, gdy próbowałam jej usiąść na kolanach, przygryzała tylko wargi i pozwoliła, aby ciocia Alma mnie od niej zabrała. Płakałam, aż ciocia Raylene zabrała mnie do swojego pikapu i ukołysała do snu, zakrywając mi oczy wilgotną ścierką.

- Twoja mama potrzebuje trochę czasu - powiedziała. - A potem będzie cię potrzebować bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Gdy kobieta traci dziecko, musi czuć, że jej pozostałe pociechy są zdrowe i szczęśliwe. Bądź szczęśliwa dla niej, Kostko. Daj jej to odczuć, aby mogła zaleczyć tę ranę w sercu.

Reese powiedziała mi, że nazwali go Glen junior. Słyszała, jak rozmawiały o tym ciocia Ruth i Alma. Pochowali dziecko na cmentarzu, na parceli Boatwrightów należącej do prababci Shirley, gdzie spoczywali czterej chłopcy babci, córeczki Ruth, które urodziły się martwe, i pierwszy synek Almy. Glen chciał, aby jego synek miał własny grób, ale nie było go na to stać, i to zrodziło w nim smutek, który stopniowo przerodził się we wściekłość. Jego twarz napuchła od płaczu i poszarzała z braku snu. Znalazł dom, niedaleko zakładu JC Penney, przy torach kolejowych i po powrocie do domu oficjalnie ogłosił, że się przeprowadzamy. Ciocia Alma była wzburzona, że zabiera nas tak daleko, ale mama tylko pokiwała głową i poprosiła Raylene, aby pomogła jej pakować rzeczy.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniła mnie i Reese. Glen objął mamę i łypnął spode łba na ciocię Alnę.

- Nie potrzebujemy nikogo - wyszeptał. - Poradzimy sobie sami.

Rozdział piąty

W wynajętym domu, z dala od reszty rodziny, tatko Glen obiecał mamie, że gdy zarobi dość pieniędzy, adoptuje mnie i Reese. Byliśmy rodziną, a on naszym nowym tatą, co stale powtarzał. Mama trzymała go za rękę i kiwała bezgłośnie głową. „To moje dziewczynki - mówił do niej. - Dopilnuję, by wyrosły na wyjątkowe osoby. Zrobię, co będzie konieczne”. Uśmiechnęła się i wpiła się żarłocznie wargami w jego lekko rozchylone usta.

Reese położyła pulchne rączki na jego ramieniu i powiedziała: „Tatusiu” - a wtedy oboje ją unieśli.

Próbowałam powiedzieć „Tatusiu”, ale to słowo nie chciało przejść mi przez gardło. Przypomniałam sobie tamte chwile na parkingu pod szpitalem, pamiętałam je jak zły sen, mgliście i z lukami. Kiedy tatko Glen spojrział na mnie, zorientowałam się, że w ogóle o tym nie myślał. Może to się wcale nie zdarzyło. Może on naprawdę nas kochał. Chciałam, aby nas pokochał. I sama chciałam pokochać jego. Chciałam, aby podniósł mnie delikatnie i raz jeszcze oznajmił mamie, jak bardzo kocha nas wszystkie. Chciałam znaleźć się wraz z Reese w bezpiecznym uścisku ich ramion.

Stałam w bezruchu, a moje oczy wypełniły się łzami. Mama odsunęła się od tatki Glena i przytuliła mnie. Ponad jej ramieniem spostrzegłam wpatrzone w nas zimne jak lód oczy tatki Glena i jego usta ściągnięte w wąską kreskę. Otrząsnął się i odwrócił wzrok. Trzymałam się mamy ze wszystkich sił, wpijając się w jej ciało palcami zimnymi i twardymi jak z żelaza.

Tatko Glen nie lubił słuchać historyjek, które po wielekroć opowiadały babcia i ciocia Alma.

- Powiem wam, kim jesteście - rzekł. - Teraz należycie do mnie, już nie jesteście Boatwrightównymi. - Opowiedział nam o swoim tacie, panu Bodinie Waddellu, właścicielu mleczarni Sunshine, i braciach. Jego starszy brat Daryl nie został prokuratorem okręgowym, ale kancelaria prawnicza, gdzie pracował, cieszyła się reputacją firmy, z którą należało współdziałać, jeśli miałeś chrapkę na kontrakt dla miasta. Jego drugi, również starszy brat James zamierzał otworzyć klinikę stomatologiczną i w przyszłym roku my także miałyśmy zadbać w niej o zęby.

- Babcia mówi, że mamy zdrowe zęby - powiedziałam do tatki Glena.

- Twierdzi, że jedyne, co Bóg dał Boatwrightom, to mocne, ostre zęby.

- A ty wierzysz we wszystko, co ona mówi, tak?

Zmrużył powieki, tak że jego oczy niemal całkiem znikły wśród zmarszczek i fałdów skóry i lśniły niczym drobiny miki w promieniach słońca, podczas gdy

jego usta wykrzywiły się w drwiącym uśmiechu. Wyglądał, jakby miał się zaśmiać, ale zamiast tego tylko wyduł wargi i splunął.

- Twoja babcia to załgana suka. To stare babsko w życiu nie odróżniłoby prawdy od kłamstwa. - Wsunął mi dłoń pod brodę, jego wielkie, kanciaste palce dotknęły lekko mojej skóry i zaraz się cofnęły. - Trzymaj się z dala od tej starej baby. Ja powiem ci, co jest prawdą, a co nie. Teraz należysz do mnie. Ty i Reese trzymajcie się od mej z daleka.

Nie ufałam tacie Glenowi, nie uwierzyłam mu, kiedy powiedział, że wszystkie opowieści babci były kłamstwem, ale sama nigdy nie potrafiłam odróżnić tych prawdziwych od tych, które chciała uważać za prawdziwe. Jej opowieści często były wciągające, choć w trzech czwartych fałszywe. Wszyscy Boatwrightowie opowiadali historie, z tego byliśmy znani, a to, co według jednego z kuzynów było niekwestionowaną prawdą, według innego okazywało się kompletnym zmyśleniem. Raylene zawsze mówiła ludziom, że wszyscy mieliśmy na sobie trochę smoły, ale uśmiech, jaki towarzyszył jej słowom, mógł świadczyć, że kłamała, aby kogoś zdenerwować, a może mówiła tak, bo była wściekła i po prostu chciała to z siebie wyrzucić.

- Co to znaczy? - spytałam Butcha, najmłodszego syna Ruth.

- To znaczy, że w naszej rodzinie zdarzył się kiedyś jakiś kolorowy.

- Uśmiechnął się do mnie. - I to znaczy, że Raylene łże jak z nut. Jest gotowa powiedzieć wszystko i każdy o tym wie.

Zastanowiłam się nad tym przez chwilę, ale i tak w końcu zapytałam:

- Naprawdę? - Patrzyłam, jak uśmiech na jego ustach zamienia się w drwiący grymas.

Butch był tylko o rok starszy ode mnie i wiedziałam, że mogę zapytać go o wszystko, nie tak jak Garveya, Greya czy innych synów cioci Ruth.

Zawsze pozowali na dojrzałych i starszych, niż byli w rzeczywistości, i nigdy nie wiedziałam, co może sprawić, że zaczną się dziwacznie zachowywać. Butch był inny - trochę miękki, niektórzy mówili, że brak mu piątej klepki.

- Ten chłopak nie zachowuje się jak Boatwright - oznajmił krótko i zwięźle wujek Earle. - Brak mu zawziętości i werwy. Poza tym ma dziwaczne poczucie humoru. Nie wiadomo, kiedy mówi poważnie, a kiedy żartuje.

Ja jednak ze wszystkich moich kuzynów najbardziej lubiłam właśnie Butcha. Mogłam z nim porozmawiać, zapytać go o wszystko i zazwyczaj, mrużąc oczy, wydymając wargi i przeciągając zgłoski, udzielał mi wiarygodnej odpowiedzi, rzecz jasna jeśli nie był w nastroju do żartów. Czasami jego odpowiedzi brzmiały dziwnie, mówił jakby z przekąsem, i dopiero później orientowałam się, że w jego słowach kryły się żart i zjadliwa ironia.

Tak więc, kiedy Butch rzekł: „W naszej rodzinie zdarzył się kiedyś jakiś kolorowy”, nie byłam pewna, czy żartował, czy nie. Odgarnął kosmyki blond włosów za uszy, przymrużył powieki i uśmiechnął się do mnie.

- Boatwrightowie mają w sobie wszystko - wszelkie kolory, wszelkie rasy, wszelkie odmiany i przekonania. Ale najistotniejsze jest to - przygryzł zębami dolną wargę, po czym rozejrzał się dokoła, aby upewnić się, że byliśmy sami - że Boatwrightówny mają zabójcze cipki. Wykańczają albo same przeinaczają wszystko, co wchodzi pomiędzy ich uda i stamtąd wychodzi. Oprócz niczym nieskażonych niemowląt Boatwrightów i twardych jak skała mężczyzn tego rodu. Zostaje unicestwione wszystko, co wydaje się choćby tylko trochę odmienne i niezwykle, dzieci w tej rodzinie są identyczne, jakbyśmy rodzili się z tlenionymi włosami. Z wyjątkiem ciebie, rzecz jasna, ty masz czarne włosy i jesteś naprawdę dziwna. - Jego oblicze było pozbawione wyrazu, pełne napięcia, surowe. - Ale to dlatego, że masz w sobie sporo męskich cech. Jesteś twarda jak skała, wredna i trudno cię skrzywdzić. Ale co tam. Boatwrightówny czasem takie są. - Spojrzałam na niego z otwartymi ustami i nieskrywaną fascynacją, pewna, że wciskał mi kit, ale i tak dałam mu się nabrać. Spomiędzy jego ust wysunął się koniuszek języka, wargi rozchyliły się w uśmiechu, w oczach zabłyśły figlarne iskierki.

Wiedziałam, że ludzie mieli świra na punkcie koloru skóry i prawdą było, że paru moich kuzynów miało nietypowe włosy, które stanowiły powód skierowanych pod ich adresem przytyków, choć nigdy nie były to żarty nazbyt uszczypliwe. Z wyjątkiem babci, nikt nigdy nie chciał rozmawiać o indiańskich korzeniach naszego rodu. Michael Yarboro zapewnił mnie, że Czirokezi to w sumie też czarnuchy i że Indianom było obojętne, kogo poślubiają, inaczej niż białym.

- Och, wręcz przeciwnie, to wcale nie jest im obojętne - zaproponowała ciocia Alma. - Yarboro od dwustu lat topili dziewczynki i noworodki przychodzące na świat w ich rodzinie.

Butch nie musiał mi o tym mówić. O chłopcach Yarboro mówiono jeszcze gorzej niż o moich wujkach i wszyscy wiedzieli, że byli kompletnie szurnięci. Kiedy zaczęłam uczęszczać do szkoły, jedna z kuzynek Yarboro, chuda dziewczynka o szurzej twarzy, z dzielnicy metodystów, nazwała mnie czarnuchem, gdy zepchnęłam ją z krzesła, które wcześniej zajęłam, a ona mnie podsiadła. Twierdziła, że jestem czarna i dzika, jak wszystkie bachory spłodzone „po złej stronie ganku”, co miało oznaczać, że byłam bękartem, więc walnęłam ją w oko. Miałam przez to trochę kłopotów, ale przynajmniej ta wredna kuzynka nie odważyła więcej się do mnie zbliżyć. Nie przejmowałam

się za bardzo tym, co ludzie myśleli o mojej porywczosci. Skłonność do przemocy i spory temperament nie zawsze są złe. Wręcz przeciwnie, mogą przynieść wiele dobrego.

Reputacja tatki Glena, jako skorego do bójek awanturnika, sprawiła, że ludzie, rozmawiając z nim, bardziej niż zwykle liczyli się ze słowami.

Rodzice taty Reese mieszkali w górach nad Greenville. Jej babcia miała farmę przy Ashley Highway, ale rzadko ją odwiedzaliśmy. Pani Parsons chyba nie przepadała za mamą, choć zawsze miała jakiś miły prezent dla Reese i witała mnie uprzejmym skinieniem głowy. Byłam zazdrosna, że Reese ma taką miłą babcie, gdyż pani Parsons miała coś, czego mojej babci zawsze brakowało. Wyglądała jak babcia, o której się czyta albo którą ogląda się na filmie. Uwielbiałam jej grube, siwe warkocze, upięte z tyłu, na karku, i woń starej krowy, która mieszkała w oborze za domem, a także słodkie, czerwone pomidory i groszek zielony, rosnące nad potokiem.

Pani Parsons nosiła niebieskie bawełniane fartuchy i wyblakłe, czarne sukienki z długimi rękawami. Moja babcia ubierała się w sukienki podkasane u dołu i bez rękawów, tak że widać było jej obwisłe, białe piersi. Rzadkie siwe włosy miała ułożone na trwałe w fale, a gdy w upale fryzura jej się psuła, zawiązywała je z tyłu kawałkiem sznurka. Używała ciemnoczerwonej szminki, którą nieodmiennie rozmazywała aż do podbródka, i stale strzykała tytoniem i klęła. Pani Parsons ze smutkiem mówiła o swoich straconych chłopcach i przebywającej daleko córce, łuskając groch do cynkowego wiadra. Moja babcia, gdy się wściekała, ciskała czym popadło w siatkowe drzwi. Zawsze wyprowadzała się od cioci Ruth albo Almy do jednej ze swoich sióstr i groziła, że podpali dom, który przyszło jej opuścić. Kochałam babcie, ale wyobrażałam sobie, że pani Parsons była lepszą kandydatką na babcie i czasami podczas kolejnej wizyty udawałam, że faktycznie nią była.

Za każdym razem, gdy odwiedzaliśmy panią Parsons, tatko Glen narzekał, że mama nie powinna w ogóle jeździć do tej pełnej nienawiści starej kobiety.

- Nie lubię, gdy ta stara prukwa zaczyna opowiadać historyjki na twój temat - mówił, wyobrażając sobie, że babcia Parsons złorzeczyła jemu i mamie, kiedy tylko nie mogli tego usłyszeć. Nie pokwapiłam się, by powiedzieć mu, że przecież nigdy nie wspomniała o nich, ani słowem, że mówiła wyłącznie o codziennych sprawach, o ogródku, pogodzie czy o zdrowiu krowy. Jedyńm dorosłym, którego kiedykolwiek wspominała, był ojciec Reese, a mówiła o tym dlatego, że Reese odziedziczyła po nim uśmiech - łagodny, melancholijny uśmiech, który czynił z Lyle'a najmilszego, najukochańszego chłopaka w całym hrabstwie. To mama powiedziała nam, że Lyle był najmłodszym z trójki braci,

a dwaj pozostali zmarli niecały rok po nagłej śmierci ulubieńca babci Parsons. Zalecała nam, abyśmy były miłe dla pani Parsons, której pozostała już tylko jedna córka - nawiasem mówiąc, mama nigdy jej nie widziała - i dwaj bracia, co tylko czekali, żeby po jej śmierci sprzedać należącą do niej ziemię.

- Reese powinna dostać część tej ziemi - rzekł do mamy tatko Glen pewnego wiosennego popołudnia, kiedy wrócili z wizyty na wzgórzach. - Nie, żeby kiedykolwiek potrzebowała czegoś od tych ludzi gór. - Potarł dłonią kark i wyjrzał przez kuchenne okno, jakby spoglądał w przyszłość. - Bądź co bądź powinna otrzymać to, co ojciec chciał jej podarować. Pozwól, abym ja się tym zajął. Dopilnuję, aby nasza dziewczynka dostała, co się jej należy.

Kiedy brat babci Parsons, Matthew, zjawił się z jakimiś papierami, które miał dać mamie do podpisu, tatko Glen wziął od niego papiery już przy drzwiach.

- Przejrzemy je - powiedział donośnym tonem, po czym odprowadził go do granicy posesji, mówiąc coś tak cicho, żebyśmy nie mogli go usłyszeć.

Mama przygryzła dolną wargę i patrzyła, jak wyprężony niczym struna Matthew łypnął spode łba na Glena, po czym wsiadł do furgonetki. Wyszła na zewnątrz, gdy wóz ruszył z miejsca.

- Kochanie, chyba nie byłeś wobec niego nieuprzejmy, prawda? Tatko Glen odwrócił się do niej ze słodkim, niewinnym uśmiechem.

Objął ją i pocałował w skroń.

- Nie obawiaj się - rzekł i poklepał ją delikatnie po pośladkach. - Wiem, co robisz. Gdy masz do czynienia z tymi ludźmi, trzeba mówić bez ogródek. Dopiero wtedy cię zrozumieją. - Wydawał się tak zadowolony z siebie, że nie przestawał się uśmiechać. - Uwierz mi, znam ten typ.

Mama zmarszczyła brwi, a tatko lekko nią potrząsnął.

- Ani mi się waży podpisywać te papiery pod moją nieobecność. Uwierz mi, nigdy nie wiadomo, co mogliby cię ukraść. Ja się wszystkim zajmę.

Mama nerwowo pokiwała głową i zawołała nas do domu na kolację.

Tej nocy zadzwoniła babcia Parsons, ale tatko Glen odebrał telefon i zaczął rozmawiać z nią cichym głosem, jak wujek Nevil, przesłaniając słuchawkę dłonią.

- Uhm-hm - powiedział. - Dobrze.

Mama przyglądała się temu przez chwilę, po czym wyszła na ganek, żeby zapalić. Pospieszyłam za nią i przytuliłam się do niej. Pogładziła mnie po głowie, przyglądała włosy. Jej twarz oświetlał blask ulicznej latarni, usta miała wykrzywione w podkówkę i smutne oczy. Wiedziałam, że czymś się martwi.

- Wszystko będzie dobrze - wyszeptalam do niej, a ona się uśmiechnęła.

- Tak, zapewne - odparła. - A jeżeli nie będzie, to trudno. Czasami, Kostko, robimy rzeczy, których wcale nie chcemy, a ja nie chcę skrzywdzić tej staruszki. Naprawdę tego nie chcę. Ale to Glen musi się tym zająć, rozumiesz? Musi to zrobić, a ja nie mam wyboru, muszę mu na to pozwolić. - Przydeptała niedopałek, ale nie wróciła do domu, dopóki tatko Glen nie skończył rozmawiać przez telefon.

- Nareszcie zrozumieli. - Postukał Reese w nos palcem wskazującym, aż zachichotała. - Teraz już wiedzą, jak się sprawy mają.

Dwa tygodnie później, w niedzielę późnym popołudniem odwiedziła nas babcia Parsons. Tatko Glen był w nowym gabinecie swego brata Jamesa, pomagając malarzom zawieszać półki na ścianach.

- Dwieście pięćdziesiąt dolarów - rzekła pospiesznie do mamy, kiedy wyszła z furgonetki Matthew. Przywiózł ją tam, ale nie wysiadł z auta. - Tyle ci się należy za sześć miesięcy służby Lyle'a w wojsku, zanim zorientowali się, że ma płaskostopie. Jak już mówiłam twojemu mężowi, przysłali mi te pieniądze, ale nie mogłam ci ich przekazać, dopóki nie wypełniłaś tych papierów. W ogóle bym ich nie dostała, ale Lyle podał moje nazwisko jako swoją jedyną rodzinę i jakoś nie miał okazji, aby to zmienić. Powiedziałam im, że te pieniądze powinny od razu trafić do ciebie i Reese. Zrobiłam to, ale całkiem mnie zlekceważyli.

Uniosła wzrok, spojrzała na mamę, a potem na Reese, która podbiegła, by schwycić się jej spódnicy. Twarz miała pełną napięcia i drżały jej palce, kiedy przeczesywała nimi kędziorki Reese.

- I co, babciu, dostaniesz dużo pieniędzy? - zapytała Reese.

- Nie, dziecino. I nie dbam o to.

- Zapraszam do środka, pani Parsons. - Mama wyglądała na zażenowaną, palcami skubała szlufki przy talii sukienki. - Napije się pani mrożonej herbaty i posiedzi trochę z wnuczką.

Pani Parsons sprawiała wrażenie, jakby lada chwila miała się rozplakać.

- Sądziłam, że nie pozwolicie mi już jej widywać.

- Boże! - Mama energicznie uściskała panią Parsons. - Nie zrobiłabym tego. I nie pozwoliłabym, aby ktokolwiek pani tego zabronił. Może pani widywać się z Reese, kiedy tylko pani zechce. Przecież mała bardzo panią kocha.

Obie kobiety lekko się zakołysały. Pani Parsons sztywno, jakby wciąż niepewna, że jest tu mile widziana, a mama, jakby nie dawała rady dłużej powstrzymać słów cisnących się na usta. Brat babci Parsons odwrócił głowę i palił, wydychając dym przez opuszczoną szybę pikapu. Trzymałam się

blisko mamy i patrzyłam, jak drgają mu mięśnie szyi, na widok dwóch obejmujących się i szlochających kobiet.

- No cóż. - Pani Parsons oblizwała wargi. - Może faktycznie wejdę na chwilę, napiję się trochę wody, zanim ruszymy z powrotem.

- Moglibyście zostać na kolację. - Twarz mamy pokraśniała, rumieniec z każdą chwilą robił się ciemniejszy.

- Niestety musimy odmówić. - Pani Parsons zerknęła na brata, ale on nie odwrócił się, by na nią spojrzeć. - Niedługo wracamy. Mogę wpaść tylko na parę minut.

Babcia Parsons trochę się rozluźniła dopiero wtedy, kiedy usiadła na kanapie, z Reese na kolanach i przekazała mamie kopertę z pieniędzmi „z ubezpieczenia”. Wyjęła grzebień, aby rozczesać długie, jasne kędziory Reese i zająć czymś ręce.

- Kiedy się urodziłaś, miałaś włosy czerwone jak ogień - rzekła do Reese. - A teraz są białe jak twojego taty.

Reese lubiła, kiedy mówiono jej, że jest podobna do taty, i trzymała jego zdjęcie ukryte w szufladce z bielizną, gdzie tatko Glen nie mógł go znaleźć i poczuć się przez to urażony. Od czasu do czasu sama po nie sięgałam, by zobaczyć to uśmiechnięte, chłopięce oblicze, tak niepodobne do mojego, i poczuć, jak ogarnia mnie paląca, niepohamowana zazdrość. Lyle miał kobiecą urodę, a ze swymi blond włosami wyglądał jak model. Reese miała włosy jak Lyle i urzekający, promienny uśmiech, z kolei po Boatwrightach odziedziczyła szczupłą twarz i długą, chudą szyję. Mimo to zazdrościłam jej, gdy oglądała to zdjęcie, a potem fotografię mamy i babci Parsons, i zastanawiałam się, jak bardzo zmieni się ta mała, gdy dorośnie. Miała inną rodzinę, inną część siebie, o której nie mogła zapomnieć, coś więcej niż mama, ja i Boatwrightowie. Reese mogła wybrać dla siebie coś innego i stać się kimś zupełnie innym.

- Och, Reese najprawdopodobniej ściemniają włosy - powiedziała z wahaniem mama, jakby nie miała ochoty na kłótnie, ale nie chciała, aby powstały w związku z tym jakieś nieporozumienia. - Może nawet znowu zrudzieją.

- Może tak, może nie. W naszej rodzinie niektórzy na zawsze zachowują jasny kolor włosów.

Pani Parsons próbowała uśmiechać się do mamy, ale jej oblicze złagodniało dopiero, gdy spojrzała na Reese. Przysiadłam na oparciu kanapy obok mamy, skąd mogłam wyglądać przez okno na czekającego pikapa i pustą drogę, widoczną aż do skrzyżowania. Nasłuchiwałam odgłosów silnika pontiaca w

nadziei, że jednak go nie usłyszę. Tatko Glen mógł wrócić do domu i zastać panią Parsons; wiedziałam, że mama bardzo się tym martwi, palcami raz po raz skubała nerwowo szlufki przy sukience.

Pani Parsons spojrzała na ręce mamy, po czym powiedziała niepewnie:

- Obawiam się, że więcej pieniędzy nie będzie. Moja ziemia nie jest wiele warta, a prawdę mówiąc, zapisałam ją już Matthew po tym, jak moi chłopcy umarli. Matthew obiecał, że się mną zajmie, a ja mu ufam. Prawda jest taka, że Lyle nie miał prawa własności do ziemi ani żadnego innego ubezpieczenia, o którym wiemy.

Mama pokręciła głową i spojrzała pani Parsons prosto w oczy.

- Wiem, że on nic nie miał - rzekła. - Wiedziałam o tym, kiedy umarł, i nigdy się tym nie przejmowałam. Właściwie nie oczekiwałam, że po jego śmierci cokolwiek zyskam. Nie sądziłam, że od armii coś mu się jeszcze należy. - Wyglądała na zasmuconą, ale nie tak zimną jak zazwyczaj, podobnie jak pani Parsons.

- Chciałabym, żebyś dostała dużo, bardzo dużo pieniążków z ubezpieczenia. - Reese zaczęła wiercić się w ramionach babci Parsons i uśmiechnęła się do wszystkich.

- Och, ale ja nie potrzebuję pieniędzy, dzieciно. - Babcia Parsons zaśmiała się i wstała z kanapy. - Obawiam się, że musimy już iść, Anney. Czeka nas długa droga do domu.

Przyjrzałam się bacznie mamie, aby sprawdzić, czy usłyszała, że staruszka odezwała się do niej po imieniu, ale mama już wstała i sięgnęła po szklanekę pani Parsons.

- Napije się pani jeszcze? - zapytała mama, idąc do kuchni.

Pani Parsons pokręciła głową i podziękowała uprzejmie, bawiąc się z Reese. Zauważyłam, że ramiona mamy trochę się rozluźniły, kiedy stała odwrócona do nas plecami. Na ulicy panował spokój.

Babcia Parsons nachyliła się, aby raz jeszcze uściskać Reese.

- Pamiętaj, kochanie, dzięki temu, że mam ciebie, mam to, co najlepsze po Lyle'u.

To zabrzmiało dość dziwnie, jakby próbowała zastąpić swego zmarłego chłopca moją młodszą siostrzyczką. Reese jednak tylko uśmiechnęła się jak księżniczka, wpijając palce stóp w krawędź dywanu. Wyszła za babcią Parsons i odprowadziła ją aż do furgonetki.

- Bądź grzeczna, Reese - upomniała ją matka. - Z babcią zobaczysz się za miesiąc, kiedy do niej pojedziemy.

- Przyjedziecie? - Pani Parsons znów wydawała się zasmucona i zdenerwowana.

- Przyjedziemy - zapewniła z emfazą mama, ale zauważyłam, że mówiąc to, zerknęła nerwowo w głąb ulicy. Pani Parsons skinęła lekko głową i wsiadła do pikapu. Jej brat nie odezwał się ani słowem, tylko uruchomił silnik i wrzucił bieg. Reese machała energicznie, zanim jeszcze Matthew ruszył z miejsca.

Zanim furgonetka odjechała, zauważyłam, że pani Parsons ociera dłońmi oczy, a chwilę potem zza rogu ulicy wyłonił się znajomy pontiac. Mama zacisnęła dłonie i przyłożyła do brzucha. Przytuliłam się do niej i patrzyłam, jak pontiac wolno mija pikapa. Kiedy podjechał do nas, tatko Glen wychylił się przez opuszczoną szybę. Spojrzał w głąb ulicy, po czym zerknął na mamę.

- Niczego nie podpisywałaś? - rzucił gniewnie.

- Nie, Glen. - Poczułam, że mówiąc to, mama poruszyła się nerwowo. Uniosłam wzrok i ujrzałam, że na jej twarzy pojawił się uparty uśmieszek. - Wiesz, że nie podpisałam nic, czego wcześniej nie przeczytałam.

Tatko Glen uśmiechnął się, jakby ta odpowiedź go usatysfakcjonowała. Odetchnęłam powoli. Reese wciąż jeszcze machała, mimo iż pikap dawno już znikł w oddali. Zatknęłam kciuki za szlufki dżinsów i stanęłam obok niej, podczas gdy mama i tatko Glen weszli do domu.

- Glen jest cichy, ale spróbuj go tylko wkurzyć, a tak ci da popalić, że popamiętasz - powiedział swobodnym tonem wujek Earle. - Chłopak używa tych łap jak kilofów. - Gdyby nie to, że byliśmy blisko, Earle i Beau rozmawialiby o innych częściach ciała tatki Glena. - Kiedy się wścieka, kompletnie mu odbija. - Zaśmiali się. - Jeśli nie zdoła pochwycić cię tymi wielki łapskami, nadzieje cię na swego wacka i też załatwi cię na amen, raz dwa.

Byłam za młoda, by zrozumieć, o co im chodziło, czemu tak podle się śmiali i żartowali, że żadna kobieta nigdy nie porzuciłaby tatki Glena, albo rycząc ze śmiechu i spluwając, porównywali rozmiary jego nosa z wielkością palców u stóp czy u rąk.

- Gość ma sprzęt jak buhaj - chwalił się innym chłopakom Butch i to akurat zrozumiałam. Ale to nie przyrodzenie tatki Glena wprowadziło mnie w zdenerwowanie. To jego ręce, nerwowe ruchy, gdy rozwierał i zaciskał dłonie, i patrzył przy tym na mnie. Stale mnie obserwował, przywoływał, gdy tylko zaczynał rozmawiać z mamą, kazał przynieść szklanekę mrożonej herbaty albo nową paczkę papierosów z chłodziarki, gdzie trzymał kartony fajek, aby nie były zleżałe z gorąca. Mama mówiła, że powinnam bardziej okazywać mu

swoją miłość, ale niezależnie od tego, jak bardzo się starałam, nigdy nie byłam dla niego dość szybka.

- Ten dzieciak nigdy mnie nie pokocha - poskarżył się któregoś popołudnia mamie ze łzami w oczach.

- Nie mów tak, Glen. - Głos mamy był słaby i drżący, jakby obawiała się, że mógł mieć rację. - Kostka cię kocha, kotku.

Pocałowała go w policzek, ujęła jego twarz w dłonie i pocałowała go w usta.

- Ona cię kocha. Wszyscy cię kochamy.

Tatko Glen przyciągnął ją do siebie i westchnął łagodnie, całując jej powieki i ocierając się miękko o jej policzek.

Wybiegłam na zewnątrz, kolacja będzie później albo wszyscy wybierzemy się na hamburgery. Kiedy tylko zaczęli całować się na kanapie, zaraz potem szli do sypialni i zamykali się w niej co najmniej na godzinę. Kiedy stamtąd wychodzili, tatko Glen był rozluźniony i uśmiechnięty. Mama miała zaspiane oczy, zaróżowione delikatnie policzki i wydawała się krucha jak ze szkła.

- Co jak co, ale na pewno lubią to robić - rzekła Reese z niesmakiem do Almy.

Ta tylko się zaśmiała.

- Wszyscy to robią, maleńka, wszyscy to robią. - Delikatnie poklepała Reese po siedzeniu i przytuliła mnie. - Wiedz jedno. Miłość to zapewne najlepsza rzecz, która nic nie kosztuje i nie przyprawia nas o ból żołądka. Przekonasz się. Zaczekaj, aż trochę podrośniesz. Zobaczysz.

Reese skrzywiła się i zaczęła wiercić się nerwowo.

- Bzdury! - zawołała, odbiegając w dał. - To same bzdury. Nie chcę mieć z nimi nic wspólnego.

Ciocia Alma zaśmiała się bez troski. Odstąpiłam od niej i pobiegłam za Reese. To była bzdura. Mama i tatko Glen obściskiwali się i tulili do siebie, ale była też w tym wszystkim jakaś siła. Seks. Czy to właśnie tatko Glen robił ze mną na parkingu? Czy to właśnie zaczęłam robić, gdy byłam sama w niektóre popołudnia? Wyobrażałam sobie, że jestem związana i uwięziona w stogu siana, podczas gdy ktoś podpala to zeschnięte, stare siano. Wyobrażałam to sobie bardzo dokładnie, dotykając się dłonią między nogami. Wizja wymykała mi się spod kontroli, podczas gdy ogień strzelał coraz wyżej i był coraz bliżej. Nie jestem pewna, czy dochodziłam, kiedy ogień mnie dosięgał, czy kiedy wyobrażałam sobie, że mu umykam. Ale dochodziłam. Dzięki dłoni doznawałam orgazmu, któremu towarzyszyła wizja strzelających w niebo płomieni.

Tatko Glen nie radził sobie najlepiej w fabryce RC Coli. Stale go przenoszono albo musiał płacić za stłuczone butelki i niezależnie od tego, jak ciężko on i mama pracowali, zawsze było za mało pieniędzy, aby opłacić wszystkie rachunki. Wciąż powtarzał mamie, że prędzej czy później brat zapłaci mu za wykonaną pracę, ale gdy klinika stomatologiczna dyplomowanego dentysty Jamesa Waddella została otwarta i ruszyła pełną parą, James nie wspominał o tym ani słowem.

- Może powinieneś spytać Jamesa o te pieniądze, które miał ci dać - rzekła w końcu mama do tatki Glena, kiedy ten po powrocie do domu oznajmił, że wylano go z pracy.

- Nie mogę tego zrobić. - Oblicze Glena stężało, gdy przesunął dłońmi od włosów po szyję, ścierając pot z policzków pokrytych ciemnym zarostem, po czym oparł podbródek na koniuszkach palców, jak do modlitwy. - Na Boga, nie. Nie mogę tego zrobić. Wolałbym raczej zdechnąć z głodu. - Jego oczy wyglądały na stare i sztuczne, podbródek wydawał się wydatniejszy niż zwykle.

Patrzył wszędzie, tylko nie na siedzącą opodal mamę. Instynktownie odstawiłam szklaneczkę, którą myłam, i wyszłam z kuchni do holu, gdzie nie mógł na mnie patrzeć bez odwracania głowy.

- Glen, kochanie. - Mama pochyliła się do przodu. - Wiem, że to trudne, ale James jest twoim bratem, a my ledwie wiążemy koniec z końcem. Jeżeli nie odbierzesz od niego tych pieniędzy, nie będzie stać nas na czynsz.

- Anney, ty nie rozumiesz. - Tatko Glen ukrył twarz w dłoniach. - James nigdy nie wspominał, że mi zapłaci. Do kroćset, nawet nie prosił mnie o pomoc. Po prostu przyszedłem tam i wziąłem się do roboty. Nigdy nie rozmawiałem z nim o pieniądzach. Nie mogłbym. Zresztą wątpię, aby moja pomoc była mu w ogóle potrzebna.

Glen rąbnął się pięściami w uda raz, drugi, trzeci, po czym uniósł ręce i rozcapierzył palce.

- Przykro mi, Anney. Naprawdę bardzo cię przepraszam. - W jego oczach zakręciły się łzy i spłynęły mu po policzkach. Dłonie zaczęły drżeć. - To nie tylko trudne. To niemożliwe. Nie mogę o nic prosić Jamesa. Nie mogę prosić o nic żadnego z nich. Po moim trupie.

Mama westchnęła i odwróciła wzrok.

- No cóż... - Zawahała się, po czym ujęła jego uniesione dłonie - Cóż, wobec tego jakoś damy sobie radę. Znajdzie się inna praca, inne rzeczy, które możemy robić. Poproszę Earle'a o pomoc przy przeprowadzce albo zatrzymamy się u Almy. Coś wymyślimy. - Spojrzała Glenowi w oczy, ale nie dostrzegła w nich

tego, czego tam poszukiwała, po chwili odwróciła wzrok. - Och, Glen. Mój mały, uwierz mi, będzie dobrze. Zrobimy, co będzie trzeba. Nie martw się.

Potem sprawy potoczyły się bardzo szybko. Przeprowadzaliśmy się raz po raz. Nie mieszkaliśmy w jednym domu dłużej niż osiem miesięcy. Wynajęte domy i takie, które wynajmowało się z możliwością zakupu; domy wielorodzinne, na obrzeżach miasta; cegła, sztukateria i obietnica zakupu; przyjaciele przyjaciół, którzy znali kogoś, kto mieszkał na parterze, przecznicę dalej, był kumplem faceta, który miał oko na mamę, znał kogoś, kto znał ojca tatki Glena, albo wynajmował do pracy raz czy dwa któregoś z moich wujków - a dwa razy, dwa razy nowiutkie, czyste domy.

Przeprowadzki nie uznają pór roku, odbywają się przez cały rok, na okrągło. Przenosiliśmy się tak często, że nigdy nie dochodziła do nas poczta, często przeprowadzaliśmy się, zanim zdążyliśmy się na dobre rozpakować czy poznać nazwiska nauczycieli z mojej nowej szkoły. Przeprowadzki pozwalały mi odczuć upływ czasu, wszystko wydawało się w ruchu, jakby na tym świecie nie istniało nic stałego. Poczułam się przez to widmowa, nierzeczywista i nieważna, jak pudełko, które się gubi, a kiedy już je się znajdzie, dochodzi się do wniosku, że i tak nie jest do niczego potrzebne. Przeprowadzaliśmy się tak często, że mama nauczyła się trzymać gazety w pojemnikach na zastawę stołową, pudłach i skrzyniach.

- Nie wyrzucaj tego. Wkrótce znów będę tego potrzebował.

Zmarszczki na twarzy mamy pogłębiały się z każdą kolejną przeprowadzką, każdą niewykorzystaną szansą, każdą zawiedzioną nadzieją. Doszło do tego, że bardziej niż czegokolwiek nienawidziłam przeprowadzek, a któregoś upalnego letniego dnia wzięłam nóż rzeźnicki i powycinałam dziury w pojemnikach na zastawę stołową, choć tylko zarobiłam za to w skórę i usłyszałam tę samą śpiewkę.

- Wiesz, ile to wszystko kosztowało?

Wiedziałam co do centa. W niedzielne popołudnia mama zawsze siadała przy kuchennym stole i robiła rozliczenie, by zdecydować, że czegoś nie możemy zapłacić, a przynajmniej na razie. Czynnś wynosił osiemdziesiąt dolarów miesięcznie, o wiele za dużo, skoro tatko Glen przynosił do domu zaledwie sześćdziesiąt dolarów na tydzień. Na zakupy szło tyle samo, co na czynsz, a to tylko dlatego, że dostawaliśmy warzywa z ogrodów naszych ciotek, a mięso po niższej cenie od faceta, który sprzedawał kurczaki i wołowinę do baru szybkiej obsługi. Ja i Reese zawsze potrzebowałyśmy nowych ciuchów, mama i tatko Glen ubrań do pracy i butów. Najgorzej było z butami. Sukienki mogłyśmy dostać od kuzynek albo kupić na wyprzedazy. Buty jednak wycierały się albo

wyrastałyśmy z nich w przerażającym tempie. Dopóki nie zaczęła nam grozić grzybica, przez całe lato chodziłyśmy na bosaka. Choć wcześniej nigdy się nie skarżyłam, nagle zapragnęłam mieć nowe buty, oryginalne skórzane mary janey, a nie tanie niebieskie tenisówki, które kupowano mi za niecałe dwa dolary, mniej więcej co siedem miesięcy. Nie byłam już dzieckiem, miałam osiem lat, a potem dziewięć, bardzo szybko rosłam. W jednym roku zmieniałam się z cichej i potulnej w głośną i natarczywą, domagałam się takich butów, jakie nosiły inne dzieci w szkole. Chciałam mieć takie z małymi frędzelkami przy noskach, ale byłam gotowa przystać na klasyczne mokasyny. Wiedziałam, że nie mam co marzyć o skórzanych dziewczęcych bucikach ze skóry ze spiczastymi noskami, choć patrzyłam na nie tęsknym wzrokiem. Mama tylko się zaśmiała i kupiła mi sandały.

- Za kogo ty się uważasz? - skarciła mnie. - Nie kupujemy rzeczy na pokaz.

Nic nie mogłam na to poradzić. Dla odmiany chciałam, abyśmy mogli mieć rzeczy jak inni ludzie i narzekać bez żadnego konkretnego powodu, ot tylko po to, aby trochę pomarudzić, zamiast pilnować się na każdym kroku i uważać na każde słowo. Śmiech mamy mnie zawstydził. Prawie bez słowa skargi włożyłam sandały.

- Nie przejmuj się - rzekła do mamy jej przyjaciółka Mab. - Dzieci są szczęśliwsze, gdy mają brud między palcami stóp.

Ja jednak zauważyłam, że jej córki chodziły do szkoły w skórzanych mokasynach, a do kościoła w skórzanych pantofelkach i patrzyły spode łba na mnie i na Reese paradyjące w tanich sandałach z przeceny. Nie byłam pewna, na co mama zwracała uwagę, co chciała dostrzegać, ale kiedy siedziałam przy niej w te niedzielne popołudnia i patrzyłam, jak zlicza kolumny cyfr, podejrzewałam, że dostrzegała wszystko i nienawidziła tego. Zerkała na mego spoconego, poczerwieniałego ojczyma pchającego z mozołem kosiarkę przez trawnik i wzdychała do kubka z kawą.

- Nie będziemy mogli tu zostać - mówiła, a ja zdawałam sobie sprawę, że nadszedł dla nas czas kolejnej przeprowadzki.

Którejś zimy przez trzy miesiące musieliśmy mieszkać u cioci Almy, która na kredyt kupiła nowy dom. Nikt z nas nie oczekiwał, że da radę zatrzymać stary, a bank wystawił na ten dom papiery niemal tego samego dnia, kiedy się tam sprowadziliśmy. Coś się ze mną stało, coś, czego wcześniej nie czułam i z czym nie umiałam walczyć. Gniew rąbnął mnie jak podkręcona piłka baseballowa. Pierwszego dnia w nowej szkole nauczycielka wyduła wargi i zapytała, jak się nazywam, a wtedy gniew wypełnił całkiem moje wnętrze i ścisnął mi gardło. Dostrzegłam w jej oczach znużenie, cierpliwość, współczucie

i pogardę tak starą jak czerwonawe, piaszczyste wzgórza, widoczne przez okna klasy. Otworzyłam usta, lecz nie mogłam wydobyć z siebie słowa.

- Pytałam, jak ci na imię, kochanie? - powtórzyła kobieta bardzo wolno, jakby sądziła, że ma do czynienia z półgłówkiem. Gniew w moim wnętrzu przerodził się we wściekłość.

- Roseanne - odparłam z głupia frant i uśmiechnęłam się szczerze. Jak Roseanne. - Roseanne Carter. Moja rodzina pochodzi z Atlanty, właśnie się tu sprowadziliśmy. - Mówiłam dalej, opowiadając o szkole, do której uczęszczałam w Atlancie, wymyślając wszystko na poczekaniu i uśmiechając się jeszcze szerzej, podczas gdy nauczycielka tylko kiwała głową. Przeraziłam się, że to było takie proste - moje papiery nie dotarły do szkoły wraz ze mną - i że ludzie myśleli, że faktycznie jestem Roseanne Carter z Atlanty, miasta, w którym nigdy nie byłam. Wszyscy mi uwierzyli, a ja przez chwilę byłam popularna jako ktoś z wielkiego miasta, kto zna tamtejsze opowieści. To zdumiewające, ale nikt w mojej rodzinie nie dowiedział się o tym kłamstwie. Niemniej ulżyło mi, kiedy znów się przeprowadziliśmy i poszłam do nowej szkoły, pod swoim prawdziwym nazwiskiem. Mimo to jeszcze przez wiele miesięcy miałam sen, że ktoś podbiega do mnie i woła Roseanne, a do szkoły docierają moje dokumenty, albo demaskuje mnie któryś z nauczycieli. „Dlaczego skłamałaś?” - pytano mnie w tym śnie, a ja nie umiałam odpowiedzieć. Nie wiedziałam. Naprawdę nie wiedziałam.

Pewnego dnia Earle oznajmił, że sprzedał w końcu tę starą strzelbę, którą wcisnął mu Beau. Wziął ją jakiś kretyn z Greenwood, który nie umiał odróżnić porządnej dwururki od kawałka zardzewiałego złomu. Nalegał, że pożyczę mamie trochę pieniędzy, twierdząc, że dla niego mama jest lepsza niż banki.

- Wiesz jaki jestem, Anney - powiedział. - Jeśli zatrzymam gotówkę, przepuszczę ją raz dwa na rozmaite bzdety. A jeśli dam ją tobie, wiem, że gdyby mnie przypiliło i naprawdę bym jej potrzebował, oddasz mi te pieniądze, a gdybyś nie mogła mi ich zwrócić, to przynajmniej będę mógł się u ciebie stołować. Prawda, siostrzyczko?

Tatko Glen wściekł się na mamę, że przyjęła pieniądze, jakby w ten sposób potwierdziła fakt, że on sam nie mógł nas utrzymać; nakrzyczał na nią, że przyniosła mu wstyd.

- Jestem dorosłym mężczyzną! - ryczał. - Nie potrzebuję jałmużny od twojego brata!

Nie odzywał się do nas przez tydzień, a kiedy Earle wpadł z wizytą, tatko burknął tylko, że nie ma czasu na mielenie ozorem i odjechał, jakby miał mnóstwo pracy.

- Ten chłopak ma w sobie zbyt wiele dumy - rzekł do mamy łagodnym tonem Earle. - W życiu trzeba sobie wzajemnie pomagać. - Mrugnął do mnie, uściskał Reese i przekomarzał się z mamą, aż zaczęła chichotać jak mała dziewczynka i zrobiła mu kanapkę ze smażonymi pomidorami.

Zanim wyszedł, dał Reese ćwierć, a mnie pół dolara.

- Rośniesz jak na drożdżach, kochanie - powiedział do mnie wujek Earle. - Pewnego dnia będziesz piękna jak twoja mama.

Uśmiechnęłam się i przez chwilę obracałam półdolarówkę w dłoniach. Odkąd opuściła go żona, Earle mieszkał samotnie, a wieczorami pił lub odwiedzał którąś z sióstr. Zanim mama postanowiła wyjść za tatkę Glena, wujek Earle ciągle nas odwiedzał, ale ostatnio widywałyśmy go coraz rzadziej. Przez chwilę pragnęłam, abyśmy zamieszkali wraz z wujkiem, dzięki czemu mama mogłaby się nim właściwie opiekować, a on dawałby nam pieniądze i rozbawiał mamę, bo zawsze umiał ją rozśmieszyć.

Kiedy tatko Glen wrócił tego wieczora do domu, nie położył się spać, mimo iż następnego ranka miał iść do pracy. Siedział w salonie przy włączonym radiu, naburmuszony i gniewny. Mama siedziała przy nim i próbowała zagaić rozmowę, ale on wciąż się do niej nie odzywał. Kiedy wstałyśmy następnego ranka, jego twarz była blada i wymizerowana, a niebieskie oczy tak ciemne, że aż czarne.

To pełne napięcia milczenie trwało przez parę tygodni i nawet kiedy dobiegło końca, tatko Glen wyraźnie się zmienił. Jego oblicze stało się posępne i zadumane. Któregoś wieczoru w barze widziałam, jak gwałtownym ruchem odsunął od siebie talerz.

- Nic mi nie wychodzi - poskarżył się. - Wszystko, czego się tknę, zepsuję.

- Och, Glen - rzekła mama. - Wszyscy miewają kłopoty. Czasem tak bywa. Ale to się zmieni. Będzie lepiej. Tylko trzeba trochę czasu.

- Zamknij się! - wrzasnęła do niej. - Nie wciskaj mi kitu. Po prostu stul dziób! Stul dziób!

Mama zastygła w bezruchu, sięgając ręką po chleb. Jej twarz była jak z fotografii - czarno-biała, oczy przypominały wielkie, mroczne cienie, skóra była blada i błyszcząca, usta otwarte w grymasie nieskrywanego zdumienia.

Reese zasłoniła uszy rączkami i rozplakała się. Bez namysłu zacisnęłam dłonie na krawędzi stolika i wstałam. Twarz tatki Glena była cała czerwona i napuchnięta. Łzy spływały mu po policzkach. Mama spojrzała na mnie, tatko Glen również.

- O, Boże - jęknął, a mama zadrżała. Tatko Glen chwiejnym krokiem obszedł stół, uderzając biodrem o kant i omal nie przewracając stojących na

blacie talerzy i szklanek. - Och, Anney. Tak mi przykro. O Boże! Nie chciałem na ciebie krzyczeć. - Ucałował jej czoło, policzki i podbródek, ujmując jej twarz w dłonie. - Przepraszam, Anney!

- Nic się nie stało - wyszeptała, gładząc jego ręce i próbując go od siebie odsunąć. - Wszystko w porządku, kochanie. Rozumiem to.

Reese wciąż jeszcze pochlipywała, podczas gdy ja stałam, przytrzymując się krawędzi stolika, i nie bardzo wiedziałam, co mam teraz zrobić. Spojrzałam na swoje dłonie, na zbielałe koniuszki palców i poobgryzane paznokcie. Moje dłonie były nieruchome, ale ramiona wyraźnie drżały. Co zamierzałam zrobić? Co chciałam zrobić? Tatko Glen patrzył na mnie.

- Wiem, jak bardzo mama cię kocha - powiedział, chwytając mnie za ramię i mocno zaciskając palce. Kiedy mnie puścił, miałam na ręku siniaka - mama od razu go zobaczyła.

- Glen, nie zdajesz sobie sprawy z własnej siły!

- Nie. Był teraz spokojniejszy. - Chyba nie. Ale Kostka wie, że nigdy bym jej nie skrzywdził. Kostka wie, że ją kocham. Niech to szlag, Anney, przecież wiesz, że kocham was wszystkie.

Spojrzałam na niego, podczas gdy mama wciąż trzymała dłonie na moich ramionach; wiedziałam, że mam rozdziawione usta i tępy wyraz twarzy. Co właściwie wiedziałam? W co wierzyłam?

Zerknęłam na jego ręce. Nie, on nigdy nie chciał mnie skrzywdzić, a w każdym razie nieумыślnie, upomniałam samą siebie, ale wydawało się, że te ręce coraz częściej rwały się do działania, zanim jeszcze on zastanowił się nad tym, co robi. Jego dłonie były wielkie, bezosobowe i szybkie. Nie potrafiłam im umknąć. Reese i ja żartowałyśmy z nich, kiedy nie było go w pobliżu - nazywałyśmy je łapami goryla, patelniami, ogonami bobra albo łopatom.

Czasami martwiłam się, co by zrobił, gdyby dowiedział się, co o nim mówimy. Moje sny pełne były długich palców, rąk, które wyłaniały się zza framugi drzwi i prześlizgiwały się wzdłuż brzegu materaca, a w moim wnętrzu wzbierał strach, rwący jak rzeka, ciemnoniebieski i lodowaty jak tęczęwki jego oczu.

Rozdział szósty

Głód sprawia, że stajemy się niespokojni. Śnimy o jedzeniu - nie byle jakim, lecz doskonałym, najlepszym, magicznym jedzeniu, słynnym i przyprawiającym o dreszcz soczystym mięsie, niepowtarzalnym smaku kukurydzy polanej masłem, pomidorach tak dojrzałych, że pękają, a ich aromat rozchodzi się w powietrzu, groszku, fasoli tak kruchej, że strzela w zębach, i sosie, niezapomnianym jak mleko matki, którego smak jest niczym śpiew rozchodzący się w żyłach. Kiedy jestem głodna, nie mogę opanować ruchów rąk. Skubię wtedy stare strupy, drapię ślady po ukąszeniach owadów i stare blizny, a także pociągam za zwisające luźno kosmyki moich czarnych włosów. Przetaczam na dłoni monetę, ucząc się obracać ją między palcami bez upuszczenia na ziemię, jak to robi mój kuzyn Grey. Obgryzam paznokcie, żuję wykałaczki i czytam wszystko, czego nie czytałam więcej niż dwa razy. Kiedy jednak Reese jest głodna i nie ma nic do jedzenia, po prostu płacze, lśniące, wielkie łzy ściekają po jej różowych policzkach. Nic nie może jej uspokoić.

Nie głodowaliśmy zbyt często. Zawsze można było coś na to zaradzić. Reese i ja spacerowałyśmy poboczem autostrady, zbierając butelki zwrotne, aby oddać je do sklepu za gotówkę i kupić papierosy dla mamy, podczas gdy ona robiła w domu trwałą ondulację stałym klientkom znanym z restauracji. Reese marszczyła nos i chichotała, wsuwając paczkę pall maili mamie do kieszeni, ja zaś biegłam, aby przynieść dla nas parę sucharów z nakrytego czystą ściereką talerza na kuchni.

- Cóż za piękne młode damy - mawiały kobiety, a mama poklepywała się po kieszeni i przyznawała im rację.

Mama umiała zrobić posiłek z sucharów i sosu - suchary z mąki i wody polane tłustym, bekonowym sosem. Zanim poszłam do czwartej klasy, niemal codziennie jadaliśmy suchary na kolację. Niekiedy do sucharów mama podawała miskę zupy pomidorowej albo wieprzowinę z fasolą na zimno. Żartowaliśmy, że lubimy jeść prosto z puszki, ale posiłki były na zimno, bo zakład energetyczny odłączył nam prąd; nie płaciliśmy za rachunki, więc się z nami nie patyczkowali. A w zapadniętych brzuchach wciąż czaił się głód.

Któregoś popołudnia zabrakło nawet mąki, aby przyrządzić posiłek. Siedziałyśmy przy kuchennym stole, a ja i Reese i narzekałyśmy, że kiszki nam marsza grają. Mama zaśmiała się, ale na nas nie spojrzała.

- Robicie tyle hałasu o tak błahostkę. Można by pomyśleć, że nie jadłyście od tygodnia.

Wyjęła paczkę krakersów, poliała je keczupem i posypała solą i pieprzem. Potem naląła nam po filiżance zimnej herbaty i zaczęła opowiadać historie o prawdziwym głodzie trwającym od wielu dni, kiedy nie było nadziei nawet na suchary, i o tym, jak jako dziecko walczyła z siostrami o ostatni plasterek bekonu.

- Rozstawialiśmy talerze na stole, osiem talerzy dla ośmiorga dzieci, udając, że z kuchni zaraz trafi na nie gorące jedzenie, rozmawialiśmy o daniach, których nigdy nie widzieliśmy, o których tylko słyszeliśmy albo które sobie wyobrażaliśmy, i wymyślaliśmy, co byśmy przyrządzili, gdyby to było możliwe. Earle miał chęć na gotowane szczenięta. Twoja ciocia Ruth mówiła o żabich językach z jeżynami. Beau chciał smażonej brukwi, a Nevil żółwie mięso w lukrze, garnirowane trującymi roślinami i sosem z gorącego moczu.

Wkrótce ja i Reese zaczęłyśmy wymyślać własne udawane posiłki.

- Masło orzechowe i galaretka. Tłuczone robale z piklami.

Mama rozbawiła nas do łez, naśladując braci i siostry walczących o najbardziej odrażające dania, jakie można sobie wyobrazić, wypełniała nam brzuszki krakersami z keczupem, krakersami z majonezem i kolejnymi filiżankami herbaty, przez cały czas śmiejąc się, przekomarzając się i laskocząc nas po ramionach długimi paznokciami. W końcu Reese wyszła na zewnątrz, aby gonić psy sąsiadów i obrzucać inwektywami chłopców, którzy je wyprowadzali. Ja jednak zostałam, by obserwować mamę przez okno w kuchni, widziałam, jak zaciska pięści i groźnie unosi głowę. Kiedy tatko Glen wrócił z ryb, na które wybrał się z moimi wujkami, była wściekła jak osa, cała zjeżona i urażona do żywego.

- Krakersy z keczupem - zasyczała do niego. - Podobno tak się starasz o pracę, a ja muszę karmić moje dziewczynki tym świństwem, podczas gdy ty siedzisz przez całe popołudnie na tyłku, paląc i opowiadając zmyślane historie.

- Ujęła się pod boki i przygryzła dolną wargę, przez co jej usta wydawały się jeszcze bardziej zacięte.

- Ależ Anney... - Tatko Glen wyciągnął rękę, aby dotknąć jej ramienia. Odtrąciła jego dłoń i odskoczyła jak wąż atakujący szczura.

Odstąpiłam od okna i obiegłam dom z jednej strony, aby obejrzeć dalszy rozwój wypadków przez otwarte drzwi na podjazd. Nigdy nie widziałam mamy w takim stanie. To było przerażające, ale i cudowne zarazem. Jakby niczego się nie bała.

- Nie moje dzieci - rzuciła do tatki Glena, a jej głos brzmiał jak wystrzał, choć mówiła ochryplym szeptem. - Nie chciałam, żeby moje dzieci tego

doświadczyły. Nie miały być nigdy głodne, zziębnięte ani przerażone. Nigdy, słyszysz mnie? Nigdy!

Weszła do łazienki i obmyła twarz, szyję i pachy. Mama ostrożnie podciągała pończochy, kiedy przerażona i podekscytowana podbiegłam, aby stanąć obok niej. Przerwała, aby mnie objąć.

- Zadzwoń i powiedz wujkowi Earlowi, aby przyjechał tu i odebrał cię, kiedy skończy pracę. Ty i Reese do mojego powrotu zostanieie u cioci Almy.

Wybiegłam do kuchni, gdzie był telefon, ale nie skorzystałam z niego. Stałam tylko w progu i wpatrywałam się w swoje oblicze w lustrze wiszącym w holu. Mama włożyła czysty biustonosz i jeden z czerwonych pulowerów bez rękawów, który dostała od przyjaciółki Mab z restauracji, ten, w którym, jak żartowała Mab, widać było, jak wysoko sterczą jej sutki. Tato Glen stanął w drzwiach i przyglądał się jej, przełykając nerwowo ślinę, ale nic nie mówił. Mama umalowała usta na czerwono, zaciesała ciemno-blond włosy i przerzuciła przez ramię dużą, starą torebkę. Powiodła wzrokiem w głąb korytarza i zauważyła, że stoję u wejścia do kuchni.

- Zadzwońska do Earle'a?

Pokiwałam głową, trochę zażenowana tym kłamstwem, ale nie chciałam jej zdenerwować. Minęłoby parę godzin, zanim Earle mógłby po nas przyjechać, i postanowiłam, że nie będziemy na niego czekać.

Mama przystanęła, pokręciła głową, wróciła do sypialni i wyjęła pudełko, gdzie trzymała czarne, błyszczące skórzane buty na szpilkach. Kiedy je włożyła, wyglądała jak inna osoba, starsza i zadziorniej sza, a na jej ustach pojawił się delikatny, promienny uśmiech. Jej jasne włosy wydawały się jeszcze jaśniejsze, oczy ciemniejsze, a cera bledsza. Była piękna na chłodny, wyrafinowany sposób. Tato Glen wciąż stał w korytarzu, ale nie próbował jej zatrzymać. Opuścił ręce wzdłuż boków i oddychał przez usta, jakby mu było niedobrze. Jej obcasy stukały o podłogę niemal tak głośno, jak strzelały jego kostki, kiedy zaciskał pięści. Szłam tuż za mamą, bojąc się choćby zerknąć na tatę Glena, bałam się, że jedno spojrzenie przełamie zaklęcie, które zdawało się unieruchamiać go w korytarzu. Mama nie odezwała się słowem, uściskała mnie tylko, pocałowała i wślizgnęła się za kierownicę pontiaca.

Kiedy zaryczał silnik auta, czar przysł. Tato Glen wybiegł na podjazd i patrzył, jak mama odjeżdża. Twarz miał niczym wyciosaną z kamienia. Nie spojrział nawet w moją stronę, ale poczułam nieprzyjemny uścisk w dołku. Zupełnie jakby trawa zmieniała się w amoniak i ten odór zaczął palić mnie w gardle, jakby skóra taty Glena promieniowała żarem i falami parującego potu. Patrzyłam, jak pod jego podkoszulkiem prężą się mięśnie ramion i barków.

Wiedziałam, że mógłby połamać mi ręce równie łatwo, jak strzelał kostkami, i bez trudu skręciłby mi kark. Wycofałam się ostrożnie, po czym obiegrałam dom i przeskoczyłam przez parkan dzielący nas od posesji sąsiadów i ukryłam się tam.

Reese i bliźniaki McCauleyów skakali przez skakankę i nie chciała iść ze mną, ale rozpromieniła się, gdy powiedziałam jej, że pójdziemy na piechotę do autostrady, a potem spróbujemy zatrzymać jakiś wóz i poprosimy o podwiezienie. Reese uwielbiała zatrzymywać obce auta i prosić o podwiezienie do oddalonego o cztery mile domu cioci Almy. Obiecała, że nigdy nie zrobi tego beze mnie, ale martwiłam się, że gdy tylko podrośnie, będzie jeździć autostopem po całym hrabstwie. Tak więc przy każdej tego typu podwózce wymyślałam jej nową upiorną opowieść. Byłam tak zdenerwowana i ten zwyczaj tak się we mnie zakorzenił, że automatycznie rozpoczęłam kolejną, tym razem o widmowym kierowcy, który zabierał czekające przy drodze dziewczęta, a potem obdzierał je ze skóry jak młode łanie, zjadał ich mięso, a ze skór robił sakiewki i okładki na książki.

- Nigdy nas nie dopadnie. - Reese się zaśmiała. - Po prostu musimy uważać i nie wsiadać do auta, gdy jest w nim tylko jeden mężczyzna.

Zastanowiłam się nad jej słowami.

- Niełatwo rozpoznać widmowego kierowcę - rzekłam do Reese. - Czasami przyczepia się do jakiejś młodej pary, chowa się w bagażniku ich samochodu, kiedy na stacji benzynowej korzystają z toalety. Gdy ruszają w drogę, zabija ich, a potem sprawia, że wydaje się, jakby oprócz nich w wozie nie było nikogo innego. W ten sposób dopada tych, którzy nigdy nie wsiedliby do auta, w którym jest tylko jeden człowiek.

Reese przygryzła dolną wargę i powiodła wzrokiem wzdłuż szosy. Zauważyłam, że głęboko się zastanawia nad zasłyszaną przed chwilą informacją. Przyjrzała się ludziom w pikapie, który zatrzymał się, by nas zabrać - starszej kobiecie w ciemnoniebieskiej sukience i młodszemu mężczyźnie w roboczym stroju khaki. Zanim wsiadła z tyłu, klepnęła w boczne drzwiczki tak mocno, że oboje aż podskoczyli na fotelach. Ugryzłam się w język, aby nie wybuchnąć śmiechem. Staruszka złajała nas, że próbujemy złapać okazję na autostradzie.

- Mogłyście zginąć albo jeszcze coś gorszego - rzekła. - Małe dziewczynki na drodze to pokusa dla zepsutych i zboczonych. Wszystko mogło się wam przydarzyć.

Obie z powagą potaknęłyśmy i podziękowałyśmy jej uprzejmie, zeskakując z paki przy drodze wiodącej do domu cioci Almy.

Było już po północy, kiedy przyjechała po nas mama. Reese zasnęła w łóżku cioci Almy, a ja siedziałam z wujkiem Wade'em, kiwając głową nad fotograficznym puzzlem, nad którym pracował, kiedy nie mógł zasnąć.

- Jest już twoja mama - powiedział i lekko mnie popchnął. Obudziłam się na dobre, gdy mama dotknęła mego ramienia. Dłonie miała ciężkie i pachnące balsamem do rąk.

- Chodź, Kostko - wyszeptała. - Wracamy do domu. - Zmęczonym głosem podziękowała wujkowi Wade'owi. Włosy miała przyklepane, a twarz umyta do czysta. Wciąż nosiła na sobie pulower, ale dorzuciła jeszcze luźną bluzkę i buty na płaskim obcasie, które nosiła w pracy.

- Nic nie mów - rzekła do mnie. - Weź buciki Reese i chodźmy.

Wzięła Reese na ręce, nie budząc cioci Almy, i wyniosła do samochodu. Ruszyłam za nią, z prawej strony, podczas gdy Reese przywarła do jej lewego ramienia. Przy samochodzie znieruchomiała na chwilę i spojrzała na ciemne nocne niebo. W świetle płynącym od strony domu jej twarz zdawała się składać z samych zagłębień i kątów, oczy były zapadnięte i błyszczące.

- Cholera - wyszeptała cichutko, opierając się czołem o chłodną karoserię. - Cholera, cholera.

- Mamo - pisnęła Reese.

Przytuliłam się policzkiem do boku mamy i znieruchomiałam. Czekaliśmy przez dłuższą chwilę, aż w końcu mama wyprostowała się i otworzyła drzwiczki.

- W porządku - rzekła, jakby kończąc w ten sposób długi monolog. Spojrzałam na dom cioci Almy. Wujek Earle stał w kuchni, patrząc na nas, twarz miał surową, usta zaciśnięte. Dlaczego się gniewa? - zastanawiałam się. Co sprawiło, że tak bardzo się rozłościł?

- Usmażę wam jajecznicę - powiedziała mama, wprowadzając nas do kuchni i sadzając przy stole. W puszcze była mąka, opodal stał słoje z marmoladą, masło, torba pomidorów, smalec i paczka świeżych jajek z zabawnymi, brązowymi plamkami. Odstawiła większość tych rzeczy na bok, po czym wbiła jajka do miseczki, dodała trochę mleka i usmażyła jajecznicę, układając na brzegach patelni plastry zielonych pomidorów.

- Moja mama zawsze smażyła jajecznicę w nocy - oznajmiła, mrugając w niezbyt silnym świetle.

Tatko Glen siedział w salonie przed przyciszonym telewizorem; nie patrzył na nas i milczał. Widziałam, że Reese zerka raz po raz w jego stronę, po czym przenosi wzrok na mamę i na mnie. Dłonie tatki Glena poruszały się na jego udach, zaciskając się w pięści i skubiąc materiał spodni.

- Zanim wlejesz jajka na patelnię, musisz najpierw dobrze podsmażyć pomidory, bo jajka krótko się smażą. Chcę, żeby były miękkie. Chcę, żeby rozplływały się w waszych ustach jak masło, żeby delikatnie spływały po języku.

Nałożyła mi porcję jajecznicy i położyła na talerzu obok miękkich, brązowawych pomidorów dwa suchary. Żołądek miałam tak ściśnięty, że nie wiedziałam, jak mogłabym to zjeść, ale mama usiadła naprzeciw mnie i uśmiechnęła się tak szeroko, że zrozumiałam, iż nie mam wyboru. Musiałam zjeść wszystko. I tak też się stało, podczas gdy tatko Glen siedział w milczeniu w pokoju obok, a mama trajkotała swobodnie, jakby go w ogóle nie było. Patrzyłam na jego dłonie, chwytające materiał spodni. Sięgnęłam dłońmi pod stół i zaczęłam rozcierać uda.

Sucharami się zapychałam, ale i tak czułam się głodna. Gdy tylko zaczęłam jeść, nie mogłam się nasycić. Z Reese było podobnie. Jadła, aż nasycona zamknęła oczy. A potem położyła się, opierając głowę o stół, jakby miała zasnąć. Mama uśmiechnęła się do niej i odgarnęła długie, jasne włosy mojej siostry do tyłu, aby nie wpadały jej do oczu. Posmarowała masłem wszystkie suchary, jakie jeszcze zostały, a potem owinęła je ręcznikiem, aby były na rano. Przez cały czas mówiła o rzeczach trywialnych, o swojej mamie, posiłkach, które ciotki przygotowywały nocami, o tym, że silnik pontiaca zaczął dziwnie hałasować i że musi naprawić pralkę. Słuchałam mamy z otwartymi ustami. Miałam wrażenie, jakby moje ciało od szyi aż po brzuch owiewał silny wiatr, było mi na przemian gorąco i zimno, a mój układ nerwowy zaczął chyba iskrzyć. W końcu mama położyła mnie i Reese do jednego łóżka i usiadła przy nas, jakby chciała spędzić tak całą noc. Z salonu wciąż płynęły dźwięki włączonego telewizora i próbowałam nie zasnąć, ale gorący posiłek podziałał na mnie jak środek usypiający. Zapadłam w ciemność i śniłam o wielkich, miękkich duszących chmurach kładących się niczym mgła nad polem jeżyn. Obudziłam się, by ujrzeć obrzmiałe, przerażone oblicze Reese i usłyszeć dochodzący z głębi korytarza cichy, lecz gniewny głos tatki Glena. Wzięłam Reese za rękę i modliłam się o ciszę, po czym zamknęłam oczy tak mocno, że zaczęło mi szumieć w uszach.

W następnym tygodniu znów musieliśmy się przeprowadzić, ale mama powiedziała, że na nowym miejscu będzie nam lepiej, bo tatko Glen zacznie pracę w fabryce pepsi. Jednak nowy dom nie był wcale nowy. Wyglądał jak trzy ostatnie, mały, ciasny i cuchnący wilgocią, niezależnie od tego, jak często mama w nim wietrzyła. Był jak wszystkie domy, które wynajdywał dla nas tatko Glen - nieduże z bielonymi ścianami i garażami z blachy falistej.

Trawniki były zeschnięte, trawa sztywna, spalona słońcem, tu i ówdzie widniały splachetki kamienistej ziemi. Nigdy nie było żadnych drzew ani krzewów. Mama czasem sadziła kwiaty albo przygotowywała ogródek warzywny, ale nigdy nie zdążyła nic posadzić, bo znów trzeba było się przeprowadzać, a domy ponownie wyglądały na opuszczone.

- Niekochane - powiedziała mi Tempie, najstarsza córka cioci Almy, pomagając mi się rozpakować w nowej sypialni. - Twój tata zawsze znajduje dla was domy, które wyglądają, jakby ludzie nigdy nie chcieli w nich mieszkać. Ten dom sprawia wrażenie, jakby ludzie zajrzeli tam tylko na chwilę i zwiali jak najszybciej. Nie zaoponowałam. Miała rację.

Moje ciotki też stale się przenosiły - wszystkie oprócz cioci Raylene, która przez większość dorosłego życia wynajmowała ten sam dom. Wydawało się, że żadna nie chciała pozostawać dłużej w jednym miejscu, jednak domy, które wybierały, były starsze, podobne do nich samych, inne niż te, których poszukiwał tatko Glen, z żelaznymi kratami w oknach, garażami i niszcarkami odpadków, które nigdy nie działały. Alma zawsze mieszkała w wielkich, rozchwierutanych domach z olbrzymimi gankami i psami wylegającymi się w słońcu. Ciocia Ruth lubiła domy, przed którymi drzewa orzechów czarnych rzucały cień na pikapy moich wujków.

Tatko Glen drwił z domów moich ciotek, z kominkami na węgiel i kurnikami na tyłach.

- Nawet gdybym za to zapłacił, nie zamieszkałbym w waszym domu - rzekł któregoś dnia do Travisa, który tylko się uśmiechnął:

- Sęć w tym, Glen, że musisz płacić czynsz właścicielowi tych domów, a ich nie obchodzi, co myślimy i jakie naprawdę domy chcielibyśmy wynająć. Szlag! Robimy, co możemy, kapujesz?

Spodobało mi się, kiedy Alma i Wade przeprowadzili się na wieś, by zamieszkać w pobliżu rozległych pól truskawek i orzeszków ziemnych. Dom ten znajdował się na skraju miasta, przy drodze, po której mknęły ciężarówki; wszystko było tam tanie, mocno zużyte i nikt nie dbał o to, czy postawiłeś swojego pikapa na trawniku. Na ganku zawsze przesiadywały dzieciaki, kuzyni wbiegali i wybiegali przez siatkowe drzwi, na tyłach wisiało pranie, a kury chodziły wolno i bez względu na to, którą ciotkę odwiedzaliśmy, zawsze było coś do roboty.

- Złap mi tę kurę - mówiła do mnie ciocia Alma. - A potem zbierz trochę fasoli i umyj parę pomidorów.

Reese też chciała mi pomagać i siedziałyśmy razem w ogródku, w towarzystwie naszych kuzynów i ich przyjaciół. Czasem ciocia Alma albo

ciocia Ruth zapominały o naszej obecności, dopóki nie pojawiała się mama i nie zaczynała nawoływać nas do powrotu. To, gdzie mieszkaliśmy, nie miało znaczenia, dopóki mogliśmy spędzać czas u którejś z naszych ciotek.

U cioci Almy mogliśmy słuchać, jak Garvey i Grey się kłóca, jak mały Earle chichocze i popiskuje, jak wujek Earle pije i przeklina, jak z radia lecą znajome piosenki, a z za okien dochodzi gdakanie kur. Mogliśmy jeździć na kawałku brezentowej płachty, a woda ze spryskiwacza ogrodowego była dla nas jak cudowny, chłodny prysznic. U cioci Ruth mogliśmy patrzeć, jak wujek Travis obiera ziemniaki, z piwem pod ręką i papierosem zwieszającym się w kąciku ust, od czasu do czasu strząsając popiół na obierki. Ciocia Ruth pozwalała nam nawet bawić się w samych majteczkach, choć po tym, jak Reese nabawiła się grzybicy, mama kategorycznie zabroniła nam się rozbierać, a kiedy nas oblaży roztocze, mama za każdym razem, gdy wracaliśmy do domu, urządzała nam kąpiel. Musiałyśmy się gruntownie wyszorować. Mimo to przy każdej nadarzającej się okazji chciałyśmy odwiedzać nasze ciotki. W ich domach, ciepłych, zawsze tętniących życiem, wypełnionych śmiechem, gwarem i głosikami uganiających się tam i z powrotem dzieci, nieodmiennie czułam się szczęśliwa. Cisza w naszym domu była lodowata, mimo że mieliśmy lepszy piec i zamykaliśmy drzwi, aby wiatr nie hulał po pokojach. W domach tatki Glena było coś lodowatego, co topniało w nas, gdy odwiedzałyśmy nasze ciotki.

Bracia tatki Glena mieszkali w dużych domach, które były ich własnością, otoczonych płotem i ozdobionych klombami.

- Tak powinni mieszkać ludzie - powiedział nam, kiedy któregoś razu pojechaliśmy do nich z wizytą.

Bardziej niż czegokolwiek tatko Glen pragnął domu, jaki mieli Daryl i James, nowego domu z ładnym trawnikiem i francuskimi oknami, w których wisiały czyste, śnieżnobiałe firanki i lniane zasłony. Domy, które dla nas wybierał, zawsze były ich nędznymi imitacjami. Mama szyła zasłony, myła okna i polerowała posadzki. Tatko Glen kosił trawę i wysyłał nas z sekatorem, abyśmy uporały się z chwastami przy podjeździe. Krzyczał na Earle'a i Beau, jeśli wjechali na trawnik, i przepędzał psy, które przychodziły nocami i przewracały kubły na śmieci.

- Nikt nie chce, abym miał coś ładnego - skarżył się, a następnie wpadał w jeden ze swoich groźnych, chimerycznych nastrojów i nie odzywał się do nikogo.

Gdy był tak zasepiony, ja i Reese wyruszałyśmy na podwórze pozbierać rozrzucone przez wiatr śmieci i psie odchody, wszystko, co mogło go

rozniewać. Każdy nowy dom sprawiał, że był przez chwilę szczęśliwy, my zaś starałyśmy się wydłużyć ten okres, utrzymując dom i jego okolice w absolutnej czystości.

- Tutaj będzie inaczej - mówił mamie.

Reese i ja zachowywałyśmy niewzruszony wyraz twarzy i nie wchodziłyśmy mu w drogę. Żadna z nas nie wierzyła, że sytuacja się odmieni, ale wiedziałyśmy, że lepiej nie mówić tego na głos. Niekiedy wydawało się, że tatko Glen potrafi czytać w myślach, bo odkrywał to, co starałyśmy się ukryć, przekonane, iż nic, co zrobi, nie zdoła odmienić naszego losu.

- To łamie mężczyźnie serce - powiedział któregoś dnia do mamy - gdy nikt mu nie ufa.

Wydawało mu się, że za jego porażkami stoi nasz brak wiary w jego możliwości. To, że w niego nie wierzyłyśmy, uczyniło go tym, kim był, sprawiało, że w pracy stale wdawał się w bójki, bywał sarkastyczny w stosunku do przełożonych i zrażał do siebie właścicieli sklepów, tak że nie chcieli sprzedawać mu niczego na kreskę. Pieniądzy było coraz mniej, a tatko Glen patrzył na nas, jakby z każdym oddechem każda z nas wydzieriała mu ostatnie zaskórniaki.

W jednym miesiącu spóźnialiśmy się ze spłatą czynszu, w następnym zaś było to już niemożliwe, a dwa miesiące później znów spóźnienie. Tatko Glen zaczął wyjeżdżać gdzieś wieczorami, wracał późno, a do drzwi naszego domu za dnia zaczęli dobijać się jacyś ludzie. Najpierw dzwonili, a potem tłukli pięściami we framugę. Jeśli mama była akurat w domu, siedziała w kuchni przy stole, paląc papierosa i tępo wpatrując się w przestrzeń.

Reese i ja podbiegałyśmy do drzwi.

- Mamy nie ma w domu! - wołałyśmy. - Nie możemy nikogo wpuścić, bo mamy nie ma w domu.

Mężczyźni i kobiety, którzy próbowali się do nas dostać, prosili i grozili, używali pochlebstw i gniewnych słów. Mama odgarniała włosy z twarzy, zapalała następnego papierosa i tuliła nas do siebie. Reese i ja uśmiechałyśmy się i wyglądałyśmy ostrożnie zza zasłony, aby upewnić się, że właściciel domu albo inkasent poszli sobie, po czym wracałyśmy do niej, aby zrelacjonować sytuację.

- Moje mądre dziewczynki - chwaliła nas mama. - Moje silne, mądre dziewczynki.

Jej oblicze rozluźniało się, ostre linie brwi łagodniały i za każdym razem mocno, czule tuliła nas do siebie.

- Nie jesteśmy złymi ludźmi - mawiała do nas mama. - Tak naprawdę nie jesteśmy nawet biedni. Zapamiętajcie to sobie na wypadek, gdyby ktoś mówił wam inaczej. Nie jesteśmy złymi ludźmi. I spłacamy swoje długi. Tyle że nie zawsze możemy to zrobić, kiedy chcą tego inni ludzie.

Reese i ja przytakiwałyśmy gorliwie, ale nie wierzyłyśmy mamie. Wiedziałyśmy, jak nas nazywali sąsiedzi i przed czym mama próbowała nas uchronić. Wiedziałyśmy, kim jesteśmy.

Wujek Nevil i ciocia Fay znaleźli dla siebie dom na tak stromym wzgórzu, że mogłyśmy bawić się na dworze, pod gankiem, z ich psami. Kiedy stawałyśmy na palcach, z trudem mogłyśmy dotknąć desek podłogi nad nami. Dom był wzniesiony tak przemyślnie, głęboko osadzony na wzgórzu, że psy nie mogły się pod niego podkopać, a w pokojach na tyłach zawsze panował cień i chłód. Uwielbiałam ten dom, półmrok i chłód pod gankiem, powietrze przesycone psią wonią i czerwoną, pylistą ziemią, ale Glen go nienawidził.

- Toż to cholerny szałas! W dodatku stojący w getcie czarnuchów! Czy im wszystko jedno, gdzie żyją?

On nie pozwoliłby nam mieszkać w takiej ruderze, twierdził. Zamiast tego znalazł dla nas dom z bloków żużlu, gdzie wskutek wilgoci wypaczały się i odpadały płytki podłogowe i gdzie w sumie nie zabawiliśmy zbyt długo.

- Ale przynajmniej okolica jest przyzwoita - powiedział do mamy, która nie odezwała się ani słowem, tylko po raz kolejny zabrała się do rozpakowywania zastawy stołowej.

Ciocia Alma została ostatecznie znienawidzona przez tatkę Glena, kiedy miałam dziewięć lat, a ona wyprowadziła się od wujka Wade'a. Wujek Earle żartował sobie, że Alma w końcu przyłapała Wade'a na tym, co robił od lat.

- Skakał z kwiatka na kwiatek - rzekła kuzynka Deede. - Gdyby był moim mężem, odstrzeliłabym mu małego.

- Może właśnie dlatego sama nie masz męża - odcięła się ciocia Alma, a potem zaśmiała się na myśl o odstrzeleniu wujkowi Wade'owi przyrodzenia. - Niemniej to na pewno odniosłoby pewien skutek - rzekła do mamy. - Ten facet jest jak pies goniący za suką. Atakuje wszystko, co na drzewo nie ucieka. Nie docenia tego, co miał. Może to i dobrze, że w końcu się od niego uwolniłam.

Przeniosła się z dziećmi do kamienicy czynszowej w śródmieściu, ale mieszkała na pierwszym piętrze, z osobnym wejściem i rozchwierutany, szerokim gankiem na zewnątrz. Alma zawsze musiała mieć ganek.

Nikt inny, kogo znaleźliśmy, nie miał zwykłego mieszkania. Mama zabrała nas tam z wizytą, zabrawszy paczkę papierowych ręczników i tetrowych pieluch dla najmłodszego dziecka, kupionych w sklepiku prowadzonym przez Armię

Zbawienia. Ciocia Alma uśmiechnęła się na jej widok, wyjęła z lodówki dzbanek z mrożoną herbatą i wygnała nas na ganek.

Biegły stamtąd długie schody, ciągnące się obok mieszkania na parterze i prowadzące aż na podwórze, poniżej. Grey i mały Earle siedzieli na górnych stopniach, wychylając się, aby popatrzeć na dzieciaki na dole, które przyglądały się nam przez okno. Błyszczące brązowe twarze przywierały do szyby, po czym cofały się, posępne, puste twarze tak podobne do siebie, że trudno je było rozróżnić.

- Czarnuchy - wyszeptał z dumą Grey. - Boją się nas.

Zacisnęłam palce na barierce, odrywając długą suchą drzazgę, i wychyliłam się, by samej spojrzeć. Nigdy dotąd z bliska nie widziałam kolorowych i bardzo mnie zaciekały te dzieciaki. Nie wydawały się wystraszone.

- Matka ich nie wypuszcza. - Mały Earle żuł przez chwilę drzazgę oderwaną z barierki, a potem sięgnął następną. - Słyszeliśmy dziś rano, jak mówiła, że złośli im skórę, jeżeli kiedykolwiek otworzą drzwi. Na pewno nie cieszy się, że wprowadziliśmy się tutaj.

- Ich ojciec również. - Grey się zaśmiał.

- Musi tam być piekielnie gorąco - wyszeptała Patsy Ruth.

Pokiwałam głową, wciąż wpatrując się w okno. Wyglądało na to, że było ich tam troje, wyglądali na zewnątrz na zmianę, zafascynowani nami, tak jak my nimi. Reese podeszła do mnie z tyłu i wzięła mnie za rękę. Nie odwróciłam się - miałam wrażenie, jakby twarz w oknie patrzyła na mnie.

- Nie możemy wyjść na podwórze?

- Tam na dole jest jeszcze goręcej, kurz i zero wiatru. Tu jest znacznie przyjemniej. - Grey splunął nad barierką, na sprażony słońcem splachetek gołej ziemi poniżej. - Poza tym musielibyśmy iść minąć. - Splunął w stronę okna.

Przymrużyłam powieki w silnym świetle. Twarz za oknem zrobiła to samo. Nie mogłam zobaczyć, czy był to chłopiec czy dziewczynka, bardzo ładny chłopiec albo bardzo zawzięta dziewczynka, bez dwóch zdań. Kości policzkowe równie wystające jak moje, oczy duże, delikatne, o długich rzęsach, małe usta i wydatne wargi, jakby spuchnięte od użądlenia pszczoły, ale nie szerokie. Czekoladowa skóra była tak gładka, tak świecąca, że nie dostrzegłam na niej żadnych porów. Uniosłam dłonie do policzka, spojrzałam na Greya i opuściłam wzrok. Grey miał węgry na policzkach i skórę poczerwieniałą od słońca. Nigdy dotąd o tym nie myślałam, ale wydawał się raczej paskudny.

- No co się gapisz, Kostko? - Grey szturchnął mnie palcem.

Nie mogłam zdradzić o czym myślałam, powiedzieć: „To dziecko jest od ciebie ładniejsze”. Odsunęłam się od barierki i zanim spojrzałam Greyowi w oczy, odłupałam jeszcze jedną drzazgę.

- Podoba mi się tutaj. Bardziej niż tamta rudera, w której mieszkaliście wcześniej - skłamałam. - De macie sypialni?

Greyowi poprawił się humor, a ja zauważyłam, że obawiał się, iż powiem coś nieprzyjemnego.

- Tu jest więcej miejsca, niż się wydaje. Swoje pokoje mają mały Earle, Kijanka, a nawet ja. Patsy Ruth i Tempie mają własny pokój, a mama pozwoliła mi postawić na kredensie akwarium i odebrać od Garveya żółwie.

Mały Earle z entuzjazmem pokiwał głową. Po raz pierwszy ktoś w ogóle wspomniał Garveya, który pozostał z Wade'em, ale nie skomentowałam tego. Mama powiedziała mi, że Wade zatrzymał Garveya, a bliźniakom pozwolił odejść z ciocią Almą; zrobiła się niezła rozróżba.

- Nie nazywaj maleństwa Kijanką - wtrąciła Patsy Ruth. - Mów na nią Annie. Wiesz, że mama nie cierpi, kiedy nazywasz małą Kijanką.

Drzwi otwarły się i ciocia Alma wyjrzała na zewnątrz.

- Dobrze się bawicie? - Zmrużyła oczy od słońca.

- Jasne, mamó - odparł Grey.

Znów spojrzałam w okno mieszkania poniżej. Byłam prawie pewna, że to dziewczynka, zuchwała dziewczynka, przyglądała się nam nieufnie przez szybę.

Grey podrapał się i wstał. Dziewczynka przez chwilę patrzyła na jego zaciśniętą pięść, po czym przeniosła wzrok na mnie. Próbowałam się uśmiechnąć, ale byłam dziwnie zdenerwowana, nie panowałam nad swoją miną. Twarz dziewczynki pozostała beznamiętna i po chwili znikła w ciemności mieszkania.

- Nie bądź niegrzeczny w stosunku do dzieciaków z parteru - rzekła do Greya ciocia Alma. - Nie chcę mieć żadnych kłopotów z tymi ludźmi.

- Dobrze, mamó - zawtórowali jej Grey i mały Earle. W ciemnym oknie poniżej nikt się już nie pojawił.

Gdy następnym razem przyjechaliśmy z wizytą, Grey powiedział, że było ich na dole pięćoro, tyle samo co na górze, ojciec pracował na północy i wszystkie dzieci były od Greya młodsze. Kobieta trzymała się na dystans, ciocię Almę witała jedynie zdawkowym skinieniem głowy, dzieci jednak już od drugiego tygodnia przesiadywały na schodach i tylko wbiegały do domu, gdy na podwórzu zajeżdżał pikap któregoś z ich wujków, białe dzieci kompletnie ignorowały.

W drugim tygodniu urządziły konkurs plucia na odległość, ci z parteru kontra ci z piętra, Grey wygrał. Od tej pory poszło już z górki. Grey pokazał chłopakom z dołu swój scyzoryk i w zamian mógł podziwiać zestaw narzędzi, które najstarszy chłopiec otrzymał od ojca. Tylko dziewczynka zachowywała się wyniośle i przesiadywała w środku, podczas gdy chłopcy bawili się na podwórku.

- Jest całkiem ładna, jeśli czarnuchy mogą być ładne - rzekł do mnie Grey - ale nie zachowuje się przyjaźnie. Zupełnie jakby spodziewała się, że ją ugryzę albo coś gorszego.

- Powiedz jej to, a może sama cię ugryzie. Ja bym tak zrobiła.

Przypomniałam sobie pełną napięcia i determinacji twarz dziewczynki. Znałam wszystkie ociekające nienawiścią żarty i docinki na temat czarnuchów, ale sama nie miałam okazji z nimi rozmawiać, a mama nauczyła mnie, że bym zwracała się do nich per proszę pana, proszę pani. Byłam nieśmiała i nieufna wobec tych dzieciaków, podobnie jak one wobec nas. Choć to wydawało się mało prawdopodobne, chciałam, aby ta dziewczynka wyszła z mieszkania, że bym mogła z nią porozmawiać, ale ona tylko przyglądała się nam przez okno. Zapewne mama wytłumaczyła jej, czego może się spodziewać ze strony takich śmieci jak my.

- Rany, powinnaś słyszeć, co tatko i wujek Beau powiedzieli, kiedy tu przyjechali, i jakich epitetów używali. - Grey zmarszczył brwi i postukał nogą o nogę. - Tatuś jest wściekły, że się tu wprowadziliśmy.

Wiedziałam, o co mu chodziło. Wujek Wade i ciocia Alma byli u nas przed tygodniem - Wade wyglądał na wymizerowanego i zmęczonego i w rozmowach z Almą nie przebierał w słowach.

- Uciekłaś i zabrałaś moje dziewczynki, żeby zamieszkać w tej norze wśród czarnuchów. Moje dziewczynki mają wchodzić po schodach i patrzeć na te czarne gęby. Moja żona musi chodzić po ulicy, po której wałęsają się brudne asfalty! - Opalona twarz wujka Wade'a wydawała się chudsza niż zwykle i pociemniała z wściekłości.

Ciocia Alma tylko się zaśmiała. Wyglądała lepiej niż kiedykolwiek. Ona też trochę schudła, ale jej wyszło to na korzyść. Twarz miała gładką, spokojną, spódnica miękko układała się na jej biodrach. Nic nie wskazywało, aby bardzo tęskniła za wujkiem Wade'em.

- Ten facet jest gorszy niż małe dziecko - powiedziała do mamy - męczy cię, żebyś robiła za niego to czy tamto, a ty haruj, kobieto, szykuj mu obiadki, pierz ciuchy, nawet szoruj mu plecy i myj włosy!

Znowu się zaśmiała i nonszalanckim gestem odgarnęła z twarzy luźne pasemka włosów.

- Sama płacę za siebie czynsz, panie Wadzie Yarnallu.

Owinęła kosmyk włosów wokół ucha i z dumą uśmiechnęła się do mamy.

- Nie zamierzam dłużej wysłuchiwać twoich skarg na temat mojego życia i bzdur dotyczących moich dzieci. Są czyste, wykarmione i szczęśliwe tu, gdzie są. Nikt z nimi nie zadziera. Nikt nie zadziera ze mną i lepiej, żeby nie próbował.

- Ale toż to skandal! Ona nie może tu zostać. - Ciocia Carr wzięła stronę wujka Wade'a, jak zwykle zresztą, czego dowiedziałam się później od mamy. Carr przyjechała z Baltimore, aby spędzić u nas latem parę dni.

- Twoja ciocia Carr zawsze miała słabość do Wade'a - wyznała mi mama któregoś popołudnia, kiedy rozwieszałyśmy pranie. - Kiedy byłyśmy jeszcze dziewczynami, wierzyła, że wyjdzie za Wade'a. Nigdy nie mogła przeboleć, że wybrał ciocię Almę.

- Do licha, Anney. Carr nigdy nie może niczego przeboleć. Pamięta każde zło, jakie jej wyrządzono, to prawdziwe i to urojone. Założę się, że recytuje je z pamięci każdej nocy przed snem, aby o żadnym nie zapomnieć! - rzekł wujek Earle, który stał przy sznurze na bieliznę, z wielką papierową torbą w rękach i uśmiechał się od ucha do ucha.

Odstawił torbę na ziemię i uściskał mnie, gdy podbiegłam do niego, śmiejąc się z rozdrażnienia malującego się na twarzy mamy.

- Daj spokój, Anney. Wiesz, że mówię prawdę. Nie patrz na mnie z taką złością. - Szturchnął wypchaną torbę. - Mam dość orzechów, aby wystarczyło na dwa tuziny ciasteczek. Może ja i dziewczynki połuskamy orzechy, a ty przygotujesz ciasto?

Mama przypięła ostatni spinacz do bielizny do znoszonych szortów tatki Glena i potrząsnęła jedną z jego koszul, aby rękawy wisały prosto.

- Czasami nie mogę cię znieść, Earle, nie wiem, jak ktokolwiek może z tobą wytrzymać, zawsze mówisz o innych to, co najgorsze. Mam wrażenie jakbyś całymi nocami wymyślał złe rzeczy na temat innych ludzi.

Earle znów się zaśmiał.

- Masz rację, siostrzyczko. W wolnym czasie robię notatki o tym, co kto zrobił i o czym chciałby zapomnieć, by później otwarcie mówić o tym przy innych. - Wziął do jednej ręki torbę, drugą zaś objął mnie i przytulił. - Powiedz mi, Kostko, czy mama wspominała ci, dlaczego ciocia Carr wyniosła się tak daleko, aż do Baltimore, i odwiedza nas tak rzadko, że kiedy się już zjawi, trudno nam ją rozpoznać?

- Och, Earle! - Mama zakryła usta dłonią, a drugą zgarnęła orzechy. - Nie mów źle o Carr. Wejdz, a ja przygotuję syrop i foremki do ciasteczek.

Earle podrzucił mnie tak wysoko, że usiadłam mu na barana.

- Dobrze, psze pani. Mam chęć na ciasteczka orzechowe, które pani robi, zwłaszcza gdy jest pani zła.

Zaczął łaskotać mnie w stopy, aż schwyciłem go za uszy, aby przestał.

- Kiedy twoja mama złości się na mnie, Kostko, sieka orzechy tak, jak lubię. Inaczej nie dba o to, a jeśli orzechy nie są pokrojone dość drobno, nie za bardzo mi smakują.

Przystanął przy siatkowych drzwiach, a ja znów pociągnęłam go za uszy.

- Ale co z cicią Carr? Nie powiesz mi, dlaczego przeprowadziła się do Baltimore?

Odwrócił głowę, aby na mnie spojrzeć i obdarzył mnie swoim słynnym, wystudiowanym uśmiechem.

- Wiesz, że twoja mama nie chce, abym opowiedział ci tę historię. Kopnęłam go piętami w tors.

- Ale i tak mi ją opowiesz, prawda?

Earle zaśmiał się i opuścił mnie na ziemię. Biodrem uchylił siatkowe drzwi i pospiesznie zajrzał do środka, by zobaczyć, czy mama weszła do kuchni.

- No cóż. - Zapalił papierosa. - Twoja ciocia Carr była wrażliwą dziewczyną, wrażliwą na punkcie urody twojej mamy i cici Almy, podczas gdy sama uważała się za brzydulę. Carr tak bardzo chciała być piękna, że stała się przez to wredna i uszczypliwa. Mówiła na temat Raylene okropne rzeczy, twierdząc, że powinna się nauczyć robić makijaż, układać włosy i znaleźć dla siebie mężczyznę. Ja jednak zawsze uważałem, że wyżywała się na Raylene, aby móc chwalić się, ile czasu sama poświęca na dbanie o własny wygląd. Raylene, Alma i twoja mama śmiały się z niej, co wprawiało ją w jeszcze większą wściekłość. Nie twierdzę, że Carr nie kocha swoich sióstr, ale czasem nie miałem wątpliwości, że za nimi nie przepadała. No i jeszcze jedno! Miała oko na młodego pana Wade'a. Ta dziewczyna miała na niego ochotę, bez dwóch zdań i być może zdawała sobie sprawę, że kiedy Alma była w pobliżu, nie miała u niego żadnych szans. To ją dobijało.

Wreszcie któregoś roku, w Święto Dziękczynienia, Wade zaczął żartować wszem wobec, że Alma była młodszą, wspanialszą wersją Carr, pięknym kwiatem w porównaniu z chwastem, tak się chyba wyraził. Twarz Carr była w owej chwili jak otwarta księga. Można było dostrzec każdą myśl, która zaświtała jej w głowie, a żadna nie była miła. Jeszcze przed Bożym Narodzeniem poderwała jak rybę na wędkę starego baltimorczyka Benny'ego.

Następnej jesieni urodziła pierwsze dziecko i namówiła Benny'ego, aby przeprowadził się do swego rodzinnego miasta. Wade i Alma pobrali się dopiero pięć lat później, choć bliźniaczki Almy ledwie odczekały, aż klecha skończy klepać swoje formułki, i wydostały się z jej brzucha na świat.

Earle obracał papierosa między kciukiem a palcem wskazującym.

- Wydaje mi się, że od tamtej pory wszyscy dorośliśmy i wiele się zmieniło. Taka jest kolej rzeczy. W jednej chwili jesteś z rodziną, kłócisz się z nią i godzisz, a w następnej wszystko się sypie. Odchodzisz, by założyć własną rodzinę, boisz się tego, co cię czeka i, na Boga, wypadki z dnia na dzień toczą się coraz szybciej. - Powiódł wzrokiem po podwórzu, jakby widział na nim coś więcej niż tylko starego oliwkowozielonego chevy stojącego przy ulicy.

- Co się dzieje, gdzie wy jesteście? - zawołała z kuchni mama. - Nie zamierzam sama piec ciasteczek, skoro wy dwoje możecie mi pomóc.

Wbiegłam do środka, a Earle wolno podążył za mną, po czym rozsiadł się na kuchennym krześle, odwróconym tyłem do przodu, aby mógł wesprzeć się podbródkiem o oparcie.

- Po prostu chcesz posłuchać moich opowieści, siostrzyczko.

- Raczej kłamstw. - Mama podała mi sito i miskę mąki, a następnie usypała pomiędzy mną a Earle'em kopczyk z orzechów. Wzięła wielki nóż rzeźnicki i zaczęła siekać nim orzechy. - Wiesz, Kostko, Earle w dzieciństwie, kiedy jeszcze chodził do szkoły, miał brązowe włosy. Ale z każdym dniem coraz bardziej ciemniały.

Spojrzała na brata i uśmiechnęła się krzywo.

- Jak sądzisz, Earle, czy to szkoła, czy grzeszki sprawiły że włosy masz czarne jak smoła?

Earle zgarnął garść orzeszków, skubnął palcami kosmyk włosów spadający mu na czoło i westchnął posepnie.

- Ależ oczywiście, że szkoła, siostrzyczko. To dlatego musiałem ją rzucić, przecież wiesz. Trzeba było przerwać ten proces, dopóki nie posunie się za daleko. Gdyby to trwało dalej, moje włosy stałyby się tak czarne, że zaczęłyby pochłaniać światło słoneczne docierające do całego hrabstwa Greenville. Pola przestałyby dawać plony, a dzieci chodziłyby głodne przez moją egoistyczną chęć poznania tajników algebry i geografii. Musiałem z tym skończyć i przyjąć pracę przy budowie nowego pasa startowego w bazie lotniczej. To jedyne, co mogłem uczynić, by ocalić nas przed śmiercią głodową i długą, bardzo zimną nocą.

- Ach, ty! - Mama lekko klepnęła Earle'a po ramieniu. - Nie mogę nic powiedzieć, żebyś nie zaczął opowiadać tych swoich okropnych kłamstw. -

Wyjęła wałek i oparła się na nim, rozgniatając ostatnie kilka orzeszków. - Bóg słyszy twoje słowa, Earle. I któregoś dnia cię z nich rozliczy. A wówczas, przysięgam, nie wybronisz się z tego wszystkiego.

Wujek Wade i ciocia Alma kłócili się przez wiele tygodni, od czasu do czasu ciocia Carr i mama próbowały interweniować, aż w końcu ciocia Carr musiała wrócić do Baltimore, tatkę Glena zwolnili z fabryki pepsi, a mama zaczęła harować, aby częściej odwiedzać ciocię Almę. Nic nie wskazywało, że tamtych dwoje znowu się zejdzie, ale też oni nie sprawiali wrażenia zbyt tym przejętych. Ciocia Alma zarzekała się, że nie przyjmie znów do siebie Wade'a, choćby na klęczkach przeszedł główną ulicę, przyznając się do tego, jaka zeń kanalia, ale kiedy najmłodsze dziecko zachorowało i chłopcy zaczęli wychodzić nocami, poddała się i znów z nim zamieszkała.

- Wiedziałam, jakie z niego ziółko, kiedy za niego wychodziłam - rzekła do mamy Alma. - Chyba nie może być gorszy od innych facetów.

Mimo to była tak zła, że przez kilka miesięcy nie wróciła do ich wspólnej sypialni. Traktowała Wade'a jak lokatora w jego własnym domu i prawie się do niego nie odzywała, dopóki jej nie przeprosił. Z początku wujek Wade był nieugięty, groził, że ciocia Alma trafi do piekła za to, że traktuje go jak obcego. Ostatecznie jednak przeprosił, choć dodał, że w jego mniemaniu nie zrobił nic złego.

- Mężczyzna ma swoje potrzeby - mówił wszystkim, od tatki Glena po pracownika stacji paliw przy White Horse Road. - Mężczyzna ma swoje potrzeby, a ona była w ciąży. Miałem ryzykować, że skrzywdzę dziecko w jej łonie?

Żałosna skarga Wade'a stała się powodem do żartów każdej z ciotek.

- Mężczyzna ma swoje potrzeby - powtarzały, zaśmiewając się, przy każdym wspólnym spotkaniu. - A co waszym zdaniem mają kobiety?

- Mężczyzn! - odpowiadała za każdym razem jedna z nich, chichocząc. A potem wszystkie śmiały się do łez. Nie byłam pewna, co je tak bawiło, ale też się śmiałam. Lubiłam być z moimi ciotkami, czułam się wówczas jak kobieta, jakbym należała do jakiegoś potężnego kręgu, do którego nie mieli wstępu moi wielcy prymitywni chłopcy - kuzyni, ani cały świat wyniosłych, apodyktycznych, spluwających co drugie słowo mężczyzn.

Rozdział siódmy

- Obym nigdy nie przyłapała cię na kradzieży - rzekła mama podczas jednego z jej rzadkich wykładów, po tym jak kuzyn Grey został złapany, gdy wynosił ze sklepu butelkę coli. - Jeżeli czegoś chcesz, wystarczy, że mi powiesz, jeśli uznam, że naprawdę tego potrzebujesz, znajdziemy jakiś sposób, abyś to dostała. Ale nie życzę sobie, żeby moje dziecko zostało przyłapano na kradzieży.

Wzięłam sobie słowa mamy do serca i chodziłam z moimi kuzynami, Garveyem i Greyem, zdecydowana, aby nie dać się złapać i nie powiedzieć o niczym mamie. Jednak któregoś dnia, kiedy zwinęłam po dwa batoniki Tootsie Rolls dla Reese i dla mnie, mama ujęła mnie za ręce i skrzywiła się, jakby miała się rozplakać.

- Skąd je masz?

- Od wujka Earle'a - rzuciłam niepewnie.

- Nieprawda. - Mama nachyliła się w moją stronę.

- Od cioci Almy. - Staralam się przybrać niewinną minę.

- Nie kłam. - Bruzdy na jej twarzy wyglądały jak głębokie rzeki, płynące na południe, w stronę Charlestonu. - Mów prawdę.

Rozplakałam się.

- Byłam dziś rano z Greyem i Garveyem w śródmieściu u Woolwortha. Mama palcem wskazującym starła łzy z moich policzków. I swoje również.

- To wszystko? Ile w sumie wzięłaś?

- Jeszcze dwa, mamó. Jeden zjadłam, a drugi dałam Reese.

Mama odchyliła się na krzesło do tyłu i puściła moje ręce. Wyjęła papierosa z paczki i zapaliła. Siedziałam nieruchomo, obserwując ją i czekając. W kącikach moich oczu zbierały się łzy i musiałam odwrócić się, by wytrzeć je o ramię, ale przez cały czas przyglądałam się mamie, która siedziała i paliła papierosa, nie patrząc na mnie. Pocierała palce prawej dłoni jak konik polny swoje odnóża; widziałam sporo takich koników polnych, wspinających się na długie żdźbła trawy w ogrodzie przy domu cioci Raylene. Jej usta poruszały się bez przerwy, jakby oblizywała zęby albo chciała coś powiedzieć, ale milczała przez dłuższą chwilę, po prostu siedziała na krzesle, wyglądając przez otwarte okno i paląc papierosa.

- Znasz swego kuzyna Tommy'ego Lee? Najstarszego syna cioci Ruth? Zmarszczyłam brwi, próbując przypomnieć sobie nazwiska. Znałam Dwighta, Luciusa, D.W, Grahama, och tak, Tommy'ego Lee i Butcha. Ciocia Ruth miała tylko dwie córki i sześciu synów, większość z nich powiązała się w pary w

kregu własnej rodziny. Wszyscy wyglądali tak podobnie, że nie potrafiłam przypomnieć sobie nikogo więcej oprócz Butcha i w sumie widywałam go dość rzadko, odkąd wyjechał z najstarszą córką Ruth, Mollie, do Oklahomy. Młodszy chłopcy zjawiali się czasem, by pomócować się ze mną i Reese, częstowali nas cukierkami i opowiadali różne historie. Starsi mieli zapadnięte oczy i szerokie, zmęczone, męskie twarze i zazwyczaj patrzyli na nas spode łba. Nie umiałam wskazać, który z nich to Tommy Lee, choć słyszałam, co ludzie mówili na jego temat - o tym jakim był twardzielem, o jego dziewczynach, niewyparzonym języku, odsiadkach w więzieniu stanowym i bójkach, w które się wdawał.

- Jest naprawdę zły - rzekła mama, wciąż spoglądając przez okno. - Zły do szpiku kości. Okrada swoją mamę. Mnie też kiedyś okradł. Nie zostawiaj przy nim portmonetki ani żadnej rzeczy, którą mógłby sprzedać. Któregoś dnia zwędził nawet należące do Deedee klasery ze znaczkami i wymienił je na jakąś bezużyteczną rzecz. - Spojrzała na mnie przez chwilę, brąz jej źrenic załśnił jak omszałe kamienie wyzierające spod wody. - Pamiętam, kiedy byliśmy jeszcze dziećmi, on zawsze kradł cukierki, aby je potem rozdawać. Teraz coraz częściej opowiada, że sam padł ofiarą kradzieży i ma na wszystko przekonujące wytłumaczenie. Nie potrafi utrzymać się w pracy, bo ludzie opowiadają kłamstwa na jego temat. Kradnie, bo świat potraktował go okrutnie. To wierutne bzdury. On po prostu jest zły, zepsuty do szpiku kości. Okrada swoją mamę i siostry, okrada własną rodzinę.

Opuściłam głowę. Przypomniałam sobie, jak Grey mówił mi, że od Tommy'ego Lee nauczył się forsować zamki i kłódki i że Tommy Lee to najbardziej załgany człowiek w całym Greenville.

- Ten chłopak umie o sobie zadbać. Nikomu nic nie zawdzięcza. Nikomu nic nie jest winien.

Kiedy Grey to mówił, zaczerwienił się z szacunku i zazdrości, ja poczułam dokładnie to samo, ja też chciałam umieć o sobie zadbać, otwierać zamki, odpalać auto bez kluczyka czy kraść rzeczy ze sklepu w taki sposób, aby nikt się nie zorientował. Ale okradać własną matkę! Moje oblicze spochmurniało od zawstydzenia i gniewu. Ja nie byłam taka. Nigdy nie okradłabym mamy.

Dłoń mamy dotknęła mojego podbródka; musnęła policzek i pogładziła po włosach.

- Jesteś moją chlubą. Wiesz o tym? Ty i twoja siostra to wszystko, co mam i co kiedykolwiek będę mieć. Sądzisz, że pozwoliłabym, abyś wyrosła na złodziejkę?

Pokręciłam głowę. Łzy znów pociekły mi z oczu i na dodatek dostałam czkawki. Mama przyniosła wilgotną ściereczkę, abym przetarła nią twarz.

- Nie płacz, kochanie. Wszystko będzie dobrze. Zajmiemy się tym, będzie dobrze.

Włożyła batoniki do papierowej torby i dała mi garść drobniaków. Przez cały czas mówiła, czesząc najpierw mnie, a potem siebie, zawołała Reese i kazała jej zostać na ganku, zmniejszyła płomień pod fasolą, którą gotowała na kuchence, i odprowadziła mnie do auta. Opowiedziała mi o czasach, kiedy ona i ciocia Raylene były jeszcze małe, jak pracowały u tego faceta przy Old Henderson Road, zbierając truskawki za parę centów, codziennie, przez dobrych parę tygodni, przechodząc wśród rzędów i zbierając te czerwone, dojrzałe, aby mógł je sprzedać na swoim przydrożnym straganie.

- Wciąż nam powtarzał: „Tylko te dojrzałe”, ale było tak gorąco, a kurzu tyle, że czasami zrywałyśmy też te mniej dojrzałe, na wpół zielone. Chowałyśmy je pod tymi czerwonymi. Ludzie kupowali łubiankę, a potem po powrocie do domu, gdy znaleźli dużo zielonych truskawek, dzwonili do niego ze skargami. On się denerwował, ale my byłyśmy jeszcze małe i jego krzyki nie robiły na nas żadnego wrażenia, dopóki dostawałyśmy pieniądze za nasz wysiłek.

- He wam płacił?

Mama machnęła ręką, jakby to nie miało znaczenia.

- Za mało, zdecydowanie za mało. Zbieranie truskawek to prawdziwa mordega, bolą cię oczy i plecy. Cała jesteś w soku i szczypią cię palce.

Pieniędzy było za mało nawet jak dla dziecka, nawet jeżeli mogłaś zjeść tyle truskawek, ile zdołałaś. Choć po pewnym czasie już nie mogłam na nie patrzeć.

- Zaśmiała się. - Rzecz jasna Raylene zjadała ich sporo. Pochłaniała je całymi garściami jak jagody. A później miała czerwony język.

Zatrzymała wóz pod sklepem Woolwortha, zgasiła silnik i siedziała przez chwilę z dłońmi na kierownicy. Zajrzałam przez wielkie okno wystawowe do środka, na półki pełne koszyków piknikowych, blaszanych biurowych koszy na śmieci i bawełnianych letnich bluzeczek bez rękawów, wiszących na wieszakach obok tandetnych pluszowych zwierzaków i trzykołowych rowerków z wielobarwnymi ozdobnymi paskami przy kierownicy. Na myśl, że miałam tam wrócić z mamą, poczułam ucisk w żołądku i zrobiło mi się niedobrze. Byłam na nią zła. Czemu nie wystarczyło jej, że obiecuję, iż nigdy więcej tego nie zrobię? Gdy położyła mi rękę na ramieniu, mimowolnie się wzdrygnęłam.

- Twoja babcia dowiedziała się, co robiłyśmy, bo byłyśmy leniwe i wrzucałyśmy na dno łubianek coraz więcej zielonych truskawek. Dziadek skwitował to śmiechem, ale twoja babcia potraktowała tę sprawę poważnie, któregoś popołudnia przyjechała tam i opróżniła pół tuzina łubianek. Wybrała

wszystkie zielone truskawki - było tego całe wiaderko - i zapłaciła za nie temu facetowi. Potem zawiozła nas do domu, posadziła przy stole w kuchni i zmusiła, żebyśmy zjadły te wszystkie zielone truskawki, co do sztuki. Raylene i ja wymiotowałyśmy później przez całą noc.

- Musiałaś jej nienawidzić.

Mama milczała, a ja się zaniepokoiłam. Nie chciałam, aby sądziła, że ją znienawidziłam. Nawet nie chciałam się na nią złościć. Zacisnęłam zęby i próbowałam powstrzymać łzy cisnące mi się do oczu.

- Nie można tego zrobić inaczej - rzekła półgłosem. - Nienawidzę tego. Ty również. Może mnie za to znienawidzisz. Nie wiem i nie mam pojęcia, co się teraz stanie. Ale nie widzę innego sposobu, w jaki mogłybyśmy to załatwić. Wejdziemy tam, oddamy temu panu batoniki, zapłacimy za te, które zjadłaś, i po wszystkim. Kiedy się już z tym uporamy, nie będziemy więcej do tego wracać. Sprawa zostanie zamknięta.

Mama energicznie otworzyła drzwi, a ja pomaszero wałam za nią jak na ścięcie. Miała rumieńce na policzkach, kiedy podchodziła ze mną do stoiska ze słodyczami, zaczekała, aż ekspedientka podejdzie do lady i wypchnęła mnie przed siebie.

- Moja córka chce pani coś powiedzieć - rzekła i lekko mnie szturchnęła.

Ale ja nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Wyciągnęłam spod siebie torbę i drobniła, po czym znów się rozplakałam, szlochałam naprawdę głośno. Dziewczyna wyglądała na zakłopotaną, ale mama nie powiedziała nic więcej, tylko znów mnie szturchnęła. Byłam pewna, że udławię się własnym językiem, kiedy podszedł do nas kierownik sklepu.

- O co chodzi? - zapytał grzmiącym głosem. - Co to jest? Masz coś dla nas, dziewczynko? - Był masywnym mężczyzną o szerokiej twarzy i dużym brzuchu wylewającym się spod mocno opiętej koszulki. Pochylił się, zniżając twarz do mojego poziomu, i poczułam ostry zapach jego wody po goleniu. - Masz tu coś, prawda, kochanie? - Wyglądał, jakby z trudem tłumił śmiech.

I nagle rozzłościłam się, byłam zła na niego i wyrzuciłam to z siebie. Wcisnęłam mu do ręki torbę i pieniądze.

- Ukradłam je. Przepraszam. Ukradłam to.

Mama ścisnęła moje ramię i usłyszałam jej ciche westchnienie. Zamknęłam na chwilę oczy, aby nie rozzłościć się na nią tak jak na tego pana.

- Uhm-hm - mruknął. - Rozumiem. - Znów na niego spojrzałam. Grzebał w torbie, policzył batoniki i pokiwał głową. - Bardzo się cieszę - powiedział głośno - że w porę się pani zorientowała, co zaszło. - Skinął głową na mnie. -

Masz szczęście, młoda damo, wielkie szczęście. Mama cię kocha. I nie chce, abyś wyrosła na złodziejkę.

Cofnął się i podał pieniądze ekspedientce. Wyciągnął rękę, jakby chciał pogłodzić mnie po głowie, ale zrobiłam krok do tyłu, tak że musiałby wychylić się do przodu, aby mnie dotknąć. „Sukinsyn - powiedziałyby o nim Grey - oślizgły skurwieli, pewnie cały dzień zażera się batonikami”. Postanowiłam, że jeśli znów wyciągnie do mnie rękę, ugryzę go, lecz on tylko na mnie patrzył, długo i z przejęciem. Wiedziałam, że powinno być mi wstyd, ale wcale się tak nie czułam. Byłam wściekła. Chciałam go kopnąć, zwymiotować na niego albo wykrzyczeć jego nazwisko na całą ulicę. Im dłużej na mnie patrzył, tym bardziej go nienawidziłam. Gdyby spojrzenie mogło zabijać, padłby trupem. Wyraz jego oczu zdradził mi, że facet doskonale wiedział, o czym teraz myślałam.

- Wyświadczę twojej mamie przysługę. - Uśmiechnął się. - Pomogę jej i dam ci odczuć powagę popełnionego przez ciebie występku.

Mama zacisnęła dłoń na moim ramieniu, ale nic nie powiedziała.

- Zrobimy tak - oznajmił - przez pewien czas nie będziesz mogła tu przychodzić. Umówimy się, że kiedy twoja mama uzna, że dostałaś już wystarczającą naukę, może tu wrócić i porozmawiać ze mną. Ale do tej pory dobrze zapamiętamy sobie twoje nazwisko i twój wygląd. - Znów lekko się pochylił. - Rozumiesz mnie, kochanie?

Zrozumiałam. Przede wszystkim to, że od tej pory nie miałam wstępu do sklepu Woolwortha. Czułam przez bluzkę ciepło dłoni mamy i wiedziałam, że ona również nigdy więcej tu nie wróci, już nigdy nie stanie twarzą w twarz z tym oślizgłym, odrażającym typem. Powiodłam wzrokiem dokoła, lustrując półki pełne barwnych grzebieni, wstążek, myjek i skarpet, notesów, lalek i baloników. I poczułam głód, przerażający, nienasycony głód w moim wnętrzu, przeszywający mnie na wskroś, jakby pałący gniew strawił wszystko, co wcześniej zjadłam.

Potem za każdym razem, kiedy mijałam sklep Woolwortha, to uczucie powracało, ten przyprawiający o zawroty głowy głód przesycony nienawiścią i dojmującym pragnieniem odwetu. Zorientowałam się, że tę samą wściekłość i głód czuł Tommy Lee, kiedy dobierał się do portmonetki swojej mamy. Ten głód krył się nie w żołądku, lecz w gardle, a towarzyszącą mu bezdenną pustkę wypełniało echo niemego krzyku. Za każdym razem gdy odwiedzaliśmy rodzinę tatki Glena, ten głód pulsował i narastał w moim gardle, i koniec końców stałam w milczeniu, wygłodniała, pośród krzątających się tam i z

powrotem członków rodziny, otoczona hałasem i całym mnóstwem rozmaitych potraw.

Bracia tatki Glena różnili się od Boatwrightów nie tylko tym, że byli prawnikami i dentystami, a nie mechanikami i dekarzami. W rodzinie tatki Glena kobiety siedziały w domu. Jego mama nie przepracowała w życiu ani jednego dnia, a Daryl i James źle się wyrażali o kobietach, które zostawiały dzieci, aby pracować poza domem. Jego ojciec, Bodine Waddell, był właścicielem mleczarni Sunshine i regularnie zatrudniał i zwalniał mężczyzn takich jak moi wujkowie, o czym nigdy nie pozwalał nam zapomnieć.

- Piekielnie dumny jak na kogoś, kto hoduje krowy - powiedział kiedyś o nim Beau, a Glen z miejsca się obruszył.

- Tato nie musi zajmować się krowami - rzekł do Earle'a. - Farmerzy z całego hrabstwa przywożą nam mleko albo sam je od nich skupuje. Tato tylko przetwarza mleko, butelkuje pod znakiem firmowym Sunshine, a jego ciężarówki je rozwożą.

- Ach, tak. - Earle pokiwał głową ponuro. - To wielka różnica. Facet nie hoduje krów, ale nabywa prawa do ich wymion.

Glen wyglądał tak, jakby chciał wrzasnąć albo może splunąć, lecz opanował się.

- Ani słowa o moim tacie. - To zabrzmiało prawie jak warknięcie. - Ani mru-mru.

Na tym Earle i Beau zakończyli temat. Glen nic nie mógł poradzić na to, że jego ojciec był dupkiem, a prawdziwy facet wie, że lepiej nie mówić tego typu przykrych prawd mężczyźnie prosto w oczy. W miarę upływu czasu Glen zaczął zachowywać się coraz dziwniej, jeżeli chodzi o jego rodzinę, w jednej chwili skarżył się, że źle go traktowano, w następnej wszystkich rozgrzeszał. Co gorsza, uparł się, że wszyscy musimy odwiedzać jego tatę i braci, przy każdej nadarzającej się uroczystości rodzinnej, choć doskonale zdawałam sobie sprawę, że nie byliśmy tam mile widziani. Bywaliśmy w domu papy Waddella co najmniej raz na dwa miesiące. Jadąc pontakiem z opuszczonym dachem i strzępami papierów walającymi się na podłodze, Reese i ja nachylałyśmy się w stronę przednich foteli, aby patrzeć, jak mama w silnych porywach wiatru przytrzymuje nienaganną fryzurę i słucha kłamstw tatki Glena.

- Nie zabawimy tam długo - obiecywał zwykle, a mama uśmiechała się, jakby to było jej obojętne. Zaciskałyśmy zęby. Wiedziałyśmy, że nie będzie miał dość ikry, aby wyjść, zanim ojciec pouczy go we wszystkich możliwych sprawach, które Glen zawałił w swoim długim, zmarnowanym, pełnym zawodów i niepowodzeń życiu.

- Wasz tatko chce, aby ojciec był z niego dumny - powiedziała kiedyś mama.
- To łamie mi serce. Staje się wtedy kompletnie nieobliczalny.

Miała rację. Przy ojcu Glen wydawał się niepewny siebie i aż nazbyt ostrożny. Okropnie się pocił i ani na chwilę nie odrywał wzroku od twarzy ojca, jakby bał się, że mógłby coś przeoczyć. Podciągał spodnie jak mały chłopiec, a gdy ktoś go o coś zapytał, spuszczał wzrok. Trudno było wyobrazić go sobie takiego, jaki był na co dzień, zadziornego, buńczucznego koguta, który nazywał siebie moim tatką.

- Glen jest za bardzo porywczy - powiedział kiedyś żartobliwym tonem wujek Earle. - Lepiej, żeby nikt nie nadepnął mu na odcisk. Chłopak rzuci ci się do gardła i przegryzie je, nim się obejrzysz.

To była prawda. Nieraz po powrocie ze szkoły zastawałam mamę i Glena przy stole w kuchni, a smętne oczy i blada twarz świadczyły, że znów pobił kogoś, kto krzywo na niego spojrział, albo powiedział coś uszczypliwego i ponownie stracił pracę.

- Ten facet nie potrafi trzymać nerwów na wodzy - poskarżyła się babcia, ale wbrew sobie uśmiechnęła się pod nosem. Jak wszyscy zresztą. To była jedyna rzecz, która uchroniła tatkę Glena przed pogardą ze strony Boatwrightów. Jego berserkerski szal był jedynie cieniem osławionych rozrób męskiej części rodu Boatwrightów.

- Zadrzyj z tymi chłopakami, a zbierzesz nie burzę, lecz cały huragan - mawiano o moich wujkach, a jakiś czas później także o tatce Glenie. Łyżki do opon, widły, trzonki od mopów i zwykłe deski miały niemiły zwyczaj giąć się lub łamać, gdy trafiały do rąk tatki Glena. Jego twarz czerwieniała, dłonie zaczynały drżeć, potem na jego szyi pojawiała się pulsująca żyła, mięśnie poruszały się gwałtownie, usta rozchyłały się i spomiędzy wydętych warg strzelała strużka śliny. A potem wypływał potok słów, które wcale nie miały być zrozumiane. „O żeż ty kurwa twoja w dupę rżnięta wredna mać!” Te magiczne słowa sprawiały, że inni mężczyźni rejterowali, unosili dłonie w uspokajającym geście i szeptali łagodnie: „Daj spokój, Glen, wyluzuj, uspokój się Glen, daj spokój, chłopie...”.

- Twój tatko to też niezły skurwiol, kompletny szajbus, nie ma co - mawiał Grey z wyraźną trwogą w głosie, jakby sam chciał być choćby w połowie tak groźny.

Ja tylko się uśmiechałam, kiwałam głową i przygryzałam usta od wewnątrz, a w myślach widziałam na przemian dwa obrazy: pokrzykującego na mnie tatkę Glena, z twarzą pociemniałą z wściekłości, i drugi, zupełnie odmienny, tatkę

Glena w domu jego ojca, siedzącego ze zwieszoną smętnie głową i strużką śliny zwieszającą się z dolnej wargi.

- Nie cierpię tam jeździć - rzekła mama - nie znoszę stać tam i czekać, aż jego papcio łaskawie zechce nas zauważyć.

Rozczesała włosy, po czym upięła je wprawnie kilkoma niedużymi spinkami. Reese i ja stałyśmy nieruchomo i w milczeniu. Wiedziałyśmy, że nie powinnyśmy zwracać uwagi, gdy mama mówiła o rodzinie tatki Glena.

- Czyje są dziś urodziny? - To pytanie było w miarę bezpieczne, bo zawsze były czyjeś urodziny, ślub albo chrzciny. Waddellowie nie mieli tylu kuzynów, wujków i ciotek co my, ale ich kobiety też rodziły dzieci i stale ktoś coś świętował.

Którejś niedzieli okazja była podwójna, urodziny Jamesa i jednego z jego chłopaków.

- Jednego z jego synów - poprawiła mnie Madeline, bratowa tatki Glena. - Chłopaki to są u szewca.

Jeszcze jak, pomyślałam wpatrując się w mego opasłego kuzyna w spodniach odprasowanych w kant, ośmioletnią kopię jego tłustego, paskudnego ojca.

Poczęstowano nas herbatą w ogrodzie na tyłach, tylko nas, dzieciaki Anney, jak o nas mówiono. Ich dzieci wbiegały i do domu wybiegały, hałaśliwe, krzykliwe, drapiące paznokciami o polerowane meble, tupiące w klepki podłogi jak stado słoni i roznoszące błoto na grube, barwne dywany.

- Tym małym gnojkom przydałoby się przetrzepać skórę. - Mama siedziała z nami przy stoliku piknikowym w ogrodzie, gdzie nikt nie mógł jej usłyszeć. Przychodziła do nas, do stolika, przy którym siedziałyśmy w wykrochmalonych, czystych sukienkach z niewzruszonymi twarzami. Reese i ja byłyśmy spocone i czułyśmy się źle, próbując nie wiercić się na ławeczce, grzecznie się zachowując przez wzgląd na mamę i nie wchodząc w drogę dzieciakom, które nienawidziły nas równie mocno jak my ich.

- Kiedy stąd pójdziemy? - pytałyśmy mamę, wiedząc, że i tak nie doczekamy się konkretnej odpowiedzi.

- Niedługo - odpowiadała i drżącymi dłońmi zapalała kolejnego papierosa. Mama nie paliła w domu papy Waddella, choć nikt nigdy otwarcie jej tego nie zabronił. Po prostu w ich domu nie wystawiano popielniczek. Ja jednak widziałam kiedyś, jak Madeline pali przy zlewie w kuchni i strząsa popiół do otworu odpływowego. Zaczęłam się zastanawiać, czy wszyscy wychodzili do kuchni albo łazienki, aby zapalić, a przez resztę czasu udawali, że nie mają tak paskudnych nałogów.

- Czy możemy już wrócić do domu?
- Nie. James chce pokazać tacie nową kosiarkę.
- Wydawało mi się, że kupił nową w zeszłym roku.
- To jest jedna z tych, na której możesz jechać, równocześnie kosząc trawę.
- Nie wydaje mi się, aby ten trawnik był dostatecznie duży, aby potrzebowali takiego sprzętu.

- Cóż. - Mama parsknęła śmiechem. - Wątpię, aby James kupował cokolwiek dlatego, że jest mu to potrzebne.

Otrzeptała się starannie, mimo iż nie miała na sobie ani odrobiny popiołu.

- Bądźcie grzeczne, dziewczynki, i bawcie się ładnie.

Siedziałyśmy w bezruchu, byłyśmy bardzo grzeczne, tak że prawie bałyśmy się drgnąć. „Tak, psze pani. Nie, psze pani”. Siedziałyśmy sztywno i nie odzywałyśmy się niepytane, próbując sobie wyobrazić, że tatko Glen wyjrzy, zobaczy, jakie jesteśmy dobrze wychowane i powie, że jest z nas dumny. Jego rodzina obserwowała nas przez okna. Z tyłu za nimi regały pełne książek i obrazy w złoconych ramach zdawały się ze mnie drwić. Jak Reese i ja mogłyśmy być godne tego wszystkiego, róż w ich ogrodzie, promieni słońca odbijających się w szybach i rozjaśniających kwieciste zasłony, zastawy z chińskiej porcelany w przeszklonym kredensie? Patrzyłam na grzbiety tych książek i chciałam tego wszystkiego, tych książek, mebli, ogrodu, wielkiej, otwartej kuchni z zastawą na każdy dzień tygodnia i na szczególne okazje, zamrażarki i pluszowych siedzeń na krzesłach w salonie. Reese pociągnęła mnie za rękę, chciała, żebym z nią porozmawiała, ale nie mogłam wykrztusić z siebie słowa, bo głód ścisnął mi gardło.

Zza różanych krzewów dobiegły mnie głosy Daryla i Jamesa.

- Spójrz na ten wóz. Taki gruchot nadaje się tylko dla czarnuchów.

- A czego się spodziewałeś? Zobacz, kogo sobie wziął.

- Ona i te jej bachory pasują do tej landary...

Odgarnęłam kosmyki czarnych włosów sprzed oczu i spojrzałam na jedną z moich szerokoustych kuzynek, wystrojoną w białą sukienkę z bufiastymi rękawami, ona także patrzyła na mnie, drapiąc się po nosie, patrzyła na mnie jak na słonia w zoo, jak na coś głupiego, szpetnego, czego nie sposób zranić. Co jej o nas powiedziano? Ze nie jesteśmy jej prawdziwą rodziną, tylko wrednymi dzieciakami żony szurniętego wujka? Nie jesteś moją krewną, nie jesteś moją rodziną, wyszeptałam pod nosem. Nowe, przerażające słowa przebiegły mi w głowie, podczas gdy powiewy wiatru chłodziły moją szyję. Reese nielecho się zdziwiła, gdy nagle wstałam, wygładziłam spódniczkę i przemaszerowałam przez sam środek różanego klombu Madeline.

Wyciągnęłam ręce i wodziłam nimi delikatnie po kolczastych łodyżkach i miękkich kwiatach, zrywając mijane pąki, otwierałam je jeden po drugim, obrywając płatki i wrzucając je sobie za sukienkę. Podkasałam nawet sukienkę i kilka płatków wpadło mi do majtek. Zwolniłam jeszcze bardziej, aby poczuć wilgotną jedwabistość kwiatów dotykających mojej skóry.

Złodziejskie śmieci - pomyślałam, wyobrażając sobie głos cioci Madeline, z charakterystycznym, lodowatym akcentem i gorzkie słowa jej męża. „Śmieci, bez dwóch zdań” - mruknęła pod nosem, ale zabrałam tylko róże. Nie ma takiego głodu, który mógłby skłonić mnie, abym wzięła od nich coś więcej. Poczułam za oczami żar rozpalający wszystko, na co spojrzałam. Ten żar był niebezpieczny. Pragnął wydostać się z mego wnętrza i spalić wszystko, co napotkałam na swojej drodze, wszystko, co mieli oni, a na co nas nie było stać, wszystko, co sprawiało, że uważali się za lepszych od nas. Stałam w ogrodzie i wirowałam w koło bez końca, emanując żarem, wściekłością i słodką wonią zniszczonych kwiatów.

Rozdział ósmy

Byłam niespokojną, kościstą dziesięciolatką, kiedy przeprowadziliśmy się do West Greenville, aby tato Glen miał bliżej do nowej pracy, zakładów włókienniczych, gdzie najął się jako komiwojazer. Pakując do pudeł garnki i talerze, mama znalazła w składziku resztki węzła miłości, otrzymanego od cioć Maybelli i Marvelli. Zostały z niego szczątki utrzymywane razem przez kurz - przetrwał tak długo tylko dlatego, że wpadł pomiędzy jedną a drugą doniczkę. Myszy przegryzły wstążkę, którą związane były włosy, a owady zdjęły się krwią i większością ziół. Mimo to wewnętrzny węzeł na kawałku starej koronki wciąż jakimś cudem się trzymał. Mama rozpoznała go po kolorze.

- To prezent weselny od ciotek z Eustis - rzekła do mnie mama, ale ja już o tym wiedziałam z opowieści babci.

Kiedy mama ostrożnie próbowała podnieść starą pamiątkę, ta rozpadła się w proch. Poczułam ucisk w żołądku i położyłam ręce na brzuchu. Mama zniecierpliwiona zamiotła cały składzik i spakowała kosze na bieliznę.

- Domowa magia - mruknęła do mnie.

W tym tygodniu Marvella obudziła się w nocy, bo śniła, że jej włosy zmieniły się w druty kolczaste, a Maybelle zerwała się nad ranem przekonana, że króliki wyjadły całą fasolę. Zamiast tego okazało się, że pies wygrzebał plaster miodu i rozerwał koronkową wstążkę. Żadna z nich nie próbowała tłumaczyć drugiej, co to mogło oznaczać.

Nowy dom w West Greemille znajdował się tak daleko od domów naszych ciotek, że rzadko mieliśmy okazję je odwiedzać. Babcia wciąż opiekowała się Reese, kiedy tylko mogła, ale nie było mowy o zawożeniu jej do Almy i mama postanowiła, że już najwyższy czas, abym zadbała o nas obie, gdy ona będzie akurat w pracy. Od tej pory widywałyśmy babcię tylko w niedziele, kiedy mama pozwalała tatce Glenowi pospać i zabierała nas w odwiedziny do cioci Ruth lub Almy.

- To nie do zniesienia, że jesteście tak daleko - skarżyły się jej siostry, ale mama się tylko uśmiechała i opowiadała im, jaki mamy fajny dom i jak ciężko pracuje tato Glen. Dom faktycznie był ładny, z dużym podwórkiem, ale co za tym idzie, więcej kosztował i mama musiała brać nadgodziny, aby zarobić parę groszy ekstra. Nic nie wskazywało na to, aby nowa praca tatki Glena okazała się tak intratna, jak się tego spodziewali.

- Wasz tatuś musi teraz bardzo ciężko pracować - powiedziała nam mama. - Bądźcie cichutko, kiedy wraca do domu. Nie wchodźcie mu w drogę i pozwólcie mu odpocząć. On was kocha - stale powtarzała i mówiła to z

przekonaniem, ale wyglądało na to, że tatko Glen wciąż wyciąga ręce w moją stronę, jego palce drżały, gdy dotykał mojej skóry, jakby coś go do mnie przyciągało i odpychało ode mnie zarazem. Patrzyłam na niego ostrożnie, czujnie i widziałam, jak przygląda mi się, jakbym była czymś niewyobrażalnym i dziwnym.

- Mamę przypominasz tylko wtedy, kiedy śpisz - rzekł kiedyś.

Czasem, gdy przebiegałam obok, jego ręce nagle mnie chwyciły, dźwigały w górę i przyciągały. Wówczas wpatrywał się we mnie, potrząsał mną lekko i puszczał.

- Nie biegaj tak - mawiał. - Jesteś dziewczynką, a nie koniem wyścigowym.

Reese i ja żartowałyśmy na ten temat i co dzień po powrocie ze szkoły bawiłyśmy się w konie wyścigowe, przebiegając przez pusty dom i wskakując na duży puf stojący przed jego fotelem. Któregoś dnia ścigałyśmy się jak zawsze po całym domu, ale nie zauważyłyśmy podjeżdżającego auta ani nie zobaczyłyśmy tatki Glena, dopóki nie schwycił mnie swoją wielką dłonią za ramię.

- Co ci mówiłem? - zawołał, podniósł mnie i potrząsnął, aż zakołysała mi się głowa. - Ty suko. Ty mała suko.

Uderzyłam o ścianę. Jak przez mgłę zauważyłam, że Reese ucieka, a potem on wcisnął mnie sobie pod pachę i przeniósł w ten sposób przez cały korytarz, aż do łazienki, kopniakiem zatrzaskał za nami drzwi i puścił mnie.

- Przepraszam, bardzo przepraszam. - Byłam tak przerażona, że zaczęłam się jękać.

- To za mało. Musisz ponieść karę. - Wyciągnął pasek ze szlufek spodni i owinał tę część ze sprzączką wokół dłoni. - Długo na to czekałem, zbyt długo.

Twarz miał bladą, szczęki zaciśnięte, oczy w blasku świetlówki nad lustrem wydawały się prawie czerwone. Cofnęłam się w stronę wanny, byłam przerażona, modliłam się, aby mama jak najszybciej wróciła do domu. Mama by go powstrzymała. Schwycił mnie za ramię i przełożył sobie przez kolano. Zadarł mi spódniczkę i ścisnął ją mocno. Usłyszałam świst paska przecinającego powietrze, to był wysoki, przeraźliwy dźwięk. Poczułam palący ból i krzyknęłam. Tatko Glen zamierzył się do kolejnego ciosu. Krzyknęłam, gdy pasek znów przeciął powietrze, i wrzasnęłam, kiedy dosięgnął! mojego ciała. Wołałam mamę. On krzyczał wraz ze mną, jego ochryple wysokie wrzaski były niemal tak donośne jak moje wysokie piski, a nieopodal, za zamkniętymi drzwiami Reese też zaczęła krzyczeć; wkrótce również dołączyła do niej mama. Wszyscy krzyczeliśmy i nikt nie mógł mi pomóc.

Kiedy tatko Glen otworzył drzwi, mama spoliczkowała go i wzięła mnie w ramiona. On przyłożył dłoń do policzka i patrzył, jak zanoszę się płaczem i wtulałam twarz w jej szyję.

- Ty sukinsynu! - zaklęła mama i puściła wodę, aby obmyć mi twarz.

- To także moja córka - powiedział. - Ktoś musi kochać ją na tyle mocno, aby nie dopuścić, by zeszła na złą drogę.

Twarz miał posępną, obrzmiałą i pozbawioną wyrazu, jakby obudził się z długiego, bardzo długiego snu.

- Nie chcę tego słyszeć! - krzyknęła mama, wypychając go za drzwi. Posadziła mnie sobie na kolanach i obmyła mi twarz, szyję oraz spuchnięte z tyłu uda.

- Och, dziecinko - powtarzała.

Przytuliłam się do niej; w ramionach mamy czułam się bezpieczna. Powietrze dziwnie wpływało na moją skórę, a od krzyku miałam zachrypnięte gardło. Milczałam więc, pozwalając mówić mamie, a i tak nie dosłyszałam połowy jej słów.

- Maleńka - mówiła do mnie. - Och, kochanie. Moje złotko. Coś ty narobiła? Coś ty zrobiła?

Co zrobiłam? Biegałam po mieszkaniu. Co miały znaczyć te pytania? Chciałam, aby mówiła dalej i zrozumiała wszystko bez moich wyjaśnień. Chciałam, aby kochała mnie na tyle, aby od niego odeszła, spakowała nas i zabrała jak najdalej od niego albo go nawet zabiła, gdyby zaszła taka potrzeba. Tuliłam się do niej, aż położyła mnie do łóżka, tuliłam się i pochlipywałam cichutko.

Obudziły mnie ich głosy, echo słów przenikało przez zamknięte drzwi do sypialni. Usłyszałam wszystko, co mówił i jak mama szlocha w jego ramionach. Tatko Glen powiedział, że nazwałam go łajdakiem i biegałam po całym domu, przewracając wszystko i obrzucając go wyzwiskami. Płakał i zaklinał się, że nie chciał tak mocno mnie zbić, nie wiedział, co go do tego popchnęło. Pochlipywał, a potem zaczął tłuc pięściami w materac tak mocno, że aż zaskrzypiały sprężyny.

- Powiedziała, że mnie nienawidzi - rzekł - że nigdy nie będę jej tatą. Wtedy się wściekłem, Anney. Po prostu się wściekłem. Wiesz, o czym mówię? Zdajesz sobie sprawę, jak bardzo kocham was wszystkie? Jak bardzo ją kocham? I, na Boga, Anney! Znów mnie dziś wylali. Bez słowa wyjaśnienia. Jak teraz wykarmię nasze dziewczynki?

Reese leżała ze mną w łóżku, trzymała palce w buzi i miała wielkie, przerażone oczy. Nic nie mówiła. Leżałam nieruchomo, słuchając kłamstw tatki

Glena, i zastanawiałam się, czy wierzył, że mówi prawdę. Wciąż patrzyłam na Reese, na jej dziecięcą buzię - gładką, bez wyrazu i wystraszoną. Szloch mamy powoli zaczął cichnąć. W ciszy, jaka potem zapadła, usłyszałam szept tatki Glena i w odpowiedzi westchnienie mamy. Potem dało się słyszeć skrzywienie łóżka, gdy tatko pocieszał mamę, a ona jego. Seks. Kochali się. Mama wzdychała, pochlipywała, a tatko Glen raz po raz powtarzał jej imię. Spojrzałam w oczy Reese, a potem obie wsłuchiwałyśmy się w wydawane przez nich zduszone odgłosy.

- Rozzłościłaś go - wyszeptwała Reese. - Lepiej uważaj.

Staralam się uważać, ale coś prysło, coś się posypało jak pasemka włosów cioci Marvelli, które obróciły się w pył. Nigdy nie okazywałam się dość uważna, nie umiałam uspokoić tatki Glena ani powstrzymać jego wybuchów wściekłości. W zakładach Dr Peppera przyjęto go jako akwizytora, ale płaca była niższa niż w fabryce odzieżowej. Miał krótkie trasy, przynoszące niewielkie zyski i pracy było za mało jak na pełen wymiar godzin. Przychodził do domu o dziwnych porach, bardzo wczesnie albo dość późno. Mama pracowała coraz dłużej, aby jak najwięcej zarobić, a ja jak najdłużej przebywałam poza domem. Jeżeli wracałam do domu, a on już tam był, zawsze wynajdywał coś, co zrobiłam albo powiedziałam, aby musiał zrobić to, co konieczne, ponieważ mnie kochał. A on mnie kochał. Powtarzał mi to bez końca, tuląc mnie mocno do siebie, a jego drżące ręce poruszały się niespokojnie, dotykając mego brzucha, ud i pośladków.

- Jesteś jak twoja mama - mawiał i tulił swój zarośnięty policzek do mojego.

Nieruchomiałam zawstydzona, ale nie mogłam mu się wyrwać, bałam się, że to go rozzłości, bałam się tego, co mógłby powiedzieć mamie, i równocześnie bałam się zranić jego uczucia. - Tatko - szeptałam, a on odpowiadał: - Nie wiesz, że cię kocham?

Kuliłam się wtedy w sobie. Nie, nie wiedziałam.

Nigdy nie powiedział: „Nie mów o niczym mamie”. Nie musiał. Nie wiedziałam, jak mogłabym komukolwiek powiedzieć, co czułam, co mnie przerażało, zawstydzalo, a zarazem pozwalało mi to wszystko przetrwać, w ciszy i bezruchu, podczas gdy on ocierał się o mnie i wtulał twarz w moją szyję. Nie mogłam powiedzieć mamie. Nie umiałabym wyjaśnić, czemu tam stałam i pozwalałam, żeby mnie dotykał. To nie był seks, nie taki jak wtedy, gdy mężczyzna i kobieta całkiem nadzy obściskują się i z całej siły napierają na siebie nawzajem, ale było w tym coś z seksu, coś potężnego i przerażającego, czego usilnie pragnął, a czego ja nie pojmowałam. Co gorsza, kiedy tatko Glen

trzymał mnie w ten sposób, wtedy jego dłonie były delikatne, kiedy zaś mnie puszczał, zaczynałam się kołysać, bo miałam kompletnie miękkie nogi.

Tatko Glen pachniał potem i coca-colą, płynem po goleniu i papierosami, ale przede wszystkim czymś, czego nie potrafiłam nazwać, czymś kwaśnym, gorzkim i ostrym. Strach. To mógł być strach. Nie wiem jednak, czy był to mój czy jego strach. Nie potrafiłam tego ocenić. Wiedziałam tylko, że zrobiłam coś złego, coś strasznego. Mówił: „Doprowadzasz mnie do szaleństwa” dziwnie beznamiętnym głosem, a ja wzdrygałam się, ale wierzyłam w jego słowa.

Coraz bardziej bałam się tatki Glena, dłoni, które dawały mi w skórę, palców, które wpijały się w ciało, pozostawiając na nim siniaki, kłykci, którymi dotykał mnie pod oczami, rąk, które potrzasały, chwytaly i podnosiły mnie, aby mógł spojrzeć mi prosto w oczy. Moje dłonie były takie małe, palce tak chude i słabe. Chciałam, aby były większe, szersze, silniejsze. Chciałam być chłopcem, aby móc szybciej biegać, dłużej przebywać poza domem albo nawet spróbować odpowiedzieć ciosem za cios.

Grey dał mi czarną piłkę z twardego kauczuku, na tyle małą, że mogłam ukryć ją w dłoni. Zaciskałam ją w rękę, aby nikt jej nie zobaczył. Ćwiczyłam z tą piłką zawzięcie, przetaczając ją między palcami z determinacją, ściszałam ją uparcie, trenując każdy palec obu moich rąk z osobna. Któregoś dnia moje ręce będą silne jak dłonie tatki Glena. Wielkość nie ma znaczenia, mówiłam sobie, pewnego dnia moje dłonie będą mogły stawiać opór jego ręką. Bywały takie dni, kiedy myślałam, że ćwiczyłam z tą piłką, aby wyrosnąć na kogoś takiego jak on, innym razem jednak wiedziałam, że wcale nie o to mi chodziło.

Tej wiosny wujek Earle i tatko Glen pokłócili się o jakieś narzędzia, które rzekomo tatko Glen pożyczył Earle'owi, a których ten nigdy mu nie oddał. Earle poczuł się urażony i przestał nas odwiedzać. Od tej pory tatko Glen zaczął się źle wyrażać o Boatwrightach i łypał na mnie spode łba, gdy pytałam mamę, co miał na myśli, mówiąc o „białych śmieciach”. Żartował sobie, jak często wujkowie upijali się do nieprzytomności, strzelali nawzajem do swoich pikapów i opowiadali sprośne historyjki o bratanicach mamy, które wymykały się na Rhythm Ranch, by napić się whiskey i potańczyć z mężczyznami starszymi od ich ojców. Bez względu na to, co mówił tatko Glen, mama w ogóle się nie odzywała. Jej twarz była przez cały czas zmęczona.

- Nie chcę tego słyszeć - mówiła, kiedy próbowałam opowiedzieć jej o tym, co usłyszałam od babci albo od cioci Almy. - Nie ma nic szlachetnego w strzelaniu do ludzi za to, że krzywo na ciebie spojrzeli.

Wstydziałam się tego, o czym mówił tatko Glen, ale mama wcale się tym nie przejmowała. Z każdym dniem stawała się coraz bardziej cicha i potulna.

Prosiłam ją, by opowiadała mi jak babcia różne historie, ale odparła, że jestem jeszcze za mała, aby je usłyszeć. Może kiedy dorosnę i założę własną rodzinę, zechce powiedzieć mi kilka rzeczy, które jej zdaniem powinnam wiedzieć, ale do tego czasu nie życzyła sobie, abym zadawała jej pytania, na które nie chciała odpowiedzieć. Glen miał rację, rzekła mama, nie chciała, abym wyrosła na podłą kanalię w rodzaju Earle, Beau czy dzikuskę jak Raylene. Kiedy tatko Glen mnie bił, zawsze miał po temu powód, a mama stała tuż za drzwiami łazienki. Potem płakała, przemywała mi twarz i prosiła, abym nie była taka uparta, abym go nie złościła. Obiecywałam, że więcej nie będę, ale zawsze robiłam coś, co doprowadzało tatkę Glena do szewskiej pasji, choć ogólnie trudno go było zdenerwować. Czasami, gdy patrzyłam w jego gorejące oczy i na poczerwieniałą twarz, zdawałam sobie sprawę, że nie bił mnie dlatego, że kiedykolwiek zbroiłam. Robił to z innego powodu. Ja byłam tym powodem, samo to, że żyłam. Widziałam to w jego oczach i w swoich. Byłam zła. Jasne, że tak. Przyznawałam się do tego przed sobą, zaciskając dłonie w pięści i zamykając oczy, by nie widzieć wszystkiego, czego nie rozumiałam.

„Kostka”. To kuzynka Deedee pierwsza tak mnie nazwała, ale gdy mieszkaliśmy w West Greenville, wszyscy tak się do mnie zwracali. Po prostu Kostka.

- Jesteś twarda jak kość, na całym świecie nie ma drugiego równie upartego bachora jak ty! - rzekł do mnie tatko Glen. - Lodowata jak śmierć, podstępna jak żmija i dwa razy bardziej pokrętna.

Tatko Glen był ostrożny, nie bił mnie, kiedy odwiedzała nas któraś z ciotek i rzadko w obecności mamy, z wyjątkiem sytuacji, gdy mógł to złożyć na karb surowej dyscypliny, zaciągał mnie wtedy do łazienki, a mama czekała za zamkniętymi drzwiami. Naprawdę niebezpieczny bywał, kiedy ja i Reese zostawałyśmy z nim same. Jeżeli próbowałam uciekać, rzucał się za mną w pogoń. Potrząsał mną tak, że bałam się, iż odpadnie mi głowa, żartował przy tym, że nawet kury i kozy są twardsze i sztywniejsze od Boatwrightów, a ja w dodatku byłam tylko w połowie Boatwrightówną.

Myślałam o kościach mojej czaszki, twardej, porowatej osłonie mózgu, ; która dawała mi pewność, że niezależnie od wszystkiego, co mogło mnie spotkać, prędzej czy później wrócę do zdrowia. Otuchy dodawał mi żar ; w sercu, moje twarde, nienawistne wnętrze. Splatałam palce z tyłu głowy, zaciskałam zęby i kołysałam się w przód i w tył. Hardość, z jakiej znana była nasza rodzina, odzwierciedlała się u mnie w ogólnym uporze.

Wydawało się, że zawsze coś sobie robiłam i to w sposób, którego mama nie potrafiła pojąć, a ja wytłumaczyć. Mama martwiła się, że jestem ; nieostrożna i

stale ulegam jakimś wypadkom. „Może masz za cienkie kości” - sugerowała i zaczęła kupować mi witaminy. Nie wiedziałam, co mam jej powiedzieć. Gdybym już zaczęła, musiałabym wyjawić jej wszystko, opowiedzieć o sytuacjach, kiedy przyciskał mnie mocno do swego brzucha i przemawiał czule i słodko, słowami, których nie chciałam słyszeć. Wybrałam milczenie, upór i oburzenie, przyjmując kolejne sińce jak coś nieuchronnego. Na potylicy miałam guzy, nie miękkie w dotyku obrzmienia, lecz zgrubiałe warstwy zaleczonej kości. Moje wielkie paluchy stały się płaskie i szerokie po tym, jak złamałam je, jeden po drugim, w odstępie paru miesięcy, wpadając na framugę drzwi, gdy podczas ucieczki obejrzałam się przez ramię.

- Jak to się mogło stać? - pytała mnie mama. To była moja wina, nie powinnam była biegać po domu.

- Stale na coś wpada - poskarżył się tatko Glen. - Całe szczęście, że ta szczeniara ma twardą głowę.

Obserwowałam go spod opuszczonych rzęs, głowę lekko odwróciłam w bok i starałam się, by na moim upartym obliczu nie pojawił się drwiący uśmiech.

- Bądź ostrożniejsza, Kostko - poprosiła mama.

Nie śniłam już na jawie o pożarze. Teraz wyobrażałam sobie, że ludzie patrzą, jak tatko Glen mnie bije, ale tylko wtedy gdy faktycznie mnie to nie spotykało. Kiedy mnie bił, krzyczałam, wierzgałam i szlochałam jak dziecko. Czasami jednak, gdy byłam sama i bezpieczna, wyobrażałam sobie oglądających to ludzi, ktoś musiał się temu przyglądać - jakaś dziewczyna, którą podziwiałam, a która prawie nie wiedziała o moim istnieniu, dziewczyna z kościoła albo z domu przy końcu ulicy, któraś z moich kuzynek lub nawet jakaś postać z telewizji. Niekiedy świadkami tego, co mnie spotykało, była cała grupa ludzi. Nie mogli mi pomóc ani odejść. Musieli patrzeć; w wyobraźni byłam dumna i zuchwała. Patrzyłam na niego gniewnie, zaciskając zęby, nie wydawałam z siebie żadnego dźwięku, nie było wstydliwych krzyków ani błagania. Ci, co to widzieli, podziwiali mnie, a jego nienawidzili. Tak właśnie wyobrażałam sobie to wszystko, wkładając dłoń pomiędzy nogi. To było straszne, ale i ekscytujące zarazem. Ci, co na mnie patrzyli, kochali mnie. Zupełnie jakbym zbierała te cięgi dla nich. W ich oczach byłam cudowna.

Moje fantazje stały się brutalniejsze i bardziej złożone, gdy tatko Glen zaczął sprawiać mi lanie dwoma lub trzema specjalnie w tym celu przygotowanymi paskami. Naoliwione, gładkie, prężne i elastyczne wisały na drzwiach w szafie, gdzie mogłam je zobaczyć i poczuć ich woń, kiedy pomagałam mamie wieszać ubrania tatki. Sięgałam dłonią i dotykałam skóry, która wydała się ciepła, jak żywa. Nie było w tym żadnej magii, żadnej tajemnicy. Czasami

wchodziłam do tej szafy i zaciskałam dłonie na tych pasach, jakby były one zwierzętami, które można ujarzmić i oswoić. Było mi wstyd z powodu rzeczy, o których myślałam, kiedy wkładałam dłonie między nogi, a jeszcze bardziej niż samego bicia wstydziłam się tego, iż masturbowałam się, fantazjując, że jestem bita. Żyłam w świecie wstydu. Ukrywałam moje sińce jak dowody popełnionych przez siebie zbrodni.

Wiedziałam, że jestem chorą, odrażającą istotą. Nie umiałam powstrzymać ojczyrna przed biciem mnie, ale to ja się masturbowałam. Robiłam to i jak mogłabym się wytłumaczyć, że choć nienawidziłam być bita, masturbowałam się, wyobrażając sobie związane z tym fantazje?

I tak naprawdę tylko w moich fantazjach, obserwowana przez ludzi potrafiłam stawić opór tatce Glenowi. Tylko wtedy odzyskiwałam utraconą dumę. Uwielbiałam te fantazje, mimo iż uważałam je za coś strasznego. Musiały być straszne i plugawe - bądź co bądź zapewniały mi przejmujące do szpiku kości, niepohamowane orgazmy. Byłam w nich kimś szczególnym. Ważnym. Zwycięskim. Nie czułam w nich wstydu. W prawdziwym biciu nie sposób odnaleźć niczego heroicznego. To było po prostu bicie, po którym zwijałam się w kłębek, żalosna i zasmarkana.

Mój obojczyk zrósł się trochę krzywo, gdy został złamany po raz drugi - to był wypadek, jak twierdził tatko Glen, tak jak za pierwszym razem, kiedy spadłam z ganku. W szpitalu młody internista spojrzał na mnie spode łba i zlecił zrobienie zdjęć rentgenowskich.

- Jak to się stało, że złamała kość ogonową? - zwrócił się do mamy, przeglądając plik zdjęć rentgenowskich, kiedy szykowaaliśmy się do powrotu do domu. Miał dziwny akcent i gęste, czarne, kręcone włosy. Nachylił się nad mamą, jakby chciał ją uderzyć.

- Ze co?

- Kość ogonową, proszę pani, tyłek. Czym ciskaliście w to dziecko? A może rzucaliście nim o ścianę?

- Co pan sugeruje? - Twarz mamy była blada i nieruchoma, jego gniewna i poczerwieniała. - Co pan sugeruje? - Tym razem głos mamy zabrzmiał donośnie.

W jednej chwili obok mnie pojawiła się pielęgniarka w średnim wieku, w pomiętym fartuchu, jedną rękę położyła na ramieniu lekarza, drugą wyciągnęła do mamy. Na kieszonce miała plakietkę z napisem: Myer.

- Nie irytujmy się - powiedziała. - Uspokójmy się.

Doktor ujął mnie pod brodę. Miał ciepłe palce, skórę suchą i szorstką.

- Powiedz nam - rzekł półgłosem. - Powiedz nam, proszę.

Spojrzałam mu w oczy i zobaczyłam swoje odbicie, małą dziwną twarzyczkę, powyżej obandażowanego ramienia i barku. Wyglądał na zagniewanego, zniecierpliwionego i zdegustowanego. Patrzył na mamę bez cienia współczucia. Był wściekły. Poczułam, jak mama ujęła mnie za rękę, usłyszałam jej oddech, brzmiał nietypowo, jakby mamie było niedobrze. Kiedy na nią spojrzałam, zobaczyłam, że była przerażona, ale pod tą skorupą kryła się miłość do mnie. Tatko Glen czekał z Reese na zewnątrz w samochodzie. Pielęgniarka mówiła coś, ale ja jej nie słuchałam.

- Mamo, zabierz mnie do domu - wyszeptałam. Mama objęła mnie w talii. Jej palce przez cienki materiał bawełnianej bluzki wydawały się lodowate, ale ich dotyk przynosił mi ukojenie.

- Puść moją córkę - zwróciła się do lekarza. Jego usta wykrzywiły się, palcami lekko obrócił mój podbródek. Popatrzyłam na niego. Nie znał nas, mnie ani mojej mamy.

- Możesz nam powiedzieć - rzekł obco brzmiącym głosem. Tuliłam się do mamy w milczeniu. Doktor mocno, otwartą dłonią

uderzył w stojącą obok kozetkę, po czym odwrócił się i otworzył drzwi, walnąwszy w nie pięścią. Zerknęłam na pielęgniarkę. Pani Myer przyglądała mi się ostrożnie, zasłaniając usta dłonią; miała mądre, stare oczy.

- Przepraszam - powiedziała do mamy, puszcżając jej dłoń. - Jest młody i pracuje u nas od niedawna.

Czekałyśmy, mama obejmowała mnie, a pani Myer oddychała powoli, płytko, raz po raz popatrując na drzwi. Weszła czarna kobieta z plikiem dokumentów na podkładce i podała je mamie.

- Będzie musiała pani tu podpisać - rzekła do mamy pani Myer. Więcej na mnie nie spojrzała.

Wiedziałam, co sobie myślała, ale nie potrafiłam przejrzeć mamy. Twarz miała dziwną, jak z kamienia, dłoń, którą mnie trzymała, wciąż lodowatą, ale teraz wyraźnie drżała. Na kilka chwil zostałyśmy same, a wówczas spojrzała na moją twarz, jakby miała przed sobą mapę piekła.

- Kostko - wyszeptała. Czekałam.

- Kochanie.

Ktoś przeszedł korytarzem, mijając uchylone drzwi. Przytuliłam głowę do piersi mamy, słuchając bicia jej serca, nie chciałam słyszeć niczego innego.

- Maleńka.

- Mamo - rzuciłam błagalnie. - Zabierz mnie do domu, mamusiu.

- Pojedziemy do cioci Almy - powiedziała, sadowiąc mnie na tylnym siedzeniu.

Spojrzenie, jakie posłała tatce Glenowi, kiedy próbował jej pomóc, zmroziło mu chyba krew w żyłach. Wyciągnął obie ręce, ale nie dotknął jej. Reese siedziała na przednim fotelu, z kciukiem w buzi i nieruchomym tępym obliczem. Plecami dotknęłam poduszek, a policzek oparłam o plastikowy pokrowiec siedzenia i próbowałam jak najmniej się poruszać. Mój bark wydawał się rozpalony i olbrzymi jak balon pełen bólu, czekający, by wybuchnąć w moim wnętrzu. Tatko Glen kroczył za mamą, obchodząc wóz z przodu i z wahaniem dotykał jej ramion, ale ona odpędzała go jak uciążliwego owada.

- Nie! - krzyknęła zdecydowanie jeden, jedyny raz. Auto aż się zakołysało, kiedy trzasnęła drzwiczkami, a ja zgrzytnęłam zębami. Tatko Glen nachylił się do okna, z błagalną miną, w świetle płynącym od strony wejścia na ostry dyżur błysnęły łzy.

- Anney, och Anney, odezwij się do mnie. Nie rób tego. Anney, proszę cię, Anney!

Samochód ruszył powoli, mama pozwoliła, by tatko Glen trzymał się drzwiczek, dopóki nie wyjechała na ulicę. Nie zauważyłam, jak na niego spojrzała, ale usłyszałam krzyk, ochrypliwy i bezsensowny, kiedy dodała gazu i zwolniła hamulec, pontiakiem szarpnęło, lecz silnik nie zgasł. Tatko Glen puścił drzwiczki, ale się nie cofnął. Stał tak, z pełną zaciętości miną, aż straciłyśmy go z oczu. Ostry podbródek mamy rysował się wyraźnie w świetle reflektorów innych aut lub w blasku płynącym z deski rozdzielczej. Widziałam łzy na jej twarzy, kiedy na mnie spojrzała. Zamknęłam oczy i znów je otworzyłam. Wszystko wydawało mi się gąbczaste i dziwaczne, ale było mi to obojętne. Chłodne powietrze wpadające przez okno było wilgotne i słodkie. Jeżeli Bóg naprawdę istniał, albo choćby magia, to powietrze powinno przeniknąć przeze mnie na wskroś i wypłynąć z powrotem na zewnątrz. Powinno wrócić tą samą drogą pod szpital, zgarniając po drodze kurz, i sypnąć nim w oczy tatce Glenowi. Powinno sprawić, aby ujrzał, kim był i co zrobił. Doktor, wychodząc ze szpitala po zakończeniu zmiany, powinien ujrzeć go takiego, jaki był naprawdę. Powinien powiedzieć mu o tym wiatr, księżyc, a może nawet Bóg. A potem doktor, wiedząc już o wszystkim, powinien wsiąść do auta i zapuścić silnik. Wrzucić bieg i ruszyć z impetem, aby zatrzymać samochód o parę cali od przerażonej twarzy tatki Glena.

- Ty sukinsynu! - powinien wrzasnąć doktor. - Tknij jeszcze raz to dziecko choćby jednym palcem, a rozerwę cię na strzępy!

Tatko Glen powinien zacząć ronić krwawe łzy. I może Jezus w końcu odmieniłby jego serce. A wówczas pojechałby za nami do ciotki Almy i padł na

kolana przed rodziną. „Zgrzeszyłem” - tak powinien powiedzieć i wyciągnąć obie ręce w moją stronę, błagając o wybaczenie i wykrzykując moje imię. Mama zaś powinna powiedzieć „nie”. Tak jak moje ciotki. Moi wujkowie, Reese, pastor i wszyscy ludzie na całym świecie. A wtedy ja podniosłabym się z mojego łóżka bóleści i spojrzałabym mu w oczy, które są oknami duszy.

I powiedziałabym „tak”.

Tak, wybaczam ci.

A potem pewnie bym umarła.

Prawie się zaśmiałam, ramiona mi zadygotały. Poczułam silny ból i wizja przysła, gdy z moich ust dobył się zduszony jęk. Przełknęłam ślinę, postanawiając, że się nie rozpłaczę. Mama wyciągnęła do mnie rękę. Wyglądała staro, jej twarz wydawała się stara i zmęczona. Serce mi pękało, gdy ją taką widziałam. Nie mogłam jej zranić, po prostu nie mogłam.

- Przepraszam - wyszeptalam.

- Nie przepraszaj, kochanie, nie musisz. Nie zrobiłaś nic złego.

Jej usta, w miejscu gdzie je przygryzała, były spuchnięte, a ja poczułam, że moje także zaczynają obrzmiewać i dotykać zębów.

- Kocham cię - powiedziałam tak cicho, że chyba raczej mnie nie usłyszała.

Ale jej słowa, równie ciche i wyszeptane pospiesznie usłyszałam bez najmniejszych problemów.

- Ja też cię kocham.

Rozdział dziewiąty

Dwa tygodnie później wróciliśmy z tatką Glenem do domu. Nic się nie zmieniło. I zmieniło się wszystko. Tatko Glen mówił, że mu przykro, błagał, szlochał i przysięgał, że nigdy mnie więcej nie skrzywdzi. Stałam cicha, uparta i odrętwiała. Padł na kolana przed Alną, Wade'em, ich dziećmi i mamą, przytulił Reese i mnie i zaklinał się, że nie może żyć bez naszej miłości. Mama uklękła przy nim na podłodze i kazała mu przysiąc, że już nigdy nie podniesie na mnie ręki.

Patrzyłam na jego wilgotne oblicze i w głębi duszy wiedziałam, co będzie dalej. Mama mu wybaczy, ale będzie go uważnie obserwować i trochę wody upłynie, zanim znów mu zaufa. A on będzie ostrożny i taktowny. Jednak za jakiś czas tatko Glen zacznie mówić o tym, co się stało, z innym nastawieniem. Będzie wspominał to, co się wówczas zdarzyło, to, co do niego mówiłam, jak na niego patrzyłam. Pewnego dnia, może za kilka miesięcy, moje rzekome uczynki w pełni usprawiedliwią to, co mnie spotkało. A kiedy znów coś zbroję, tatko Glen raz jeszcze zaciągnie mnie do łazienki, szlochając, że to boli go bardziej niż mnie. Jednak jego dłonie dotykające mego ciała i wyraz twarzy pozwolą mi poznać prawdę. Pokaże mi, jak bardzo cierpiał, kiedy mama spoliczkowała go wtedy na parkingu. Gdy mnie zbije, oboje będziemy wiedzieć dlaczego. Tylko mama pozostanie w nieświadomości. Nie przejmowałam się tym, co może mnie spotkać. Bardziej martwiłam się o to, że mogłabym ją zranić, i wiedziałam, że uczynię wszystko, aby nigdy się nie dowiedziała.

Zacisnęłam zęby i starałam się zignorować wszystko prócz tego, co miałam przed sobą. Z nikim nie rozmawiałam, stale siedziałam z nosem w książkach. Nocą leżałam w łóżku, dotykając złączonymi dłońmi czułego miejsca między udami, słuchałam radia i starałam się nie myśleć. Mój bark szybko się zagoił pod czujną, troskliwą opieką mamy, ale miałam wrażenie, że coś w moim wnętrzu nigdy nie wróci do zdrowia. Budziłam się tak wściekła, że aż bolało mnie gardło. Rwały mnie wszystkie zęby. Podchodziłam do lustra, spodziewając się, że mam usta pełne krwi, ale nie było jej tam, widziałam tylko małe, ostre, białe ząbki. Mama tuliła mnie do siebie. Pozwalała mi nawet wstawać o świcie, abym mogła towarzyszyć jej w najbardziej intymnych chwilach, kiedy piła kawę i obserwowała wschód słońca.

- Nigdy nie potrafiłam spać dłużej niż do świtu - rzekła do mnie kiedyś. - Niezależnie od tego, jak krótko spałam, budziłam się ze słońcem.

Twarz miała wymizerowaną. Przyciągnęła mnie do siebie i oparła podbródek o moją głowę. Zupełnie jakbym to ja była jej matką, a ona jak małe dziecko,

radośnie i beztrosko wtulała się w moje silne, proste plecy. Zamknęłam oczy, chciałam, aby czas stanął w miejscu, aby ta piękna chwila trwała wiecznie i nowy dzień nigdy się nie zaczął. Jednak wkrótce budził się tatko Glen albo Reese, a mama szła opłukać filizankę i przebrać się w strój do pracy.

Mama nalegała, abyśmy ja i Reese popołudniami, po szkole szły do cioci Almy i pozostawały tam, dopóki po nas nie przyjedzie. Pomagałam cioci Almie przy pracach w ogródku albo przy wekach i gdy tak pracowałyśmy, wymyślałam różne historie. Moi kuzyni uwielbiali je, zwłaszcza te o wampirach pożerających ciała dopiero co zamordowanych noworodków albo o zielonogębnych gnomach obiecujących niewysłowione bogactwa dzieciom, które przyniosą im serca czterdziestu czterech mężczyzn. Grey powiedział, że „jak na dziewczynę mam bardzo ciekawy umysł”. Jednak ciocia Alma wyszła któregoś razu na ganek, gdy właśnie opowiadałam ulubioną historię chłopców, i o mało nie dostała apopleksji. Gdyby usłyszała ją w całości, pewnie złałaby mnie mocniej niż tatko Glen. Moje opowieści pełne były chłopców i dziewcząt gwałconych i mordowanych w upiorny sposób, niemowląt gotowanych w wielkich kotłach z fasolą, wampirów, żołnierzy i długich, ostrych jak brzytwy noży. Czarownice obcinały głowy zarówno dzieciom, jak i dorosłym. Kobięce gangi motocyklowe puszczały z dymem domy wraz z ich mieszkańcami. Ziemia otwierała się, a ze szczelin wyskakiwały jaszczurcze języki, które porывały ludzi w mroczną otchłań. Jako opiekunka do dzieci byłam bardzo popularna, wszyscy siedzieli cicho i byli grzeczni, kiedy opowiadałam im swoje historyjki, nie odrywali wzroku od mojej twarzy, wydawali się zahipnotyzowani.

- Dziewczyno - mówił kuzyn Grey - czasami twoja twarz wygląda naprawdę przerażająco.

- Kostka staje się nie do zniesienia - rzekła do mamy ciocia Alma. - Robi się zła. Trzeba coś na to zaradzić.

Mama zaczęła zabierać mnie ze sobą do restauracji. Mogłam tam zarobić parę centów, zmywając naczynia, pieniędzy tych mama nie zabierała później, aby kupić mi nowe ciuchy, lecz mogłam je wydać, na co chciałam, głównie na używane książki ze sklepu ze starzyzną, które potem mogłam wymieniać na inne powieści. Reese skarżyła się, że nigdy się z nią nie bawię, że wciąż tylko pracuję, śpię albo czytam. Podczas letnich wakacji znalazłam w lesie kryjówkę, niedaleko domu cioci Almy i przesiadywałam tam całymi godzinami z torebką czekoladek i książką. Bibliotekarka podsunęła mi Czarnego Księcia, Przypadki Robinsona Crusoe i Tomka Sawy era. Ja sama wybrałam dla siebie Bliskiego znajomego, Nagich i martwych, Spluwę do wynajęcia i Marjorie Momigstar.

Wspinałam się na drzewo, aby poczytać co bardziej pikantne fragmenty, piłam wodę ze strumienia i wracałam do domu dopiero po zmierzchu.

Wiedziałam, że mama wciąż się o mnie martwiła.

- Wszystko w porządku, kochanie? - zapytała mnie któregoś ranka.

Tylko wzruszyłam ramionami i wróciłam do lektury Tajemniczego ogrodu, którego nie zwróciłam do biblioteki. Wyjęła mi książkę z ręki i zmusiła, abym na nią spojrzała. Twarz miała bardziej wychudzoną, skórę bardziej szorstką i spore cienie pod oczami. Ludzie nie mówili już, że jest piękna, lecz jaka piękna była kiedyś.

- Chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła. - Spojrzała na trzymaną w ręku książkę i jej palce przez chwilę przesuwają się po spękany grzbiecie i poklejonej taśmą okładce. Zagryzłam zęby, obawiając się tego, o co może mnie poprosić. - Wiesz, że twoja ciocia Ruth nie czuje się najlepiej. Travis twierdzi, że tego lata jej stan bardzo się pogorszył.

To mnie zdumiało. Sądziłam, że mama zechce pomówić o tym, że bardzo się od niej odsunęłam, o tym, że przestałam oglądać razem z nimi telewizję, nie bawiłam się z Reese i prawie z nimi nie rozmawiałam. Poza tym ciocia Ruth chorowała od tak dawna, że wszyscy zdążyli do tego przywyknąć. Czy naprawdę mogło być z nią gorzej?

- Teraz, kiedy Deedee i Butch wyjechali, Travis martwi się o Ruth, gdy jest w domu sama. Zapytał mnie, czy nie zechciałabyś spędzić z nią trochę czasu, przynajmniej dopóki jej stan się nie poprawi.

Mama otworzyła Tajemniczy ogród w miejscu, gdzie umieściłam zakładkę, wąską wstążkę z Prosiaczkiem.

- I co ty na to? - spytała.

- Nie wiem - odparłam odruchowo.

Nie widziałam cioci Ruth od świąt, kiedy mama zabrała nas do cioci Almy na wspólną wieczerzę wigilijną. Już wtedy Ruth była chuda i słaba, dłonie, które złożyła na podolku, wydawały się sine i obrzmiałe. Co bym zrobiła, gdyby jej stan się pogorszył? A gdyby umarła?

- No cóż... - Mama zamknęła książkę i oddała mi ją. - Chcę, abyś pojechała tam na pewien czas, co najmniej na tydzień albo dwa, żeby Travis mógł choć trochę odpocząć.

Pokiwałam głową.

- Świetnie. - Mama westchnęła, jakbyśmy uporały się z jakąś ważną kwestią. Sięgnęła ręką i odgarnęła mi włosy za uszy. - Och, Kostko, czy tobie to nie przeszkadza, że włosy wpadają ci do oczu? Masz taką ładną buzię. Gdybyś

pozwoliła, abym zrobiła ci trwałą, ludzie mogliby podziwiać twoją twarz i oczy.

Uśmiechnęłam się i pokręciłam głową. Uśmiechnęła się do mnie.

- Jesteś taka uparta. - Lekko musnęła koniuszkami palców moje czoło, odgarniając kilka niesfornych kosmyków. - Chyba jesteś jeszcze bardziej uparta niż twoja mama.

Ciocia Ruth zmieniła się nie do poznania. Nie sądziłam, że to w ogóle możliwe. Straciła niemal wszystkie gęste niegdyś, ciemnorude włosy. To, co pozostało, miało wyblakły, pomarańczowy kolor, a kiedy ciocia wychodziła z domu, zawsze nakładała na głowę bawełniany szal w zielone grochy. Schudła tak, że zapewne sama mogłabym ją podnieść, choć wątpię, aby pozwoliła mi spróbować. Jednak największa zmiana zaszła w jej sposobie mówienia i poruszania się. Zawsze była powolna, mówiła cichym, łagodnym tonem jak ktoś, kto wie sporo, ale rzadko się odzywa. Teraz mówiła bez ustanku, jej palce wykonywały drobne, energiczne ruchy, a oczy wodziły z boku na bok, jakby obawiała się, że może czegoś nie dostrzec. Unosiła głowę i przekrzywiała ją jak ptak, wyglądając przez okno, podczas gdy palcami skubała rąbek koca zawsze przykrywającego dolną część ciała. Prawie nie wstawała z kanapy, od czasu do czasu przenosiła się na ganek, by zasiąść w bujanym fotelu, i kazała Travisowi zdjąć zasłony, żeby nie przesłaniały jej widoku. Oglądała wschody i zachody słońca, drzemała, kiedy miała na to ochotę, a pomiędzy drzemkami mówiła. Po kilku pierwszych dniach dolewania jej soku do szklanki i patrzenia, jak wolnym krokiem ciotka idzie do toalety, doszłam do wniosku, że moim głównym zadaniem było słuchanie tego, co mówiła ciocia Ruth, po prostu potrzebowała kogoś, kto kiwałby głową w odpowiednich momentach i nie próbował jej przerywać.

- Kiedy byłyśmy małe, prawie w ogóle nie widywałyśmy naszego taty - powiedziała któregoś popołudnia. - Zawsze był w pracy, na piwie albo gdzieś w trasie. Doszłam do wniosku, że mężczyźni nie lubią spędzać dużo czasu w jednym miejscu. Teraz, kiedy Travis jest ze mną tak długo, zaczyna mi działać na nerwy, mimo iż cenię sobie jego pomoc i wsparcie. Dobrze, że mam ciebie, Kostko. Cieszę się, że postanowiłaś zostać przez pewien czas u mnie. Ty nie działasz mi na nerwy.

Ciocia Ruth położyła się na kanapie, składając obie dłonie na podołku, zmrużyła oczy, gdy światło wpadające przez otwarte drzwi podkreśliło jej sterczące kości policzkowe. Kości jej twarzy były widoczne bardzo wyraźnie. Kiedy leżała na kanapie, z uniesionymi nogami, opierając stopy o moje udo, wyglądała jak dziewczynka, młoda czarownica o wąskiej, szarej twarzy. Nikt

nie powinien być tak chudy, pulsująca żyła na jej szyi sprawiała, że aż wibrowały jej obojczyki. Osłoniła oczy dłonią, by na mnie spojrzeć.

- Wiesz, kiedy przymykasz oczy, wyglądasz jak twoja mama, gdy była w twoim wieku.

Pokiwałam głową. Prawie jej nie słuchałam. Przez dwa tygodnie mego pobytu tutaj ciocia Ruth sporo mówiła o Travisie, swoim ojcu, wujku Earle'u, jej braciach i siostrach oraz rzeczach, które wydarzyły się długo przed moimi urodzinami i o których nikt mi dotąd nigdy nie wspominał. Powinnam się cieszyć, że teraz je usłyszę, i spytać o rzeczy, które nurtowały mnie przez lata. Jednak po raz pierwszy w życiu nie myślałam o tych historiach. Miałam w głowie tylko powrót do domu. Kiedy mama mnie stąd zabierze? Czy chciałam wrócić do domu?

Przygryzłam wargi i wzięłam głęboki oddech, zanim wyrzuciłam z siebie to, co leżało mi na wątrobie. Ciocia Ruth popatrzyła na mnie w skupieniu.

- Tato Glen mnie nienawidzi.

No i proszę, jednak to powiedziałam. Podciągnęłam kolana i oplotłam je ramionami, czekając, aż ciocia Ruth zaprzeczy. Patrzyła wprost na mnie, jej oblicze wydawało się ufne i szczere. Zacisnęłam dłonie w pięści.

- Powiedz mi, Kostko. - Jej głos brzmiał jak szept. - Czy uważasz, że umieram?

Żołądek podszedł mi do gardła. Wyjrzałam przez drzwi. To oczywiste, że umierała. Znów na nią spojrzałam, ale zaraz odwróciłam wzrok.

- Nie, po prostu jesteś ciężko chora.

- Kostko.

Pokręciłam głową. Światło płynące przez siatkowe drzwi było zbyt jaskrawe. Łzy pociekły po moich policzkach.

- Kostko?

- Ciociu, nie zadawaj mi takich pytań. - Uniosłam wzrok. Boże, ależ była chuda!

- To jak, możemy porozmawiać czy nie? - W jej głosie słychać było znużenie. Przymknęła powieki i uniosła prawą rękę, aby potrzeć skroń. Skóra wydawała się poszarzała, ot niebieskawy cień na de pergaminowej szarości.

- Nie wiem. - Przygryzłam zębami skórę na przedramieniu. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

- No cóż. - Milczała przez chwilę, po czym opuściła rękę i nieznacznie zmieniła pozycję. - Chyba możemy. Wydaje mi się, że musimy. Jest wiele rzeczy, na które nie mogę sobie już pozwolić, ale, do kroćset... - Sięgnęła ręką, przywołując mnie do siebie. - Zbliź się do mnie.

Zawahałam się, ale w końcu przysunęłam się do niej, wciskając się pomiędzy jej nogi. Opierałam się plecami o jedno jej udo, a przez drugie przerzuciłam obie nogi. Objęła mnie ramieniem i przytuliła do piersi.

- Kochanie - wyszeptała i trzymała mnie tak przez chwilę. - Masz rację, maleńka. Glen za tobą nie przepada. Sądzę, że jest zazdrosny. - Przesunęła palcami po mojej twarzy, ścierając łzy i gładząc moje policzki. - Nie bez powodu, sam jest jak mały chłopiec, który bardziej pragnie twojej mamy niż ciebie, i sam chce być dla niej raczej dzieckiem niż mężem. To nie takie rzadkie zjawiska, jak można by się spodziewać, uwierz mi.

Spojrzałam na nią. Na jej ustach pojawił się nieśmiały uśmiešek.

- Mężczyźni - rzekła z powagą - są jak mali chłopcy, którzy kiedy tylko mogą, chwytają się kobiecego cycka. Twoja mama wie o tym równie dobrze jak ja. Wszystkie o tym wiemy. A Glen...

Znieruchomiała na chwilę, wodząc wzrokiem po pokoju, jakby czegoś szukała. W końcu znów na mnie popatrzyła. I przytuliła mnie mocniej do siebie.

- Kostko, czy tatko Glen kiedykolwiek... cię... dotykał? - Na jej szarych policzkach pojawiły się różowe smugi. - Czy kiedykolwiek cię skrzywdził, zrobił ci coś? - Sięgnęła ręką i dotknęła mnie między nogami. - Tam, niżej, kochanie. Czy kiedykolwiek coś ci tam zrobił?

Z uwagą przypatrywałam się twarzy cioci Ruth. Wiedziałam, o co jej chodziło, co mężczyźni robili z kobietami. Był taki żart: „Czy wiesz, kto to jest dziewczina z Karoliny Południowej? To dziesięciolatka, która umie szybko uciekać”. Nie zrobił tego. Choć czy aby na pewno? Dotknęłam językiem zębów. Policzki cioci Ruth zaróżowiły się jeszcze bardziej, były prawie czerwone. Opuściłam głowę.

- Nie - wyszeptałam.

Przypomniałam sobie jego dłonie przesuwające się po moim ciele, wślizgujące się pod bluzkę, do spodenek, obmacującej moje pośladki, szorstką, drapiącą skórę dotykającą mego ciała, jego przyspieszony, ciężki oddech, kiedy przyciągał mnie coraz mocniej ku sobie, szelest paska wywlekanego ze szlufek spodni w wilgotnej, ciasnej łazience. Wzdrygnęłam się.

- Nie - powiedziałam głośno. - Tylko srogo na mnie patrzy. I czasami mnie chwyta. Potrząsa mną. - Zawahałam się, patrząc na jej zapadnięte, zaczerwienione policzki. - No wiesz, kiedy jestem niegrzeczna. - Powiedz jej, myślałam. Opowiedz jej o wszystkim. Zrób to. - Ale to, jak on na mnie patrzy, wykręcając sobie przy tym dłonie, śmiertelnie mnie przeraża, ciociu. Boję się go.

Ciocia Ruth przytuliła mnie do piersi i zaczęła się delikatnie kołysać.

- Och, kochanie - szepnęła. - Co mamy z tobą począc?

Popołudniami, kiedy ciocia Ruth drzemała, zdrapywałam starą farbę z ganku, zerkając na nią przez siatkowe drzwi, na wypadek gdyby mnie potrzebowała. Wujek Earle obiecał odmalować ganek i front domu, dodał też, że jesienią zapłaci za moje nowe ubranie do szkoły, jeśli tylko oczyszczę drewno i usunę starą farbę. Co kilka dni wpadał w porze lunchu, aby pomówić z ciocią Ruth i zobaczyć, jak mi idzie. Zwykle ciocia Ruth spała, gdy się zjawiał, a wówczas siadał obok mnie, na ganku, paląc tytoń wujka Trávisa i opowiadając mi różne historie, podczas gdy ja pracowałam. Odnosiłam wrażenie, że choroba cioci Ruth budziła w nim wspomnienia z czasów, kiedy była młoda i zdrowa, kiedy oni wszyscy byli jeszcze młodzi i mieszkali na wsi, na północ od Greenville i kiedy dwoje z nich pobrało się i założyło własne rodziny - ciocia Ruth z wujkiem Travisem i Earle z Teresą. Mówił jak ciocia Ruth, bez przerwy, tylko od czasu do czasu pogrążał się w zadumie, wspomnieniach, ale za chwilę mówił dalej.

- Czy mama opowiadała ci o naszym tacie? - rzucił któregoś popołudnia, skręcając papierosa. - Ten facet to był gość. Ludzie aż do dnia, kiedy umarł, mówili o nim „chłopak Boatwrightów”. Bardziej troszczył się o psy niż o swoją żonę i dzieciaki, choć o naszą mamę wcale nie trzeba było się troszczyć. Twoja babcia jest twardsza niż wszyscy jej synowie razem wzięci. Nigdy nie oczekiwała wiele po tacie. Myślę, że my wszyscy jesteśmy do niego podobni. Twój wujek Beau to pijak. Wiesz o tym, ale podobnie rzecz ma się z twoim wujkiem Nevilem i ze mną chyba też. Ale żaden z nas nie jest tak niezaradny jak ojciec ani tak atrakcyjny, więc to, co jemu uchodziło na sucho, nam raczej by się nie udało. To dlatego Teresa odeszła ode mnie. Zawsze mawiała, że potrzebuje mężczyzny jak długiego łyka zimnej wody. Powtarzała to, jak to czasem zdarza się kobietom, gdy trzymasz je w ramionach, a one chcą się wygadać, i właśnie wtedy wspominała o tej krystalicznie czystej, rześkiej wodzie, jak z górskiego potoku.

Zaśmiał się krótko i ochryple, choć wzrok miał dość ponury, pełen gniewu i zaciętości. Zacisnął palce, w których trzymał bibułkę, i zrolował ją, po czym uniósł do ust, aby poślinić i skleić skręta.

- Teresa to miała gadane! Boże drogi! - Spojrzał w bok, jakby wspominał coś, na co nie mógł patrzeć wprost.

Opuściłam głowę, nie chciałam, żeby przestał mówić.

- Teresa mówiła mi, jak ją wypełniam, zaspokajam, po najdalsze zakamarki duszy. A ja za każdym razem myślałem o naszym tacie, o tym, jaka mama

próbowała czasem się nim nasycić, ale on nigdy nie był do tego zdolny ani nie umiał zaspokoić jej pragnienia. Ta kobieta zawsze wyglądała na wysuszoną, wyschniętą na wiór. Nie chciałem zrobić tego samego Teresie. Nie chciałem być taki. Pragnąłem zalać tę kobietę, wypełnić ją całą rzeką miłości. A tu jak na złość! Kiedy mnie rztrilajjijowiedziała, że nie byłem nic wart.

Wujek Earle strząsnął z ud kilka drobin tytoniu.

- Czasami po prostu nie rozumiem, Kostko, nie wiem, jak proste sprawy mogły się tak skomplikować, pochrzanić, między mną a Teresą, mamą i tatą, twoją mamą i Glenem. Do licha, nawet między Ruth i Travisem. Wiesz, Travis rzucił kiedyś Ruth, ich dzieci były wtedy jeszcze małe, wyjechał na dwa miesiące i nie dał nawet znaku życia. Ale wszyscy widzą, jak ją kocha. Czasami po prostu tego nie pojmuję.

Próbował zapalić papierosa, ale skręt rozpadł mu się w rękach. Spoglądając na obsypane tytoniem džinsy, zaklął i podniósł się ze stopnia.

- Smutne, prawda? - mruknął. - Facet, a nawet skręcić papierosa nie potrafi. To cholernie smutne. - I odszedł, otrzepując nerwowo nogawki džinsów.

Ciocia Ruth chciała upewnić się, że rozumiałam, kim byli nasi przodkowie i czego dokonali. Poświęciła całe dwa dni na opowieść o stryjecznym dziadku Haslamie Boatwrichtcie, który pracował w zakładach JC Penney jako kierowca ciężarówki, dopóki podczas weekendowej wizyty w Atlancie nie zastrzelił swojej żony wraz z jej kochankiem. Od tej pory siedział w więzieniu w Georgii. Opowiedziała mi więcej o moim prawdziwym tacie i Lyle'u Parsonsie, a także całą prawdę o tym, jak tatko Glen uwodził mamę przez cały rok, przychodząc na lunch do restauracji, gdzie pracowała, zanim zgodziła się z nim umówić. A co najlepsze, opowiedziała mi o tym, jak wujkowie Beau i Earle próbowali zaciągnąć się do wojska podczas wojny koreańskiej i zostali wyrzuceni z punktu rekrutacyjnego na rozmytą, pełną kałuż ulicę, kiedy sierżant dostał do ręki listę z wykazem ich zatrzymań i pobytów w areszcie. Podpici i zdeterminowani narobili takiego rabanu, że wojskowi wezwali policję, aby ich zamknęła. „Ależ synu, daj spokój - powiedział rzekomo Beau do sierżanta, nokautując zastępcę szeryfa i odgryzając pół ucha jakiemuś Bogu ducha winnemu nieszczęśnikowi, który pospieszy! stróżom prawa z pomocą. - Nigdzie, w całym hrabstwie nie znajdziesz bardziej bojowych chłopaków. Przecież sam widzisz, że kto jak kto, ale my umiemy się bić!”

Opowiadając tę historię, ciocia Ruth szczyrzyła zęby i mówiła, naśladowując akcent wujka Beau, kiedy był pijany; robiła to tak udanie, że aż zachichotałam.

- Założę się, że tak naprawdę wcale nie chcieli wstąpić do wojska - rzekłam do niej. - Pewnie poszło o jakiś zakład albo coś w tym rodzaju.

- Na pewno nie należą do tych, co lubią bawić się w wojsko - przyznała - ale chcieli wykorzystać okazję, aby postrzelać do obcych, pojeździć ciężarówkami i zająć się naprawą silników. To nie różni się zbyt od tego, co robią teraz, tyle że obecnie nie noszą mundurów. Uwielbiają tę historię i za nic mają fakt, że wojsko nie chciało mieć w swoich szeregach aresztantów z licznymi wyrokami, którzy nigdy nie skończyli nawet gimnazjum.

- To pijacy - mruknęłam, a ciocia Ruth tylko skinęła głową.

- Poniekąd. Podobnie jak Travis, tak sędzę. Ale oni nie zaprzatają sobie tym głowy. Tak jak trafienie za kratki. Uważają za coś normalnego, że pracujący mężczyźni od czasu do czasu trafiają do więzienia, tak jak ich zdaniem jest rzeczą oczywistą, że mają prawo, aby dawać sobie w szyję od piątku wieczorem do poniedziałku rano. Beau zarzeka się, że było z nim wszystko w porządku, dopóki nie zaczął pić w dni robocze. - Pokiwała głową, drżącą ręką odgarniając rzadkie włosy. - Nic im nie można powiedzieć.

- Beau już od dziecka przepadał za piwem - powiedziała nam w pewien sobotni poranek ciocia Ruth. Siedziała na ganku, podczas gdy ja zdzierałam farbę z poręczy, a Earle czyścił wyżymaczkę starej pralki, którą ciocia postanowiła sprzedać. - Chodził z Raylene do przydrożnego baru na rogatkach Greer City po tym, jak ona rzuciła szkołę, a on skończył trzynaście lat. Zarabiali niewielkie sumy, sprzątając, czyszcząc i układając skrzynki z piwem i coca-colą. Zawsze dostawali też kilka butelek gratis. Raylene było to obojętne, nigdy nie przepadała za alkoholem. Lubiła natomiast colę, a piwo zabierała tylko po to, by oddać je Beau. Ten chłopak lubił piwo bardziej niż mleko matki i to zwykle właśnie piwem się upija, niezależnie od tego, co mówi jego żona. Piwo też może cię zniszczyć, wyżreć ci wątrobę i zmienić mózg w gąbczastą papkę. To prawda. Wcale nie potrzeba do tego wódki ani bimbru.

- A niech to! - Earle rąbnął otwartą dłonią w świeżo naoliwioną wyżymaczkę. Nie lubił, gdy ktoś źle się wyrażał o jego bracie Beau. Nie lubił, gdy ktoś w kółko gadał to samo. - Beau pijał w życiu gorsze rzeczy niż piwo. Browiec to pestka. Pozwala ci ustalić odpowiedni rytm życia, piwo i fasola. Gdyby Beau przestał pić piwo, zapewne raz dwa wyciągnąłby kopyta. - Spojrzeniem prowokował ciocię Ruth, aby mu się sprzeciwiła. - Największym problemem Beau jest jego żona, Maggie. Ta mała istotka o białej twarzy, białych oczach, białych włosach, z sińcami na całym ciele; robią jej się, kiedy tylko wiatr mocniej powieje. Ta baba rodzi dzieci równie łatwo, jak ty wyrabiasz suchary. I raz po raz wydaje na świat przygłupie dzieciaki o pozbawionych wyrazu oczach i ziemistej cerze. Do kroćset, Beau nie miałby nic dla siebie, nawet gdyby pił tylko czarną kawę i ciężko pracował. Siedmioro

dzieci! Jakby nie dość tego, że Alma ma ich tyle, ale ona przynajmniej umie zadbać, aby były czyste i wykarmione. Ta mała Maggie nie potrafi nawet zmienić pieluchy, żeby nie dostać przy tym zawrotów głowy. Ta kobieta pożera Beau żywcem. Jest jak wampirzyca wysysająca z niego wszystkie soki. Gdybyś ją rozplątała, zobaczyłabyś krew Beau napędzającą jej serce.

- To nie przez Magdeline Beau wykrwawi się na śmierć - parsknęła ciocia Ruth. - Przecież nie ona zmusza go, aby pił tę truciznę.

- Nie? - Earle cisnął wyzymaczkę na szmaty rozłożone na deskach ganku. - Powiedz prawdę, Ruth. Nie uważasz, że ma to jakiś związek z tym, iż Beau przez cały czas jest pijany w sztok?

Ciocia Ruth zebrała się w sobie, aby spojrzeć Earlowi prosto w oczy.

- Wymyśliłeś to, aby wyjaśnić, co jest nie tak z twoim życiem, Earlu Boatwrichte? Twoja kobieta wyrwała ci serce? Matka twoich córek doprowadza cię do tego, że pijesz w dni powszednie i klniesz, przychodząc do mnie z wizytą?

Przyciągnęłam kolana do piersi i patrzyłam na twarz Earle'a. Stale spierał się z ciocią Ruth, ale rzadko był taki zawzięty. Przygryzłam wargi i zobaczyłam, jak zwiesił nisko głowę. Kiedy ją uniósł, twarz miał całą czerwoną i błyszczące oczy.

- Tak, Ruth. Sęk w tym, że tak, do cholery.

Ciocia Ruth sapnęła przez nos, po czym dźwignęła się z bujanego fotela, by podejść i objąć go za szyję.

- Tak mi przykro, chłopcze. - Ona także miała wilgotne oczy. - To, co powiedziałam, było podłe. Wiem. Zdaję sobie sprawę, jak tęsknisz za swoimi córkami. Nie myśl, że nie wiem, jak cierpisz.

- Och, Ruth! - Earle próbował się jej wyrwać, ale ciocia Ruth trzymała go zbyt mocno.

Przygryzłam wargę, poczułam w ustach metaliczny smak krwi, a w moich oczach zakręciły się gorące łzy, ale ogarnęła mnie niepohamowana ochota, aby wybuchnąć śmiechem. Ciocia Ruth wyglądała tak zabawnie, chuda, koścista i taka krucha, gdy przywierała całym ciałem do wielkiego, wysokiego, czerwonego jak burak brata i trzymała go tak mocno, że omal nie udusiła. Ale on zawsze był jej chłopcem, jak Beau; Alnę, Raylene i mamę też traktowała jak dzieci. Ruth po części sama ich wychowywała i wciąż zachowywała się bardziej jak ich matka niż ta prawdziwa, czyli babcia. Patrzyłam, jak posiniałe palce cioci Ruth wpijają się w ramiona Earle'a, który starał się nie dotknąć jej żółtego koronkowego szlafroka swoimi brudnymi od smaru rękami.

- Och, Ruth - jęknął i zrejterował. Objął ją mocno i wziął w ramiona. - Tylko nie płacz. Bo oboje przyplacimy to zdrowiem, jeśli będziesz zalewać mi łzami ubranie. - Przeszedł przez ganek i przyklęknął na jedno kolano, aby posadzić ją na powrót na bujanym fotelu. - To nieuczciwe. Nie potrafię klócić się z kobietą, kiedy zacznie płakać.

Zacisnęłam dłonie na poręczy ganku, patrząc na tych dwoje, połączonych w mocnym, zdawałoby się nierozzerwalnym uścisku. Nie mogłam sobie wyobrazić, abym objęła tak Reese, mówiąc, co naprawdę czuję, i szlochając wraz z nią. Poczułam, jak wzbiera we mnie zazdrość. Pragnęłam przyłączyć się do tego uścisku, przynależać do tego pokolenia, aby móc tak jak tych dwoje krzyczeć, kląć, płakać i znów się pogodzić. Tatko Glen powiedział, że jestem suką o lodowatym sercu i może faktycznie tak było. Któż to wie.

Tego ranka, kiedy mama przyjechała pikapem Beau, siedziałam na ganku z czterema małymi glinianymi garnkami i wielkim wiadrem pełnym trzykrotki. Ciocia Ruth dzień wcześniej obmyśliła sobie, żeby zawiesić te doniczki pod okapem na ganku, i zleciła mi zasadzenie czerwono-niebiesko-zielonych roślinek w doniczkach. Mogłam wykorzystać połowę zawartości wiadra.

- Co o tym sądzisz, siostrze? - zapytała mamę ciocia Ruth. - Nie sądzisz, że pięknie będą wyglądały pod dachem ganku? Te roślinki są tak twarde, że mogą nawet porosnąć cały dach.

- To możliwe - przyznała mama i szybko podeszła, by mnie uściskać. - W każdym razie rosną bardzo szybko.

- Ludzie mówią, że to chwasty, ale ja zawsze je lubiłam, zwłaszcza że nie trzeba specjalnie o nie dbać. - Ciocia Ruth poklepała siedzenie prostego krzesła, stojącego przy jej bujanym fotelu. - Chodź, usiądź przy mnie. Nie widziałam cię od wieków. - Pochyliła się, by spojrzeć na mamę, gdy ta usiadła na krześle. - Wyglądasz inaczej, wydajesz się prawie wypoczęta, czyżbyś dłużej sypiała?

Mama zaśmiała się i pokręciła głową.

- Po prostu lepiej śpię, odkąd sprawy trochę przycichły. - Wskazała na stertę wilgotnego mchu i gliny, którą mieszałam z czarnoziemem. - Teraz, gdy emocje już opadły, wszystko wygląda bardziej świeżo. Przysięgłabym, Kostko, że w ciągu tego miesiąca urosłaś przynajmniej o cal.

Tylko się uśmiechnęłam i w dalszym ciągu delikatnie rozdzielałam splątane korzenie starej rośliny. Ciocia Ruth powiedziała, że niektóre z nich uschną, jeżeli jednak nie będę dotykać delikatnych włosków na korzeniach, większość z nich przetrwa. Dlatego też, obnażając długie, blade pędy, musiałam trochę zwolnić tempo.

- Och, Kostka będzie wysoka. - Ciocia Ruth upiła łyk herbaty i potrząsnęła szklaneczką. - Napijesz się czegoś, Anney? Kostka przygotowała dziś cały dzbanek pysznej lemoniady na plasterkach cytryny i cukrze.

- Chętnie. Trochę się ochłodziło, ale i tak jest bardzo gorąco. - Poderwałam się i otrzepałam dłonie o dzinsy. - Ale nie dodawaj za dużo lodu! - zawołała.

Nie musiała mi tego mówić. Wiedziałam, jaką mrożoną herbatę lubi mama. Wzięłam cytrynę i skroiłam ze środka sześć cieniutkich plasterków, wrzuciłam do szklanki i nalałam aż po brzegi słodzonej herbaty. Upiłam łyk i wyniosłam szklankę na ganek. Zanim jeszcze stanęłam w drzwiach, usłyszałam fragment ich rozmowy.

- Myślisz, że tak już zostanie? - Głos cioci Ruth był cichy, ale odpowiedź mamy jeszcze cichsza.

- Mam nadzieję. Wiesz, jaki jest jego ojciec. Glen, odkąd podjął tę pracę, jest jak nowo narodzony. Jest pewien, że to dowód, iż ojcu na nim zależy, bądź co bądź zatrudnił go i wyznaczył własną trasę. To bez znaczenia, że zarabia mniej niż inni dostawcy, jego zdaniem w ten sposób ojciec daje mu do zrozumienia, iż nie zamierza traktować go w sposób szczególny.

- Jakoś nie podoba mi się to wszystko. Czuję to przez skórę.

- Och, Ruth. Sama nie wiem, co o tym sądzić. Przyłożyłam dłonie do siatkowych drzwi i czekałam.

- Glen miał tyle problemów, miał się tylu zajęć. Mało kto sprostałby tym wszystkim wyzwaniom, a on, Bóg mi świadkiem, bardzo się stara. Wychodzi z domu o świcie, wraca dobrze po zmierzchu, w weekendy pracuje przy pikapie. Chce pokazać, na co go stać, chce udowodnić, ile jest wart. Zachowuje się jak zupełnie inny człowiek.

- No cóż. - Ciocia Ruth nie wydawała się tak przekonana jak mama. - Pytał o Kostkę?

Zapadła cisza. Zacisnęłam zęby na obrzeżu szklanki.

- Nie wspomniał o niej słowem, odkąd tu przyjechała. - Mama jeszcze bardziej zniżyła głos. Teraz mówiła szeptem. - Wobec Reese jest bez zarzutu. Ale zdaje się w ogóle nie pamiętać Kostki, jakby uciekła czy umarła, nie wspomina o niej ani słowem. Powiadam ci, Ruth, są dni, kiedy nie wiem już, co mam z tym począć.

- Chyba nie masz zbyt wielkiego wyboru, kochanie - rzekła łagodnym, choć zdecydowanym tonem ciocia Ruth. - Wiesz, w czym tkwi problem. Nie potrafię stwierdzić, czy to dobry, czy zły człowiek. Wiem tylko, że go kochasz i że ja sama go nie cierpię...

- Ruth...

- Nie, posłuchaj mnie. Nie poradzę ci, abyś go zostawiła. To twój mąż i nie ulega wątpliwości, że twój uśmiech jest dla niego jak wschód i zachód słońca. Nie wiem, czy jest zazdrosny o Kostkę, jak twierdzi babcia, czy może chodzi o coś innego. Ale on jeszcze z nią nie skończył, a ona nigdy nie będzie przy nim bezpieczna.

- On ją kocha. Wem o tym - wyszeptała z przejęciem mama.

- Być może. Mimo to patrzę na Glena i wiem, że on nigdy nie był tak kochany, jak tego pragnął. Ten chłopak ma wewnątrz głębsze i mroczniejsze, niż potrafię sobie wyobrazić. Wiem, że on cię kocha. Wiem, co ty czujesz do niego. Oddałabyś życie, aby go ocalić, i może to odmieni wszystko na lepsze, a może nie. Bóg o tym zdecyduje. Nie ja.

- Ruth, pomyśl, co o nim powiedziałaś. Wszyscy wiedzą, jak ciężko Glen został doświadczony, jak go traktował ojciec. Nigdy jeszcze nie widziałam, aby ktoś tak się domagał ojcowskiej miłości i tak niewiele jej otrzymał. A Glen pragnie tylko czuć się kochany i uwolnić się od presji ojca.

Od lodu w szklance z herbatą dla mamy aż rozboleły mnie zęby. Wiedziałam, że powinnam wyjść na ganek, dać im do zrozumienia, że wszystko słyszę, ale tylko stałam w bezruchu, słuchając.

- Nie widziałas go, gdy przyjeżdżał do mnie, do restauracji i czekał, aż skończę pracę. To właśnie wtedy się w nim zakochałam, gdy widziałam, jak patrzył na Reese i Kostkę z taką otwartością, że mogłam zajrzeć w głąb jego duszy. Wtedy pokazał mi swoje prawdziwe oblicze. Czułam się tak, jakbym patrzyła na małego chłopca, cierpiącego, mocno zranionego małego chłopca. I zrozumiałam, że go Kocham.

- Och, Anney.

Uchyliłam drzwi stopą i wyszłam na ganek. Odwróciły głowy, mama nachyliła się w stronę cioci Ruth, ta zaś wydawała się bledsza i bardziej wycieńczona, niż kiedy wychodziłam do kuchni.

- Długo to trwało. - Spojrzenie cioci Ruth przeszło mnie na wskroś.

- Musiałam pokroić cytrynę tak, jak mama lubi. Te plasterki są prawie przezroczyste.

Zamarłam. Podałam mamie szklankę i wróciłam do odwróconego wiadra i połamanej masy korzeni. Oderwałam połowę i wrzuciłam z powrotem do kubła, po czym równie zdecydowanie zaczęłam odłamywać cztery równej długości fragmenty korzeni i pędu. Przez cały czas patrzyłam tylko na roślinkę.

- Mówiłam właśnie cioci Ruth, że tatko Glen podjął pracę w mleczarni Sunshine. Jest bardzo zadowolony, że może pracować dla swego ojca i chyba całkiem nieźle mu to wychodzi.

- To dobrze. - Strząsnęłam grudki ziemi z płataniny korzeni, po czym włożyłam je do wypełnionej wilgotną mieszanką doniczki. - Ciociu Ruth, czy chcesz je powiesić na tym ozdobnym sznurze z węzełkami?

- Tak, na tym brązowym, który Travis kupił w sklepie z pasmanterią. Powinien utrzymać ciężar doniczki.

Skinęłam głową, nie patrząc na nią.

- Jak się z tym uporasz, Kostko, porozmawiamy o twoim powrocie do domu. Reese bardzo się za tobą stęskniła.

- Sądziłam, że zostanę aż do rozpoczęcia roku szkolnego - odparłam, siląc się na obojętny ton. - Ciocia Ruth nie da sobie rady beze mnie. Jestem jej potrzebna.

Zapadła długa cisza, aż wreszcie ciocia Ruth chrząknęła.

- Kostka ma rację, Anney. Nie wiem, jak w ogóle zwlokłabym się z łóżka, gdyby nie to, że Kostka skutecznie mnie budzi. Wstaje rano i śpiewa piosenki zasłyszane w radiu. Czasem ma głos jak Kitty Wells. - Mogła wybuchnąć śmiechem, ale w sumie tylko lekko zakasłała.

Uniosłam wzrok, powoli i ostrożnie, ukrywając twarz w cieniu. Mama wychyliła się do przodu, pławiąc się w słońcu, palce obu dłoni splotła na kolanach i patrzyła na mnie spod półprzymkniętych powiek. Ciocia Ruth siedziała na fotelu bujanym, z dłonią uniesioną na wysokość ust. Mama złożyła ręce na kolanach.

- No cóż, chyba nie możemy dopuścić do tak dramatycznej sytuacji. Ale może przywiozę tu Reese na sobotę. Na pewno nie chciałyby zapomnieć, jak wygląda jej starsza siostra.

Dorzuciłam garść ziemi do doniczki i spryskałam wodą zakurzone liście. Sadzonka zaczęła już więdnąć po utracie połowy korzeni. Ale pęd pod moimi palcami wydawał się wilgotny i elastyczny. Był silny. I taki właśnie wyrośnie.

W sierpniu o pół mili od domu cioci Ruth, po drugiej stronie White Horse Road, pojawił się namiot ewangelistów. Wieczorami, gdy Travis i Ruth siadali razem i rozmawiali, udawałam się tam i przycupnąwszy na zewnątrz, słuchałam z zaciekawieniem. Kaznodzieja był prawdziwym krzykaczem. Grzmiał, groził i chyba nigdy nie usłyszałam z jego ust wezwania do modlitwy. Siedziałam w ciemnościach, próbując nie myśleć o niczym, a szczególnie o tatce Glenie, mamie czy coraz bardziej doskwierającej mi samotności. Czułam się jak na wygnaniu. Wydawało mi się, że wśród czarnowłosych mężczyzn o hardych zaciśniętych twarzach stojących przy autostradzie i podających sobie z rąk do rąk butelkę w papierowej torbie dostrzegłam wujka Earle'a.

Czy to nienawiść, czy smutek sprawiały, że ich oblicza wyglądały jak wyciosane z kamienia? Czy dlatego ich karki wydawały się tak sztywne, a oczy tak zimne?

Czy ja też tak wyglądałam?

Czy będę tak wyglądała, gdy dorosnę?

Przypomniałam sobie ciocię Almę dotykającą moich uszu i odwracającą moją głowę do światła. „To i dobrze, że jesteś bystra, bo pięknnością nigdy nie będziesz” - mawiała.

Przynajmniej nie byłam tak paskudna jak kuzynka Mary-May, powiedziałam do Reese i z miejsca się zawstydziałam. Mary-May była najsłynniejszą brzydką kobietą w hrabstwie Greenville, miała szeroką, płaską twarz, haczykowaty nos, maleńkie oczy, mocno przeredzone włosy i ostatnie trzy zęby. Mimo to była bardzo miła, życzliwa i zawsze zgłaszała się do odegrania roli czarownicy w dorocznym halloweenowym przedstawieniu organizowanym przez Armię Zbawienia. To, że była brzydka, nie skaziło jej duszy. Gdybym zaczęła przejmować się tym, że nigdy nie będę piękna, zapewne umarłabym ze zgrzyzoty. Mama zawsze mawiała, że ludzie potrafią dostrzec w twojej twarzy duszę, a co za tym idzie także nienawiść i zło. Z całym brzemieniem nienawiści, którą starałam się ukryć, dziwiłam się, że nie jestem szpetna jak ropucha z bagien.

Zaczęły się śpiewy. Wychyliłam się do przodu, objęłam rękoma kolana i zaczęłam nucić pod nosem. Spotkania ewangelizacyjne są zabawne. Ludzie zachowują się entuzjastycznie, ale czasem zapominają, który hymn mają zaśpiewać. Uśmiechnęłam się na dźwięk mamrotanej, niezrozumiałej pieśni i patrzyłam, jak mężczyźni przy szosie szturchają żartobliwie jeden drugiego i klną bez cienia złości.

Ty draniu.

Ty sukinsynu.

Kaznodzieja powiedział coś, czego nie rozumiałam. Na chwilę zapadła cisza, a potem w nocne niebo poniósł się dźwięk czystego, donośnego głosu tenora. Zrobiło mi się sucho w ustach. Mieli tam prawdziwego pieśniarza, prawdziwy chór gospel.

Splłyn z obłoków, lśniący rydwanie... przybądź, by zanieść mnie do domu... splłyn z obłoków, lśniący rydwanie... przybądź, by zanieść mnie do domu.

Noc otuliła mnie niczym czarny pled. Miałam wrażenie, jakby moje wnętrze roztopiły się, w ustach czułam smak wiatru. Cudowna muzyka gospel przepływała przeze mnie, wraz z donośnym chłopięcym głosem, sprawiając, że cała złość, zazdrość i nienawiść wezbrały w moim sercu.

Przypomniałam sobie palce cioci Ruth trzepoczące jak spłoszone ptaki przed jej twarzą, poczerwieniałe policzki wujka Earle'a i jego przetłuszczone, czarne włosy, gdy oboje szlochali na ganku, wymizerowane, pełne troski oblicze mamy i lodowate, gniewne oczy tatki Glena. Świat był dla mnie za duży, muzyka zbyt głośna. Wiedziałam, że byłam jedną z najgorszych, najbardziej plugawych istot na ziemi. Nie zasłużyłam na to, by przeżyć choć jeszcze jeden dzień. Zaczęłam płakać i aż dostałam od tego czkawki.

- Wybacz mi, Jezu. Wybacz mi.

Jak mogłam znosić to, że jeszcze żyję? Jak Bóg był w stanie mnie znieść? Czy to dlatego Jezus nie chciał zamieszkać w moim sercu? Muzyka obmywała mnie... Jezus przyzywa ciepłym, słodkim głosem. Muzyka była jak rzeka próbująca mnie oczyścić. Szlochając, wbiłam pięty w ziemię i upajałam się smutkiem i tym czystym głosem wyróżniającym się wśród chóru. Ciocia Alma upierała się, że wszyscy śpiewacy z chórów gospel to alkoholicy, lecz to nie miało dla mnie większego znaczenia. Nawet jeśli pili za kulisami albo obściskiwali się w garderobie, skoro było im to potrzebne, aby wydobyć tę niezwykłą pełnię dźwięków, nie miałam nic przeciw temu. Otarłam oczy i zakląłam w głos. Chciałam krzyknąć - dajcie temu chłopakowi jeszcze jedną flaszkę! Znajdźcie tej dziewczynie jurnego małżonka. Ale na Boga, niech dalej śpiewają. Boże, pozwól mi jak najdłużej upajać się tą muzyką.

Kołysałam się w przód i w tył, wbijając pięty w czerwoną ziemię, dłonie zaciśnięte w pięści przycisnęłam do brzucha i zawodziłam cichutko pośród nocy, skąpana w poświacie płynącej z namiotu. Szlochałam, aż zabrakło mi łez, a potem zaczęłam się śmiać. Odchyliłam głowę do tyłu i śmiałam się, aż zachrypłam, a wilgotna mgła przesłoniła blask bijący z namiotu. Gdyby teraz przyszła po mnie ciocia Ruth, przeprosiłabym ją za wszystko, za to, że żyję i że nie kocham jej dostatecznie mocno, by ocalić ją od raka, który pożera ją żywcem. Sama nie wiem. Ale byłam pewna, że musiałam za coś przeprosić, za to, że byłam młoda, zdrowa i siedziałam tu, przepelniona muzyką. To właśnie było zadaniem muzyki gospel - sprawić, że człowiek równocześnie kocha i nienawidzi samego siebie, czuje się pełen wstydu i bożej chwały zarazem. Tak to czułam w stu procentach.

Rozdział dziesiąty

Namiot spotkań ewangelizacyjnych stał się objawieniem, ale „Poranna godzina gospel” okazała się dla mnie prawdziwą obsesją. Każdego ranka, zanim ciocia Ruth i wujek Travis wstali, zasiadałam przy stoliku w salonie, by wysłuchać tej audycji. W ciszy przed świtem nachylałam się do głośnika i ćwiczyłam potajemnie; podpierając podbródek na koniuszkach palców, z uniesioną głową śpiewałam szeptem, tak by nikt mnie nie usłyszał. Śpiewałam wszystko, nie tylko gospel, lecz również piosenki country Marty Robbins, Kitty Wells, Johnny'ego Casha, Ruth Brown, Stonewalla Jacksona, June Carter, Johnny'ego Hortona. Śpiewałam tak cicho, że prawie nie słyszałam własnego głosu, ale w wyobraźni mój głos brzmiał pięknie i donośnie.

Ciocia Ruth uśmiechała się, widząc mnie z głową nachyloną do radia.

- Zrób głośniejsze - mówiła. - Nie tylko ty lubisz muzykę.

Czasami ona także zaczynała nucić coś pod nosem. W któryś weekend poprosiła Earle'a, żeby przywiózł adapter, i przez dwa dni słuchaliśmy jej ulubionych piosenek. Okazało się, że ciocia Ruth miała w pudle pod łóżkiem sporo płyt, w tym oryginalne nagrania Carter Family, Patsy Montanę śpiewającą I want to Be a Cowboy's Sweetheart, przebój Hanka Williama Are You Walking and a-Talking for the Lord w wykonaniu Clinch Mountain Clan, Wabash Cannonball i The Wreck on the Highway Roya Acuffa. Jej ulubioną była płyta Ala Dextera i The Troopers - Pistol Packing Mama. Za każdym razem gdy rozlegał się chór, uderzała pięścią w kanapę i śpiewała, namawiając mnie, abym do niej dołączyła. A potem ryczałyśmy na całe gardło: Mamusko z rewolwerem, odłóż proszę broń, aż wujek Travis wychodził z domu, by przycupnąć za zderzakiem furgonetki z butelką Jacka Daniela.

W którymś momencie przyszedł po kawałek sera na kolację i poskarżył się.

- Straszycie psy. Przestańcie już.

- Odejdź, staruchu. - Twarz cioci Ruth była zaróżowiona i szczęśliwa. - Przepelnia nas duch.

- Ale strasznie fałszujecie - mruknął ze smutkiem. - Nie umiecie śpiewać.

- Wiemy o tym, Travisie, i co z tego. - Ciocia Ruth wydawała się zadowolona z siebie do tego stopnia, że poczuła się urażona, ale mną to wstrząsnęło. Uważałam, że śpiewałyśmy całkiem nieźle. - Wemy i jest nam to obojętne. Czemu do nas nie dołączysz? No dalej, Kostko, włącz może tę płytę, którą pożyczył nam Earle. Lubisz Stonewalla Jacksona, prawda, Travisie?

- O nie. Nie namówisz mnie. Nie zamierzam robić z siebie durnia. - Wyszedł za próg powoli, ostrożnie, jakby bał się, że coś go zaatakuje. Wzruszyłam

ramionami i puściłam piosenkę Stonewalla Jacksona. Gdybym ścisnęła się za gardło, zapewne udałoby mi się wydobyć z siebie podobny, równie smętny i ponury głos. Zrobiłam to. Mój brzmiał równie chrapliwie i posepnie jak jego, przywodził na myśl górnika pracującego na przodku. Ciocia Ruth skwitowała moją próbę pogodnym uśmiechem, a potem zaśmiała się tak głośno, że złapał ją atak kaszlu.

- Na Boga, Kostko! Naprawdę ananas z ciebie! Przestań już, bo dłużej tego nie wytrzymam! - Mocno osłabiona znów się położyła i tylko palcami wybijała rytm kolejnych piosenek. - Na miły Bóg, naprawdę jesteś niezwykła. Słowo daję. Proszę cię, puść tę piosenkę jeszcze raz.

W weekend poprzedzający rozpoczęcie szkoły mama powiedziała, że powinnam wrócić do domu i zostawić Ruth pod opieką jej córki Deedee. Deedee zgodziła się na powrót do matki po tym, jak Travis obiecał zapłacić resztę sumy za jej ulubionego chevroleta, ale i tak pojawiła się dopiero w przeddzień mojego wyjazdu, poirytowana i niezadowolona z takiego obrotu spraw. Sprawiała wrażenie, jakby choroba matki to był dla niej krzyż pański. Mocno mnie to zbulwersowało.

- Może umrzeć lada dzień - powiedziałam Deedee następnego ranka. - Nigdy o tym nie pomyślałaś?

Czekałyśmy na ganku na moją mamę, Deedee siedziała w bujanym fotelu, a ja opierałam się o poręcz. Deedee tylko skrzywiła się drwiąco i zapaliła jeszcze jednego chesterfielda, których ciocia Ruth nie znosiła, po czym rzuciła we mnie zgaszoną zapalką.

- Ona nie umrze, w każdym razie jeszcze nie teraz, a przynajmniej dopóki nie zanudzi mnie na śmierć do tego stopnia, że będę chciała sama odebrać sobie życie. Nie masz o niczym pojęcia, Kosteczko. Nie wiesz, jak długo mama się z tym boryka. Przez całe życie zajmowałam się nią i moimi tępymi braćmi. Ludzie stale użalali się, jaka to tragedia, że mama jest taka chora i pewnie wkrótce umrze. A ja im na to „wątpię”. Najpierw miała kobiece problemy i nie mogła niczego dźwigać, potem kłopoty z płucami i w jej domu zaczął obowiązywać zakaz palenia. Po zmierzchu nie można było włączać radia ani hałasować, aby mogła odpocząć. Chłopcy nie mogli tu przyjeżdżać i trąbić klaksonem, abym do nich wyszła. Zero nowych sukienek dla mnie, bo jej lekarstwa kosztują przecież krocie. Nic tylko jęczenie, użalanie się nad sobą i mówienie mi, co mam robić.

Twarz Deedee była pełna nienawiści, jej oczy zimne jak lód i niewzruszone jak dwa kamienie. Schwyciła mnie za rękę i przyciągnęła do siebie.

- Nie wiesz, jak to jest, Kostko, pójść na swoje, a potem zostać zmuszoną do powrotu do domu. Zaczekaj parę lat, znajdź sobie chłopaka, dobrą pracę, rzeczy, które lubisz robić, a które są dla twojej mamy czymś idiotycznym albo grzesznym. - Puściła moją rękę i wprawiła fotel bujany w ruch. - Do cholery, niemal wszystko, co lubię na tym świecie, jest głupie lub grzeszne. Głupia, grzeszna Deedee, tak o mnie mówią. Ale nie dbam o to. Mam swój wóz, swoje plany i kiedy już splącę samochód, znów dam stąd nogę. Możesz być tego pewna. A gdy znowu stąd zwieję, nawet sam diabeł nie zdoła nakłonić mnie do powrotu.

Włoski na moim karku nagle się zjeżyły. Nie wiedziałam, co mam powiedzieć albo myśleć. Earle skończył w ubiegły weekend malować ganek i białe deski lśniły teraz w słońcu, odbijając jasne refleksy w ciemnych oczach Deedee. Przypomniałam sobie, jak Earle stał, opierając się o poręcz i kręcąc głową, ochryplym ze smutkiem głosem mówił, że nie ma pojęcia, jak to się stało, że wszystko tak bardzo się pochrzało. I to najprostsze rzeczy, pomyślałam. Zeszłam po schodach i przycupnęłam na najniższym stopniu, złączając palce na kolanach jak do modlitwy. Deedee sprawiała wrażenie, jakby chciała, aby jej mama umarła. Nie mogłam tego pojąć, nie mogłam o tym myśleć. Nie rozumiałam, jak mogła jej nienawidzić. Wypatrywałam auta mamy i śpiewałam w myślach. „Jeszcze przyjdzie taki dzień, przyjdzie taki dzień, że i mnie słońeczko zaświeci”. Ta piosenka brzmiała jak modlitwa i była nią. Co mogłabym zaśpiewać, by zmiękczyć Serce Deedee albo moje, co mogło przynieść pociechę którejś z nas?

Każdego popołudnia po szkole miałam zostawać z Reese u cioci Almy, ale zamiast tego zaczęłam chodzić do kafejki przy Eustis Highway. Była tam szafa grająca ze starymi, ale i nowymi piosenkami - Loretty Lynn, Teresy Brewer, Patsy Cline i ulubienicy mamy - Kitty Wells. Kierowcy ciężarówek uwielbiali tę muzykę, tak jak ja.

Siadałam pod jednym z okien kafejki i śpiewałam albo nuciłam pod nosem, słuchając tych silnych, melodyjnych głosów, i wyobrażałam sobie, że to ja śpiewam te wszystkie smutne i liryczne piosenki. Wszyscy wiedzieli, że gwiazdy okręgu Opry zaczynały od muzyki gospel. Wszystkie te kobiety śpiewające o niewiernych mężach zaczynały od sławienia miłości Bożej. Drzemiąc w słońcu i czując w nozdrzach kojącą woń tłuszczu do smażenia, składałam Bogu obietnice. Jak bardzo chciałam, aby uczynił mnie piosenkarką. Wiedziałam, że prawdopodobnie rozpiłabym się i skoncentrowała na rock and rollu, jak one wszystkie, ale dopiero za dobrych parę lat. Najpierw sławiłabym Jego imię i kupiłabym mamie żółtego cadillaca oraz dom przy Old Henderson

Road. Bardziej niż cokolwiek chciałam być jedną z tych małych dziewczynek w kamizelkach z frędzlami, z wyszytymi na nich złotą i srebrną nicią krzyżami - dziewczynek śpiewających na spotkaniach ewangelizacyjnych i nagrywających swoje występy dla telewizji, by pokazano je później w porannych programach religijnych. Chciałam, by siwowłose kobiety szlochały na widok moich zaróżowionych policzków. Chciałam, by ludzie jękiem reagowali na zmiany w rytmie i natężeniu mego głosu. Pragnęłam doświadczyć w życiu cudu. Chciałam zostać piosenkarką gospel i być kochaną przez cały świat.

Jezu, uczyn mnie piosenkarką gospel, modliłam się, podczas gdy Teresa śpiewała o kimś, kto mógł być Bogiem albo równie dobrze czarnookim mężczyzną. Jezus musiał być najwyraźniej zaabsorbowany Teresą, bo kiedy się ekscytowałam, mój głos stawał się wysoki i piskliwy albo ochrypliwy, gdy próbowałam zawodzić jękliwie. Kaznodzieja z kościoła baptystów w Bush Creek nie pozwoliłby mi nawet stanąć przy chórze, aby przekreślać strony zbioru hymnów, a nie mając głosu jak Teresa czy Juno Carter, nie miałam co marzyć o pieśniach gospel. Mogłam jedynie słuchać i patrzeć na szlochające siwowłose matrony. Tej niesprawiedliwości nie potrafiłam pojąć ani wybaczyć. Musiał istnieć jakiś sposób, abym wyrobiła sobie głos i mogła śpiewać w taki sposób, jak sobie wymarzyłam. Modliłam się, ćwiczyłam i miałam nadzieję.

Jeździliśmy z Greenville do Sunshine leżącego przy autostradzie 85, mijając magazyny Searsa i Roebucka, bazę lotniczą oraz rozłożyste zielonordzawe, rozmyte wzgórza. Teraz gdy tatko Glen pracował u ojca, tę podróż odbywaliśmy niemal co drugi tydzień, i zdarzało się nam śpiewać gospel. We śnie ktoś dotknął mnie, och, dotknął mnie we śnie! Zda mi się, że była to dłoń Pana... Nasze połączone, dziarskie głosy wypełniały wnętrze auta i szokowały innych użytkowników drogi. Reese skrzeczała i jazgotała, głos mamy brzmiał, jakby zanadto chciała być drugą Teresą Brewer, a tatko Glen wydawał dźwięki, które mogły przepłoszyć każdą wronę w okolicy. Żadne z nich się tym nie przejmowało, a ja udawałam, że idzie im całkiem nieźle. Wychylałam głowę przez okno i zawodziłam na cały głos. Wiatr wpadał mi do ust, a to, że ryczałam na cały głos, nie pozwalało nikomu zorientować się, że śpiewam równie kiepsko jak każde z nich.

Raz poniosło mnie tak, że po powrocie do domu zaczęłam śpiewać do elektrycznego wiatraczka. Mój głos stawał się dzięki temu brzęczący i falujący jak dźwięki gitary elektrycznej i ten efekt bardzo mi się spodobał. Mama poskarżyła się, że rozboleła ją od tego głowa i da mi w ucho, jeśli natychmiast nie przestanę.

- Co ona wyprawia, u licha? - Tatko Glen zachowywał się, jakbym śpiewała, by go rozzłościć. - Chce, żeby ściany zaczęły obłazić z farby czy może, żeby skwasilo się mleko? - Sięgnął ponad wiatrakiem, wyciągając w moją stronę swoje wielkie łapska.

- Glen.

Głos mamy brzmiał łagodnie, ale powstrzymał go skutecznie. Spojrzał na nią, jakby wbiła mu nóż prosto w serce.

- Nie powinnaś jej zachęcać - powiedział do mamy. - Jeszcze pomyśli, że może mieć wszystko, co sobie zamarzy, i co się wtedy stanie? Już i tak prawie nie ma jej w domu. Całymi popołudniami szwenda się gdzieś po okolicy.

Mama objęła tatkę Glena w pasie.

- Zdaję sobie sprawę, że się martwisz, kochanie, ale ja wiem, gdzie w danej chwili jest Kostka. Nie pozwoliłabym, aby coś się stało mojemu maleństwu.

Tatko Glen pod dotykiem mamy prawie się uśmiechnął.

- Kostko, przynieś tacie mrożonej herbaty - rzekła do mnie. - I dorzuć jedną więcej kostkę lodu, tak jak lubi.

Przyniosłam herbatę i zwilżony ręcznik, aby mama mogła ochłodzić nim kark tatki Glena. Mama nie spojrzała na mnie ani razu, ale tatko Glen tak, wodził po mnie wzrokiem, jakby miał przed sobą nową, nieznaną istotę, której nie umiał jak na razie okiełznać. Upłynęło sporo czasu, odkąd ostatni raz przyłapał mnie samą, i niekiedy byłam nawet skłonna uwierzyć, że nigdy nie przyciągał mnie, nie ocierał się o mnie ani nie wkładał mi rąk pod ubranie. Udawałam, że to wszystko było złym snem, który już nie wróci, ale równocześnie trzymałam się jak najdalej od niego. Uciekłam, zanim tatko Glen zdążył poprosić o coś więcej, i wyniosłam wiatraczek na tylny ganek. Śpiewałam dla siebie jak najciszej, nuciałam z zapalem, rozmyślając o tym, że pieśniarze gospel stale przebywali w trasie. Nawet jeśli nie zostanę gwiazdą, zawsze mogłam śpiewać w chórkach, pośród „rodziny”, ubrana jak wszyscy inni w obszyte srebrną nicią błękitne bluzki z frędzlami, podróżować wielkim autobusem i wydzwaniać do domu z różnych miast. Mimo to lepiej jednak byłoby zostać solistką i samemu być gwiazdą każdego z tych występów. Potrzebowałam jedynie szansy, aby móc spojrzeniem czarnych, gołębich oczu urzec tłumy wiernych i smętnym głosem podbić ich serca. Wiedziałam, że mogłabym sprawić, aby mnie pokochali. Łączyła się z tym jakaś tajemnica, ale rozwiązałam ją. Skoro oni mogli zdobyć moje serce, ja mogłam odkryć sposób, aby pokochał mnie cały świat.

- Marzenie ściętej głowy. - Babcia zaśmiała się okrutnie, kiedy w końcu opowiedziałam jej, jak rankiem obserwowałam pieśniarzy gospel i pragnęłam

zostać jedną z nich. - Chyba żartujesz, Kostko! Ty nie umiesz śpiewać. Wcale a wcale.

- Jeszcze nie - przyznałam z niechęcią. - Ale pracuję nad tym. I nauczę się! Pomyśl o tym, babciu. Pomyśl o tym, jaka kiedyś będę.

- Och, przecież wiem. - Na twarzy babci pojawił się łagodny wyraz i trochę niepewnie dodała: - Znam potęgę pieśniarzy gospel. Niektóre z tych chrześcijańskich kobiet uwierzą we wszystko, co wypływa z ust pieśniarza gospel.

We wszystko. Spodobało mi się, jak babcia to powiedziała. Natomiast słowa „chrześcijańskie kobiety” wymówiła, jakby strzykała tytoniem na pylistą ziemię i robiła to z jawną satysfakcją.

- We wszystko. - Zawtórowałam, a ona posłała mi bezzębny, krzywy uśmiech. Siedziałyśmy na podwórzu za domem, na fotelach ogrodowych. Babcia zawsze się skarżyła, że mama nie mieszka w domach, gdzie są ganki i bujane fotele, ale lubiła fotele ogrodowe mamy. Sięgnęła ręką, ścisnęła mnie za kark i zaśmiała się.

- Czasami wyglądasz jak twój dziadek. - Uszczypnęła mnie i znów się zaśmiała. - Ten drań podłością dorównywał wężowi, ale czarujący był z niego łajdak. Czyż go nie pokochałam? Chryste Panie!

Odchyliła się do tyłu, żując z lubością tytoń.

- Ten mężczyzna miał tylko dwa mankamenty. Nie chciał wziąć się do roboty, żeby zarobić na życie, i nie umiał trzymać się z daleka od pieśniarzy gospel. Zwykle ustawiał się z tyłu przy ich namiocie, oferując najlepszy bimber w całym hrabstwie Greenville. A potem przynosił mi zlewki, które mu zostały! Bękart!

Zesztywniała i obejrzała się przez ramię, obawiając się, że mama mogła to usłyszeć. Mama nie pozwalała, aby ktokolwiek wypowiadał to słowo w jej domu.

- Chrzanić to. - Splunęła w bok. - Ty też po trosze jesteś taka. Ciebie też pociągają namioty ewangelików? Przecież to stek bzdur. Kit i tyle.

- Kuzynka Tempie uważa cię za poganę.

- Kuzynka Tempie, hę? Na głupotę nie ma lekarstwa. To skończona idiotka.

Nie odpowiedziałam. Babcia potarła podbródek.

- Nie przekazuj mamie wszystkiego, co usłyszysz.

- Ależ skąd.

- I nie traktuj gospel zbyt poważnie. Miło jest posłuchać tego od czasu do czasu i poczuć się czysto i świeżo, ale to wszystko pic na wodę. Tak jak z kiepską whiskey. Przepływa przez ciebie jak karma przez gęś i pozostawia

tylko cierpienie. - Znów potarła podbródek i westchnęła, jak to ostatnio miała w zwyczaju. Nie znosiłam tych westchnień. Lubiłam ją, gdy zachowywała się podle i złośliwie. Gdy zaczynała wzdychać, zwykle oznaczało to, że zaraz się rozplacze. A potem jej twarz wykrzywił grymas, który budził we mnie przerażenie.

- Nie jestem głupia. - Zakołysałam się w przód i w tył na fotelu, odpychając się bosymi stopami od ziemi.

Przez twarz babci przemknął cień, a potem jej oczy znów zaśniły dawnym blaskiem.

- Wiesz, jak bardzo twoja mama nie cierpi tego słowa.

To była prawda. Mama złajala mnie jak rzadko właśnie za to, że powiedziałam, iż Reese jest głupia. Nienawidziła tego słowa niemal równie mocno jak „bękarta”.

- Nie jestem głupia ani nie jestem bękartem. - Znów się zakołysałam, patrząc na twarz babci.

Babcia zaśmiała się i nerwowo obejrzała się przez ramię.

- Któregoś dnia doprowadzisz swoją mamę do śmierci i to nie ja będę tego żałować.

Nie wyglądała, jakby czegokolwiek było jej żal. Wyglądała lepiej niż zwykle.

- Nie jestem głupia ani nie jestem bękartem - powtórzyłam. Babcia tak się zaśmiała, że zakrztusiła się tytoniem.

- Jesteś jednym i drugim i masz jak twój dziadek bzika na punkcie muzyki. - Wyglądała jakby miała lada chwila umrzeć ze śmiechu. - I niech mnie kule biją, on też był jednym i drugim.

Moje zamiłowanie do muzyki gospel zdenerwowało mamę i przez pewien czas nie mogła dobrać się do siebie, lecz ciocia Alma ją uspokoiła.

- To denerwujące, ale normalne, Anney, i dobrze o tym wiesz. Każda dziewczyna w rodzinie prędzej czy później skłania się ku religii.

Mama skinęła beznamietnie głową. Nie była pewna, czy to aż takie proste. Mama prawie w ogóle nie chodziła do kościoła, ale wierzyła w Boga i traktowała kwestie wiary jak najpoważniej.

- Och, Anney to chrześcijanka - powiedział wujek Earle do cioci Almy następnego dnia po tym, jak mama wyrzuciła go z domu, bo był pijany i puścił pawia na stół w kuchni. - Ale mam już serdecznie dość tego jej oślego uporu. Można by pomyśleć, że nigdy w życiu nie napiła się whiskey ani nie uganiała się za przystojnymi facetami.

- Jest nieustępliwa, to fakt - przyznała kuzynka Deedee.

Miała dotrzymywać towarzystwa cioci Ruth, ale więcej czasu spędzała u cioci Almy albo Raylene niż w domu.

- Wiesz, Kostko, twoja mama jest z tych kobiet, które zawsze przysparzają najwięcej kłopotów. To jak żywcem wyjęte z przypowieści ze szkółki niedzielnej, lekcja, dzięki której mamy się czegoś nauczyć. - Uśmiechnęła się do mnie drwiąco. - O nic nie prosz, ufaj Bogu. Postępuj słusznie. Słusznie! A On zsyła ci bękarty i rozmaite choroby, zanim z tobą skończy. - Nie cierpię - dodała Deedee - stereotypu chrześcijanki jako chudej jak szczapa kobiety o wąskiej szyi, sztywnej jakby kij połknęła!

- Ona nienawidzi samej siebie - rzekła do nas mama, kiedy Reese powtórzyła jej, co powiedziała Deedee. - A mnie się nie wydaje, aby Bóg miał z tym coś wspólnego. - Rzuciła mi jedno z tych przenikliwych, niemal przerażających spojrzeń, których posyłanie rozwinęła w sobie przez całe lata. - Ludzie nie postępują jak należy z miłości do Boga czy ze strachu przed Nim. Robisz to, co słuszne i prawe, ponieważ w przeciwnym razie świat nie miałby sensu.

Nie przyjmowałam już wszystkiego, co mówiła mama, jak największej świętości, ale wiedziałam, o co jej chodziło. Robienie tego, co właściwe i prawe, nie powinno mieć nic wspólnego z naszymi upodobaniami, miłością, dobrem czy Jezusem, choć wiele osób twierdzi, że Jezus ma coś wspólnego ze wszystkim. Wiedziałam, że mama wierzyła w Jezusa, mimo iż prawie o tym nie mówiła, i uznałam, że w głębi serca doskonale rozumiała, co robię. Poświęcałam się tajemnicy Krwi Chrystusa, czytaniu Biblii przy kuchennym stole po kolacji i nabożeństwach dla młodzieży w środowe wieczory. Mama nic nie mówiła, Reese drażniła się ze mną, a tatko Glen tylko uśmiechał się szyderczo.

Ciocia Alma uznała, że to wszystko jest bardzo zabawne.

- Cóż, przynajmniej nie przepisuje cytatów z Biblii i nie chowa ich po szufladach jak moja Tempie. Trudno to było wytrzymać. Ale takie rzeczy trzeba po prostu przeczekać. Kiedy Tempie wpadała w swój amok, przez pewien czas się z nią drażniłam, a ta dziewczyna omal nie wydrapała mi oczu. Była gotowa namówić kaznodzieję, aby mnie odwiedził - jakbym nie była dobrą baptystką - tylko dlatego, że nie widzę powodu, dla którego co niedzielę mam uczęszczać do kościoła.

- Ale przecież powinnaś chodzić do kościoła - rzekłam stanowczo. Sprawiała, że zaczęłam mówić z niezwykłą zawziętością, jakbym nie była pewna swojej wiary. - Powinnaś dać świadectwo swojej wiary i zabrać ze sobą wujka Earle'a.

Jesteś dla niego całym światem i gdybyś odpowiednio do niego podeszła, na pewno dałby się namówić.

- Gdybym zaczęła mówić z Earle'em o niedzielnych mszach i świadectwie naszej wiary, pomyślałby, że postradałam rozum. - Alma zaśmiała się i uszczypnęła mnie w podbródek. - Ty idź tam za nas, dziewczyno. Ty daj świadectwo. Gdyby świat faktycznie miał się skończyć nazajutrz, wolałabym, abyś to ty ocalała, a nie któryś z tych twoich wujków opojów. I nie próbuj nawet zaczynać z Earle'em rozmowy o Jezusie. Z tym człowiekiem nie da się rozmawiać o Bogu i religii.

Przyjęłam ostrzeżenie ciotki Almy jako wyzwanie i zaczęłam rozmawiać z wujkiem Earle'em o wierze i dobrych uczynkach. Puszczalam mu najbardziej łzawe pieśni gospel i country, powtarzając najdramatyczniejsze opowieści o duchowym odrodzeniu, jakie wyczytałam w ulotkach rozdawanych przez Towarzystwo Pomocy Kobiet Chrześcijańskich. Earlowi się to podobało, moja szczerość, cytaty z Biblii i zawołane wzmianki o zatraceniu. Najbardziej jednak lubił się kłócić. Gdy próbowałam udowodnić mu, że Bóg jest miłością, a Jezus zbawia nasze dusze, upierał się, że ten świat trawiony jest zepsuciem i nie sposób go odkupić.

- Dziewięćdziesiąt dziewięć nie ma znaczenia, porozmawiajmy o jedynej, biednej, zagubionej owieczce - zaczynał wujek Earle. Szklaneczka whiskey i kufelek piwa i był gotów pomówić ze mną o Jezusie, od czasu do czasu tylko wspominając o Teresie.

Rzecz jasna za to, że od niego odeszła, obwiniał Jezusa, właśnie Jezusa, dzięki któremu powstał katolicyzm i utrudniał przyzwoitemu baptyście uzyskanie rozwodu. Dziwnie się odnosił do katolików, śląc na nich gromy za to, że jego życie stało się gehenną, z drugiej strony zaś szczerze ich podziwiał.

- Bo widzisz - mówił - katolicy są naprawdę interesujący z tą całą ich teatralnością, klękaniem i wstawaniem, górą i dołem, śpiewami, aksamitnymi dywanami w nawach i rozwodnionym winem podczas komunii. A co w porównaniu z nimi mają baptyści? Komunię z sokiem z winogron, kretyńskie zakazy chodzenia na tańce albo oglądania filmów; zarozumiałych kaznodziejów, którzy uważają, że pozjadali wszystkie rozumy, i parafian prostych jako ta ziemia, co ich nosi. Baptyści mogliby się czegoś nauczyć od katolików.

Czasami, gdy się tak spieraliśmy, wujek Earle trochę za bardzo mieszał Teresę, kościół katolicki i szeryfów hrabstwa. Gdy wypił dostatecznie dużo, zaczynał mówić o tym, jak to wszystko sprzysięgło się, by zatruć mu życie. Jeżeli Bóg istniał, twierdził Earle, to musiał wziąć stronę Teresy, katolików i

szeryfów. Ale nie, zapewniał mnie Earle, Boga nie ma, a w kościele nie odnajdziesz nadziei. Lepiej, żeby ludzie nauczyli się polegać na sobie nawzajem, zamiast modlić się o coś, co i tak nie będzie im dane.

- Odrzuciłem kościół, wszystkie kościoły i wyznania, bo zrozumiałem, czym one są w istocie. Weźmy na ten przykład olejne obrazy na ścianach każdej szkółki niedzielnej w Karolinie Południowej. Jezus w górach. Jezus na pustyni. Jezus na tle nieba. Jezus z zagubioną owieczką na rękach. Jezus pragnie ciebie, pragnie każdego z was. Pokona każdą górę, każdą pustynię, będzie maszerował dniem i nocą, w słońcu i w deszczu, aby szukać tej jednej, jedynej zagubionej owieczki. I nigdy nie jesteś dla niego tak cenna jak wtedy, gdy odłączysz się od stada. Bo to ciebie chce Bóg. Kto by pomyślał, prawda? Wiem ja coś na ten temat.

- Oni cię chcą, ciebie, właśnie ciebie. Aż staniesz się jedną z nich. A na tym świecie nie ma nic bardziej bezużytecznego niż ciężko harujący religijny oszołom. To nie ty przyjmujesz daną wiarę czy religię. To ona dopada ciebie i wysysa do cna. I już nie możesz napić się kropelki whiskey. Nie możesz sprawić, że dziewczyny o tłustych tyłkach będą chichotać i uśmiechać się do ciebie. Nie wolno ci niczego prócz ciężkiej pracy i zarabiania na to, co otrzymasz w Niebie. Ja żyję tu i teraz i w niedzielę rano muszę się porządnie wyspać. Ale wiedz jedno, Kostko, cieszę się, że katolicy, baptyści, zielonoświątkowcy, metodyści adwentyści Dnia Siódmego chcą, bym się do nich przyłączył, że wszyscy oni pragną mojej brudnej białej skóry i żalosnej ludzkiej duszy. Niech to licho! Żaden z nich nie dałby za mnie złamanego centa, gdybym już przynależał do którejś z ich zafajdanych kongregacji.

Wujek Earle pił i odgarnął do tyłu swoje lśniące, czarne włosy. Im więcej pił, tym więcej mówił. Może to dziwne, ale im więcej mówił, tym bardziej miałam ochotę go słuchać, choć z jego ust płynęły same bluźnierstwa. Najbardziej lubiłam, kiedy mówił o Jezusie. Mówił o Nim tak, że go rozumiałam, choć nie do końca potrafiłam połączyć jedno z drugim. Mówił tak, jakby Jezus rozpaczliwie go pragnął, niczym człowiek umierający z głodu, lecz zbyt dumny, by sięgnąć po leżące tuż przy nim jedło. Earle posługiwał się językiem muzyki z jej rytmem i intensywnością. Słuchałam jego bełkotliwych słów z takim samym napięciem jak dźwięków muzyki, podniesionych głosów mężczyzn o poczerwieniałych twarzach i bladych, spoconych kobiet zawodzących w pierwszych rzędach: „Boże! Boże! Te jęki i oczekiwanie, czekanie i modlitwy, aby obmyć się, Panie Jezu, we krwi Baranka!” - Głód, pożądanie i tęsknota były nieomal namacalne. Rozumiałam ten głód jak nic

innego, choć nie potrafiłam powiedzieć, czy łaknęłam Boga, miłości, czy odkupienia. Zbawienie było raczej skomplikowane.

Położyłam dłoń na przedramieniu Earle'a i aż zakręciło mi się w głowie, gdy poczułam ciepło jego twardej, szorstkiej, napiętej mocno skóry, jakby każdy mięsień w jego ciele toczył zacięty bój z Bogiem. Gdyby nie to, że przekonały mnie jego opowieści o ogniu piekielnym i potępieniu, z chęcią sprawdziłabym, jakim wyzwaniem mógł być Earle dla bożej cierpliwości. A tak na razie mogłam jedynie mówić, że chciałabym usłyszeć kiedyś płynący z moich ust głos Boga i poczuć, jak Jezus wkracza w życie Earle'a.

Próbowałam uczynić, co w mojej mocy, aby ocalić moich wujów od pogaństwa, ale gdy próbowałam ich nakłonić, aby poszli na niedzielną mszę, Earle tylko się zaśmiał, Nevil chrząknął, a wujek Beau dostał ataku kaszlu.

- Przeklęte kobiety i to ich chodzenie do kościoła. - Wujek Beau skrzyczał babcie, jakby to ona mnie do tego namówiła. - Mężczyzna nie musi mieć nad sobą straszaka w postaci gniewu bożego, by wiedzieć, co powinien robić. Mężczyzna nie potrzebuje, aby kobieta przez cały czas prawila mu kazania.

- Przestań bluźnić - rzuciła krótko babcia. - Jesteś największym głupcem w hrabstwie Greenville i to nie kobiety nim cię uczyniły. Odkąd przyszedłeś na świat, próbujesz na innych zrzucić winę za swoje niepowodzenia.

Splunęła tytoniem i kazała mi wyjść na podwórze.

Nie zaoponowałam. Gdybym to zrobiła, kazałaby mi pomóc sobie przy zastrzyku z insuliny, jak to się często zdarzało.

Zawsze to robiła, gdy była na mnie zła, dlatego nie chciałam jej rozzłościć.

- Gdyby Bóg mieszkał w butelce whiskey - usłyszałam, jak babcia zwraca się do wujka Beau - wypełniłaby twoje serce już dawno temu. Ale tak się nie stało i nie licz na to, że zostaniesz zbawiony, więc zachowaj całą swoją podłość dla siebie.

Wujek Earle dostał pracę przy budowie parkingu i za część zarobionych pieniędzy kupił mamie mały elektryczny adapter oraz cztery płyty.

- To wszystko, co daję za darmo - rzekł do niej, wygarniając resztkę sosu kawałkiem suchara. - Kupiłem ci nawet płytę z piosenkami June Carter, które tak lubisz. Jak brzmiał tytuł tej zabawnej? Nickelodeon. zgadza się?

Pałaszował ze smakiem, popijając suchary herbatą równie łapczywie, jakby to była whiskey. Mama zauważyła, że zjadł tyle sucharów, iż mogłaby uznać go za swoje dziecko.

- Mężczyzna należy do kobiety, która go karmi.

- Bzdura - wtrąciła ciocia Alma. - Jest dokładnie na odwrót i sama o tym dobrze wiesz. To kobieta należy do tego, kto ją karmi.

- Może. Może.

Z czterech płyt tylko jedna naprawdę spodobała się mamie i zdarła ją niemal do cna. Nosiła tytuł: The Sign on the Highway i niebawem nauczyłam się jej na pamięć. Siad na autostradzie, miejsce wypadku... ludzie zjeżdżają na bok, by przepuścić karawan... ciała znaleziono pod tablicą z napisem: sklep monopolowy, piwo, wino, whiskey, o rzut kamieniem stąd.

Zdziwiło mnie, że mama, która nie chodziła do kościoła i nie wypowiadała na głos imienia Jezusa, reagowała na muzykę tak samo jak ja. Płakała za każdym razem, gdy słyszała tę piosenkę, a słuchała jej na okrągło. Rzecz jasna to była piosenka gospel. Mama puszczała ją raz za razem, a ja siadałam wtedy przy niej, ona miała przed sobą szklanekę z herbatą, a drugą dłonią zakrywała oczy, i obie płakałyśmy cichutko, a potem uśmiechałyśmy się do siebie i puszczałyśmy płytę jeszcze raz. Wujek Earle, który właśnie się zjawił, śmiał się z nas.

- Spójrzcie tylko na siebie. Jesteście kompletnie szurnięte. Zastanówcie się. Oplakujecie kogoś, kto tak naprawdę wcale nie zginął. To tylko gitarowe brzmienia i paru kretynów, którzy nie potrafią żyć inaczej, jak tylko prezentując się przed tłumem takich jak wy matolek.

Wujek wyszedł, z trzaskiem zamykając za sobą siatkowe drzwi, podczas gdy mama wycierała twarz z łez, a ja siadałam w bezruchu. Schodząc po schodach, wujek Earle kopnął w każdy stopień.

- Słowo daję, w tej rodzinie wszyscy mają siano zamiast mózgow.

Jako że nie udało mi się ocalić wujków, zajęłam się jedynym, co miałam najwartościowszego, własną duszą. Zafascynowała mnie idea zbawienia, nie tylko powitania Jezusa w moim sercu, lecz cała ta walka pomiędzy dobrem i złem, życiem i śmiercią, zbawieniem i potępieniem. Bóg i szatan byli ostatecznymi arbitrami i wszyscy wiedzieli, o co toczyła się gra. Zupełnie tak jak mówił wujek Earle - jeśli nie było się zbawionym ani członkiem zboru, wszyscy o ciebie walczyli. Było coś ekscytującego i urzekającego w tym, że skupiałaś na sobie całą uwagę. To tak jak ich śpiewanie gospel w programie telewizyjnym, kiedy wszyscy widzowie wstrzymują oddech. Nie mogłam się temu oprzeć.

Byłam bliska zbawienia czternaście razy przez czternaście niedziel w czternastu różnych kościołach baptystów. Nie udawałam niezdecydowania, że zbiera mi się na płacz, intensywności przeżyć ani zakłopotania, które mnie ogarnęło, kiedy kaznodzieja skierował na mnie wzrok. Było coś w wyglądzie jego twarzy, kiedy nawoływał wszystkich, którzy poczuli „zew”, aby wystąpili naprzód, i w spojrzeniach starych kobiet z pierwszego rzędu, gdy odwróciły się

i zaczęły wodzić wzrokiem wzdłuż przejść. Muzyka przybrała na sile, chór zaintonował *Softly and Tenderly, Jesus is Calling*, a ja poczułam silne pulsowanie w skroniach. Łzy zakręciły mi się w kąciakach oczu język dziwnie spuchł i napęczniał. Pragnęłam czegoś, z całego serca - Jezusa, Boga, zapachu kwiatów pomarańczy albo smaku czekolady w ustach. Czułam dojmujący, niepojęty ból. Nie potrafiłam stwierdzić, czy to ta muzyka, wzrok kaznodziei czy woskowy zapach klepki podłogowej, ale wszystko połączyło się w jedno i sprawiło, że podeszłam bliżej, do przejścia przy pierwszym rzędzie ławek, gdzie kaznodzieja przyłożył mi dłoń do czoła, a jakaś nieugięta stara kobieta postąpiła naprzód, by ująć mnie za rękę. Popłakiwałam cichutko i czekałam, podczas gdy dołączyło do mnie jeszcze kilka innych osób. A potem modliliśmy się wspólnie. Nie potrafiłam tego wyjaśnić, ale nie chodziło mi o chrzest, przynależność do zboru czy nawet niepodzielną uwagę ze strony kaznodziei. To było wrażenie, że znalazłam się na granicy pomiędzy zbawieniem a potępieniem, podczas gdy kaznodzieja i stare kobiety przeciągały moją biedną, mroczną duszę na stronę dobra. Pragnęłam, aby ta chwila trwała w nieskończoność, chciałam, aby chór bez przerwy śpiewał tę kojącą pieśń. Chciałam, by w kościele pojawili się wszyscy ludzie, których znałam. Pragnęłam, by to, co czułam, coś znaczyło i by dzięki temu odmieniło się całe moje życie.

Kiedy muzyka cichła, a spocony kaznodzieja zasiadał z małym notesikiem w rękę, by ze mną porozmawiać, moja twarz zaczynała sztywnieć, a głos ze strachu i wstydu przechodził w cichy szept. Za każdym razem było tak samo. Woń amoniaku tłumiła aromat pomarańczowego kwiecia, a od uścisku rąk starych bab będę miała na ramionach wielkie siniaki. Zaczynałam się krztusić i biegłam ile sił w nogach do damskiej toalety, aby obmyć twarz. Patrzyłam w oczy swego odbicia w lustrze i wiedziałam, że nie jestem jeszcze gotowa. To wszystko było nie tak. Brakowało magii, która powinna wraz z krwią Chrystusa wypełnić moje ciało, ta chwila wydawała się pusta i lodowato zimna. Wychodziłam na słońce, z poczuciem winy, wciąż niezbawiona, a w następną niedzielę odwiedzałam kolejny kościół. Zastanawiałam się nawet nad Kościołem Bożym albo Świętym Kościołem Apostołów Chrystusa, ale mama zorientowała się w porę. Zabrała mnie do kościoła cioci Ruth w Bushy Creek i ochrzciła mnie, pod obrazem przedstawiającym chrzest Jezusa w Jordanie. Kiedy zanurzono mi głowę, poczułam ucisk w gardle i przestałam słyszeć cokolwiek. Miałam mocno zamknięte oczy, sukienkę przesiąkniętą mętną wodą i nie słyszałam śpiewów chóru ani nie czułam miazdzącego uścisku dłoni kaznodziei. Czymkolwiek miała być obiecana łaska Chrystusa, ja jej nie

poczułam. Dźwignęłam się z tej mętnej wody rozdygotana, ociekająca zimnym potem i poczułam, jak narasta we mnie gorączka.

Kichałam i kasłałam przez bity tydzień, leżąc bez sił w łóżku i szlochając przy każdej puszczonej w radiu pieśni gospel. Zupełnie jakbym opłakiwała utratę czegoś, czego nigdy tak naprawdę nie miałam. Śpiewałam kolejne pieśni i modliłam się żarliwie z całego serca. Krew Chrystusa i muzyka country, musiało być coś więcej, coś, co pozwalało nie stracić nadziei. Przygryzłam dolną wargę i powróciłam do lektury Objawienia św. Jana, odnajdując pocieszenie w zapowiedzi Apokalipsy i bożej pomsty na wszystkich grzesznikach. Lubiłam księgę Objawienia św. Jana, uwielbiałam Nierządnicę Babilońską i zapowiedź tego, że rzeki spłyną krwią, a z nieba lunie ognisty deszcz. To brzmiało w moich ustach jak najcudowniejsza pieśń gospel, ponieważ niosło obietnicę ostatecznego odwetu.

Rozdział jedenasty

Rozpoznałam Shannon Pearl w okamgnieniu, gdy zobaczyłam ją w pierwszy poniedziałek roku szkolnego. Widziałam ją z rodziną w namiocie ewangelistów. Jej tato podpisywał umowy z pieśniarzami i ustalał trasy tournée, a mama prowadziła księgarnię i wydawnictwo religijne, sklep z dewocjonaliami przy głównej ulicy, gdzie można było kupić ozdobne wydania Biblii, zakładki z fragmentami psalmu dwudziestego trzeciego, grzejniki do ogrzewania talerzy ze scenami z Kazania na Górze i Jezusem z owieczką; te wizerunki zdobiły dosłownie wszystko, od okładek po obrusy i plastikowe majtki nakładane na dziecięce pieluchy.

Shannon wsiadła do autobusu dwa przystanki po mnie i Reese, minęła bez mrugnięcia okiem tuzin pohukujących chłopców i tuzin zarumienionych, szepczących między sobą dziewcząt. Gdy szła przejściem między fotelami, widziałam, jak chłopcy przesuwali się na siedzeniach, żeby broń Boże nie usiadła obok któregoś z nich, a dziewczęta cofały się, jakby obawiały się, że mogą czymś się od niej zarazić. Na fotelach przed nami Danny Yarboro zgiął się wpół i zaczął wydawać nieprzyjemne odgłosy, jakby wymiotował.

- I cały autobus faluje! - zawołał ktoś, gdy autobusem zatrzęsło, i a Shannon nie znalazła dla siebie miejsca.

Patrzyłam na jej twarz, beznamietną, niewzruszoną i zaciętą, wyglądała trochę jak ja, w każdym razie ja siebie tak postrzegałam. Jej sukienka przesiąkła od potu, ale twarz poza oczami nie zdradzała żadnych uczuć. W tych różowych oczach buzował ogień, potężny ogień, który rozpoznałam i który domagał się ujścia. Zanim zdążyłam się pohamować, poderwałam się z miejsca i sięgnęłam ręką, by złapać ją za ramię. Bez słowa pociągnęłam ją na fotel obok. Reese patrzyła na mnie jak na wariatkę, ale Shannon usiadła i zaczęła czyścić grube jak denka od butelek szkła swoich okularów, jakby nic się nie stało.

Łypnęłam na Danny'ego Yarboro spode łba, aż odwrócił wzrok. Reese zaczęła skubać koniuszek pasemka długich, jasnych włosów i udawała, że siedzi sama. Chłopcy wokół nas zaczęli się odwracać i szeptać między sobą. Usłyszałam skierowane pod moim adresem gniewne: „wredna zdzira”, ale nikt nie odważył się powiedzieć tego głośno. Nikt nie wiedział, co właściwie ujęło mnie w Shannon, ale Reese i ja wróciłyśmy do podstawówki w Greenville, a tam wszyscy znali mnie i moją rodzinę, zwłaszcza kuzynów Greya i Garveya, którzy gdyby się dowiedzieli, że ktoś próbował nas obrazić, spuściliby mu niezłe manto.

Shannon Pearl przez dobre pięć minut pucowała okulary, po czym przez resztę drogi do szkoły milczała jak zaklęta. Intuicyjnie zrozumiałam, że nie odezwie się do mnie ani słowem i będzie udawać, iż przypadkiem zajęła miejsce obok mnie. Siedziałam przy niej, obserwując przejęte twarze szkolnych kolegów i koleżanek, którzy wciąż zerkali w naszą stronę. Same ich spojrzenia sprawiały, że zapomniałam o złożonych ostatnio przyrzeczeniach, że będę zachowywać się jak na dobrą chrześcijankę przystało, na widok ich pełnych pogardy i gniewu twarzy miałam chęć nawiązać rozmowę z Shannon i wstrząsnąć nimi do głębi. Prawie się uśmiechnęłam, wyobrażając sobie, jak ja i Shannon gawędzimy o naszych wspólnych wrogach, a połowa autobusu próbuje się temu gorączkowo przysłuchiwać. Nie mogłam się jednak na to zdobyć, nie wiedziałam, co mogłabym jej powiedzieć. Dopiero gdy autobus przejechał przez tory przy rogu ulicy, gdzie stała nasza szkoła, otworzyłam usta i zdołałam przedstawić jej siebie, a potem Reese.

Skinęła beznamiętnie głową i wyszeptała: „Shannon Pearl”, a potem zdjęła okulary i znów zaczęła je czyścić. Równocześnie przymrużyła powieki i lekko się zgarbiła. Znacznie później się zorientowałam, że zdejmowała okulary, kiedy potrzebowała chwili czasu, aby zebrać się w sobie, lub, co zdarzało się częściej, aby nabrać dystansu do tego, co rozgrywało się wokół niej. Bez okularów postrzegała świat jako rozmytą plamę, ale równocześnie zachowywała się tak, jakby zdjąwszy je, przestawała słyszeć cokolwiek. Kiedy czyściła okulary, nie zwracała uwagi na gwar czy obraźliwe słowa. To cenna sztuczka, kiedy jest się pośmiewiskiem dla wszystkich, tak jak ona.

Niższa ode mnie o sześć cali, Shannon miała białą skórę, białe włosy i jasnoróżowe oczy jak albinos, choć jej mama upierała się, że Shannon nie jest albinoską. „Mój aniołek to cudowne dziecko - oznajmiła pani Pearl. - Przedwcześnie przyszła na świat. Gdy się urodziła, była tak słaba, że nie wiedzieliśmy, czy Bóg pozwoli, by z nami została. Ale spójrz tylko na nią. W mojej Shannon możesz ujrzeć, jak Bóg dotyka nas wszystkich”.

Przez skórę koloru kości słoniowej na czaszce Shannon prześwitywały błękitne naczynia krwionośne. Niebieskie nici pod białym płótnem, jak mawiała moja mama. Czasami Shannon wydawała mi się dziwnie piękna, bez wątplenia tak też myślała o niej matka. Czasami, ale niezbyt często. Raczej bardzo rzadko. Przy byle okazji pani Pearl sadzała sobie córkę na kolanach i rozpływała się w samych superlatywach nad jej wiotkimi jak puch włosami i bladą, obrzmiałą skórą. - Mój mały aniołek - gruchała, a mnie żołądek podchodził do gardła.

To była lekcja na temat potęgi miłości. Gdy Shannon tak siedziała u matki na kolanach, wyglądała jak potwór, zgarbiona, zdeformowana istota, zlana potem, z dziwnym uśmiechem satysfakcji na ustach. Musiało być coś ze mną nie tak, skoro mając do czynienia z Shannon, w jednej chwili potrafiłam przejść z uwielbienia do odrazy. Kiedy Shannon siedziała u mamy na kolanach i żuła pałeczki lukrecji otrzymane od taty, nienawidziłam jej z całego serca. Kiedy jednak inni patrzyli na nią z pogardą albo chłopaki ze szkoły nazywały ją czterookim tłściochem, wzbierało we mnie uczucie opiekuńczej miłości, jakby była moją siostrą nawet bardziej niż Reese. Czułam, jakbym w osobliwy sposób była z nią związana, jakby jej niezwykła „choroba” sprawiała, iż miałam wobec niej dług do spłacenia. Oto jest tajemnica, skonstatowałam, znak łaski, jak ten, o którym wciąż mówiła ciocia Maybelle. Magia.

Wiedziałam, że chrześcijańskie miłosierdzie skłaniało mnie, żebym uśmiechała się do Shannon, ale unikałam jej jak wszyscy inni. To nie miłosierdzie sprawiło, że posadziłam ją obok siebie w autobusie, wymieniłam się z nią zdjęciami i siedziałam przy stole w kuchni, podczas gdy jej mama ponownie eksperymentowała z rzadkimi, cieniami włosami Shannon. „Jajka i mąka kukurydziana, to powinno podzielać. Zakręcimy ci loczki, kochanie, albo nie nazywam się Roseanne Pearl”. Ewentualnie szłam z nią do sklepiku przy Bushy Creek Highway i dzieliłam się z nią lodami, które tam kupowałam. Fascynacja jej osobą była bardziej jak niepokój wywołany przez strupy na moich kostkach. Choć to mogło wydawać się odrażające, nie potrafiłam powstrzymać się przed rozdrapywaniem kostek ani przebywaniem w towarzystwie tego - jak ją określiła babcia - dziwnego i wyjątkowo szpetnego dziecka.

Inni ludzie nie mieli takich dylematów. Nienawidzili Shannon. Nawet cały bezmiar bożej łaski nie mógł sprawić, by ludzie ją zaakceptowali, i słyszałam, że ten czy ów na widok jej błyszczącej, białej skóry, czaszki porośniętej rzadkimi włosami i przezierających przez skalp niebieskich żyłek i rozmytych różowych, dziwnie mętnych oczu, popatrujących to w jedną, to w drugą stronę, nie był umiał się powstrzymać i puścił pawia.

- Boże, ale brzydkie dziecko!
- To próba, ani chybi próba dla jej nieszczęsnych rodziców.
- Nie powinni wypuszczać jej z domu.
- Daj spokój, kochanie. To do ciebie niepodobne. Pamiętaj, że Bóg kocha tych, co mają serca pełne miłosierdzia.

- Nie dbam o to. Bóg z całą pewnością nie życzyłby sobie, aby w trakcie niedzielnej mszy na widok tego dziwoląga złapały mnie mdłości! To dziecko może każdego przyprawić o chorobę żołądka.

Sądziłam, że z powodu swej fizycznej szpetoty Shannon przy bliższym poznaniu okaże się istotą o gołębim sercu, prawdziwą świętą, aniołem w ludzkiej skórze. Takie historie czytałam w ulotkach i pisemkach rozdawanych przez członkinie towarzystwa. Pomyślałam o Małych kobietkach, Bobbsey Twins i wszystkich tych powieściach opisujących biedne brytyjskie rodziny podczas świąt Bożego Narodzenia. Mały Tim, na miłość boską! Byłam pewna, że taka właśnie okaże się Shannon! Dobrotliwa, łagodna dusza skryta pod tą bladą, wiecznie spoconą powłoką. Będzie szczodra, rezolutna, wyrozumiała i mądra ponad wiek. Będzie przyjaciółką, której zawsze pragnęłam. Nie brałam w ogóle pod uwagę, że mogłaby okazać się inna. I nigdy się z tym nie pogodziłam. Kiedy już Shannon oswoiła się z moją obecnością, zaczynała opowiadać upiorne historie, na ogół o okrutnych zgonach niewinnych dzieci. „I wtedy przejechał go cofający się traktor, rozcinając jego ciało na trzy części, ale nikt tego nie usłyszał ani nie zobaczył, bo młockarnia pracowała bardzo głośno. A potem przyszła jego mama, niosąc dla wszystkich mrożoną herbatę. I wdepnęła stopą wprost w jego rozpruty od góry do dołu brzuch. Boże drogi, nie masz pojęcia...”

Nie mogłam się powstrzymać. Przychodziłam do domu Shannon i słuchałam z fascynacją i rozdziawionymi ustami, a ona wymyślała kolejne historie o dekapitacjach, okaleczeniach, zbrodniach i rozlewie krwi. Jej opowieści nie były zmyślone jak moje, zawierały ziarenko prawdy. Wydawały się nad wyraz rzeczywiste jak nagłówki z gazet albo wyniki raportów z autopsji, a Shannon najbardziej lubiła, kiedy małe dzieci padały ofiarą wielkich maszyn. To było coś, o czym nie wiedział nikt z dorosłych, choć od czasu do czasu słyszałam skrócone, łagodniejsze wersje tych opowieści z ust matki. W takich chwilach Shannon uśmiechała się do mnie porozumiewawczo, z nieskrywaną dumą. Czy nie umiem opowiedzieć tego lepiej? - zdawała się pytać. Stopniowo zaczęłam zdawać sobie sprawę, co się kryło pod beznamietną maską, którą była na co dzień twarz Shannon. Ta dziewczyna szczerze i całym sercem nienawidziła wszystkich, którzy kiedykolwiek ją skrzywdzili, i spędzała wiele czasu, rozmyślając nad rodzajem kar, które ona lub Bóg mogliby zesłać na tych winowajców. Ogień gorejący w jej oczach był ogniem gniewu i nienawiści. Gdyby była silniejsza albo sprytniejsza, mogłaby stać się niebezpieczna. Jednak na wpół ślepa, trawiona chorobą i wyobcowana ze środowiska nie stanowiła dla nikogo większego zagrożenia.

Jej rodzice byli równie niscy jak Shannon i prawie tak samo bladzi. Żadne z nich nie lubiło się opalać. Pan Pearl zawsze nosił czarną fedorę i taki sam garnitur. Pani Pearl spędzała całe dnie w sklepiku, a gdy wychodziła na dwór, wkładała zawsze kapelusz i rękawiczki. Oboje nieodmiennie sprawiali wrażenie skrytych i pełnych rezerwy, rzadko się odzywali i trzymali się na dystans. Nie potrafiłam wyobrazić sobie ich nagich, wychodzących z wanny lub splecionych w czułym uścisku w zaciszu małżeńskiej sypialni. Wyglądali jak dzieci przebrane w stroje rodziców, a to, czym się zajmowali, nie wydawało mi się odpowiednie, by mogło zapewnić byt dorosłym ludziom. Pani Pearl przyznała, że nie stać ich było na opłacenie leczenia Shannon i w tej kwestii uzależnieni byli od datków ze strony zaprzyjaźnionych zborów. Nie wyobrażałam sobie, aby obcy opłacali moje rachunki, ale nie powiedziałam na ten temat ani słowa. Względem Pearlów zachowywałam się tak delikatnie, z rezerwą i najdalej posuniętą ostrożnością, jakbym była członkiem ich rodziny. Ale warto było się postarać. Dzięki Shannon i jej rodzinie spotkałam ludzi, o których poznaniu dotąd mogłam tylko jedynie marzyć - Blue Ridge Mountain Boys, Tuckerton Family, małą Pammie Gleeson (błogosławioną przez Boga), Smokey Mountain Boys i od czasu do czasu, gdy tylko mógł znaleźć wolną chwilę, Johnny'ego Casha. Niedzielne spotkania poranne, wieczorne, środowe rekolekcje modlitewne, tygodnie ewangelizacyjne. Pan Pearl wynajmował salę, kościół albo czas na antenie w lokalnej stacji telewizyjnej. Jako że byłam przyjaciółką Shannon, zabierali mnie ze sobą w trasę, żebym mogła poznać gwiazdy muzyki gospel i country. To wystarczyło, abym przestała się przejmować swoją fascynacją Shannon. Mogłam sobie tłumaczyć, że robię to wszystko, ponieważ uwielbiam muzykę gospel. Shannon znała słowa wszystkich hymnów i była zaprzyjaźniona ze wszystkimi zespołami gospel, które miały trasy w okręgu Opry. Rodzina Shannon żyła muzyką gospel i wiedziała o niej wszystko, choć nie wywierała ona na nią tak wielkiego wpływu jak na mnie. Shannon stroiła sobie żarty z kaznodziei i śpiewaków z chóru, opowiadając najbardziej uszczypliwe dowcipy na temat co bardziej radykalnych wyznawców, którzy całkiem się zatracali, gdy podczas śpiewów zrywali się z miejsc i zaczęli podskakiwać na palcach stóp, wymachując przy tym rękami. Nie mogłam podzielić się z nią moimi najskrytszymi przemyśleniami, nigdy nie powiedziałam jej, że słuchając wieczorami radiowych transmisji ze spotkań ewangelizacyjnych, nie potrafiłam powstrzymać łez i szlochałam wtedy jak bóbr.

- Te twoje oczy mogłyby złamać Bogu serce - rzekła pani Pearl, poklepując mnie po czarnej czuprynie. Zamrugałam i spróbowałam na nią spojrzeć. - Te

rzęsy, och, Bob, spójrz, jakie ta mała ma rzęsy. Gdy dorośniesz, będziesz mogła występować w telewizji w reklamówkach Maybelline, kochanie. Oczywiście po co miałabyś to robić. Nie pozwól, by ktokolwiek namówił cię do popełnienia tego błędu. Twoje oczy są darem od Boga! - Nachyliła się w moją stronę, położyła dłoń na mojej głowie i zmusiła mnie, abym spojrzała jej prosto w oczy. W jej karmelowobrazowych tęczęwkach nie odbijało się nic, zupełnie. Głos miała miódopłynny i szczery. Nie potrafiłam odgadnąć, czy mówiła od serca, czy kpiła ze mnie.

- Mama umie wymówić słowa „Bóg” i Jezus” na więcej sposobów niż którykolwiek kaznodzieja, którego miałam okazję słyszeć. - Shannon zamrugła różowymi powiekami. - Ma do tego talent, umie w jednej chwili mówić cicho, niemal szeptem, opowiadając o Bogu, tak że wyobrażam Go sobie jako dalekiego członka rodziny, dobrotliwego, kochanego staruszka. A w następnej zaczyna krzyczeć na całe gardło, czym kompletnie cię dezorientuje. Kiedy naprawdę ją ponosi, wydaje z siebie ten głuchy jęk, który zwała cię z nóg. Jeszcze lepiej jest, gdy wymawia imię Jezusa. Tu wszyscy tak często je wypowiadają, że niekiedy zapominasz, o kim mowa, ale mama umie to odpowiednio racjonować. Słyszysz, jak mówi „Jezus”, i wiesz na pewno, że Jezus był prawdziwą postacią. Małym chłopcem, który przywracał do życia synogarlice, młodym, cichym mężczyzną, który nigdy nie przeklinał ani nie cudzołożył. Możesz zobaczyć go jako mężczyznę, dajmy na to, twojego ojca, postarzałego przez grzechy całego świata, gdy poświęca tylko dla ciebie swoje życie. - Shannon zaśmiała się chrapliwie. - Powiem ci coś jeszcze. Kiedy byłam mała, nie mogłam tego znieść, ale teraz, w miarę upływu czasu, zdołałam jakoś przywyknąć. Teraz po prostu kocham, gdy mama zaczyna mówić o Bogu, na dźwięk jej słów ludzie bledną i zaczynają się denerwować.

Księgarnia nie przynosiła żadnych zysków. Największe dochody przynosiły rodzinie Pearl osobliwe hafty, które były specjalnością pani Pearl. Słyszała ona z wyszywania złotą nicią na rękawach strojów pieśniarzy gospel scen o charakterze religijnym. Doszło to tego, że potrafiłam na pierwszy rzut oka rozpoznawać dzieła pani Pearl, prezentowane w „Porannej godzinie gospel”. Miała zwyczaj ozdabiać podstawę krzyża niewielkimi zawijasami, które mogły symbolizować trawę, lecz tak naprawdę były jej artystyczną sygnaturą. Nie ulegało wątpliwości, że pani Pearl kochała swoją pracę.

- Mam wrażenie, że całe moje życie jest radością daną przez Pana - powiedziała mi któregoś dnia, otoczona maszynami do szycia i szpulkami ozdobnej nici. Przyszywała właśnie frędzle do czerwonej, jedwabnej bluzki dla jednej z córek Carterów. - Moje hafty, praca męża, sklep, moja cudowna córka.

- Spojrzała na Shannon z takim wyrazem twarzy, jaki miała Matka Boża patrząca na Dzieciątko na jednej z ilustracji Pisma Świętego, które sprzedawano w księgarni. - Wszystko, co jest nam dane, to błogosławieństwo albo próba. To wszystko, co musisz wiedzieć o życiu. .. wystarczy, że masz pewność, iż Bóg cię obserwuje, że wie, jaka jesteś i czego potrzebujesz, by rozkwitnąć. Wątpliwości to grzech, są bez sensu. W swoim czasie On sam wskaże ci drogę. Dopóki o tym pamiętam, wszystko jest w porządku. To tak jak w tej piosence, którą tak lubi pan Pearl - Jezus jest twym kierowcą, pozwól Mu sobą kierować...

Shannon zachichotała i wywabiła mnie na ganek.

- Czasami mama też potrzebuje, żeby ktoś nią pokierował. Wiesz, o co mi chodzi? - Zaśmiała się i wywróciła oczami jak zepsuta lalka. - Tatko musi sprowadzić ją na ziemię, bo w przeciwnym razie odfrunęłaby jak aniołek wypełniony helem.

Nie mogłam się powstrzymać i też się zaśmiałam, wspominając to, co o panu Pearl powiedziała ciocia Raylene. „Gdyby choć raz ktoś porządnie jej dogodził, nie wydałaby na świat tego dziwaczego dziecka”. Szturchnęłam Shannon w obrzmiałe ramię, na wypadek gdyby umiała przejrzeć moje myśli.

- Twoja mama to prawdziwy anioł - wyszeptalam ochryple, naśladując panią Pearl - prawdziwy aniołek boży.

- Jasne - przyznała Shannon, a ja w jej różowych oczach dostrzegłam gorejącą nienawiść. To mnie przerażało i fascynowało zarazem. Czy możliwe jest, aby ona dostrzegała to samo w moich oczach? Czy miałam w sobie tyle nienawiści? Spojrzałam na panią Pearl, nucącą pod nosem i trzymającą w ustach kilka szpilek. Przeszył mnie lodowaty dreszcz. Czy nienawidziłam pani Pearl? Otaksowałam wzrokiem cały ganek z dwoma bujanymi fotelami ozdobionymi ręcznie wyszywanymi poduszkami. Błysk słonecznego światła odbity od zębów Shannon poraził moje oczy.

- Wyglądasz, jakby sam szatan przeszedł po twoim grobie. Wzdrygnęłam się, a potem splunęłam jak babcia.

- Grób, do którego mnie złożą, nie został jeszcze wykopany. - Usłyszałam to kiedyś od babci.

Shannon złapała mnie za rękę.

- Nie mów tak. Mówienie o własnym grobie przynosi pecha. Słyszałam, że moja babcia McCray w weekendowy poranek żartowała na temat własnego grobu, a wieczorem, na mszy, nagle ni stąd, ni zowąd zasłabła i umarła. - Znów szarpnęła mnie za rękę. Mocno. - Pomyśl o czymś innym, tylko szybko.

Spojrzałam na jej dłoń spoczywającą na moim ramieniu, obrzmiałe blade palce zaciśnięte na moim brązowym przegubie.

„To dziecko, kiedy już umrze, bardzo szybko zgnije” - rzekła kiedyś ciocia Raylene. Zrobiło mi się niedobrze.

- Muszę już iść do domu. - Oddychałam najgłębiej i najszybciej, jak umiałam. - Mama chce, żebym dziś po południu pomogła jej rozwiesić pranie.

- Twoja mama stale zmusza cię do pracy. A twoja ciebie nigdy pomyślała.

- Lubię twoją rodzinę - mawiała czasami Shannon, choć wiedziałam, że było to dyplomatyczne kłamstwo. - Twoja mama to miła kobieta.

Roseanne Pearl przyznałaby jej rację, lustrując wzrokiem moje mocno już poprzecierane, złachmanione sukienki. Przywodziła mi na myśl Jamesa Waddella, kiedy na nas spoglądał; dumne, władcze oblicza jego córek patrzących na nas z góry, śmiejących się z mamy, której brakowało paru zębów, i z papilotów Reese, zrobionych z kawałków papieru. Tatko Glen wciąż pracował w mleczarni Sunshine i co parę tygodni musieliśmy odwiedzać jego ojca albo któregoś z braci, choć oni wcale nie byli zadowoleni z naszych wizyt. Pogarda, z jaką nas traktowali, zaczynała działać mi na nerwy, coraz trudniej mi było to znosić. Kiedy tylko Pearlowie podejmowali temat naszej rodziny, wychodziłam i nie odwiedzałam ich przynajmniej parę tygodni.

Teraz wzięłam głęboki oddech, próbując opanować zbuntowany żołądek. Czasami Shannon była naprawdę nie do zniesienia.

- Wybieramy się dziś wieczorem na kolację do restauracji. O tej porze roku podają tam pyszny napój brzoskwinowy.

- Mój tato zrobi dziś świeże lody. - Shannon uśmiechnęła się z nieskrywaną dumą. - Dołożymy do nich orzechów.

Nie odezwałam się ani słowem. Ale wiedziałam swoje. Byłam już pewna. Naprawdę zgnije bardzo szybko.

Trasa objazdowa spotkań ewangelizacyjnych wiodła z Karoliny Północnej do Południowej, Tennessee, Georgii i Alabamy. Pieśniarze wciąż się zmieniali, byli niczym fala zdobionych złotą nicią i frędzlami kurtek. Spotykało się największe sławy muzyki country. Czasami trudno było dostrzec różnicę, a w miarę upływu czasu pani Pearl przestała zwracać uwagę, zwłaszcza gdy zaczęło brakować pieniędzy i pan Pearl wynajmował każdy zespół, który mógł zagwarantować mu przyływ gotówki. Mama coraz częściej wysyłała mnie w trasę z Pearlami ich starym żółtym desoto, z bagażnikiem pełnym dewocjonaliów i maszyną do szycia pani Pearl. Na tylnym siedzeniu gnieździłam się ja z Shannon i stos ozdobnie obszytych ubrań. Zjeżdżaliśmy do małych miasteczek po południu, aby pan Pearl mógł poczynić niezbędne

przygotowania, a pani Pearl pozszywać i połatać podarte rzeczy, podczas gdy Shannon i ja szliśmy na piknik z zimnymi przekąskami. Pani Pearl zawsze zabierała słoik z herbatą, ale Shannon tylko przecierała oczy i skarżyła się, że boli ją głowa, aż mama spuszczała z tonu i kupowała każdej z nas butelkę coli. Większość śpiewaków przyjeżdżała w ostatniej chwili. To dziwne, że państwo Pearl nigdy nie odkryli całej prawdy, zupełnie jakby nie dostrzegali pewnych rzeczy. Na przykład tego, że cała rodzina Tuckertonów, stojąc na scenie, ledwie się trzymała na nogach, a mała Pammie Gleason - Boże, ona ma zaledwie trzynaście lat! - musiała nosić bluzki z długimi rękawami, żeby zakrywały liczne sińce, pamiątki po rudowłosym chłopaku, którego ojciec nie pozwalał jej poślubić. Nie widzieli, że wszyscy „chłopcy” za kulisami podawali sobie z rąk do rąk kubki z whiskey ani że ich cudowna córeczka, ten „aniołeczek”, błagała, by dali jej choć łyżeczek. Może Jezus zasłonił im oczy, w ten sam sposób, w jaki ocalił Szedracha, Meszacha i Abed-Nega od śmierci w płomieniach. Grzech na pewno nie dotknął ich tak jak mnie i Shannon. Obie nauczyłyśmy się krążyć za kulisami na paluszkach, by uniknąć tych niezliczonych rąk wyciągających się w naszą stronę, by pogłodzić nasze uda albo dotknąć piersi, które dopiero się kształtowały.

- Chłopcy lubią się zabawić. - Pani Pearl śmiała się, przyszywając naderwane rękawy do ich marynarek i cerując podarte spodnie.

Zdumiewało mnie, że nie czuła woni whiskey, którą przesiąknął materiał, ale nie zamierzałam zgrzeszyć i zdradzić jej tego, czego najwyraźniej sam Bóg nie chciał jej powiedzieć.

- Czasami może wydawać się, że mama jest prostoduszna i naiwna - rzekła któregoś wieczoru Shannon, dziwnie chichocząc. Chciałam, żeby zamilkła i żeby zabrzmiała muzyka. Wciąż byłam głodna. Pani Pearl zabrała mniej jedzenia niż zwykle, a mama powiedziała, że jedząc posiłki z Shannon, powinnam zawsze zostawić coś na talerzu. Nie powinnam dawać Pearlom odczuć, że mnie żywili. Niestety ta szczególna taktyka nie przyniosła spodziewanych rezultatów. Zostawiałam na talerzu pół biszkopta, a Shannon natychmiast go pałaszowała.

- Może to dlatego, że nie ma kogoś, kto by nią pokierował jak należy. Shannon znów zachichotała, a ja zrozumiałam, że ktoś wreszcie poczęstował ją whiskey. Gdyby tylko teraz matka mogła ją zobaczyć. Kiedy jednak Shannon padła w końcu na maszynę do szycia, pani Pearl tylko kazała jej się położyć z wilgotnym ręcznikiem na czole.

- To ta pogoda - wyszeptała do mnie, patrząc na mokrą twarz Shannon.

Było tak gorąco, że z papierowych wachlarzy otrzymanych od właściciela miejscowego domu pogrzebowego odklejały się wizerunki Jezusa z owieczką. Ja jednak wiedziałam, że gdyby śniegu było po kolana, pani Pearl powiedziała by, że to przez ten dojmujący ziąb. Godzinę później jeden z kuzynów Tuckerton wylał zawartość papierowego kubka na rękaw pani Pearl, a ja ujrzałam, jak ta kobieta na krótką chwilę gwałtownie wstrzymała oddech. Gdy podchwyciła moje spojrzenie, rzekła:

- To zrozumiałe, że niektóre lekkomyślne duszyczki potrzebują pomocy i radzą sobie z tym tak, jak umieją.

Nie powiedziałam jej, że moim zdaniem ci chłopcy i dziewczęta trochę przesadzili z tą „pomocą”. Mruknęłam tylko niezrozumiale „tak” i przyjrzałam się im z uwagą. Gdyby kiedykolwiek pozwolili mi zaśpiewać, nigdy nie zhańbiłabym się czymś takim.

- Możemy usiąść pod sceną - zaproponowała Shannon. - Tam jest bardzo przyjemnie.

I faktycznie było. Przyjemnie, ciasno, ciemno i hałaśliwie, bo słyhać było tu pieśni zespołu gospel na scenie. Odchyliłam głowę do tyłu, pozwalając, by kurz spadł mi na twarz, radowałam się poczuciem bezpieczeństwa i wrażeniem, że jestem tu ukryta, z dala od tłumu. Muzyka zdawała się wibrować w moich kościach. Pokaż coś jest wart, pokaz coś jest wart, Jezus i Duch Święty chcą, byś wszystko z siebie dał...

Nie podobały mi się ich nowe piosenki. Były nazbyt udziwnione. Odmierz ile jesteś wart. Odmierz to na szklanki albo na łyżeczki. Ile jesteś wart naprawdę, czy ty to już wiesz? Shannon zaczęła się śmiać. Objęła mnie ramionami i zaczęła kołysać głową w przód i w tył. Muzyka grała zbyt głośno, w powietrzu wokół nas unosiła się woń whiskey. Nagle rozboleła mnie głowa, od zapachu włosów Shannon prawie mnie zemdlilo.

- Uch-uch-uch - wyturlałam się spod sceny i uderzyłam w ścianę namiotu.

Mdłości podchodziły mi do gardła, szarpnięciem uniosłam brezent i prześlizgnęłam się pod nim. Gdy znalazłam się na zewnątrz i poczułam aromat wilgotnego, wieczornego powietrza, pochyliłam głowę i zwymiotowałam między rozstawione szeroko ręce. Z tyłu za mną Shannon sapała ciężko i chichotała.

- Niedobrze ci, dziecino. - Poklepała mnie pocieszająco po plecach.

- Boże Święty!

Uniosłam wzrok. Stał przede mną bardzo wysoki mężczyzna w fioletowej koszuli. Opuściłam głowę i znów zwymiotowałam. Miał srebrne kowbojki z popękanyimi obcasami. Zobaczyłam, jak cofnął się, abym go nie ochlapała.

- Boże Święty!

- Już dobrze. - Shannon stanęła obok mnie, wciąż trzymając dłoń na moich plecach. - Po prostu zrobiło jej się niedobrze. - Przerwała. - Gdyby pan zafundował jej coca colę, na pewno zaraz by jej przeszło.

Otarłam usta i oczyściłam dłoń o trawę. Ponownie uniosłam wzrok. Shannon stała nieruchomo, pot spływał jej do oczu. Mężczyzna wciąż stał z rozdziawionymi ustami i wyrazem głębokiego szoku malującego się na twarzy.

- Boże Święty! - powtórzył raz jeszcze i zanim się jeszcze odezwał, wiedziałam, co powie. To nie mój widok tak nim wstrząsnął.

- Dziecko, jesteś najbrzydszą istotą, jaką w życiu widziałem.

Shannon zamarła. Rozdziawiła usta, a całe jej oblicze jakby się zapadło. Żrenice zmalały do rozmiarów łebka szpilki, usta wykrzywił smętny grymas. Podniosłam się z ziemi.

- Ty draniu. - Zachwiałam się i postąpiłam naprzód, a on się cofnął i zakołysał na srebrnych obcasach. - Ty bezbożny zadufany w sobie śmieciu! - Wodził wzrokiem od mojej twarzy do Shannon i z powrotem. - A ty niby jesteś taki piękny? Akurat! Jesteś brzydki jak noc! Ty zasrany, pyszałkowaty, nadęły gnoju...

- Shannon Pearl!

Zza namiotu wyłoniła się pani Pearl.

- Dziewczynki... - Wzięła Shannon w ramiona. - Gdzieście się podziewały?

Mężczyzna wciąż się cofał. Oddychałam przez usta, choć nie było mi już niedobrze. Czułam się zagniewana i bezradna, z trudem powstrzymywałam łzy. Pani Pearl zacmokała i pogładziła rzadkie włosy Shannon.

- Co robiłaś?

Shannon jęknęła i wtuliła twarz w sukienkę mamy. Pani Pearl odwróciła się do mnie.

- Co mówiłaś? - Jej oczy rozbłysły w świetle lamp łukowych płynącym z namiotu. Znów otarłam usta, ale nic nie powiedziałam. Pani Pearl przeniosła wzrok na mężczyznę w fioletowej koszuli. Wyraz zdumienia zniknął z jej twarzy, zastąpiły go zaciekawienie i ekscytacja.

- Mam nadzieję, że nie zwracały panu głowy - zwróciła się do niego. - Czy nie pan teraz wchodzi?

- Eee, tak - powiedział bez większego przekonania. Nie mógł oderwać wzroku od Shannon. Otrząsnął się. - Pani Pearl?

- Tak, to ja. - Twarz pani Pearl promieniała wewnętrznym blaskiem.

- Słyszałem o pani. Ale nigdy wcześniej nie widziałem pani córki. Pani Pearl zadrżała, lecz opanowała się szybko. Shannon, tuląc się do niej, pochlipywała cichutko.

- Shannon, co się z tobą dzieje? - Odsunęła córkę od siebie i wyjęła niebieską, haftowaną chustkę, by wytrzeć jej twarz.

- Chyba wszyscy zaskoczyliśmy siebie nawzajem.

Mężczyzna postąpił naprzód, uśmiechnął się łagodnie do pani Pearl, ale wciąż dyskretnie wodził wzrokiem w stronę Shannon. Raz jeszcze otarłam usta, ale pohamowałam się, by nie splunąć. Pani Pearl głaskała córkę po twarzy i równocześnie uniosła wzrok, by spojrzeć mężczyźnie prosto w oczy.

- Uwielbiam, jak pan śpiewa - rzekła i cicho zachichotała.

Shannon odsunęła się od niej i przyjrzała się im obojgu. Wyraz nienawiści malujący się na jej twarzy był potworny. Przez krótką chwilę kochałam ją całym sercem.

- Cóż - mruknął mężczyzna. Zakołysał się w przód i w tył. - No cóż... Sięgnęłam, by ująć Shannon za rękę. Odtrąciła moją dłoń. Jej oblicze płonęło z nienawiści. Miałam wrażenie, jakby tuż przy mnie buzował wielki ogień, wypalając cały tlen, tak że zaczęło brakować mi tchu. Splotłam palce dłoni i uniosłam głowę, by spojrzeć w niebo, na gwiazdy. Jeżeli Bóg istnieje, to sprawiedliwość również. A skoro istniała sprawiedliwość, to Shannon i ja sprawimy, że oni wszyscy spłoną. Oddaliśmy się od namiotu w stronę zdezelowanego desoto pani Pearl.

- Kiedyś - szepnęła Shannon.

- Tak - odparłam równie cicho. - Kiedyś.

Podróże w głąb kraju z panem Pearlem, kiedy zajmował się przygotowaniem trasy dla cyklu spotkań ewangelizacyjnych, oznaczały wizyty w małych wiejskich kościółkach z chórem gospel, tandetnych namiotach z jednym lub dwoma solistami i od czasu do czasu w czyimś prywatnym domu, gdzie mógł mieszkać jakiś wyjątkowo utalentowany śpiewak. Po dokonaniu przez pana Pearla czynności wstępnych dalsze działania wymagały szczególnej cierpliwości i taktu. Zdecydowana większość pieśniarzy w ogóle nie umiała śpiewać, nie miała słuchu i w związku z tym okropnie fałszowała. Kilku wykazało się tak wielkim entuzjazmem, że pan Pearl ostrożnie im zaproponował, by spróbowali szczęścia w którymś z istniejących zespołów gospel. Zwykle jednak natrafiał jedynie na echo wielkiego talentu, rozmytą bezbarwną mieszanekę harmonii i aspiracji.

- Żałosne, nieprawdaż? - Shannon mówiła takim samym tonem jak jej ojciec.
- Ta smętna stara muzyka organowa nie ma szans w starciu z nowoczesnym brzmieniem gitary elektrycznej.

Skinęłam głową z wahaniem. Wciąż chciałam wierzyć, że duch, determinacja i ciężka praca mogą nawet z najbardziej niewyrobionego głosu stworzyć coś wielkiego, trafiającego wprost do serca; uduchowione brzmienie prawdziwej muzyki gospel.

Nie sposób było przewidzieć, kogo dotknie ręka Boga, gdzie rozlegnie się dźwięk trąb. Czasami z całego chóru wyróżniał się tylko jeden głos, małej, drobnej dziewczynki, albo dwóch braci, którzy śpiewali, patrząc nabożnie w górę. Byli też tacy, przez których miało się ochotę wyć żałośnie pośród nocy.

- Ten albo ta - szeptała z przekonaniem Shannon, ale nie musiała mi tego mówić. Doskonale wiedziałam, kogo pan Pearl odprowadzi na stronę i zaprosi do Gaston na tydzień spotkań ewangelizacyjnych.

- Dziecino - mówił wtedy. - Masz dar od Boga.

Czasami nie mogłam już tego znieść. Nie byłam w stanie wejść do jeszcze jednego kościoła, posłuchać jeszcze jednego chóru. Nieważne, że kochałam muzykę. Czemu mnie Bóg nie obdarzył głosem? Nie prosiłam Go o długie, gęste rzęsy. Prosiłam, błagałam, by pozwolił mi śpiewać gospel. Czy Bóg nie obdarzał prawych licznymi łaskami? Skoro przyjmował do nieba łajdaków, jak to możliwe, że nie chciał, bym stanęła na scenie w powodzi świateł, razem z innymi śpiewakami? Pieśniarze gospel zawsze mieli kieszenie pełne pieniędzy i butelkę pod fotelem. Cieszyli się miłością, bezpieczeństwem i poparciem całego świata. Każdy z nich stał mocno na ziemi. A ja pragnęłam jedynie drobnego fragmentu tego, co mieli oni wszyscy. Wystarczyłoby mi tylko troszkę, ociupinkę.

Shannon podsłuchiwała to i spojrzała na mnie ze współczuciem. Ona wie, pomyślałam, wie doskonale, co znaczy pragnąć tego, co nigdy nie będzie ci dane. Nie doceniłam jej.

W lipcu wybraliśmy się nad jezioro Greenwood, do tej części hrabstwa, którą znałam z wizyt u jednego z moich kuzynów, którzy pracowali w bazie lotniczej. Po zjeździe z autostrady zatrzymaliśmy się przy stacji benzynowej, by pani Pearl mogła trochę się ochłodzić.

- Czy nie przeszło ci przez myśl, że Bóg mógłby nie chcieć, abyśmy podróżowali w niedzielne popołudnia? Sprawia, że są gorętsze niż w piątek albo w sobotę.

Pani Pearl siedziała w cieniu, podczas gdy pan Pearl udał się, by porozmawiać z mężczyzną, który wynajmował Rhythm Ranch. Shannon i ja

poszliśmy przez pole, żeby obejrzeć nagrobki na skraju zagajnika topoli. Uwielbiałyśmy czytać napisy, a te najciekawsze przekazywałyśmy pani Pearl, by mogła wyszyć je na modelach i sprzedawać w sklepie. Najbardziej lubiłam te dziwaczne, w rodzaju „Teraz już wie”, albo „Zbyt czysta”. Shannon uwielbiała te na nagrobkach dzieci, małe cherubinki z anielskimi skrzydłami i chwytającymi za serce inskrypcjami w rodzaju „Odeszła do mamusi” albo „Powrócił do Domu”.

- Kretynstwo.

Kopnęłam walające się wszędzie szczątki glinianego wazonu. Shannon odwróciła się do mnie, a ja ujrzałam łzy na jej policzkach.

- Nie, nie, po prostu mnie to poruszyło. Pomyśl tylko, tracisz swoje dziecko, kochanego, małego aniołeczka. To nie do zniesienia. Nie mogę się z tym pogodzić.

Zaszlochała i otarła dłonie w niebieskie kieszenie kraciatej wełnianej sukienki.

- Chciałabym zabrać jeden taki do domu. A ty? Nie miałabyś ochoty zatrzymać któregoś z nich? Mogłabyś opowiedzieć o tym dzieciom.

- Jesteś szurnięta. Shannon pociągnęła nosem.

- Ty nic nie rozumiesz. Mama mówi, że mam bardzo słabe serce.

- Uhm-hm.

Odeszłam. Było za gorąco na kłótnie. I na pewno za gorąco, by płakać. Rozrzuciłam kopnięciem kilka plastikowych kwiatów i zielony, postrzępiony tekturowy krzyż. To była jednym z najnudniejszych podróży, jakie odbyłam z Pearlami. Próbowałam sobie przypomnieć, czemu w ogóle chciałam z nimi jechać. W domu mama zrobiłaby świeżą mrożoną herbatę, dodając odrobinę słodzonej gotowanej wody. Reese pokroiłaby brzoskwinie. Tato Glen nie wchodziłby nam w drogę, tylko kosił trawnik. Oganiałam się od komarów i liczyłam, że nie nabawię się oparzeń od słońca. Byłam zmęczona Shannon, niekończącą się tyradą pochwał jej mamy, ale jeszcze bardziej zmęczyła mnie własna zazdrość.

Przystanąłam. Zza szpalery topoli dochodziły dźwięki muzyki gospel.

Pośród upalnego powietrza i zeschniętych liści niosły się przenikające do cna, głębokie, donośne głosy, To był prawdziwy chór. W tych dźwiękach słyhać było wypitą whiskey, smutek, ale nie tylko, także grozę najmroczniejszej nocy i determinację prawdziwego gospel.

- Mój Boże - wyszeptałam i to było najszczerze takie wyznanie, jakie kiedykolwiek wypłynęło z moich ust. Długi, trwożliwy szept oznaczający, że mogłam uwierzyć, iż faktycznie On krył się wśród tych topoli.

Był tam kościół, ściany z desek, betonowy fundament i witraże. Promienie słońca odbijały się w żółtych szybkach, wszystkie okna były otwarte, by wpuścić do środka powietrze i wypuścić na zewnątrz muzykę.

O niebiańska lasko... jak słodko dźwięk ten brzmi... który ocalił takiego grzesznika jak ja... kobiecy głos przybrał na sile, pozostawiając w tle głębsze męskie głosy, był tak donośny, że zdawał się szeleścić liśćmi na wierzchołkach topoli.

Amen.

Panie.

- Słodki Jezu, ależ ona potrafi śpiewać.

Shannon zignorowała mnie i wciąż zrywała dzikie kwiaty.

- Słyszałaś to? Musimy powiedzieć o tym twemu tacie.

Shannon odwróciła się i spojrzała na mnie z gniewnym wyrazem twarzy.

- On nie zajmuje się kolorowymi. Nie ma z tego pieniędzy. Usłyszawszy to, zamarłam, uświadamiając sobie, że kościół na takim odludziu musiał być miejscem spotkań kolorowych. I wiedziałam, co to oznaczało. Jasne, że tak. Wciąż słyszałam mój własny szept.

- To nie jest jeden dobry głos. To cały chór.

- To kolorowi. Czarnuchy - rzekła Shannon tak głośno jak nigdy. W jej głosie pobrzmiwały gniew i oburzenie. - Mój tato nie zajmuje się kolorowymi. - Cisnęła we mnie kwiatami i tupnęła nogą. - Co więcej, zmusiłaś mnie, bym to powiedziała. Mama zawsze powtarza, że chrześcijanie nie używają słowa „czarnuch”. Bóg mi świadkiem, nie wymówiłabym go, gdybyś mnie do tego nie zmusiła.

- Jesteś szalona. Kompletnie ci odbiło - powiedziałam drżącym głosem. Sposób, w jaki Shannon wypowiedziała słowo „czarnuch”, zranił mnie do żywego, w tym tonie pobrzmiwała drwiąca nuta, jak wtedy, gdy ciocia Madeline mówiła o „śmieciach”, sądząc, że jesteśmy dostatecznie daleko, abyśmy nie mogły jej usłyszeć. Zastanawiałam się, co usłyszała w moim głosie Shannon, że rozzłościła się, podobnie jak ja. Może to ten upał, wstyd, jaki czułyśmy obie, a może po prostu obie z Shannon znudziłyśmy się sobą nawzajem.

Shannon rzuciła we mnie kolejnym pękiem kwiatów.

- Ja jestem szalona? Ja? A za kogo ty się uważasz? Ty, twoja mama i cała twoja rodzina. Wszyscy wiedzą, że jesteście bandą pijaków, złodziei i bękartów. Wszyscy wiedzą, że kręcisz się przy mnie, żeby jadać posiłki przygotowywane przez moją mamę i błagać o ochłapy z naszego stołu. Wszyscy wiedzą, kim jesteś...

Zareagowałam, nim zdążyłam się pohamować, uniosłam ręce, aby zdzielić ją po twarzy, ale zmitygowałam się w ostatniej chwili.

- Ty suko, ty białodupa zdziro. - Splotłam palce dłoni, aby nie obić tej bladej, opuchniętej gęby. „Nigdy nie bij nikogo po twarzy”, mawiała zawsze mama. - Ty gnojówko, ty mały, obleśny wypierdku - wycedziłam przez zęby, naśladując moich wujków. Shannon rozdziawiła usta. - Jesteś żalonym, tłustym wypierdkiem! - Kopnęłam w ziemię, obsypując czerwonymi grudami jej kraciastą spódniczkę.

Shannon się skrzywiła.

- Nigdy więcej nie pojedziesz z nami na spotkanie gospel! Powiem mamie, jak mnie nazwałaś, a ona zabroni ci się do mnie zbliżyć!

- Twoja mama, twoja mama. Naszczałaś do butelki pepsi, gdyby ci kazała.

- Posłuchaj siebie. Ty... ty śmieciu. Jesteś zwyczajnym śmieciem. Twoja mama jest śmieciem, twoja babcia i cała twoja parszywa rodzinka...

Wtedy zamachnęłam się na nią, otwartymi dłońmi, mierząc w twarz, ale byłam zbyt rozjuszona. Byłam zaślepiona z wściekłości, potknęłam się i runęłam na rdzawą ziemię, amortyzując upadek rękami. Moja prawa dłoń spadła na fragment glinianej skorupy i poczułam ból tak silny, że ledwie widziałam ociekające potem, poczerwieniałe policzki Shannon.

- O... cholera. Ty... gnoju.

Gdybym tylko mogła poderwać się z ziemi i pochwycić Shannon, powyrywałabym jej z głowy te wszystkie kudły wyglądające jak wata cukrowa.

Shannon stała w bezruchu i patrzyła, jak się podnoszę i obejmuję palcami lewej ręki prawy nadgarstek. Zdałam sobie sprawę, że płacząc, łzy spływały mi po twarzy, podczas gdy z tyłu za nami, chór śpiewał nieprzerwanie. Spomiędzy topoli wciąż dobiegał kobiecy głos. Byłam ślepa, lecz przejrzałam na oczy...

- Jesteś brzydka. - Przełknęłam ślinę, tłumiąc łzy i zmusiłam się, by cichym głosem dodać: - Jesteś najbrzydszym dzieckiem bożym i będziesz najbrzydszą kobietą na świecie. Samotną, brzydką, starą kobietą.

Wargi Shannon zaczęły drżeć, przez co jej twarz wydała mi się jeszcze brzydsza niż kiedykolwiek, jak buzia lalki wyciosana z zimnego łożu topniejącego w upale.

- Ty brzydulo - ciągnęłam. - Ty potworze. Zezowata, cuchnąca, wiecznie spocona paskudo! - Wskazałam na nią wszystkimi palcami i splunęłam na jej modne skórzane buciki. - Jesteś tak brzydka, że nawet własna matka cię nie kocha.

Shannon cofnęła się, odwróciła na pięcie i zaczęła drżeć.

- Mamooooo! - zawodziła na całe gardło, uciekając ode mnie.

Ja zaś, raczej po to, by powstrzymać łzy ciskające mi się do oczu, nie dlatego, że chciałam jeszcze bardziej jej dokuczyć, zawołałam w ślad za nią:
- Brzydula... brzydula... brzydula!

Rozdział dwunasty

Nic na tym pięknym, bożym świecie nie zdołałoby mnie przekonać, abym jeszcze kiedyś porozmawiała z Shannon Pearl! Nie chciałam nawet chodzić do kościoła.

- Do diabła z Bushy Creek - powiedziałam do Reese. - Tam i tak nikt nie umie śpiewać, a kaznodzieja jest tak nadęty i napszony, że przytłacza wszystkich, odbiera im powietrze, choć trudno nazwać powietrzem to zatęchłe coś, pachnące talkiem, pudrem, perfumami, którymi skrapiają się przychodzące tam stare baby.

- Posłuchaj, co mówisz! - Reese stuknęła kostkami palców w moją sprzączkę od paska, po czym sięgnęła za mnie, po reszkę coli, którą zastawiłam w butelce. - Wygląda na to, że straciłaś wiarę.

W ciągu jednej nocy ja i Reese z sojuszniczek stałyśmy się zaciętymi wrogami, stale się kłóciłyśmy o wszystko, od tego, kto ma dostać kurzy żołądek, po to, która z nas jest twardsza. Po latach noszenia papilotów i sukienek z falbankami Reese zmieniła się w zaciętą kowbojkę, lubiącą się siłować i pluć na odległość z chłopakami, co więcej odmawiała noszenia rzeczy, które kupowała jej mama. Wyprosiła kilka par starych kombinezonów roboczych Butcha od Deedee i stale je nosiła, ale tak naprawdę zawsze chciała mieć niebieskie džinsy jak te, które kupiłam za pieniądze zarobione na zmywaniu naczyń. Była też piekielnie zazdrosna o zdobiony koralikami skórzany pas, który przysłał mi wujek Earle, z mosięzną, polerowaną sprzączką w kształcie podkowy, której stale dotykała. Musiałam mieć ją na oku, bo gotowa była „pożyczyć” go przy lada okazji.

- I kto to mówi - uciełam, pragnąc, by dała mi spokój i poszła do siebie. - Ty chodzisz do kościoła tylko po to, by po szkółce niedzielnej wysepić trochę coli i ciasteczek.

- Wcale się tego nie wstydzę. Czemu mam odmawiać, skoro ktoś mi daje za darmo. A ty jesteś zazdrosna, bo mnie w szkółce niedzielnej wszyscy lubią, a to przecież ty lubisz być zawsze w centrum uwagi.

Parsknęłam pogardliwie, ale nic nie powiedziałam. Z Reese lepiej się nie kłócić, za bardzo to lubiła. Zatknęłam kciuki za sprzączkę paska i odchyliłam się do tyłu, by spojrzeć na nią w milczeniu. Tylko cisza działała na Reese. Nie znosiła, gdy się do niej nie odzywałam.

- Och, nie zaczynaj znowu, ty podła łotrzyco. - Reese tupnęła bosą nogą w ziemię i wskazała na mnie butelką coli. - Za dobrze cię znam, Kostko. Przejrzałam cię. Znam wszystkie twoje sztuczki i już nie dam się nabierać.

Mam gdzieś ten twój pasek. Możesz się na nim nawet powiesić. Nie obchodzi mnie, co zrobisz z nim albo ze sobą.

Mniej więcej w tym samym czasie zorientowałam się, że Reese masturbuje się prawie równie często jak ja. W środku nocy budziłam się, bo lekko zaczynało trząść się łóżko. Zamiast jak zwykle leżeć wyciągnięta pośrodku, z rozłożonymi szeroko rękoma i nogami, Reese przesuwiała się na drugi koniec materaca, cała naprężona i odwrócona do mnie tyłem. Słyszałam jej oddech, płytki i przyspieszony. Od razu zorientowałam się, co robi. Leżałam nieruchomo, oddychając głęboko i regularnie. Jakiś czas później nagle wstrzymywała na chwilę oddech, a łóżko przestawało dygotać. Wtedy po cichutku wsuwałam prawą dłoń między nogi i zaciskałam uda. Też chciałam to zrobić, ale nie wyobrażałam sobie, że ona mogłaby to usłyszeć. A gdyby usłyszała? Poczułam, że Reese rozluźnia się i ponownie wyciąga leniwie na posłaniu. Wstrzymując oddech, zaczęłam się pieścić, a łóżko prawie w ogóle się nie poruszało.

Kiedy wracałyśmy ze szkoły, Reese codziennie wchodziła sama do naszej sypialni. Gdy stamtąd wychodziła, ja wchodziłam do środka. Czasami wyobrażałam sobie, że czuję zapach tego, co tu robiła, choć wcale tak nie było. Była małą dziewczynką i pachniała jak mała dziewczynka. Żadna z nas nie pachniała jak mama, dojrzała, prawdziwa kobieta. Ściągałam szorty i za każdym razem, kiedy robiłam to, co moja siostra, myłam się starannie między nogami, ciepłą wodą z mydłem; któregoś popołudnia wyszłam na zewnątrz i stałam, nasłuchując odgłosów Reese znajdującej się samotnie w sypialni. Była cicha, bardzo cicha, ale słyszałam szept jej coraz bardziej przyspieszonego oddechu i łagodne, delikatne stęknienie, które z siebie wydawała, zanim znów zaczęła zwalniać. Lubiłam te stęknienia. Kiedy Reese robiła to w środku nocy, nigdy nie wydawała przy tym żadnych dźwięków. Mimo to, nawet gdy byłam sama, starałam się zachowywać cicho i dyskretnie, zastanawiałam się, czy w dzień Reese robiła to inaczej. Zastanawiałam się, czy leżała na wznak, z rozłożonymi szeroko nogami jak ja, kiedy byłam sama, zamiast na boku, z obiema rękami pod sobą, tak jak w nocy. Nie dowiem się, nie miałam możliwości tego zobaczyć. Mimo to czasem, kiedy to robiłam, wyobrażałam sobie Reese rozciągniętą na wielkim, hollywoodzkim łożu, które jedynie lekko się poruszało, a ona, popełniając grzech, tylko oddychała nieco szybciej niż zwykle.

Któregoś popołudnia po wejściu do sypialni zastałam Reese leżącą na łóżku z parą majtek mamy na twarzy. Materiał przesłaniał całe jej oblicze, ale pod wpływem kolejnych oddechów jedwab falował leciutko. Zdjęła je pospiesznie i

wrzuciła pod łóżko. Ja sięgnęłam po książkę, którą czytałam, i udawałam, że niczego nie widziałam. Reese wymyślała własne zabawy w lasku za domem. Obserwowałam ją pewnego dnia z drzewa, na którym mama zawiesiła karmnik dla ptaków. Nie widziała, jak się tam wspinam, a ona biegała wkoło ze starym prześcieradłem zawiązanym wokół szyi jak peleryna. Wyglądało na to, że walczyła z jakimś wyimaginowanym wrogiem. Potem upadła na ziemię i zaczęła turlać się po niej, jakby się z kimś mocowała. Przetaczała się po trawie i wilgotnych liściach, krzycząc: „Nie! Nie!”. Zuchwały wyraz jej twarzy zniknął i pojawiało się przerażenie, kiedy dziko kręciła głową z boku na bok, jak bohaterka filmu przygodowego.

Przywarłam mocniej do drzewa i zaczęłam ocierać się biodrami o nieustępliwy pień. Wyobrażałam sobie, że jestem przywiązana do konarów, że ktoś mnie bije suchymi gałązkami i wkłada mi ręce pod ubranie. Ktoś, kogo sobie wyobrażałam. Ten ktoś przywiązał mnie tu, wysoko, na drzewie, zakneblował i zostawił na śmierć z głodu i pragnienia, podczas gdy kosy dziobały mnie po uszach. Ocierałam się coraz mocniej, przywierając udami do szorstkiej kory. Poniżej Reese, leżąc wśród liści, raz po raz wyrzucała biodra w górę, wydając przy tym głuche stęknięcia. Widocznie wyobrażała sobie, że ktoś robił jej okropne rzeczy.

Reese i ja nigdy nie rozmawialiśmy o naszych prywatnych gierkach, o czasie spędzonym osobno w sypialni. W tych dniach prawie ze sobą nie rozmawialiśmy. Ale pilnowaliśmy nawzajem, aby nikt nie wszedł do sypialni, gdy jedna z nas przebywała tam sama.

To był najgorszy czas na kłótnie między mną a Reese. Po południu żadna z nas nie powinna zostawać w domu sama, ale nigdy nie było wiadomo, kiedy się może na mnie obrazić i pójść gdzieś w nieznane. Godziny pracy tatki Glena w mleczarni zmieniły się i nie pracował już w pełnym wymiarze. Po południu często zaglądał do domu i stale wyglądał na zmartwionego. Jednego dnia skrzyczał mnie za bieganie w podkoszulku bez biustonosza, a następnego oskarżył, że udaję dorosłą. Mama powiedziała, że pokłócił się z ojcem i lepiej, żebyśmy schodziły mu z drogi, dopóki sprawy nie przycichną. Jednak ciocia Alma i wujek Wade znów mieli ze sobą na pieńku i nie mogłam ich odwiedzać, a stan cioci Ruth znacznie się pogorszył.

- Pojedziesz do Raylene - oznajmiła w końcu.

- Nigdy dotąd nie wysyłałaś mnie do Raylene - poskarżyłam się. - Sądziłam, że nie chcesz, abym ją odwiedzała. - Miałam nadzieję, że pozwoli mi znów popracować w kuchni, w restauracji. Podobało mi się tam. Lubiłam słuchać, jak

kelnerki żartują, a kierowcy flirtują z mamą, jakby wciąż była najpiękniejszą kobietą w hrabstwie.

- Nigdy tego nie powiedziałam. Nigdy nie mówiłam nic na temat Raylene. - Po tonie głosu zorientowałam się, że mama była wściekła. - Czy ktoś mówił ci coś o Raylene?

- Nie, mamó.

- Na pewno? - Mama ścisnęła mnie za przegub tak mocno, że aż zabolęło. - Jesteś pewna?

- Co ktoś mógłby mówić na temat Raylene? Mama puściła moją rękę.

- Chcesz wiedzieć, to zapytaj sama. Tylko nie zmyślaj, dziewczyno. Nie czas jeszcze, aby ktoś ogrzał twoje gniazdko.

- Przepraszam. Ale nigdy dotąd nie wysyłałaś mnie do Raylene.

- Może nie sądziłam, że jesteś na tyle duża, by zamieszkać nad rzeką. - Mama była rozdrażniona i zniecierpliwiona. Odgarnęła włosy do tyłu i otarła usta. - Po południu po szkole Garvey dorabia na stacji obsługi u pana Berdfortha. Może cię podrzucić i mam nadzieję, że kiedy tam będziesz, nie wpakujesz się w żadne kłopoty.

Garvey ucieszył się, że ma mnie podwieźć do domu cioci Raylene, zwłaszcza że mama dała mu dolara na benzynę.

- Za sprzątanie dla pana Berdfortha zarabiam tyle co kot napłakał - poskarżył się. - Ten facet to straszna sknera. Ale przynajmniej czegoś się uczę. Tato mówi, że mechanik zawsze znajdzie jakąś robotę.

- Tak.

Byłam niespokojna i nie obchodziły mnie kłopoty Garveya. Ciocia Alma żartowała, że bliźniaki są zbyt leniwe, aby samemu puścić baka, i czasami wydawało się, że to prawda. Na pewno byli dość tępi. Żaden z nich nigdy nie przeczytał choćby jednej książki, a rozmawiali tylko na jeden temat, o tym, jak bardzo będą kiedyś „bogaci”. Mama uważała, że po ich kretyńskim zachowaniu można dojść do wniosku, że zaczęli dorastać, a przecież nastolatki zawsze stają się głupszy, nim ostatecznie zmadrzeją. Zastanawiałam się, czy i mnie to spotka, czy zaczęłam już głupieć, tylko jeszcze nie zdawałam sobie z tego sprawy. Zresztą to nie miało znaczenia. Głupia czy mądra, nie miałam większego wpływu na to, co stanie się ze mną, Greyem, Garveyem czy kimkolwiek wśród nas. Dorastanie przywodziło na myśl wpadanie do dziury. Chłopcy rzucają szkołę i prędzej czy później za swoją głupotę trafiają do więzienia. Ja może nie rzucę szkoły - a przynajmniej dopóki mama miała w tej sprawie coś do powiedzenia - ale co to za różnica? Co ze mną będzie za pięć lat? Czy będę pracować w przedzalni? A może razem z mamą w restauracji?

Ani jedno, ani drugie nie stanowiło dla mnie atrakcyjnej perspektywy. Nic dziwnego, że ludzie podczas dorastania popadają w obłąd.

Niezależnie od tego, co mówiła mama, wiedziałam, że nie odwiedzałyśmy Raylene zbyt często z innych powodów niż jej miejsce zamieszkania. Choć była Boatwrightówną, Raylene znacznie różniła się od swoich sióstr. Była spokojniejsza, bardziej lubiła prywatność, mieszkała samotnie ze swymi psami i żyłkami wędkarskimi i na dodatek czuła się z tym doskonale. Zawsze mieszkała poza rogatkami miasta, a jej dom stał tam, gdzie często chodzili moi starsi kuzyni. U Raylene mogli palić, kłąć i bić się i nikt im w tym nie przeszkadzał. Raylene, która sama nie miała dzieci, uważała, że najlepszym sposobem na ich wychowanie jest danie im całkowicie wolnej ręki.

- Nie ma w tym nic złego - mawiała zwykle. - Są jak szczenięta. Po prostu muszą się czasem wyżyć.

Do domu Raylene przy Eustis Highway nietrudno było dotrzeć, stał na niewielkim wzniesieniu. Rzeka Greenville opływała łagodnym łukiem spory występ skalny, na którym stał jej naruszony zębem czasu bliźniak, a z ganku ciągnącego się wzdłuż jego trzech ścian widać było rzekę i biegnącą obok niej szosę. Raylene ścięła drzewa rosnące za domem i wykarczowała krzewy.

- Nie lubię niespodzianek - mawiała. - Wolę wiedzieć, kto zamierza mnie odwiedzić.

Kiedy Raylene była młoda, jak dowiedziałam się od wujka Earle'a, zachowywała się jak dzika kotka. Gdy miała siedemnaście lat, uciekła z facetem pracującym jako kierowca w lunaparku, ale nigdy za niego nie wyszła. Dwa lata później wróciła, by podjąć pracę w przedzalni, i wynajęła dom, w którym mieszkała do dzisiaj. Zanim wyjechał do Oklahomy, Butch powiedział mi, że Raylene pracowała w lunaparku w przebraniu mężczyzny, ścięła w tym celu włosy i nosiła workowaty kombinezon. Nazywała siebie Ray, a jako że była niska, krępa, barczysta i z małymi piersiami, nikt się nie zorientował. Ani trochę mnie to nie zdziwiło. Nie umiałam jednak sobie wyobrazić, co skłoniło ją do tego szaleńczego kroku, i zastanawiałam się nad tym z nostalgią. Grey czy Garvey mogli mówić, że po skończeniu szkoły zamierzają powłóczyć się trochę po kraju, ale dla dziewczyny nie było to takie proste. A jednak Raylene dokonała tego, ja zaś napawałam się myślą, że też mogłabym zrobić coś podobnego. Gdybym obcięła krótko włosy, nauczyła się palić i kłąć, może by mi się to udało. Tyle że ciocia Raylene miała za jednym uchem parę paskudnych blizn, o których nie chciała mówić, a jej smutne, zamglone spojrzenie pozwalało przypuszczać, że ta wędrowka nie miała w sobie wiele z klimatu romantycznej przygody, o jakiej marzą wszyscy chłopcy. Gdybym

poszła za jej przykładem, mogłabym zarobić jeszcze gorszą bliznę albo w ogóle nie wrócić do domu.

Raylene mieszkała samotnie, po dwudziestu latach rzuciła pracę w przędzalni. Wciąż miała krótkie, mocno już posiwiałe włosy i nosiła spodnie równie często jak spódnice. Przyjaźniła się tylko z paroma osobami, równie cichymi i spokojnymi jak ona. Spotkania towarzyskie ograniczyła do cotygodniowej gry w karty z owdowiałym dyrektorem chóru i dwoma miejscowymi nauczycielami. Deedee nazwała ją kiedyś samotną, starą kobietą, ale Ruth uciszyła ją, mówiąc, że kobieta jest samotna tylko wtedy, gdy nie czuje się sama ze sobą szczęśliwa, Raylene zaś była chyba jedyną osobą, jaką znaliśmy, która nie potrzebowała niczyjego towarzystwa. Nie mogła jednak narzekać na samotność. Pod wieczór zwykle odwiedzali ją wujkowie, a Grey i Garvey bywali u niej równie często jak w domu.

Mówiono, że Raylene jest najlepszą kucharką w całej rodzinie, a regularne dochody przynosiła jej sprzedaż domowych przetworów, warzyw i owoców.

- Ta kobieta robi najlepsze przetwory w całym stanie - chwalił się wujek Beau. - I pędzi drugą pod względem jakości domową whiskey w tym stanie.

Nigdy nie miałam okazji popróbować jej whiskey, ale mama często przynosiła od niej przetwory. Zawsze były dobrze przyprawione, czuło się w nich aromat dymu, z lekkim posmakiem pieprzu, słodkie i ostre zarazem. Kiedy zaczęłam ją odwiedzać, pomyślałam, że mama ucieszyłaby się, gdybym wyciągnęła od Raylene parę słoików. Nie spodziewałam się, że tu, w domu nad rzeką, moja ciotka - odludek stanie się dla mnie obiektem niezwyklej fascynacji, jak do niedawna muzyka gospel.

- Śmieci rosną - rzuciła ciocia Raylene żartobliwie pierwszego popołudnia, które z nią spędziłam. - Tu, gdzie nikt ich nie tyka, śmieci rosną cały czas.

Zaśmiała się głośno, z entuzjazmem i splunęła w bok, nigdy dotąd nie widziałam, żeby kobieta tak się zachowywała. W letnie noce Raylene podpałała na podwórku stare opony przyniesione z wysypiska, aby ich dym odganiał komary. Wznoszący się dym tworzył wiszący w powietrzu, gęsty, brunatny opar, przesuwający się w stronę rzeki, gdzie w chłodne wieczory mężczyźni przychodzili na ryby i gdzie ciocia Raylene starannie powycinała chwasty, by pozbyć się owadów i mieć dobry widok na brzeg rzeki.

- Lubię patrzeć na przepływające rzeczy - powiedziała, cedząc słowa głosem bełkotliwym od whiskey. - Lubię patrzeć, jak mijają. Czas, ludzie i śmieci płynące tą rzeką. Lubię patrzeć, jak wyłaniają się i mijają załom rzeki.

Mówiła łagodnym głosem, zionąc wyczuwalną wonią alkoholu i pieprzu, przetworów i domowego bimbrowa, a jej skóra stale roztaczała lekki zapach dymu

palonego drewna. Patrzyłam, jak poruszają się jej biodra pod materiałem kombinezonu. Miała szerokie biodra jak ciocia Alma, ale poruszała się miękko i z gracją małego chłopca, gdy przykucała, by wyrwać chwasty, albo przechadzała się po podwórzu, wymachując rękami. Wujek Earle mówił, że gdy była młoda, uwielbiała tańczyć i chyba do dziś nie straciła tej umiejętności.

Dom cioci Raylene był zawsze czysty i wysprzątny, ale na półkach stało całe mnóstwo dziwnych rzeczy, starych przyborów, narzędzi, ptasich gniazd, rzadkich naczyń i kamieni o osobliwych kształtach. Ta zdumiewająca kolekcja to przedmioty nagromadzone na brzegu rzeki. Mieszkańcy Greenville wyrzucali śmieci przy autostradzie, kilka mil dalej w górę rzeki. Tam znikwały w mule i w końcu docierały do zakola przy domu cioci, gdzie grzęzły między korzeniami wielkich drzew, rosnących na brzegach. Ciocia Raylene twierdziła, że śmieci przyciągają ryby, i nie ulegało wątpliwości, że połowy przy jej domu były najlepsze w całym hrabstwie. Wujkowie przyjeżdżali tu, by łowić karpie, sumy i brązowe ryby, których nikt nie znał, o okropnych oczach i złocistych płetwach. Ludzie bali się je jeść. Wujek Earle i wujek Beau zarzucali wędki, długie tyczki z żyłkami i przywiązanymi do nich małymi dzwoneczkami, po czym stawali w kłębach dymu z palących się opon, by pić whiskey i opowiadać sprośne historie. Od czasu do czasu dzwoneczki dzwoniły, ale oni nie zawsze zrywali się, by wyciągnąć zdobycz, czasami whiskey i historyjki były zbyt dobre, by z nich rezygnować.

Raylene poczęstowała mnie szklanką herbaty cytrynowej, kiedy się pojawiłam, po czym zagoniła mnie do pracy. Kazała mi pozbierać warzywa z ogródka, aby nie musiała schylać się i robić tego sama.

- W tej cholerniej przedzalni do reszty rozwaliałam sobie kręgosłup - rzekła z uśmiechem i westchnęła. - Wciąż tylko się schylałam i sięgałam po coś. Teraz muszę go oszczędzać. Uważaj na swoje plecy, Kostko, albo na stare lata pożałujesz, że o to nie zadbałaś.

Poleciła mi, żebym zeszła na brzeg i wyciągnęła wszystko, co ugrzęzło między korzeniami drzew. Wróciłam do domu ze świeżymi pomidorami, okrą, dwoma słoikami przetworów i główką lalki z jedwabistymi kędziorkami sztucznych włosów. Raylene powiedziała mamie, że lubi takie dziewczynki jak ja, ciche i pracowite, i że chętnie zapłaci, jeśli zechcę pomagać jej po kilka dni w tygodniu. Od tej pory spędzałam całe dni z Raylene, a Reese popołudniami uczęszczała na spotkania biblijne w Akademii Miłości Jezusa.

Każdego dnia wyciągałam coś z rzeki - plandekę z wózka dziecięcego, kółka od dziecięcego rowerka, buty, plastikowe talerze, rączki od skakanki, jakieś łachmany, a raz nawet reflektor od harleya-davidsona.

- To dobry towar - mawiała zwykle ciocia Raylene. - Masz oko do takich spraw, dziewczyno. Mogę polatać i pocerować te rzeczy. Naczynia wypłucze się w bielince, a potem pozostanie tylko porządnie je wyszorować. W sobotę rano rozłożymy koce i zrobimy wyprzedaż przy drodze. Poproś mamę, by przysłała cię tu na weekend, to dostaniesz jedną dziesiątą z tego, co zarobimy.

Bardziej niż na pieniądzach zależało mi na jej pochwałach, świadomości, że byłam w czymś dobra, uwielbiałam, jak ciocia Raylene rozplýwała się przy wujku Beau nad moją pracowitością. Czasami schodziła nad rzekę i patrzyła, jak lawiruję wokół korzeni drzewa.

- Stąpasz dość pewnie - rzekła. - Wygląda na to, że nie boisz się wpadnięcia do wody.

- Niby czemu miałabym się bać? - Patrzyłam, jak zapala papierosa tak jak wujek Earle, krzesząc zapałkę o paznokciec kciuka. - Nie jestem z cukru, nawet jeśli wpadnę do rzeki, nie roztopię się.

- To fakt. W rzeczy samej. Ale zdziwiłabyś się, jak bardzo niektórzy obawiają się, że mogliby się skąpać, zamoczyć spodnie albo uderzyć o stary, ukryty pod wodą głaz. Kiedyś namówiłam do tego Tempie od Almy i okazało się, że ta dziewczucha boi się żółwi sępich. Była pewna, że tylko czekają pod powierzchnią wody, aby przy pierwszej okazji jednym kłapnięciem odgryźć jej palce stóp! Wyobrażasz sobie?

Zaciągnęła się dymem, osłaniając papierosa dłonią, od wiatru.

- O, Boże. - Przeciągnęła się i przycupnęła na brzegu, czarna, serżowa spódnica całkiem zasłoniła jej nogi. - Zmęczyło mnie narzekanie ludzi na to, co może im się stać, wciąż tylko utyskują, nie próbują ryzykować czy robić czegoś nowego. Cieszę się, że ty taka nie jesteś, Kostko. Liczę, że śmiało ruszysz naprzód i twoje czyny będą mówić za ciebie. Rób swoje. Niech ludzie się denerwują, a twoja stara ciotka będzie się cieszyć.

Oplotła kolana ramionami i wlepiła wzrok w fale rzeki. Często ją taką widziałam, gdy tak siedziała i wpatrywała się w dał, zawsze wyglądała na zadowoloną z siebie. Czasami nuciała coś pod nosem, ale nigdy wcześniej nie słyszałam tej melodii. Ciocia Raylene nie lubiła większości piosenek puszcanych w radiu, a największą pogardę wzbudzały w niej ballady country opowiadające o niewiernych kochankach, zwykle zawierające w refrenach elementy monodeklamacji.

- Co za żaloszny szajs - mawiała. - Chyba tego nie lubisz, prawda, Kostko?

Zapewniałam, że nie, jasne, że nie, i nie wspomniałam, że kiedyś lubiłam tę muzykę. Nie chciałam, by uznała, że nie mam za grosz gustu. Dla własnego bezpieczeństwa nigdy nie rozmawiałam z nią o muzyce gospel. Nie

zniosłabym, gdyby Raylene zaczęła wyśmiewać muzykę, o której śpiewaniu zawsze marzyłam.

Patsy Ruth, córka cioci Almy, przyjechała do cioci Raylene, by uwolnić się od opieki nad Kijanką. Maleństwo, jak się okazało, miało wadę serca, choć nie wyglądało na chore - dziewczynka była tylko dość mała i trochę sina. W wieku lat czterech wciąż mieściła się w koszu na brudną bieliznę cioci Almy i stale jej trzeba było pilnować.

- Kijanka zasypia i wygląda, jakby nie oddychała. Mama stale dostaje świra, myśli, że umarła albo coś w tym rodzaju, i potrzęsa nią, aż mała zaczyna płakać. To coraz bardziej działa mi na nerwy - poskarżyła się Patsy Ruth. - Wolałabym raczej plewić chwasty dla cioci Raylene.

Patsy Ruth chciała pomóc mi w wyciąganiu rzeczy z rzeki, ale błoto napawało ją obrzydzeniem. Nie lubiła się brudzić. Wchodziła tylko na wystające z rzeki korzenie drzew i rzadko wydobywała cokolwiek naprawdę przydatnego. A jednak to właśnie ona spostrzegła kotwiczki - w sumie dwie - połączone zardzewiałym łańcuchem, wielkie, z czterema ostrzami każda, ciągnące za sobą fragment liny.

- Spójrz, jak błyszczą! - zawołała, niemal zsuwając się do błota. - Zobacz. To coś ciekawego. Założę się, że coś fajnego. Na pewno.

Weszłam na jeden z korzeni i schyliłam się, by dosięgnąć zakrzywionego metalu wyzierającego z brunatnej wody. Trudno było uwolnić haki wczepione w płataninę korzeni. Zanim się z tym uporałam, ześlizgnęłam z korzenia i wylądowałam do połowy ud w gęstym błocku.

- Chodź no tu i pomóż mi! - zawołałam do Patsy Ruth, ale ona nie zamierzała wejść do wody. Pobiegnęła natomiast po Greya i Garveya.

- Rany boskie! Zobacz, jakie wielkie. - Grey wyrwał mi kotwiczki z ręki, zanim wyniosłam je na brzeg. - To cholerstwo jest dłuższe niż moja ręka.

- Co to takiego?

- To haki. Jakiś zestaw haków.

- To akurat widać, matole. Ale do czego one służą? - Garvey podszedł bliżej i też chciał wziąć kotwiczki do ręki. Stale przekomarzał się z bratem i podawał w wątpliwość każde jego słowo.

- Do wspinania się po górach. Do wspinaczki - powiedział Grey Nie uwierzyłam w to, podobnie jak Garvey, ale Grey był tak pewny siebie, że oboje nie wypowiedzieliśmy swoich wątpliwości, tylko dotykaliśmy zardzewiałych ostrzy haków.

- Spójrz na te spiczaste końce. Bez trudu wgryzłyby się w skałę.

- W tej okolicy do wspinaczek nie potrzeba takiego sprzętu. - Garvey pociągnął za gruby łańcuch. - W ogóle niczego nie potrzeba.

- Ee, pewnie jakiś Jankes przywiózł to ze sobą, bo nie wiedział, jakie tu są góry. - Grey był nieugięty. Za wszelką cenę próbował przekonać nas, że te haki służą do wspinaczki, choć trudno nam było wyobrazić sobie jakichś Jankesów przyjeżdżających w nasze góry z takim sprzętem. Jednak Garvey nie poddawał się łatwo.

- Nie masz za grosz oleju w głowie - rzucił. - Nawet Jankesi nie są tak głupi.

- Uważasz, że jestem głupi?

- O Jezu.

Wyrwałam im kotwiczki, zanim ktoś nadział się na jedno z tych złowrogich ostrzy. Były ciężkie, ale nie na tyle, bym nie mogła zamachnąć się i rzucić nimi w razie potrzeby. Grey miał rację co do jednego. Pod warstwą rdzy szpice były naprawdę ostre i nie tylko one, lecz również ich zakrzywione krawędzie. Szarozielone glony utworzyły warstwę na metalu, ale bez trudu dałyby się zdrapać. Gorzej z rdzą, jednak ona również ustąpiła, gdy zaczęłam skrobać ją szczyrykiem. Pośrodku każdej kotwiczki, gdzie schodziły się cztery ramiona, zebrała się zbita masa mułu rzeczno-górnego, wodorostów i szczątków ryb. Zaczęłam je oczyszczać, czym zainteresowałałam chłopaków na tyle, że przestali się kłócić. Łyżką do opon rozerwali łańcuch i rozdzielili kotwiczki, każdy z nich wziął jedną, jakby zamierzali je zatrzymać.

- Kiedy je oczyścimy, pokażę wam, jak ich używają alpinieści. - Grey był zdecydowany przekonać nas, iż wie, do czego służą te haki.

Garvey wyśmiał go.

- Spróbuj rzucić tym cholerstwem w drzewo, a wyłupisz komuś oko, kiedy łańcuch zahaczy o gałąź.

- Nie zamierzam wspinać się na drzewo. - Grey wyglądał na zdegustowanego. - Wejść po ścianie domu na dach. Kiedy wam stamtąd pomacham, będziecie mogli powiedzieć, że jestem szalony.

I faktycznie tak zrobił, przywiązał do łańcucha zwieszającego się z kotwiczki długi sznur i zakreśliwszy energicznie, cisnął nią w ścianę domu. Ostrza wbiły się w drewno, tuż poniżej linii dachu i wgryzły się w nie na tyle głęboko, że utrzymały ciężar Greya, choć gdy już się tam wspiał, nie mógł podnieść nogi tak wysoko, by wgramolić się na dach. Potem tę samą sztuczkę spróbował powtórzyć Garvey, ale i on napotkał identyczny problem. Zawisł na belce kalenicowej, obluzował hak i zrzucił go na dół. Potem zeskoczył na ziemię, jakimś cudem nic sobie przy tym nie łamiąc. Żaden z nich nie

zauważył, jak zabrałam porzucony przez Garveya hak i ruszyłam w stronę domu.

- Tym razem spróbujemy zarzucić kotwiczkę na dach - rzekł do nas Garvey.
- Na sam dach. A wtedy wejście po linie będzie już błahostką.

- Nawet tego nie próbuj! - Z tyłu za mną pojawiła się ciocia Raylene. Wzięła ode mnie jedną kotwiczkę. Nie zauważyliśmy jej, bo patrzyliśmy na Garveya. - Chcesz kogoś zabić?

Uniosła wzrok i zobaczyła otwory w ścianie, pozostawione przez haki.

- Jezu Święty! - Zanim Grey i Garvey się zorientowali, już dostali po gębie od ciotki. - Robicie dziury w moim domu! I zapewne zamierzacie tak po prostu odejść, nie naprawiwszy szkód. Nie obchodzi was, że przez te dziury będzie do środka lać się woda, zrobią się zacieki i cała ściana zbutwieje. - Łańcuch uderzył o jej perkalową spódnicę, którą włożyła, bo wybierała się do miasta. - Dziwię się, że jeszcze się nie pozabijaliście nawzajem. Nie. - Pokręciła głową i strzyknęła tytoniem na ziemię. - Nie. Dziwię się raczej, że to ja jeszcze was nie pozabijałam.

- Otwory nie są takie głębokie - zaczął Grey - Deszcz na pewno przez nie nie napada.

Oblicze cioci Raylene poczerwieniało, oczy stały się szkliste. Przypomniałam sobie to, co wujek Beau powiedział mi kiedyś, że ciocia Raylene zamieszkała nad rzeką po tym, jak wpakowała się w lunaparku w jakąś kabałę, i pocięła faceta, który z nią zadarł. Teraz wyglądała tak, jakby chciała wbić tę kotwiczkę w brzuch Garveya. Obaj chłopcy cofnęli się gwałtownie.

- Ciociu Raylene - rzucił Grey z twarzą zlaną potem. - Ciociu Raylene, przestań, ciociu Raylene, zaczekaj...

- Ty szurnięty, mały gadzie... - wycodziła. Złapała go za ramię i zaczęła nim potrząsać. - Wszyscy macie nie po kolei w głowie. Nie wiecie, co to jest? - Przynęła kotwiczkę pod nos Greya. - Sądzicie, że to wielki, stary haczyk na ryby? Otóż nie. To służy do bagrowania, trałowania. Jak ktoś utopi się w rzece, właśnie takich haków używa się, aby wydobyć w kawałkach ciało na powierzchnię. Wywlekają je z mułu, rozerwane na strzępy. Słyszycie, co do was mówię? Kawałki ciał, aby zboląła matka miała co opłakiwać.

Opowieść cioci Raylene nie przeraziła nas ani trochę. Kiedy próbowałam wyobrazić sobie własne ciało w strzępach, zobaczyłam to jak w komiksie, kompletnie nierzeczywiste, ale nocami zaczęły dręczyć mnie koszmary o zwisających z haków wilgotnych kawałkach gnijącego, odrażającego mięsa. W tych koszmarach pojawiły się też haki ociekające krwią i mułem. Może to, co usunęłam z kotwiczki, nie było fragmentami ryb. To mogło być cokolwiek.

Zacząłam wymyślać historie o tym, skąd wzięły się te haki, kto je zgubił, aż Patsy Ruth też zaczęły nawiedzać złe sny. Przyśniło się jej, że utonęła w rzece i pracownicy domu pogrzebowego musieli zszywać ją z kawałków, aby przypominała człowieka. Tyle tylko, że musieli zszyć w tym celu kawałki kilku różnych ciał, aby stworzyć z nich jedno kompletne i pokazać je mamie Patsy. Kiedy opowiedziała o tym cioci Almie, ta natychmiast zabroniła mi wymyślania tak upiornych historii.

Ciocia Raylene zamontowała kłódkę na drzwiach do piwnicy, abyśmy nie mieli dostępu do schowanych tam kotwiczek, i wyglądało na to, że wszyscy o nich zapomnieli. Jednak kilka tygodni później znów zaczęłam o nich śnić. Tym razem ich ostre szpice świszczwały przy najlżejszym podmuchu wiatru, a stalowe krawędzie nawet pośród ciemności odbijały światło. Budziłam się z tych koszmarów z bólem zębów i dziwnym pulsowaniem w ustach, jakby mnie przewiał cuchnący, zimny porywisty wiatr. Pragnęłam jednej z tych kotwiczek, chciałam mieć ją tylko dla siebie, ten ciężki, ostry, metalowy przedmiot, aby był stale pod ręką i bym mogła go dotykać, kiedy tylko zechcę.

Zacząłam chodzić do cioci Raylene, kiedy tylko mogłam, spędzałam tam sporo czasu i pomagałam, jak umiałam. Pieliałam chwasty i zbierałam pomidory, kukurydzę oraz paprykę. Kiedy zaczęło się wekowanie, wyparzałam słoiki i roztopiałam wosk, podczas gdy Raylene siedziała i kroїła przy kuchennym stole. Przynosiłam słoiki z piwnicy. Przynosiłam wosk i gumowe uszczelki oraz metalowe stojaki, a kiedy ciocia Raylene wyszła, by zmoczyć głowę pod starą pompą przy domu, zabrałam z piwnicy jedną z kotwiczek. Ukryłam ją pod gankiem, zanim ktokolwiek się zorientował, śmiejąc się, ponieważ to było takie proste, ale gdy wróciłam do kuchni, zastałam tam mamę czuwającą nad bulgoczącymi garami.

- Chcesz, żeby brzoskwinie się zagotowały? - zapytała. - Trzeba przy tym stać i pilnować. Nie możesz uganiać się po podwórzu, podczas gdy garnki stoją na ogniu. - Posadziła mnie na stołku przy kuchni. - Siedź tu i miej oczy otwarte, dziewczyno.

Ciocia Raylene weszła roześmiana do kuchni, po czym uszczypnęła mnie w ramię.

- Ach, Anney, Kostka jest nie do pobicia, ciężko pracuje jak ty czy ja. Opuściłam ramiona i wlepiłam wzrok w gar z brzoskwiniami.

I tak przez trzy dni siedziałam przy kuchni, podczas gdy ciocia Raylene i mama pichciły i plotkowały.

- Co u Glena? - spytała uprzejmie Raylene, jakby wcale nie zależało jej na odpowiedzi.

- Och, świetnie. Nie ma teraz zbyt wielu kursów i od pewnego czasu kłóci się z ojcem. Ale ostatnio dorabia też w przetwórnii. Nic nie mówi na ten temat. Chyba nie chce, abym słyszała, jak skarży się na ojca, ale przynajmniej znów pracuje na pełen etat. Szkoda tylko, że więcej nie zarabia.

- Wiem, o co ci chodzi.

- Naprawdę? Kiedy zaczynałaś pracę w przędzalni, też zarabiałaś pieniądze.

- Tak, w zakładzie nigdy nie pozwolili mi robić tego, co umiałam najlepiej. Chcieli, bym pracowała przy taśmie, a ja wolałam naprawiać maszyny. Nie umieli pogodzić się z faktem, że jestem lepszym mechanikiem niż ich specjaliści. Po jakimś czasie przestałam o to walczyć. Nie mogłam już znieść tej nędzy, a moi wierzyciele domagali się pieniędzy. - Raylene uśmiechnęła się krzywo. Nalała sobie gorącej kawy i nachyliła się do mamy. - Pamiętasz, jak Alma nie pozwoliła szeryfowi zabrać jej mebli? - zapytała. - Kiedy zaczęła nawoływać sąsiadów i krzyczeć, że ją okradają?

- Tak, na Boga. - Mama zaśmiała się. - Ten szeryf omal nie sfajdał się w spodnie, gdy zobaczył, że zaczęła wyrzucać rzeczy przez okno, wrzeszcząc: „Zabieraj wszystko, no co jest, czemu tego nie weźmiesz? Zabierz też dzieciaki, bierz wszystko!”. Tak, na Boga, tak.

- Wade twierdzi, że rzuciła w niego podomką, a potem tak stała w samej bieliźnie, a on nie mógł się do niej zbliżyć.

- O nie, dziewczyno. To tylko plotki. Ludzie tak gadają. Ale wcale tak nie było. Zagroziła jedynie, że to zrobi.

- Lepiej by było, gdyby to zrobiła, i zapewne dlatego mówią, że została w samych majtkach?

- Poza tym to do niej podobne. Alma nie boi się niczego.

- Nie tak jak jej córki.

- Otóż to.

Mama spojrzała na mnie.

- Poruszaj trochę tym stojakiem - rzekła do mnie. - Nie mogą za bardzo osiąść. - Wyciągnęła szyję, aby tego dopilnować, ale nie podniosła się z miejsca. - Poza tym nie wydaje mi się, aby znajdowały się dostatecznie głęboko.

Ciocia Raylene znowu nalała mamie mrożonej herbaty.

- Och, Anney, Kostka świetnie się spisuje. Kiedy dorośnie, będzie wiedziała wszystko o wekach, gotowaniu i plotkowaniu w kuchni.

Mama dosypała do swojej herbaty łyżeczkę cukru.

- Raylene, ty ją ewidentnie psujesz. Powinnaś mieć własne dzieci, wtedy byłabyś wobec nich bardziej krytyczna.

- Cóż, mimo iż żadnego nie urodziłam, odnoszę wrażenie, że wychowałam ich całe mnóstwo. Od lat płaczą mi się pod nogami jakieś bachory. Poza tym w tej rodzinie nigdy nie traktowało się dzieci egoistycznie.

Nieraz zdarzało się, że rano, ledwie wstałam, a już na ganku czekały tu mnie jakieś maleństwa, które ktoś podrzucił mi w nocy.

- Zazwyczaj Alma.

- Nie mów nic złego o Almie. Charakteru jej nie brakuje, ale to złote serce. Jedno wynika z drugiego. Poza tym zawsze miała krzyż pański z tymi dziewczynkami. Nie dziwi mnie wcale, że to jej chore dziecko to dziewczynka. Nie ma szczęścia do dziewczynek. A odkąd Tempie odeszła z domu, całkiem zgorzkniała, jak chrzczona whiskey.

- Wszyscy mówią, że Tempie jest podobna do Almy, ale ja tego jakoś nie dostrzegam - rzekła mama. - Mogłabym przysiąc, że ta dziewczyna nigdy nie czuła się swobodnie w swoim ciele. Nigdy nic jej nie cieszyło, nikim się nie interesowała, stale chodziła z nosem w górze, pusząc się z byle powodu.

Ciocia Raylene zachichotała, unosząc szklankę do ust.

- Wiesz, ona stała wtedy na podwórzu, kiedy zjawił się szeryf i zaczęły się te krzyki. Stała tam i udawała, że nic się nie dzieje, że nie zjawili się stróże prawa z nakazem, nikt nie dobijał się do drzwi, nie wyrzucał ciuchów przez okno. Ta dziewczyna jest doprawdy zdumiewająca.

- I co zrobiła, poczęstowała go szklanką whiskey?

- Ee tam, próbowała wyprowadzić Almę z domu, aby tamci mogli bez przeszkód pozabierać meble. Nie obchodziło jej, co się stało, miała gdzieś, że ci, co przyjechali, tak naprawdę próbowali ograbić jej mamę, nie chciała, by sąsiedzi się zorientowali, że nie mają pieniędzy na spłatę długów.

- Jakby sąsiedzi o tym nie wiedzieli. Takich rzeczy nie sposób utrzymać w sekrecie.

- Cóż, ty i ja nawet się nie staramy. Alma zresztą też nie. Ona wie, kim jest. Ale z dziećmi to co innego. Wydaje się, jakby stale pragnęły tego, czego nie mogą mieć i w dodatku mają w sobie tę kretyńską dumę.

- Albo nie mają jej za grosz, albo w nadmiarze.

- Inaczej niż my. - Mięśnie twarzy Raylene zwiotczały, zniżyła głos. - Spójrz na swoje córki, Anney. Dostrzegasz to w nich. To, czego nie ma Tempie. Nie wiem, co to jest. Ale coś na pewno. Coś gniewnego, niezłomnego, co wyziera od czasu do czasu.

Zamilkły i spojrzały na mnie. Udawałam, że ich nie słucham, koncentrując się na rozganianiu kłębow pary, aby móc zajrzeć do garnka. Jednak obserwowałam je kątem oka. Przez kłęby pary obie wyglądały starzej, jak dwie sterane życiem, zmęczone kobiety powtarzające jedna drugiej historyjki z przeszłości i starające się nie przejmować rzeczami, na które i tak nie miały wpływu. Uderzyło mnie, jak były młode, a zarazem jak staro wyglądały. Żadna z nich nie była w wieku Madeline; mama miała dwadzieścia sześć lat, a ciocia Raylene niespełna dziesięć lat więcej. A jednak tak bardzo różniły się ode mnie, prawie jakby pochodziły z całkiem innej epoki. Tak bardzo pragnęłam być do nich podobna, czuć się swobodniej w moim ciele i wyzbyć się gniewu, który wciąż we mnie płonął. Nadmiar czy brak dumy? Co było ze mną nie tak?

Kiedy wszystkie brzoskwinie znalazły się w słoikach, podobnie jak pomidory i groch, ciocia Raylene uporała się z resztą owoców - śliwkami, jabłkami i jagodami. To były dni pełne potu, pary i garnków stojących na kuchni. Kiedy nie byłam w szkole, siedziałam na stołku w kuchni, obierając, szorując albo pilnując garnków, podczas gdy ciocia Raylene opowiadała mi różne historyjki, a ja z niepokojem sztywniałam. Obawiałam się, że ktoś może znaleźć kotwiczkę pod gankiem, ale nie mogłam jej stamtąd zabrać, dopóki nie skończyłyśmy z wekami. Gdyby któryś z wujków znalazł kotwiczkę, ciocia Raylene domyśliłaby się, że to ja wyniosłam ją z piwnicy.

Któregoś wieczoru, gdy kończyłyśmy akurat rozstawiać słoje na stojakach, do kuchni wszedł Grey, uśmiechając się od ucha do ucha. Szcherzył się tak szeroko, że dałam mu kuksańca, zanim ciocia Raylene zdążyła to zauważyć.

- Znalazłeś ją! - syknęłam do niego.

Patrzył na mnie przez dłuższą chwilę i rozpromienił się jeszcze bardziej.

- To twoja robota, co, Kostko? Przez cały czas kursowałaś do piwnicy i z powrotem. Dobrze, dziewczyno, naprawdę dobrze.

- Tylko ani mru-mru, bo ciocia Raylene schowa ją tak, że nigdy jej nie znajdziemy.

- Nikomu nie powiem.

- Jak się będziesz tam szcherzył, od razu zorientuje się, że coś się stało. Grey zaśmiał się i wytarł palcem smugę rozmazanego soku pomidorowego.

- Jak będziesz mówić tak głośno, to cię usłyszy.

Spojrzałam w głąb sieni, w stronę pokoju. Ciocia Raylene składała ręczniki, nucąc pod nosem. Wypchnęłam Greya na ganek i objęłam jedną ręką za szyję. Wiedziałam, że jak się będę wymądrzać, zabierze kotwiczkę i ucieknie, a ja nigdy jej już nie zobaczę. Przypomniałam sobie, jak mama uspokajała tatkę Glena, i spróbowałam nadać memu głosowi łagodny, kojący ton.

- Mam pomysł - wyszeptałam Greyowi wprost do ucha. - Sposób na wykorzystanie tej kotwiczki, który nikomu innemu nie przyszedłby do głowy.

Grey znów zaprezentował w uśmiechu swoje zęby.

- Jakiś niezły numer, co?

- Jeszcze jaki i chcę, żebyś mi pomógł. - Chciałam pogłaskać go po szyi, ale odtrącił moją dłoń.

- Mów.

Zawahałam się, spojrzałam w stronę, gdzie w każdej chwili mogła pojawić się ciocia Raylene. Grey cierpliwie i spokojnie czekał. Nie był taki jak jego brat. Z nich dwóch to on więcej robił, niż mówił i rzadko zdradzał sekrety, nawet jeśli chciał komuś zaimponować. Zacisnęłam zęby i pokręciłam głową. W sumie czemu nie miałabym mu powiedzieć. Byłam ciekawa jego opinii. Odstąpiłam od niego i wsunęłam ręce do kieszeni.

- Zamierzam którejs nocy wspiąć się na dach Woolwortha. Wpadłam na pomysł, jak się tam dostać, aby nikt się nie zorientował.

Grey odwrócił głowę i spojrzał na drzwi.

- Mówisz serio - wyszeptał.

To nie było pytanie. Stałam i czekałam w bezruchu.

- Niech mnie kule biją. Kostko! Udało ci się zwędzić kotwiczkę pod czujnym okiem cioci Raylene, ale to, co planujesz, to całkiem inna sprawa. Skąd pewność, że za to nie bekniesz?

Zakołysałam się w przód i w tył na palcach stóp, usiłując sprawiać wrażenie pewnej siebie.

- Są rzeczy, które robiłam, a o których nawet nie wiesz, kuzynie. I nigdy ci o nich nie powiem. Tak jak nie powiem nikomu, co zrobimy wspólnie, ty i ja. - Zmrużyłam lekko powieki jak wujek Earle, kiedy grał w pokera.

Grey wydał wargi, zagwizdał i wychylił się przez poręcz ganku.

- Dobrze, Kostko, dobrze. Ale jeśli nas złapią, powiem, że to był twój pomysł. Lepiej, żebyś od razu o tym wiedziała.

Nie mogłam się powstrzymać. Zaśmiałam się w głos. Grey uśmiechnął się do mnie lekko zdumiony.

- Bez obawy, kuzynie - zapewniłam go - jeżek nas złapią, sama im powiem, obiecuję.

Nie wspomniałam, że nikt o zdrowych zmysłach nie uwierzyłby w tę historię; bądź co bądź Grey był ode mnie starszy, a poza tym był chłopakiem. Gdyby mnie złapali, napytałabym sobie biedy, ale to on miałby większe kłopoty i nie zamierzałam dopuścić, aby do tego doszło. Pozwoliłam, by wyjął kotwiczkę spod ganku, podczas gdy ja w kuchni zajęłam Raylene rozmową.

- Tylko nikomu ani słowa - zapowiedziałam.

- Ani mru-mru, Kostko - zapewnił. - Nawet słowa nie pisnę. - Uśmiechnął się tak szeroko, że chcąc nie chcąc, musiałam mu uwierzyć.

Spędziłam tę noc w domu cioci Raylene. Gdy już zasnęła, wymknęłam się po kotwiczkę. Zabrałam ją do mego pokoju, odczepiłam łańcuch, wyczyściłam i wypolerowałam. Kiedy już była gładka i błyszcząca, zabrałam ją do łóżka i wsunęłam między uda, przesuwałam nią w górę i w dół. Poczułam przejmujące dreszcze i równocześnie zrobiło mi się gorąco. W jednej z książek, które tatko Glen trzymał schowane w garażu, przeczytałam o kobietach, które wkładały sobie różne rzeczy. Wzięłam do ręki łańcuch i zastanawiałam się nad tym przez chwilę, pocierając metalem o skórę i nucąc pod nosem. Nie czułam się jak kobiety z tych książek, ale miło było czuć na ciele dotyk metalu i przesuwać ogniwami w górę i w dół, aż stały się śliskie. Wykorzystałam kłódkę, którą znalazłam na brzegu rzeki, aby spiąć łańcuch wokół bioder. Stał wydawała się ciepła jak ogrzana słońcem i wywoływała lekkie swędzenie skóry, ogniwa lśniły niczym pot na piegowatych ramionach wujka Earle'a i podniecały mnie. To był mój łańcuch, tylko mój. I całkiem bezpieczny. Każde ogniwo tego łańcucha miało magiczną moc, która należała teraz do mnie.

Odchyliłam głowę do tyłu i uśmiechnęłam się. Łańcuch poruszał się pod kocem. Byłam zamknięta na kłódkę i bezpieczna. Nic już nie mogło mnie tknąć. A tego, czego pragnęłam, nie umiałam jeszcze sobie wyobrazić. Gdzieś w oddali płakało dziecko, ale to nie był mój szloch.

Rozdział trzynasty

Zabrałam kotwiczkę do domu w płóciennym worku, z resztą cukinii i ogórków z ogródka cioci Raylene. Nie ułałam Reese na tyle, by wnieść hak do domu, ukryłam go więc w jednym z pudeł do pakowania rzeczy, które mama wstawiła na pawlacz nad pralką. Tam nikt nie mógł go zobaczyć, mego talizmanu chroniącego przed mrokiem i wszystkim, co się w nim kryło. Sama świadomość, że on tam był, dodawała mi otuchy, czułam się tak, jakbym za sprawą jakiejś magii stała się starsza, silniejsza, prawie niebezpieczna. Spoglądałam w górę za każdym razem, gdy pomagałam mamie z praniem, patrzyłam w górę, jakbym się zamyśliła albo rozmarzyła o przyszłości.

- Zmieniłaś się, Kostko. - Mama wyjęła z pralki ręczniki i prześcieradła i wrzuciła do utrzymanego przeze mnie kosza.

- Nie, mamó. Wcale nie. - Opuściłam głowę.

- Owszem, tak. I nawet trochę podrosłaś. Trzymasz głowę wyżej. Od czasu do czasu mogę nawet zobaczyć twoje oczy. - Mama uśmiechnęła się do mnie i wrzuciła do kosza ostatnie ręczniki. Musiała sięgnąć za pralkę po spinacze, które trzymała w starym, zszytym u dołu podkoszulku, wiszącym na wieszaku. Gdy była odwrócona, spojrzałam w górę, upewniłam się, że moje pudełko wciąż znajdowało się bezpiecznie tam, gdzie je postawiłam.

- Czy Reese mówiła ci, że dzwoniła Shannon Pearl?

Właśnie wychodziłam, by rozwinąć pranie, ale to, co usłyszałam, sprawiło, że nagle znieruchomiałam.

- Naprawdę?

- Uhm-hm. Nie rozmawiałam z nią, ale Reese mówi, że o ciebie pytała. Może zechcesz do niej oddzwonić.

- Nie wiem, mamó. Nie wiem, czy powinnam.

- Cóż, ja nie będę cię do tego zmuszać, ale zastanów się nad tym. Czasem trzeba okazać komuś trochę serca, a rozmowa z nią to przecież nic strasznego. Może chciała cię przeprosić, sama rozumiesz.

- Tak, mamó.

Zaczęłam strzepywać prześcieradło, aby rozwiesić je na sznurze. Nie chciałam, aby mama zobaczyła moją minę. Nie zamierzałam dzwonić do Shannon Pearl.

Mama nigdy nie zapytała, o co pokłóciłam się z Shannon Pearl. Wspomniała o tym tylko raz, kiedy obie z ciocią Raylene przyznały, że lepiej nie mieszać się do dziewczęcych sporów. Zostałam je przy tej rozmowie i z miejsca się zorientowałam, jaki jest jej temat, toteż odwróciłam się na pięcie i wyszłam.

Mama rozzłościła się, gdy pani Pearl zadzwoniła, by powiedzieć, że nie przeprosiłam za to, że chciałam uderzyć Shannon, choć to przecież ona powinna przeprosić mnie. Mama była zła na mnie za moją bezdenną głupotę.

- Nie wiesz, że uderzając kogoś w twarz, możesz mu wybić oko?

- Wiem, mammo.

- A poza tym po co masz kogokolwiek bić!

- Racja, mammo.

- Cóż... - Przyjrzała mi się z uwagą. Wiedziałam, że czeka, abym coś powiedziała, ale ja tylko wlepiłam wzrok w stół. - Nie wiem, co jest z tymi Pearlami. Powinni byli od razu przywieźć cię do domu, zamiast kazać ci siedzieć w aucie, gdy oni załatwiali jakieś sprawy. - Zaczęła grzebać w torebce, szukając papierosów. - I nie mam pojęcia, czemu w ogóle po tak długim czasie zadzwoniła.

- Ja też nie wiem, mammo.

Nie chciałam rozmawiać z Shannon Pearl.

Wiedziałam jednak, że na pewno czuła się samotna, chciała z kimś porozmawiać i dlatego nakłoniła swoją mamę, by do nas zadzwoniła. Mama westchnęła ze znużeniem.

- Tylko trzymaj się z dala od kłopotów. Nie chcę stale tłumaczyć się za ciebie przed ludźmi.

- Dobrze, mammo.

Tuż przed Świętem Dziękczynienia Shannon Pearl zadzwoniła i poprosiła mnie do telefonu.

- Nie zamierzam przeproszać - zaznaczyła od razu, jakbyśmy widziały się zaledwie wczoraj. Jej głos brzmiał dziwnie, długo go już nie słyszałam.

- Nie obchodzi mnie, co zamierzasz - uciełam. Trzymałam słuchawkę ramieniem i obgryzałam skórki przy paznokciach.

- Przestań - rzekła mama, mijając mnie w drodze do kuchni.

- Dobrze, mammo - odparłam odruchowo.

- Co powiedziałaś? - W głosie Shannon Pearl zabrzmiała nutka nadziei.

- Mówiłam do mamy. Po co zadzwoniłaś?

Rozległo się westchnienie, po czym Shannon odchrząknęła kilka razy.

- Bo uznałam, że powinnam tak zrobić. Nie ma sensu, żebyśmy kłóciły się o takie głupstwa. Założę się, że nawet już nie pamiętasz, o co poszło.

- Pamiętam - oznajmiłam, a mój ton był lodowaty. Przez chwilę poczułam zawstydzenie, a potem gniew. Czemu miałabym przejmować się, że mogłabym urazić jej uczucia? Kim ona dla mnie była?

- Mama powiedziała, że powinnam do ciebie zadzwonić - szepnęła Shannon.
- Powiedziała, że mogę zaprosić cię do nas na niedzielę. Urządzamy barbecue dla krewnych taty z Missisipi. Przywiozła brzoskwinie i orzechy prosto z Georgii.

Przez chwilę w milczeniu obgryzałam paznokcie kciuka.

- Mogłabyś zapytać mamę, czy pozwoli ci do nas przyjść. - Głos Shannon wydawał się zdyszany, pełen desperacji, prawie piszczący. - Gdybyś zechciała - dorzuciła.

Zastanawiałam się, co musiała powiedzieć, aby jej mama zgodziła się na kolejną moją wizytę u nich. Na ganku Reese zaczęła krzyczeć na Patsy Ruth.

- Nawet nie umiesz w to grać!

Czemu miałabym iść do domu Pearlów i patrzeć, jak jej grubi krewni obżerają się do nieprzytomności?

- Mama podarowała mi adapter - rzekła nagle Shannon. - Mam mnóstwo płyt.

- Tak?

- Bardzo dużo. - W tle usłyszałam głos jej mamy. - Muszę już kończyć. Przyjdiesz?

- Może. Nie wiem. Zastanowię się.

Odłożyłam słuchawkę i zauważyłam, że mama przygląda mi się z kuchni.

- Shannon zaprasza mnie do siebie na niedzielę. Urządzają barbecue.

- Chcesz pójść?

- Może. Nie wiem.

Mama pokiwała głową i podała mi ręcznik.

- Na razie pomóż mi. I bądź uprzejma poinformować mnie przed niedzielą, gdybyś jednak zdecydowała się pójść do koleżanki. Wolałabym uniknąć przykrych niespodzianek w niedzielę rano. Może zechcę spędzić cały dzień w łóżku, nigdy nic nie wiadomo.

Uśmiechnęła się, a ja ją objęłam. Uwielbiałam, kiedy tak wyglądała. Cały dom wydawał się wówczas ciepły i bezpieczny.

- Może sama też wybiorę się na spacer. - Mama lekko poklepała mnie po siedzeniu. - Ale nigdzie nie pójde, dopóki nie uporamy się ze zmywaniem naczyń, a dziś ty je wycierasz.

- Tak, mamó.

Nie zamierzałam pójść do Shannon. Naprawdę. Nie oddzwoniłam i nic nie powiedziałam mamie. Ale w niedzielne popołudnie ruszyłam w stronę domu Shannon, z blaszanym wiaderkiem Reese, jakbym wybierała się na poszukiwanie dzikich winogron. Po drodze przepatrywałam więdnące

szarozielone pnącza, które zginą, kiedy tylko nadejdą pierwsze przymrozki. W filmach ludzie zawsze bujali się na takich pnączach, ale gdy próbowałyśmy tego z Reese, zwykle ciężko lądowałyśmy na ziemi. Może w lasach, gdzie kręceno te filmy, rosły inne pnącza, tyle że pewnie nie było tam winogron.

Idąc, nuciłam pod nosem, łącząc ulubione hymny mamy i swoje na przemian Sombody Touched Me i Oh, Sinner Man. Reese zawsze śpiewała Whoa, Sinner Man, na co wujek Earle wybuchał gromkim śmiechem. Brakowało mi Earle'a. Nie zobaczymy go do wiosny. Został wysłany do zakładu karnego za złamanie komuś szczęki i wybicie okna wystawowego w Cracker Blue Cafe. Ciocia Alma mówiła, że w zakładzie karnym znów zaczął wdawać się w bójkę i paru facetów musiało go przytrzymać, a potem zgoliło mu jego gęste czarne włosy. Próbowałam wyobrazić sobie wujka łysego.

- To na jakiś czas powstrzyma go od łajdaczenia się. - Ciocia Alma wydawała się prawie zadowolona.

- Co to znaczy „łajdaczyć się”? - Reese nie nauczyła się jeszcze, że za zadawanie niewygodnych pytań ciotkom czeka ją wyrzucenie za drzwi. Próbowałam powiedzieć jej, że jeśli chce się czegoś dowiedzieć, powinna siedzieć cicho i wyciągać wnioski z tego, co usłyszy.

- A co wy tu jeszcze robicie? To nie dla was rozmowa. - Mama naprawdę się rozzłościła. - Jazda stąd, ale już.

- Widzisz, co narobiłaś - mruknęłam z oburzeniem. Nie lubiłam, gdy kazano mi wyjść razem z małymi dziećmi. - Teraz już się nie dowiemy, czemu ogolono mu głowę.

- Och, ale ja to już wiem. - Reese uśmiechnęła się filuternie i objęła Patsy Ruth ramieniem. - Babcia powiedziała, że próbował urznąć jakiemuś facetowi małego.

Nigdy jeszcze nie wchodziłam do domu Pearlów od tyłu. Zazwyczaj przychodziłam od strony Sears Fire Center, ale tej niedzieli przeszłam przez podwórza na tyłach wielkich domów przy Tyson Circle i parking przed Roberts Daisy Drive-In. Na tyłach ich posesji rosły magnolie i kwiaty, które przesłaniały widok na parking, więc potrwało chwilę, zanim prześlizgnęłam się obok rosnących tam chryzantem. Było tam sporo ludzi i wszyscy wyglądali jak Pearlowie. Niscy, tłuści, ubrani z przesadną elegancją mężczyźni stali w kręgu, trzymając w dłoniach masywne szklanice z herbatą i uśmiechali się do chudych, bladych kobiet z uróżowanymi ustami i rozwichrzonymi włosami. Mali chłopcy uganiali się tam i z powrotem przy podjeździe, gdzie kilku starszych obsługiwało maszynę do lodów. Prócz wielkiego piknikowego stołu z sekwoi, z którego zakupu pani Pearl była tak dumna w ubiegłym roku,

wystawiono także dwa mniejsze stoliki karciane. Wyglądało, że goście już zjechali, ale węglowy grill wciąż jeszcze słabo dymił, a Shannon Pearl stojąca przy nim miała bardzo ponurą minę.

Znieruchomiałam i patrzyłam na nią z uwagą. Nieporadnie manipulowała widelcem o długim trzonku, popatrując raz po raz na inne dzieciaki. Twarz miała poróżwiałą i spoconą, a w różowo-białej sukience z organdy wyglądała jak napęczniały balon. Przypomniałam sobie, jak mama mówiła, że pani Pearl nie potrafi ubrać swojej córki.

- Nie powinna nosić tych wszystkich haftowanych ciuchów. Ta dziewczynka jest tłusta, a przez ten fatalny ubiór wygląda na jeszcze grubszą.

Przyznałam jej rację. Shannon wyglądała jak parówka wciśnięta w za mały flak. I chyba w dodatku płakała. Przy stole pani Pearl siedziała z kilkoma chudymi jak tyki kobietami, z których dwie miały na rękach niemowlęta.

- Cudna. Cudna - usłyszałam czyjś cichy, drwiący głos.

- Ty opasła locho. - Jeden z kuzynów Shannon przebiegł obok niej i teatralnym szeptem rzucił jej wprost do ucha: - Odkąd się urodziłaś, musiałaś się chyba zażerać wieprzowiną. I dlatego zrobiła się z ciebie taka tłusta świnią. - Zaśmiał się i pobiegł dalej.

Shannon zdjęła okulary i zaczęła wycierać szkła w spódniczkę.

- O rany - mruknęłam pod nosem.

Zawsze podejrzewałam, że Shannon Pearl nie ma prócz mnie na całym świecie innej przyjaciółki. To po części dlatego w jej obecności stawałam się taka paskudna i złośliwa, wiedziałam, że nie zależy mi na niej i wcale nie chcę być jej najlepszą przyjaciółką. Kiedy jednak kuzyn tak okrutnie ją potraktował, przypominałam sobie nasze pierwsze spotkanie i tę upiorną dumę, którą tak w niej ceniłam, prawy gniew, który obróciła przeciwko swoim dręczycielom. W tej chwili nie miała w sobie nawet odrobiny tego gniewu. Wyglądała na zmęczoną, zbolaną i zawstydzoną. Widok jej twarzy przepełnił mnie wściekłością i poczuciem winy związanym z jej osobą; zrobiło mi się niedobrze.

Kopnęłam raz i drugi w drewniany płot, po czym uniosłam nogę, aby przeleźć przez parkan. W porządku, była małym potworem, ale także moją przyjaciółką i jednym z tych monstrów, które potrafiłam zrozumieć. Znajdująca się o dwadzieścia stóp ode mnie Shannon pociągnęła nosem i sięgnęła po stojącą przy grillu puszkę z płynem do zapalniczek, służącym do rozpalenia pod rusztem. Nawet mnie nie zauważyła.

Potem ludzie mnie pytali, co się właściwie wydarzyło.

- Gdzie wtedy byłaś? - powtórzył po raz trzeci lub czwarty szeryf Cole. - I co widziałas? - Nie dał mi szansy na odpowiedź. Może dlatego, że trudno było przekrzyczeć wrzaski pani Pearl.

- Uhm-hm, to gdzie wtedy byłaś? - Wciąż zerkał przez ramię w stronę grilla i skwierczącego w ogniu tłuszczu.

Wiedziałam, że nie usłyszał ani jednego mojego słowa. Ale pani Pearl usłyszała. I to wyraźnie, zaczęła wyrywać się ludziom, którzy ją przytrzymywali, aby mnie dopaść. Wciąż wrzeszczała „Ty!”, jakbym czemuś zawiniła, a ja przecież byłam tylko biernym świadkiem tych wydarzeń. Nie miałam co do tego wątpliwości. Nie przeszłam nawet dwóch kroków po sforsowaniu parkanu.

Shannon założyła okulary. W jednej ręce trzymała puszkę z płynem do zapalniczek, w drugiej widelec o długim trzonku. Zaczęła przegarniać widelcem węgle, polewając je paliwem z puszek. Puszka wydawała ciche pyknięcia za każdym naciśnięciem. Wyglądało na to, że Shannon próbuje rozpalić pod rusztem. A może jej się spodobało, jak z paleniska zaczęły strzelać w górę jęzory ognia. Raz po raz strzykała paliwem na palenisko, cofała się i ponownie przystępowała do rusztu. Shannon machnęła ręką. Usłyszałam, jak puszka z płynem do zapalniczek pyknęła i zassała powietrze. Zobaczyłam strzelający w górę płomień i wytryskującą na zewnątrz strugę ognia. A potem rozległ się ogłuszający huk. Puszka eksplodowała w oślepiającej kuli ognia.

Shannon nawet nie krzyknęła. Usta miała szeroko otwarte i zachłysnęła się ogniem. Szklane okulary stały się matowe, oczy znikły, delikatne jak puch włosy zmieniły się w płomienną falującą aureolę. Jej sukienka w okamgnieniu stanęła w ogniu. Zobaczyłam spadający widelec, drewniany trzonek też płonął. Ujrzałam, jak pani Pearl podnosi się z miejsca i zaczyna biec w stronę córki. Spostrzegłam, jak mężczyźni wypuszczają z rąk szklanki z herbatą, zauważyłam, jak Shannon kołysze się z boku na bok, po czym upada bezwładnie. Jej sukienka przestała istnieć. Dym stał się czarny i oleisty. Na moich oczach Shannon opuściła ten ziemski padół.

Pogrzeb odbył się na cmentarzu baptystów w Bushy Creek. Pani Pearl uparła się, by trumnę przykryć haftowanym, dziecięcym kocykiem. Spojrzałam nań tylko raz i opuściłam wzrok. W miejscu, gdzie zapewne znajdowała się twarz Shannon, pan Pearl wyhaftowała oblicze cherubina o różowych policzkach i żółtych kręconych włosach. Trzymałam mamę za rękę i milczałam jak zaklęta. Reese też chciała przyjść, ale mama jej zabroniła i wysłała ją na cały dzień do ciotki Raylene. Mama też nie miała ochoty przyjść na pogrzeb, ale kiedy się rozpłakałam, zgodziła się tam mnie zaprowadzić. Tato Glen wściekł się na

mamę, że mi ustępuje w tak „kretyńskich kwestiach”, jak to określił, po czym wybrał się na ryby z Beau i Nevilem. W ostatnich miesiącach coraz częściej i coraz więcej pił, opróżniał jedno piwo po drugim, a potem padał na kanapę i zasypiał.

- Ten chłop nie umie pić - żartował Beau, rozbawiony błędnym wzrokiem Glena i jego poczerwieniałymi po paru głębszych policzkami. - Nie ma tego we krwi. A to też trza umieć.

- Trza mieć mocny żołądek - poprawił wujek Nevil.

- Ta jest, żołądek.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. To, że Glen zaczął nagle pić, bawiło ich niemal do łez.

- Kretyni - poskarżyła się Raylene.

- To bez znaczenia - rzekła do niej mama. - Glen, choćby nie wiem jak się starał, i tak się nie rozpije.

I rzeczywiście miała rację. Podczas gdy Beau i Nevil mogli pić godzinami, a jedynymi tego skutkami było ich coraz bardziej hałaśliwe i sprośne zachowanie, tatko Glen bardzo szybko się upijał i zasypiał na siedząco, kiedy pozostali dopiero się rozkręcali. Budził się ze z gagą i bólem głowy, a w tym czasie Beau i Nevil pili już kawę, szykując się do pracy, i choć obaj nie do końca jeszcze wytrzeźwieli po ostatniej nocy, nieodmiennie stawiali się w robocie. To wszystko coraz bardziej mnie niepokoiło, ale podobnie jak mama nie miałam pojęcia, jak mogłabym temu zaradzić.

- Widziałeś ją, ojczu? - spytała pani Pearl kaznodzieję, którego sprowadzono z ich rodzinnego kościoła w Missisipi. - Była jak aniołek. Jak Anioł Pański.

Kaznodzieja pokiwał głową i złożył dłonie na pani Pearl, która tuliła do siebie wielki bukiet żółtych chryzantem. Dyrektor chóru stojący tuż za nimi przytrzymał pana Pearlę za łokieć.

Pan Pearl był szary i wyglądał jak trup. Patrzyłam spod półprzymkniętych powiek, jak dyrektor chóru podał panu Pearlowi papierowy kubek i szepnął mu coś do ucha. Pan Pearl pokiwał głową i upił kilka łyków. Przez cały czas patrzył na żonę i kwiaty, które tak kurczowo trzymała.

- Wiesz, ojczu. Ona kochała dzieci. Zawsze miała otwarte serca dla tych najbardziej potrzebujących. Są tu dziś wszyscy jej mali przyjaciele.

A w dodatku jak potrafiła śpiewać! Miała taki cudowny głos! Boirinien ją był ojciec usłyszeć.

Przypomniałam sobie ochryply, falujący głos Shannon, gdy nuciła jakąś melodyjkę na tylnym siedzeniu auta ojca, po tym jak opowiedziała mi

wyjatkowo okrutną historyjkę. Czy to możliwe, że pani Pearl nigdy nie słyszała śpiewu córki? Czy gdybym to ja spłonęła żywcem, przyszliby na mój pogrzeb?

Pani Pearl uniosła wzrok znad bukietu chryzantem. Zaczęła wodzić wodnistymi oczami wzdłuż naw. Chyba nic nie rozumiała, doszłam do wniosku. Wzrok pani Pearl prześlizgnął się po mnie, nawet mnie nie dostrzegając, dłonie muskały kwiaty wciśnięte mocno pod brodę. Nagle zaczęła cichutko jęczeć jak ptak uwięziony w jeżynach, podczas gdy kaznodzieja poprowadził ją w stronę pierwszej ławki.

Zona dyrektora chóru podbiegła i objęła panią Pearl ramieniem, a kaznodzieja rozpaczliwie jął dawać chórowi znaki, aby zaintonował pierwszy hymn. Chwilę potem dały się słyszeć silne, melodyjne głosy, ale w powietrzu przesyconym wonią potu wciąż niosło się zawodzenie pani Pearl, pieśń pozbawiona rytmu i metrum, ale mimo to gospel, najczystsze gospel, melodia absolutnego smutku i żalu. Odwróciłam się i wtuliłam twarz w sukienkę mamy. Trawiący mnie, nieustępliwy gniew gdzieś się rozplątał. Mama, zupełnie jakbyśmy rozumiały się bez słów, pogładziła mnie po włosach i plecach, a potem ni stąd, ni zowąd sama zaczęła nucić pod nosem własną pieśń, cichą, niemelodyjną i dziwnie przytłumioną, tę samą, którą słyszałam przez całe swoje życie.

Rozdział czternasty

Śmierć Shannon Pearl głęboko mną wstrząsnęła. Nagle przestałam czuć się dorosła. Próbowałam odnowić kontakt z Reese, ale ta uznała, że jedyną godną jej zaufania osobą na świecie była Patsy Ruth i nie odstępowała jej na krok. Obie szeptały między sobą, śmiały się, pokazywały mi palcami i uciekały. Nawet mama była na mnie zła. Zmęczona nieustannymi wysiłkami, aby tydzień w tydzień mieć codziennie coś innego do włożenia do szkoły, któregoś dnia ubrałam się w dżinsy i odesłano mnie do domu z naganą w dzienniczku.

- Twoje rzeczy są czyste. Nie masz się czego wstydzić - ucięła mama.

Przy innej okazji mogłaby mi współczuć, że dziewczynki ze szkoły drwiły z moich prostych, niemodnych spódniczek i sukienek z wcięciem w tali, ale nie miałyśmy pieniędzy na nowe ciuchy, a nikt nie chciał nam pożyczyć ani grosza. Wujek Earle wciąż jeszcze siedział, ciocia Alma straciła pracę w pralni, a ciocia Ruth była tak chora, że Travis opłacił pielęgniarkę, aby pomogła Deedee opiekować się nią. Wszyscy byli zmartwieni i zirytowani.

Wciąż czułam ucisk w gardle. Hak na pawlaczu już do mnie nie śpiewał. Na myśl o ostrych, spiczastych końcach kotwiczki znów chciałam jej dotknąć, ale nie mogłam się zdobyć, aby ściągnąć ją z góry. Nawet rzeka za domem Raylene wzbudzała we mnie smutek i strach, przetaczające się brudne fale przywodziły mi na myśl rozmyte deszczem błoto na pogrzebie Shannon. Wciąż o niej myślałam, kiedy tam stała z opuszczoną głową, mając przed sobą nieznaną przyszłość. Co mogło się jej przydarzyć, kim mogła się stać? Nie myślałam o buchających płomieniach, lecz o tępym odgłosie towarzyszącym temu, kiedy drzwi jej życia zostały bezpowrotnie zamknięte i wszystko ustało. W moim życiu też wszystko było równie niejasne i niepewne. Ja też mogłam stanąć gdzieś i stwierdzić, że patrzę w oczy mojej własnej śmierci. Drżałam, gdy tylko tatko Glen zerkał na mnie, i dygocząc w środku, modliłam się, by mnie nie spostrzegł. Nie, szeptałam w noc. Nie umrę. Nie. Zaciskałam zęby. Nie.

Przeglądałam się w lustrze, by zobaczyć to, co widzieli inni ludzie, zastanawiałam się, co we mnie im mówiło, kim naprawdę byłam. Co widział tatko Glen? A ciocia Raylene? Albo wujek Earle? Zaczęły mi jaśnieć włosy, stawały się rudawe, ale oczy wciąż miałam czarne jak noc. W lustrze w łazience przyjrzałam się moim kościom policzkowym. Nie były regularne jak u Reese, lecz silnie zarysowane, wyraziste, mocne. Może właśnie przez to byłam brzydka. Zapewne byłam brzydka. Odwróciłam głowę. Zęby miałam białe, twarde, ostre i lśniące. Cała byłam silna. Potrafiłam zmienić blask słońca w wewnętrzną siłę, twierdziła moja mama. Była dumna, że jestem taka twarda i

wytrzymała, że wiele mogłam udźwignąć i szybko potrafiłam biec, ale ja stałam się nagle niezgrabna i za bardzo zwracałam uwagę na to, jak wyglądam. W ubiegłym roku zrobiono mi zastrzyki, całą serię, aż do teraz bolały mnie od nich wszystkie kości.

- Ból dorastania - wyjaśniła ciocia Raylene. - Tak trzymaj, a wyrośniesz wysoka i smukła.

Nie chciałam być wysoka. Chciałam być piękna. Kiedy byłam sama, przyglądałam się swemu uporczywemu ciału, długim nogom, słabo zarysowanym biodrom i małym wzgórkom w miejscu, gdzie Deedee i Tempie miały duże, krągłe piersi. Nie miałam się czym pochwalić i nie znosiłam żartów cioci Raylene, że wszyscy wywodzimy się od wieśniaków, że jesteśmy potomkami kobiet, które rodziły dzieci na polu i zaraz potem, jeszcze na miękkich nogach, wracały do pracy. Niezdarna, silna, brzydka. Czemu nie mogłam być ładna? Pragnęłam być jak te dziewczyny z powieści, księżniczki o bladej cerze i czułym sercu. Nie cierpiałam moich krótkich palców, szerokiej twarzy, kościstych kolan i tego, że nie przypominam pięknych dziewcząt o delikatnych rysach i szczupłej, mimozowatej figurze. Miałam zacięte oblicze, nierzucające się w oczy i śniade jak kora orzecha. To ciało, jak ciała moich ciotek, stworzono, by pracowało aż do śmierci, zostało należycie wykorzystane i wyrzucone. Czytałam o tym w książkach i starałam się nie zwracać na to uwagi. Te, które tak kończyły, zaharowując się na śmierć albo ginąc w kretyńskich wypadkach, nigdy nie były bohaterkami. Ciocia Alma podarowała mi duże, broszurowe wydanie *Przeminęło z wiatrem* ze zdjęciami z filmu i zapewniła, że książka mi się spodoba. Z początku faktycznie tak było, ale któregoś wieczoru przeniosłam wzrok z różowych policzków Vivien Leigh, by zobaczyć mamę wracającą z pracy z włosami pociemniałymi od potu i plamami na kostiumie roboczym. Przeszył mnie dreszcz. Emma Slattery, pomyślałam. Oto kim będę, kim wszystkie byłyśmy. Na pewno nie Scarlett z policzkami bielonymi proszkiem do pieczenia. Byłam śmieciem, jednym z wielu, jakie zamieszkiwały brudne, zaniedbane chaty, walcząc ze smoluchami i niewdzięcznie okradając lepszych od siebie; prostymi, głupimi, prymitywnymi ludźmi urodzonymi, by żyć w pohańbieniu i umrzeć. Zadygotałam ze strachu i oburzenia.

- Co, u licha, ta dziewczucha robi tak długo w łazience? - Tatko Glen był nerwowy, jak każdy, kto pił poprzedniej nocy. Zamknęłam drzwi na zasuwkę i starałam się nie słyszeć, jak wydzierał się za drzwiami.

- Kostko, wyjdź stamtąd i pomóż mi z tymi ziemniakami.

Umyłam twarz i wyszłam do mamy, która wciąż miała na sobie kostium kelnerki i białe buty na płaskim obcasie. Uśmiechała się i podała mi garnek.

- Powycinaj plamy, ale zostaw łupiny. Zrobimy tłuczone ziemniaki, takie jakie lubi tatko.

Z pokoju dobiegło stęknienie tatki Glena, a potem odgłos otwieranych i zamykanych drzwi. Mama położyła mi dłonie na ramionach i przyciągnęła mnie.

- Chcę, żebyś po szkole chodziła przez parę dni do cioci Almy. Będę stamtąd odbierać ciebie i Reese, zaraz po pracy. Chcę, żebyś zaopiekowała się dziećmi Almy, aby mogła spędzić trochę czasu z Ruth. - Mama przerwała, a potem już ciszej dodała: - Tatko Glen martwi się o Boże Narodzenie i pieniądze. Ubiegłego wieczoru mówił, że przez te wszystkie lata nigdy nie zaprosiliśmy na Wigilię jego braci.

Wlepiłam wzrok w garnek z ziemniakami, przypominając sobie ostatnią wizytę u Waddellów, to, jak tatko Glen zaczął się jąkać, gdy ojciec odezwał się do niego. Ten staruch był naprawdę okropny, a praca dla niego musiała być istnym piekłem, nawet ja o tym wiedziałam. Mama nachyliła się w moją stronę, jej usta niemal dotknęły mego policzka.

- Nie wiem. Po prostu nie pojmuję, dlaczego jego ojciec tak źle traktuje Glena. Przecież Glen zawsze stara się sprawić mu radość, a ten staruch przy pierwszej lepszej okazji poniża go i robi z niego idiotę. To nie daje Glenowi spokoju. Rozdziera go wewnątrz. - Westchnęła. - Przez pewien czas bądź bardzo ostrożna, Kostko. Bądź bardzo, ale to bardzo ostrożna, dziecinko. - Zawahała się, jakby chciała powiedzieć coś więcej, ale zamiast tego tylko ścisnęła mnie za ramiona i poszła się przebrać. Odprowadzałam ją wzrokiem, szła ze spuszczoną głową. Kiedy ostatni raz mama wydawała się zmęczona, smutna czy przerażona? Nie pamiętałam. Miałam wrażenie, że było tak od zawsze.

Wciąż szukałam u siebie czegoś szczególnego, czegoś magicznego. Przecież dorastałam, prawda? Ale jedyną inną rzeczą był gniew, ten nienasycony, surowy gniew w moich trzewiach. Gniew dzikich Indian, może Czirokezów, podobnie jak u Shannon przerażający i niezmierny. Wyszczrzyłam zęby. Co trzecia rodzina w Greenville miała Czirokezów w swoim rodowodzie, ale ja urodziłam się z kruczoczarnymi włosami. Mam w sobie krew mego pradziadka, powiedziałam sobie. Jestem córą nocy, wojowniczką moich przodków. Uniosłam włosy i spojrzałam w głąb moich oczu w poszukiwaniu czerwonych iskierek, mrocznych, lśniących szkarłatem jak rubiny albo świeża krew. Groźna, rzekłam do siebie. Mogę być groźna. Niech tatko Glen znów krzyknie

na mamę albo spróbuje zrobić mi krzywdę. Niech no tylko spróbuje. Niech się ma na baczności. Nie wie, na co mnie stać. Gdybym miała brzytwę, ani chybi poderznęłabym mu gardło w środku nocy, a potem zwiąłabym, aby żyć naga i samotna wśród zachodnich wzgórz, jak bohaterowie z powieści Zane Greya. Musiałam jeszcze tylko trochę podrosnąć. Tato Glen złażał mnie przy kolacji.

- Łazienka wygląda jak chlew. Mama tak ciężko pracuje, że mogłabyś przynajmniej choć od czasu do czasu trochę tu ogarnąć.

Mama westchnęła i odsunęła od siebie talerz. Reese jadła ze spuszczoną głową, a ja milczałam. Mama mówiła, że powinnam uważać. Ostrożnie, nie odwracając głowy, patrzyłam na światła z autostrady przebijające przez kuchenne zasłony, nawet nie spojrzałam na tatę Glena. Po kolacji wyszorowałam wannę i wzięłam długą, gorącą kąpiel. Szukałam długich, czarnych włosów w pępku i gęstego meszku między udami. Byłam gładka i czysta. Wzięłam lusterko mamy i przytrzymałam je kolanami. Podbródek miałam różowy, z dołeczkiem, bladą szyję, przez skórę, aż do uszu dostrzec można było nitki cienkich żyłek. Przyłożyłam dłonie płasko do policzków, opuściłam ręce i zmrużyłam powieki. Moja twarz nie zdradzała żadnych uczuć. Była przerażająca, sroga i nie malowały się na niej żadne uczucia. Odchyliłam głowę do tyłu, spojrzałam na swoje czerwono-brązowe sutki, wystający pępek, długie uda i sterczące posiniaczone kolana. Bolała mnie szyja, zęby, kręgosłup na wysokości nerek i tyłek. Cała byłam brzydka, blada i odrętwiała, ani trochę nie przypominałam córek wujka Jamesa w ich białych nylonowych krynolinach i z niebieskimi satynowymi wstążkami we włosach. Takich właśnie dziewczynek zawsze chcieli ludzie. Nie miałam w sobie nic z rozmarzonej małej dziewczynki z książek, żadna częśćka mnie nie była ładna. Teraz już rozumiałam, dlaczego tato Glen mnie nienawidził. Przy kolacji, kiedy mama poszła do sypialni po sweter, wyjaśnił mi krótko i zwięźle, że nie mam się czym szczycić.

- Wydaje ci się, że jesteś taka niezwykła - rzucił drwiąco - zachowujesz się, jakbyś Pana Boga złapała za nogi. Wydaje ci się, że niczego już nie możesz się nauczyć. Mama cię zepsuła. Nie ma pojęcia, jaka z ciebie leniwa, uparta dziewczucha, ale ja to wiem. Znam cię. Znam cię i nie pozwolę, abyś stała się podobna do tych twoich kuzynów, obiboków i gamoni.

- Jest pełen nienawiści - wyszeptalam. - Nie obchodzi mnie, czy ojciec źle go traktuje. Nie obchodzi mnie, czemu jest podły. On zionie nienawiścią.

Odwróciłam się i zanurzyłam głowę pod wodę. Nie byłam Czirokezem. Nie byłam wojowniczką. Nie byłam nikim nadzwyczajnym. Byłam zwykłą, przerażoną, zagniewaną dziewczynką. Kiedy zobaczyłam swoje odbicie w

oczach tatki Glena, chciałam umrzeć. Nie, chciałam już być martwa, zimna i sztywna. Wszystko było takie beznadziejne. Przywodziło mi na myśl osuwanie się w głąb niekończącej się jamy, na której dnie zobaczyłam siebie, brudną, obszarpaną, biedną i głupią. Ale tam, na samym dnie, w tym najmroczniejszym z miejsc pojawił się gniew i zrozumiałam, że on nie ma pojęcia, kim naprawdę jestem, nigdy nie widział mnie ciężko pracującej u cioci Raylene i zdobywającej najlepsze stopnie, niezależnie od tego, jak często zmieniałam szkołę, robiącej zakupy dla mamy i opiekującej się Reese. Nie byłam brudna ani głupia, a jeśli byłam biedna, to czyja to wina? Tak się rozzłościłam na tatkę Glena, że zaczęłam zgrzytać zębami. Śniłam, że wycinam mu serce z piersi, jego złe, czarne jak smoła, nieludzkie serce. W tym śnie nienawiść do niego nie była niczym złym. Ale najgorzej czułam się po przebudzeniu i wcale nie z powodu wściekłości. Najgorsze było to, kiedy zapragnęłam, abyśmy stali się jedną z tych rodzin, o których czytałam w książkach wypożyczonych z biblioteki i gdy chciałam, by tatko Glen kochał mnie tak, jak ojciec bohatera Robinsona Crusoe. Zapewne tak musiał się czuć, gdy zbliżał się do domu ojca z nisko spuszczoną głową.

Miłość uczyniłaby mnie piękną, miłość ojca oczyściłaby moje serce, osłodziła zgorzkniałą duszę i rozpromieniła oczy Czirokezki. Gdyby mnie pokochał. Gdyby mnie tylko pokochał. Czemu nie mógł mnie pokochać? Uderzałam pięściami o porcelanowe ściany wanny, kręciłam głową i wyłam pod wodą, wystawiłam głowę ponad powierzchnię i zaraz znowu ją zanurzyłam, by dalej skomleć jak zbity pies. Gdyby ktoś wszedł do łazienki, nie zorientowałby się, że płakałam, i byłam pewna, że nawet Bóg nie usłyszał moich przekleństw.

Podczas świąt Bożego Narodzenia spędzonych u cioci Almy uczyłam kuzyna wymyślać złożone historie na podstawie znanych seriali telewizyjnych. Dopóki wszyscy robili, co im kazałam, byłam najlepszą opiekunką do dzieci, jaką miała Alma.

- Możesz być Francisem Marionem - rzekłam do małego Earle'a. - Reese i ja będziemy Czirokezami, Patsy Ruth brytyjskim dowódcą, Garvey tchórzliwym kolonistą, a Grey kolonistą trzymającym naszą stronę.

- Bagienny Lisie, Bagienny Lisie, gdzie byłeś? - zaczął nucić mały Earle, ale Patsy Ruth przerwała mu.

- Czemu mam być brytyjskim dowódcą? Dlaczego nie mogę być czarnym charakterem i jednym z Czirokezów?

- Bo nie umiesz wspinać się na drzewa. Wszyscy wiedzą, że Indianie są w tym mistrzami.

- To będę jeździć konno i chcę jeździć na rowerze Greya, a nie małego Earle'a.

- Jeżeli ona chce pojeździć na moim rowerze, to ja chcę ponosić twoją czapkę.

- W tej zabawie nikt nie będzie nosił mojej czapki. Używamy jej tylko, gdy bawimy się w Johnny'ego Yumę.

Zaczynałam tracić cierpliwość i nie chciałam oddać mojej rebelianckiej czapki, którą wujek Earle kupił w sklepiku w Fort Sumter. Była piękna, szara, miękka z obwisłym daszkiem i wyszytymi na niej żółtą nicią gwiazdami i belkami.

- Johnny Yuuuu-ma - znów zaczął nucić mały Earle, usiłując naśladować głęboki głos Johnny'ego Casha - przez Dziki Zachód gnał... Johnny Yuuma, buntownik, chłop na schwał...

- Zawsze ją nosisz. - Grey trzepnął małego Earle'a po tyłku i odwrócił się do mnie z niewinną miną. - Nawet gdy bawimy się w potwora Frankenstein, choć przecież w filmie o Frankensteinie nikt nie nosił takiej czapki.

- O rany.

Pożyczyłam Greyowi czapkę, ale przestała mnie interesować zabawa w Bagiennego Lisa. Kto w ogóle o nim słyszał, dopóki nie pojawił się w filmach Disneya? Grey i Garvey nie bawili się z nami długo. Po jakimś czasie szli zapalić i pograć w rzucanie monetami. Gdy znów zacznie się szkoła, zamierzali pobierać haracz i zabierać pieniądze na lunch połowie szóstkłasiów. Na razie trzymali się na dystans, dopóki nie obmyśliłam scenariusza, który przypadłby im do gustu.

- Pobawmy się znowu w braci Daltonów - zaproponował raz jeszcze Grey. Do perfekcji opanował sztukę polegającą na spadnięciu z roweru po tym, jak któreś z nas go „zastrzeliło”, i uwielbiał się tym popisować.

- Raczej w siostry Dalton - odparłam.

Reese i ja widziałyśmy film i opowiedziałyśmy go tak szczegółowo, a kuzyni, choć go nie oglądali, zaczęli kłócić się z nami o to, co się wydarzyło. My wszystkie, dziewczyny znaczy się, uwielbiałyśmy scenariusz o bandzie sióstr, które napadały na banki i brały odwet za zabitych braci, ale chłopcy woleli bawić się w Jesse Jamesa albo bandę Youngerów.

- Może w tym filmie, ale wszyscy pamiętamy prawdziwych braci Daltonów. - Garvey też widział ten film i nie mógł pojąć, że bracia Daltonowie zginęli już w pierwszej scenie, a potem do rabowania banków i strzelania z rewolwerów wzięły się kobiety. - Poza tym uważam, że ten film to ścierna. Założę się, że ich siostry nigdy nie okradły żadnego banku.

- Chcesz się założyć? - rzuciła gniewnie Reese. Uwielbiała ten film. - Sądysz, że dziewczyna nie może ci dokopać? Uważasz, że ja nie mogłabym ci dołożyć? - Zerwała Greyowi z głowy moją czapkę.

- Nie udałoby ci się nawet wystraszyć kurczaka w gnieździe mokasy na błotnego. - Grey próbował odzyskać czapkę, ale Reese zaczęła uciekać, wymykając mu się zwinnie i wołając do niego przez ramię.

- To ty boisz mokasynów. Ciocia Alma mówi, że ziałeś się w gacie, gdy zabrała cię kiedyś na jeżyny, a ty omal nie nastąpiłeś na małego, zielonego węża, ale myślałeś, że to był stary mokasyn błotny.

- Zamknij dziób! - Grey wyrwał jej czapkę.

- Sam się zamknij! - Reese zaczęła kopać go po kostkach.

- Dziewczyny!

- Chłopaki!

- Oddaj mi czapkę.

Wyłuskałam ją z dłoni Greya i próbowałam uniknąć zetknięcia z twardymi, małymi stopkami Reese. Miałam nadzieję, że naprawdę mu dokopie, ale właśnie wtedy ciocia Alma przerwała dalszą bójkę. Odesłała chłopców na podwórko na tyłach, a nam, dziewczynom, kazała bawić się przed domem.

- Jeżeli nie umiecie bawić się razem, to należy was rozdzielić.

- I tak nie mam ochoty zadawać się z tymi głupimi chłopakami. - Reese splunęła w stronę Greya. Czasami zgadzałam się z każdym słowem, jakie padało z ust mojej siostry.

- Ale w co będziemy się bawić? - podchwyciła Patsy Ruth. - Przed domem nie możemy jeździć na rowerach. W ogóle przed domem nie bardzo jest się w co bawić.

Obróciłam moją rebeliancką czapkę na zaciśniętej pięści i nagle przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

- Będziemy bawić się we wredne siostry.

- Co takiego? - Patsy Ruth otarła smarki z górnej wargi. Mama była gotowa przysiąc, że Patsy Ruth od urodzenia ciekło z nosa. „Nawet w dniu ślubu będzie ocierać smarki i siakając, odejdzie z tego świata”. Dałam Patsy Ruth chustkę, którą zwędziłam z szuflady tatki Glena, by użyć jej jako bandany.

- Pobawimy się we wredne siostry - powtórzyłam, a oczami duszy ujrzałam wykrzywione w złośliwym grymasie oblicze Shannon Pearl. - Najpierw pobawimy się we wredne siostry Johnny'ego Yumy, potem we wredne siostry Francisa Mariona, a później w siostry Bata Mastersona. Potem coś wymyślimy.

Reese wyglądała na zakłopotaną.

- A co właściwie robią te wredne siostry?

- To samo co ich bracia. Tyle że szybciej, sprawniej i lepiej od nich, a w dodatku są bardziej wredne.

Reese wciąż miała nietęgą minę, ale Patsy Ruth zawołała przeciągle:

- Tak! Chcę być wredną siostrą Samotnego Strażnika.

Patsy Ruth pobiegła po stary, popsuty plastikowy karabin Greya. Przez całe popołudnie udawała, że to obrzynek, jak ten, którym posługiwał się główny bohater serialu Poszukiwany żywy lub martwy. Reese w końcu zrozumiała, o co chodzi, i zaczęła udawać, że została postrzelona na ganku. Wzięłam nóż rzeźnicki cioci Almy i oznajmiłam, że jestem wredną siostrą Jima Bowiego i lepiej ze mną nie zadzierać.

Zaczęłam ćwiczyć wbijanie noża w drewno ganku i przysłuchiwałam się, jak na podwórzu za domem chłopaki klną w żywy kamień. Jestem wredna, uznałam. Jestem wredna i podstępna i tak naprawdę pragnęłam jednego: zatopić ten nóż w sercu tatki Glena. Tego wieczoru Patsy Ruth zabawiała Almę i Wade'a, biegając tam i z powrotem i wywrzaskując na całe gardło wezwania policyjne, aż w końcu przewróciła szklanę z herbatą cioci Almy.

- W co ty się właściwie bawisz, maleńka?

- Jestem wredną siostrą Brodericka Crawforda - zachlipała Patsy Ruth, wycierając nos.

- Kim? - Wujek Wade, trzymając w dłoni szklanę, zaczął się śmiać. - Kim?

Zakołysał się do tyłu, na wiklinowym fotelu i zgasił papierosa na deskach ganku. Alma pokręciła głową i spojrzała na Patsy Ruth, jakby ta do reszty straciła rozum.

- Wredną siostrą Brodericka Crawforda! Boże drogi, czego te dzieciaki nie wymyślą!

Patsy Ruth czuła się wściekła i upokorzona. Wskazała na mnie. - To jej pomysł. Ona powiedziała, że tak można. Wade sięgnął ręką i klepnął mnie w pośladek.

- Dziewczyno, te twoje pomysły zaczynają mnie przerażać. - Znów dał mi klapsa, ale tym razem leciutko, i wciąż się uśmiechał. - Wredna siostra Brodericka Crawforda!

Nie dbałam o to. I podczas zabaw we wredne siostry naprawdę dawałam z siebie wszystko.

Rozdział piętnasty

Mama pozwoliła, by ciocia Raylene zabrała mnie i Reese, gdy wybrała się w odwiedziny do wujka Earle'a w zakładzie karnym. Ciocia Raylene powiedziała, że wujek spędzi tam jeszcze trzy miesiące i bardzo tęskni za swoimi siostrzenicami i siostrzeńcami.

- Czemu nie zabierzesz Greya i Garveya? - zapytała ją mama. - Pokaż, co ich czeka, jeśli nadal będą niszczyć aparaty telefoniczne.

- Do diabła z tym. - Ciocia była przewrażliwiona na punkcie chłopców, których zgarnęła drogówka za zbyt szybką jazdę pikapem wujka Beau, kiedy mieli spędzić noc w jej domu. Alma była zła na Raylene, że ich nie upilnowała, a ta niemal spoliczkowała Garveya, gdy zaczął przechwalać się, że jest najmłodszym członkiem rodziny, który kiedykolwiek został aresztowany. Ciocia Raylene złożyła kilka par czystej bielizny wujka Earle'a i upchnęła do papierowej torby, cała czerwona z wściekłości.

- Jeżeli znowu napytają sobie biedy, stróże prawa nie będą musieli nigdzie ich odsyłać. Sama wyślę ich w takie miejsce, że już nigdy nie znajdą drogi do domu.

- Akurat. - Babcia postawiła kosz z jedzeniem na kuchennym stole. - Będziesz ich odwiedzać co miesiąc i zanosić wałówkę, tak jak Earlowi.

- Przekonasz się, co zrobię.

- Ja to wiem.

Czekałam, kiedy zaczną się kłócić. Zamiast tego babcia nachyliła się i z głośnym cmoknięciem pocałowała Raylene w usta. Ciocia Raylene aż westchnęła ze zdumienia, a babcia zaczęła zaśmiewać się do łez.

- Och! Och! Spójrz tylko na siebie, Raylene. Tu cię mam. Dobry Boże! A to dopiero! To mi się podoba! - Usiadła na kuchennym krześle i otarła oczy. - No cóż, nieważne, powiedz Earlowi, że go kocham. I powiedz mu, że gdyby częściej dostawał ode mnie w skórę, gdy był jeszcze małym brzdącem, nie znajdowałby się dziś tam, gdzie jest teraz.

- Nie ma sposobu, byś zdołała powstrzymać Earle'a od udziału w bójkach. - Raylene próbowała otrząsnąć się z szoku, jakim był dla niej pocałunek babci. - Earle'a od urodzenia ciągnęło do złego.

Patrzyłam, jak ciocia Raylene upina siwe włosy spinkami. Czy mnie też ciągnęło do złego? Wydawało mi się, że tak. I to już od dawna. Może nie od urodzenia, ale swój ciągnie do swego, jak mawiała babcia. A ja właśnie odkrywałam siebie.

Earle trochę wychudł i miał wielkie sińce pod oczami. Odrosły mu włosy, wyglądały teraz jak gęsta, czarna szczotka, gdy tak sterczały pionowo. Raz po raz przesuwał dłońmi po głowie, jakby nie mógł uwierzyć, że nie ma już gęstej czupryny. Mimo to, kiedy urządziliśmy piknik na trawie, dla wszystkich miał prezenty - breloczki do kluczy i paski dla chłopców, a dla dziewcząt portmonetki i spinki do włosów, wszystkie ręcznie wykonane, misternie zdobione. Ciocia Raylene otrzymała torebkę wielkości koszyka piknikowego. Dla mamy miał skórzany portfelik z motywem winorośli.

- Daj jej to i powiedz, że stale o niej myślę. - Zaśmiał się ponuro. - Myślę o jej sucharach. Ci kucharze tutaj nie potrafią piec sucharów.

Bawiłam się portfelikiem i patrzyłam na inne rodziny siedzące na trawie. Wszystkie kobiety miały skórzane torebki z różnym motywem. Małe, misternie wykonane skórzane winoroślą oplatały rączki torebek i brzegi portfeli. Przesunęłam palcami po portfeliku mamy i zastanawiałam się, jak to zostało zrobione.

Jak oni robili te wszystkie rzeczy ze skóry?

Otworzyłam portfelik mamy i zaczęłam gładzić niewyprawioną skórę. Wokół nas kobiety karmiły dzieci i tuliły się do mężów. Spalone słońcem podwórze cuchnęło wonią zepsutego jedzenia, potu i brudnych pieluch. Spojrzałam na wujka Earle'a i zauważyłam, że on też obserwował inne kobiety i pot spływał mu do oczu.

- Jak to zrobiłeś? - zapytałam, pokazując mu portfel. - Musiałeś to wszystko wykroić ręcznie?

Wziął ode mnie portfel i powiódł palcami po skórzanych różach i winoroślach.

- Używamy sztancy. Uderza się w nie drewnianym młotkiem wybijając dany wzór całymi godzinami. To dobra robota dla osadzonych w pace. Ludzie mają zajęcie i nie szukają zwady. - Uśmiechnął się.

Spojrzałam na niego, nie mogłam zdobyć się, aby zadać pytanie. Wtedy on zrozumiał, o co mi chodziło, i wybuchnął śmiechem.

- Dokładnie je liczą. Sztance i ostrza. Jeżeli ich liczba po południu się nie zgadza, nie ma kolacji. Naturalnie czasami się mylą, no i ostrza też się łamią.

Otarł pot o dzinsy i uniósł dłoń wnętrzem do góry. W promieniach słońca zabłysło wąskie ostrze. Znów się roześmiał, cicho, gardłowo, a ja tylko patrzyłam z rozdziawionymi ustami.

- Wydaje im się, że są tacy cwani. - Splunął w stronę siatki. Wyglądał inaczej bez długich czarnych włosów, wydawał się starszy i surowszy. Tylko oczy miał takie same, ciemne i pełne bólu. Teraz patrzył ze złością na

strażników spacerujących po drugiej stronie ogrodzenia. - Wydaje im się, że są cholernie cwani.

Cieszyłam się, słysząc jego słowa. Znów otarł dłoń o dzinsy i wiedziałam, że w ten sposób ukrył ostrze. Był moim wujkiem. A ja ulubionym dzieckiem jego siostry. Wiedziałam, że należeliśmy do siebie nawzajem, i poczułam się z niego niesamowicie dumna, z siebie zresztą też.

- Kocham cię - szepnęłam.

- Jasne, słoneczko. - Zaśmiał się. - Jasne, że tak.

Wujek Earle podniósł mnie i przytulił. Spojrzałam w stronę ogrodzenia i zmrużyłam oczy. Jesteśmy sprytni, pomyślałam. Sprytniejsi, niż wam się wydaje. Poczułam, że jestem wredna, potężna i dumna z nas wszystkich, Boatwrightów, którzy jeśli trafili za kratki, walczyli, mimo iż nie mieli w tym starciu żadnych szans, i pozostawali dumni. Kiedy ciocia Raylene mnie zawołała, wróciłam do auta bardzo wolnym, leniwym krokiem.

- Dlaczego on musi być taki uparty? - Raylene wychyliła się lekko do przodu, trzymając dłonie na kierownicy pontiaca. - Czemu ten mężczyzna stale pakuje się w jakieś kłopoty?

- On nie szuka kłopotów. - Wciąż byłam pod wrażeniem tego magicznego, znikającego noża. - Po prostu umie sobie z nimi radzić, kiedy już je ma.

- Co ty powiesz. - Ciocia Raylene odwróciła się, by na mnie spojrzeć. - Skoro umie sobie z nimi radzić, to dlaczego trafił za kratki? Czemu nie potrafi o siebie zadbać, żeby trzymać się z dala od więzienia? Jak to możliwe, że nie umie nad sobą zapanować i łamie szczękę swemu najlepszemu przyjacielowi w całym hrabstwie?

Pokręciła głową i wsunęła nową torebkę pod fotel.

- Wam, dzieciakom, wydaje się, że wasi wujkowie są tacy cwani. Skoro są cwani, to dlaczego nie mają grosza przy duszy? Może mi odpowiesz?

Po powrocie z więzienia poszłam poszukać Greya i powiedziałam mu, że już czas zrobić użytek z kotwiczki. Uśmiechnął się z zadowoleniem i obiecał, że będzie na mnie czekał, gdzie tylko zechcę i kiedy tylko zechcę. Jego spojrzenie przywodziło mi na myśl to, co ujrzałam w oczach Earle'a, i to, co chyba dostrzegałam we własnych. W moim wnętrzu narastała ekscytacja, to napięcie tylko przybrało na sile, gdy zdjęłam kotwiczkę z pawlacza. Dałam ją Greyowi, kiedy przyszedł wieczorem. Muszę przyznać, że niechętnie się z nią rozstawałam. Jemu jednak łatwiej będzie donieść ją do Woolwortha, nie zwracając na siebie uwagi. Chłopak z płóciennym workiem wyglądał całkiem niewinnie, mnie natomiast na pewno ktoś by zapytał, co tam niosę. Zgrzytnęłam zębami z irytacją, ale nie traciłam nadziei, że już wkrótce ją

odzyskam. Spotkamy się przy sklepie Woolwortha w piątkowy wieczór, kiedy mama wybierze się z wizytą do cioci Ruth, a ja w jej mniemaniu będę spędzać noc u Almy.

Zdawało się, że Grey i Garvey kłócili się bez przerwy, bili się na pięści i mocowali z byle powodu, ja jednak wiedziałam, że Grey jest podniecony naszym planem, ponieważ nie włączyliśmy w to jego brata. Nie byli identycznymi bliźniakami, w całej rodzinie takich się nie uświadczyło, ale chłopcy Almy byli do siebie bardziej podobni niż córki cioci Carr. Obaj wysocy, smukli, o zbrązowiałej od słońca skórze i zrudziałych włosach. Garvey był przystojniejszy, miał krystalicznie czyste, niebieskie oczy i ostry, mały dołeczek w brodzie, który wyglądał dziwnie kusząco. Grey miał w sobie coś paskudnego. Zbyt łatwo mrużył oczy i stale marszczył czoło, nawet po tym, jak ciocia Alma kupiła mu okulary w metalowych oprawkach. Grey ich nie cierpiał i zakładał tylko wtedy, gdy w pobliżu był któryś z wujków i dostawał od niego klapsa za marnowanie pieniędzy mamy.

- Ten Grey nabiera coraz gorszych nawyków - rzekł kiedyś do mnie i Reese wujek Beau.

Nie powiedziałyśmy ani słowa, jako że z dwójki braci obie bardziej lubiłyśmy Greya. Może i wyglądał na bardziej wrednego, ale miał w sobie coś urokliwego, czego brakowało Garveyowi. Zawsze dawał nam kradzione słodycze i nigdy nami nie pomiatał jak Garvey. Jednak w przeciwieństwie do brata Grey nie miał szczęścia. Kiedy skończył trzynaście lat, zaczęły mu rosnać gęste rude włosy na ramionach i klatce piersiowej. Próbował je zgolić brzytwą taty, ale w efekcie tylko zaczęły odrastać jeszcze gęstsze. Garvey naigrawał się z niego, na co Grey uparcie twierdził, że chce wyhodować sobie „męski zarost” i „zmienić się w niedźwiedzia”. Właśnie przez to różnił się wyglądem od Garveya - i o to mu w sumie chodziło. Problem polegał na tym, że włosy nie tyle odrastały gęstsze, ile raczej tylko w niektórych miejscach, punktowo, i w dodatku skóra okropnie tam swędziała. Nie sprawiał już wrażenia zawziętego twardziela, gdyż niemal bez końca drapał się po porośniętych rudymi włosami przedramionach i wierzchach dłoni. Czasami robił to jak w transie, wpatrując się w przestrzeń, marszcząc czoło i mrużąc powieki.

W piątkową noc, tak jak się umówiliśmy, zastałam go stojącego na tyłach sklepu Woolwortha. Było już późno, dobrze po północy, wymknęłam się cichaczem z domu Almy, by nie obudzić Reese, i sama byłam nieźle podenerwowana i spięta. Grey mnie wystraszył, stojąc na parkingu w świetle płynącym z neonu stacji Texaco po drugiej stronie ulicy. Worek na ziemniaki

trzymał między nogami, w cieniu i przez chwilę myślałam, że zapomniał kotwiczki.

- Bez obawy! - zapewnił, gdy zażądałam, by oddał mi hak. - Mam go tutaj. - Przykucnął i otworzył worek, po czym wyjął czarny długi przedmiot o czterech ostrzach, zakończony łańcuchem.

- Zniszczyłeś ją! - syknęłam.

- Naprawiłem! - nieomal wrzasnął, a potem obejrzał się przez ramię i powiódł wzrokiem po parkingu. - Ta farba sprawi, że hak będzie niewidoczny, gdy zaczniemy rzucać nim w ścianę.

Skrzywiłam się i dotknęłam palcami pomalowanych na czarno szpiców. Wciąż były ostre, ale prysło gdzieś wrażenie, że pod tym względem mogły dorównać brzytwie. Przełknęłam ślinę. Uwielbiałam srebrzysty błysk metalu.

- To cholerstwo za bardzo błyszczało. - Wydawał się z siebie dumny, że o tym pomyślał. - Zwłaszcza po tym, jak trochę wyostrzyłem końce. - Nachylił się do mnie. - Pomalowałem kotwiczkę od zewnątrz, żeby nie odbijała światła. I wciąż jest ostra. Najtrudniej było pomalować łańcuch. Pociągnąłem farbą każde ogniwo z osobna, aby się nie pozlepiały. To bardzo mocny łańcuch. Chyba spawany. - Uśmiechnął się i radośnie zaczął się drapać po rękach.

Wiedziałam, że chciał wydać mi się ważniejszy, bardziej męski, ale trudno mi było przełknąć gniew i skinąć głową.

- W porządku - wykrztusiłam w końcu. Wyglądał na wkurzonego, więc przesunęłam dłonią po łańcuchu i jeszcze raz skinęłam głową. - Dobra robota!

- Jeszcze jak, kurde!

Sukinsyn, pomyślałam, ale nie powiedziałam nic więcej. To, co on robił, nie miało większego znaczenia. Liczyło się to, co ja robiłam i zrobię. To był mój plan i hak nie liczył się bardziej niż samo dostanie się do Woolwortha, a ja wiedziałam coś, o czym Grey nie miał pojęcia. Do środka można było dostać się przez dach, przez znajdujący się tam otwór tunelu wentylacyjnego. Nie było mowy, aby mój wysoki, włochaty, pełen męskiej dumy kuzyn zdołał się tamtędy precyzyjnie przecisnąć. Będzie musiał zdusić dumę i poczekać na dole, aż otworzę mu drzwi. A jeśli zbytnio mnie rozzłości, sprawię, że będzie stał pod drzwiami, drapiąc się po rękach przez całą noc.

Szczerze mówiąc, przez chwilę nie do końca wiedziałam, czy mi się uda. Grey z łatwością zarzucił kotwiczkę na tyle wysoko, by jej ostrza zahaczyły o dach Woolwortha, a ja niemal bez trudu wspięłam się po linie, zapierając się stopami o ścianę. Najgorzej było już na samej górze, gdzie krawędź dachu zabezpieczono odłamkami szkła, zapewne, by zniechęcić takie osoby jak ja do podobnych wyczynów. Jednak lina się nie przetała, a ja dość gładko

przeskoczyłam nad zdradzieckim szkłem. Na dachu było cicho, spokojnie i miło. Podo mną rozpościerała się panorama Greenville, z wysokimi budynkami od strony lotniska i autostrady. Widziałam ludzi stojących pod latarnią dwie przecznice dalej i auta mknące po wiadukcie, nad stacją Texaco i bocznicą kolejową. Splunęłam przez krawędź dachu i usłyszałam dobiegające z dołu przekleństwa Greya.

- Wszystko gra? - rzucił z przejęciem.

- Jeszcze jak. A teraz się zamknij, bo jeszcze napytasz nam biedy.

Przeszłam po miękkiej, załamującej się papie w stronę otworu wentylatora. Był przesłonięty siatką z cienkiego drutu i drewnianą kratownicą. Siatka przerdzewiała i wyrwałam ją jednym szarpnięciem. Potem kopnęłam parę razy w kratownicę, rozłupując dwie deski na pół.

Najbardziej martwił mnie sam wentylator. Mogłam prześlizgnąć się pomiędzy jego łopatami, ale sam blok silnika był wielki i lepki od smaru. To nie będzie łatwe. Usiadłam na chwilę i rozejrzałam się dokoła. Czułam się dziwnie, pełna energii, jakbym napiła się whiskey wujka Earle'a albo wypaliła zieloną fajkę wujka Beau. Dach skrzył się i błyszczał w blasku ulicznych latarni.

Pomysł wpadł mi do głowy na widok wentylatora w VFW. Nie był zabezpieczony siatką ani deskami, a sam silnik wydawał mi się dość mały. Widziałam, jak córki wujka Beau prześlizgują się obok niego w weekend, kiedy w misji baptystów urządzano festyn połączony ze smaženiem ryb. Myer Johnson przegonił stamtąd dziewczynki i poskarżył się, że stale musi naprawiać łopaty wentylatora - jedynym, z którym nie miał nigdy kłopotu, był ten na dachu Woolwortha. Wiedziałam, że Myer starał się w ten sposób zaimponować kuzynce Deedee, więc puściłam to mimo uszu. Jednak później to wspomnienie powróciło z taką siłą, że w połowie kolacji zadrzałam mimowolnie i nie uszło to uwagi mamy.

„Wszystko w porządku, kochanie?” Skinęłam głową i poszłam do łazienki. Kiedy tam stałam, zwilżając kark i wpatrując się w odbicie moich oczu w lustrze, opracowałam szczegółowy plan. Od lat nie przestąpiłam progu sklepu Woolwortha, ale pamiętałam wnętrza doskonale, długie rzędy półek, regały, leniwie obracające się wiatraki wentylatorów pod sufitem i przewody wentylacyjne ciągnące się nad ladami. Lata w Greenville były gorące i parne, dlatego też w budynku Woolwortha zaprojektowano wysokie sklepienia i liczne wentylatory. Otwór wentylacyjny był blokowany na zimę i odblokowywany w końcu kwietnia, ale ja pamiętałam, jak widziałam, gdy to raz robiono. Była to po prostu luźno włożona rama z grubą warstwą bawełnianej izolacji dookoła.

Warstwę izolacji trzeba było często wymieniać, bo przy obfitych ulewach zdarzało się, że z przewodów ciekło. Wystarczy mocniej pchnąć i pokrywa ustąpi.

Widziałam to oczyma duszy, równie wyraźnie jak twarz mężczyzny, który zarządzał sklepem, Tylera Highgardena. Znałam z podstawówki jego nerwowe dzieciaki o wychudzonych twarzach. Gdyby nie to, że były takie żalosne i zabiedzone, namówiłabym kuzynów, aby dali im popalić za grzechy ich ojca, ale gra nie była warta świeczki. Mimo to Tyler Highgarden i upokorzenie, jakiego doznałam u Woolwortha, nie dawali mi spokoju od lat. Na samą myśl, że mogę się za to w jakiś sposób zemścić, ogarniało mnie tak silne podniecenie, że nie mogłam sobie tego odpuścić.

Łopaty wentylatora nie były ostre, tylko tłuste i zakurzone. Sięgnęłam ponad nimi i wymierzyłam starannie, po czym wróciłam i uwolniłam kotwiczkę. Zwinęłam linę i obwiązałam nią haki. Zamierzałam torować sobie nimi drogę w ciemnościach. Nie spodziewałam się, że kotwiczka może gdzieś utknąć, podobnie zresztą jak ja. Nawet nie myślałam, że mogłaby posłużyć jako broń. Wiedziałam tylko, że podczas gramolenia się przez ten tłusty, zakurzony wentylator muszę mieć ze sobą kotwiczkę. Byłam trochę wystraszona i po części przygotowana na to, że zostanę złapana, ale szpice haków były ostre i z pewnością niebezpieczne, teoretycznie tak jak ja. Nie mogłam jej zostawić. Przewód wentylacyjny po drugiej stronie ściany mocno się rozszerzał. Był tam filtr z szorstkiego tworzywa, które pokaleczyło mi palce. Zdjęłam filtr z jednej strony, prześlizgnęłam się przez otwór i zamocowałam z powrotem, po czym zaczęłam się czołgać, trzymając kotwiczkę przed sobą. W pewnej chwili haki uderzyły o ostry zakręt przewodu i wyślizgnęły mi się z ręki. Rzuciłam się w ślad za nimi, uderzając ramieniem o gęstą warstwę bawełnianej izolacji i krawędź pokrywy zamykającej otwór wentylatora. Pokrywa odchyliła się z trzaskiem w bok i otwarła szeroko. Kotwiczka z brzękiem spadła w ciemność. Schwyciłam za krawędź pokrywy otworu wentylacyjnego, wzięłam głęboki oddech i zeskoczyłam. Spadając, przygryzłam sobie język, to cud, że nie krzyknęłam. Uderzyłam w jedną ze ścian regału z książkami i zahaczyłam o szklaną ladę, która trzasnęła pod moim ciężarem. Westchnęłam z przejęciem i jak przez mgłę zauważyłam, że ostre haki kotwiczki wystają z innej gabloty, o parę cali od mojego tyłka.

- O Boże - szepnęłam. - Jezu święty.

Biodro, w które się uderzyłam, bolało jak cholera, ale chyba nic sobie nie złamałam. Byłam przemoczona i rozdygotana. Sturlałam się z lady, moje trampki porozbijały resztę szklanej tafli, gdy próbowałam się podnieść. Kiedy

w końcu stanęłam w przejściu, zauważyłam, że moje dłonie są pokryte kurzem, który w padającym świetle lśnił niczym diamentowe okruchy. Wzięłam powoli głęboki oddech i rozejrzałam się wokoło. Nade mną w górze zwieszała się pod kątem pokrywa otworu wentylacyjnego, z postrzępioną, bawełnianą izolacją. W oddali, na wprost mnie, poruszył się jakiś cień. To zapewne Grey, czekający na zewnątrz, abym go wpuściła, ale we wnętrzu sklepu panowała kompletna cisza, powietrze przesycone było wonią wilgoci i piżma, słodkim zapachem wody toaletowej i tanich, wykrochmalonych ubrań.

Wyrwałam kotwiczkę z gabloty i ruszyłam w stronę drzwi frontowych. Pod moimi stopami skrzypiało szkło z potłuczonych gablot. Przystanęłam i spuściłam wzrok. Na podłodze walały się plastikowe spinki do włosów, napastrki i grzebyki. Obok leżało pół tuzina małych lusterek. Odbite od nich światło uraziło mnie w oczy. Uśmiechnęłam się i ruszyłam naprzód. Przedemną pojawiło się stoisko ze słodyczami. Obok maszyny do popcornu zobaczyłam pojemnik z ułożonymi w dwie warstwy orzechami. Zamachnęłam się kotwiczką w tył i w przód, podchodząc bliżej, uśmiechnęłam się szerzej, a sztywność w karku nagle ustąpiła. De czasu już tu przebywałam? Jak długo stałam przed stoiskiem ze słodyczami, czując typową dla Woolwortha osobliwą woń kurzu i tanich towarów? Machałam kotwiczką w przód i w tył, w przód i w tył, popuszczając coraz więcej liny między palcami, aż w końcu cisnęłam hakiem prosto w pojemnik z orzechami. Szkło pękło i orzechy się wysypały. Poczułam, jakby całą moją rękę od dłoni aż do karku przeszył prąd, z pojemnika wylewała się rzeka orzechów, gęsta struga orzechów, istna lawina. Zaczęłam chichotać; to był wysoki, gardłowy chichot. Kiedy zamilkłam, okazało się, że to wszystko był pic na wodę. W pojemnikach było orzeszków na dwa cale; aby obie warstwy wydawały się wyższe, do pojemnika od tyłu wsunięto kawałek tektury.

- Tanie skurwiele - rzekłam na głos. Z pojemnika wciąż jeszcze sypały się orzeszki. - Pieprzeni oszuści.

Usłyszałam, jak Grey dobija się do drzwi frontowych, i podbiegłam, by go wpuścić. Tak się spieszył, by dostać się do środka, że bałam się, iż może stłuc szybę.

- Przestań! - krzyknęłam i poszłam po leżący przy oknie wystawowym lewarek. Mimo to Grey wciąż tłukł pięściami w szybę. - Głupi kretyń - syknęłam do niego, ale on tylko się uśmiechnął. Ustawiłam lewarek, zapierając go o jedno skrzydło drzwi, a dzwignienkę wsuwając w szczelinę między nimi.

Dwa obroty korbą i drzwi otwarły się z głuchym trzaskiem.

Grey przemknął obok mnie, jakby gonił go sam diabeł, a ja powoli usunęłam lewarek spomiędzy drzwi. Chciałam wspiąć się na górę i umieścić pokrywę otworu wentylacyjnego na właściwym miejscu, ale po namyśle doszłam do wniosku, że nie dam rady tego zrobić. Nie udałooby mi się jej dosięgnąć. Wyobraziłam sobie, jak Tyler Highgarden kręci głową i zastanawia się, jak ktoś tego dokonał. Jednak wobec otwartej pokrywy i zwieszającej się z niej izolacji wszyscy będą wiedzieć, w jaki sposób dostaliśmy się do sklepu.

- Niech to szlag! - zaklął Grey i znów usłyszałam brzęk szkła. Rozbił gablotę z nożami i zaczął napychać kieszenie różnego rodzaju

i wielkości scyzorykami. Objęłam się rękami i zadygotałam. Przez otwarte drzwi do środka wdarły się podmuchy wiatru, wzbijając kurz zalegający podłogę. Spojrzałam ponad Greyem na rozmaite rzeczy w gablotach. Same śmieci, buty, które rozklejały się po pierwszym deszczu, ubrania, które rozłaziły się w szwach, stare pozbawione smaku słodycze, tusze do rzęs i kredki do oczu wywołujące podrażnienie skóry. Co mogło mi się stąd przydać? Przypomniałam sobie rzędy weków z owocami i warzywami w domu cioci Raylene, słoje pełne pomidorów, okry, brzoskwiń, fasoli, jagód i śliwek, od których uginały się półki w jej piwnicy. To było coś warte. Te rzeczy tutaj wydawały się tandetne i do niczego nieprzydatne. Przygryzłam wargę i podeszłam, by zabrać moją kotwiczkę. Grey biegał tam i z powrotem wzdłuż regałów, to coś z nich ściągając, to upuszczając na ziemię.

- Ja cię kręcę, ale z nas zgrany zespół - wyszeptał do mnie, potrząsnął głową i zaśmiał się.

Wyciągnął z opakowania poszewkę na poduszkę i przeszedł do innej części sklepu, by napełnić ją papierosami.

- Taa - wyszeptałam.

Kopnęłam stojącą przede mną gablotę. Były w niej ramki do zdjęć - drewniane, plastikowe i złoczone, z metalu. Dwie były identyczne z tymi, które mieli James i Madeline. Przez chwilę chciałam je połamać, ale przecież nawet jeśli były identyczne z tamtymi, żadne z nich nie przyznałoby się do tego, że właśnie tu je kupili. Zakołysałam hakiem w przód i w tył, zastanawiając się, czego właściwie chciałam, kogo tak naprawdę pragnęłam skrzywdzić. Bolały mnie oczy i piekły wnętrza dłoni. Miałam wrażenie, że zaraz się rozpłaczę.

- Niech to szlag! - znów zawołał Grey, a ja poczułam w moim gardle coś twardego i nieustępliwego.

Przycisnęłam mocno kotwiczkę do splotu słonecznego i podbiegłam do drzwi, nawołując Greya po imieniu. On wciąż wywalał rzeczy z regałów i gablot, poszewkę miał przywieszoną do paska. Dwadzieścia minut trwało,

zanim w końcu zdecydował się do mnie dołączyć. Cały dygotał, jego śniada twarz była spocona i przyprószona kurzem. Otwierał i zamykał usta, ale nie dobywał się z nich żaden dźwięk. Zawiązał mocno w pasie poły koszuli, aby pomieścić rzeczy, których inaczej by nie uniósł.

Położyłam mu dłoń na ramieniu.

- Chodź. Wiesz, że nie damy rady zamknąć głównych drzwi. - Zacisnęłam mocniej palce i poczułam pod skórą naprężone, twarde mięśnie. - A ty i tak więcej już nie uniesiesz.

Zamrugął i nachylił się do mnie.

- Nigdy tego nie zapomnę, Kostko - powiedział. - Przenigdy. Pokiwałam głową, a on uśmiechnął się pod nosem.

- Niech to szlag - zaklął raz jeszcze, jak zadowolone dziecko, gdy wychodził na ulicę.

Pociągnęłam skrzydła drzwi do siebie, aby wyglądały na zamknięte, pobiegłam w stronę, gdzie zniknął cień Greya. Pobiegliśmy wzdłuż State Street, mijając małą grupkę mężczyzn o szarych twarzach, którzy szli drogą od strony Texaco. Wszyscy tak bardzo przypominali moich wujków, że na ich widok poczułam pod sercem ukłucie.

- Frontowe drzwi do cholernego Woolwortha są otwarte - zawołałam do nich. - Naprawdę. Ten zafajdany sklep jest otwarty. Przekonajcie się.

Spojrzeni na nas, na mnie, tulącą do piersi kotwiczkę, i na Greya, uginającego się pod ciężarem rzeczy wysypujących mu się zza pazuchy. Zauważyłam, że jeden z nich odwrócił się i spojrzał w stronę sklepu Woolwortha, przy drugim końcu State Street. Drugi cisnął papierosa na asfalt i zaczął biec ile sił. Wiedziałam, że do rana w sklepie nie będzie ani jednej nietkniętej gabloty czy regału, który nie zostałby opróżniony. To mnie ucieszyło, tupot stóp biegnących mężczyzn i uporczywa myśl o rzeczach, które ci ludzie przyniosą tej nocy do domu. W porównaniu z tym mój dawny zatarg z Tylerem Highgardenem wydawał się błahostką.

Poczułam, że czarna farba na końcu jednego z haków kotwiczki zaczyna powoli schodzić. Zdrapię ją do końca. Miałam spocone dłonie. Płonął we mnie gniew. Może kiedy kotwiczka znów będzie czysta i lśniąca, którejs nocy wyruszę na wędrowkę. Może wybiorę się hen, aż do domu wujka Jamesa i wykopię dla mamy różany krzew. Albo nawet dwa.

Rozdział szesnasty

Następnego dnia byłam śpiąca i zdenerwowana. Cała radość gdzieś przysła. Spodziewałam się, że coś się wydarzy że będzie głośno o tym, co zrobiłam do spółki z Greyem. Tak łatwo było wrócić do cioci Almy i położyć się obok Reese, aby nikt niczego nie zauważył - zbyt łatwo. Budziłam się raz po raz, przez całą noc, aż w końcu, gdy znów otworzyłam oczy, usłyszałam dochodzący z sąsiedniego pokoju głos Tempie. Wstałam, ubrałam się, udając, że się już wyspałam.

Ciocia Alma została z mamą u Ruth. Patsy Ruth skarżyła się, że jest sama i nikt nawet o tym nie wie. Garvey i mały Earle mieli wszystko w nosie. Byli zbyt zajęci kłóceniem się o to, czy mały Earle napluł do nowej harmonijki ustnej Garveya. Patrzyłam na rozpromienionego Greya, zastanawiając się, czemu nikt nie zwrócił uwagi na jego podejrzanym uśmiech, ale w domu panował zbyt duży chaos. Nikt nawet na niego nie patrzył. Tempie przyszła, by dopilnować, że wszyscy zjemy jako takie śniadanie, jej pulchny brzusek świadczył, że lada dzień pierwsze dziecko przyjdzie na świat. Trzymała się prosto, ale sprawiała wrażenie, jakby bardzo bolały ją plecy. Zrobiła nam na śniadanie kaszę z serem, a na środku stołu postawiła michę smażonej słoniny.

- Patsy Ruth i mały Earle. - Wymówiła te imiona, jakby należały do psotnych szczeniąt. - Obiecałam mamie, że dopilnuję, by poszli do szkoły, więc ruszajcie się. - Wytarła tłuszcz z brzegu talerza i postawiła obok miseczkę z masłem. - Kostko, twoja mama mówi, że masz tu zostać, dopóki po ciebie nie przyjdzie. Ale może się zjawić dopiero po południu, więc pozwól Reese, aby pospała tak długo, jak zechce.

- Czemu musimy iść do szkoły, skoro Kostka i Reese nie idą? - Mały Earle wydawał się oburzony.

- Nie wiem, nie obchodzi mnie to. - Tempie sprawiała wrażenie, jakby była zameżna od dwudziestu lat. - Wem tylko, że wy idziecie do szkoły. Jeżeli chcecie zapytać mamę, czemu tak zdecydowała, możecie to zrobić, kiedy zjawi się tu wieczorem. Na razie muszę przygotować Kijankę, bo wraca ze mną do domu.

Zaczęłam żuć kawałek słoniny, po czym weszłam do pokoju z książką, którą dostałam od cioci Raylene - Lew, czarownica i stara szafa CS. Lewisa. Uwielbiałam tę historię, ale byłam tak zmęczona, że usnęłam i obudziłam się dopiero, kiedy mama położyła mi rękę na ramieniu.

- Kostko, gdzie jest Reese? - Miała dziwny głos.

- Chyba jeszcze śpi, mammo.

Zwlokłam się z kanapy i wyszłam za mamą do kuchni. Położyła torebkę na kuchennym stole i ciężko osunęła się na jedno z metalowych krzeseł. Miała przekrwione oczy i rozmazany makijaż. Siedziała w milczeniu, nie patrząc na mnie. Nie potrafiłam odgadnąć wyrazu jej twarzy.

- Mamo, czy zrobiłam coś złego?

- Nie, nie dziecino. - Pokręciła głową, przez chwilę patrzyła mi w oczy, a następnie utkwiała wzrok w przestrzeń. - Nie chodzi o ciebie.

Otworzyła torebkę, wyjęła paczkę pall maili, wyłuskała jednego, zapaliła i drugą ręką przeczesła nerwowo włosy. Przyniosłam jej popielniczkę.

- Zrobić ci kawy, mamo?

- Nie, dziecinko. Usiadłam przy stole.

- Czy Alma wciąż jest u Ruth?

Pokiwała głową, znieruchomiała i spojrzała na mnie.

- Kostko, ciocia Ruth zmarła dziś wczesnym rankiem.

Jej oczy błyszczały. Czekałam, kiedy zacznie płakać, ale tak się nie stało. Po prostu siedziała przy stole i paliła. Spojrzałam na swoje dłonie. Nie mogłam uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszałam. Ciocia Ruth nie żyje? Nie. To niemożliwe. Mama odchrząknęła.

- Alma jest wciąż z Travisem i Raylene. Ja przyjechałam po ciebie i Reese. Jest sporo do zrobienia. Nawet nie chcę teraz o tym myśleć.

- Przykro mi, mamo. - Głos zaczął mi się łamać.

Przełknęłam ślinę, chciałam się rozplakać, ale łzy nie napływały. Nawet po tym wszystkim nie spodziewałam się, że Ruth może umrzeć. Wszyscy zgodnie twierdzili, że się wyliże, tak jak to było do tej pory. Mama zachowywała się, jakby choroba zaczęła ustępować. Ruth potrzebowała czasu, by wydobrzeć. Wszyscy na to liczyli. I wtedy przypomniałam sobie, jaka była chuda, kiedy u niej mieszkałam, jaka słaba i wiotka, jak całe jej ciało drżało, kiedy się śmiała, i jak na mnie patrzyła, kiedy zapytała, czy sędzę, że umiera. Wiedziałam, oczywiście, że wiedziałam. Ciocia Ruth przez cały czas myślała o śmierci. To właśnie dlatego tyle mówiła i z takim przejęciem, śmierć była jak ogień, który ją spalał. Z każdym oddechem, śmiechem i uronioną łezką coraz bardziej zbliżała się do śmierci. Wiedziałam o tym, ale wciąż liczyłam, że ciocia Ruth z tego wyjdzie i że jej śmierć to kwestia bliżej nieokreślonej przyszłości. Ta fantazja była podsycana faktem, że nie widywałam jej codziennie, tak jak latem. Przez te wszystkie miesiące dobrze wiedziałam, co działo się w tym domu, wiedziałam, lecz nie przyjmowałam do wiadomości, bo nie mogłam uczynić nic innego.

- Wiesz, Ruth nigdy nie była piękna. - Głos mamy zaskoczył mnie. Uniosłam wzrok i spojrzałam na zegar, ale światło nad kuchnią było zgaszone. W popielniczce leżało pół tuzina niedopałków, a makijaż mamy jeszcze bardziej się rozmazał. Oblizyłam wargi.

- Ciocia Alma mówiła, że była olśniewająca.

- Och. - Mama wzruszyła ramionami. - Tak się mówi, kiedy dziewczyna ma silne oblicze i nie jest naprawdę szpetna, ale i nie grzeszy urodą. Kiedy byłyśmy małe, Ruth gotowa była za urodę oddać dosłownie wszystko. Stawała przed babcinym lustrem i wpatrywała się w swoje odbicie, gdy sądziła, że nikt jej nie widzi, ale ja nigdy z niej nie drwiłam. Wystarczy, że chłopcy stale się z niej nabijali. - Mama zgaszyła kolejnego papierosa. - Prawdę mówiąc, to ona mnie wychowywała. Taty już nie było, a babcia stale uganiała się za chłopakami albo za ciocią Almą, która wciąż pakowała się w coraz to nowe tarapaty. To Ruth zawsze miała dla mnie czas, gdy chciałam z kimś porozmawiać. Kiedyś powiedziała mi, że lubi wyobrażać sobie, że jestem jej dzieckiem. Byłam dzieckiem, dopiero zaczynałam chodzić do szkoły, kiedy wyszła za Trávisa i przeprowadziła się niedaleko nas. Spędzała w naszym domu niemal tyle samo czasu co w swoim, pichcąc dla babci i opiekując się nami. Travis wściekał się i przychodził, dukt pięściami w drzwi i nawoływał, aby zbierała się i wracała z nim do domu.

Mama lekko przygryzła dolną wargę. Ciocia Ruth często tak robiła. Ja też, zwłaszcza gdy się denerwowałam. Teraz na ten widok łzy napłynęły mi do oczu. Otarłam je energicznie, a po chwili mama zrobiła to samo.

- Z jakiegoś powodu Ruth sądziła, że nie może mieć dzieci, dlatego kiedy zaszła w ciążę, była taka szczęśliwa. Zawsze się zastanawiałam, czemu tak bardzo chciała mieć dzieci. Inne kobiety zwykle sarkaly, skarżyły się, gdy znalazły się w odmiennym stanie, a ona przyjęła to z uśmiechem, niemal śpiewająco i zaczęła nawet szyć ubranka dla dziecka. Wreszcie, któregoś razu zapytałam ją, czemu tak się cieszy, a ona spojrzała na mnie, jakbym postradała resztki rozumu. Odparła, że to dowód. Odmienny stan był dla niej dowodem, iż jakiś mężczyzna uznał ją kiedyś za atrakcyjną i im więcej urodzi dzieci, tym większą będzie miała wartość we własnym mniemaniu. Prawie się rozplakałam, a równocześnie miałam ochotę przyłożyć jej za te słowa; sugerowała przecież, że bez dzieci nie była nic warta! I że nic niewarta była moja miłość do niej!

Pamiętałam, jak sama nieraz stawałam przed lustrem w łazience, uważając się za nieatrakcyjną, i nienawidziłam samej siebie. Zimny dreszcz przebiegł mi po plecach, jakby ciocia Ruth dotknęła mego kręgosłupa. Mama pokręciła

głową, otworzyła torebkę, pogrzebała w niej przez chwilę i wyjęła chusteczkę higieniczną. Ostrożnie zaczęła wycierać skórę pod oczami.

- Przynieś mi cold-cream, Kostko. Muszę zmyć makijaż. Wbiegłam do łazienki i sięgnęłam po słoiczek noxzemy. Reese stała tam zaspana z rozwichrzonymi włosami.

- Czemu mnie nie obudziłaś? - poskarżyła się. - Gdzie są wszyscy?

- Poszli sobie, ale mama już tu jest. Umyj się i przyjdź do kuchni.

Wyszłam bez słowa. Niech mama jej to powie. Ja nie umiałam.

Kiedy wróciłam, mama wciąż siedziała przy stole, z chusteczką przyłożoną pod oczami, ale teraz naprawdę płakała. Po jej policzkach spływały strużki łez. Podbiegłam do niej i objęłam ramionami. Przez chwilę tuliłyśmy się do siebie, aż w końcu niezdarnie uwolniła się z mego uścisku i odsunęła od siebie.

- Ty też ją kochałaś, prawda, Kostko? - Spojrzała na mnie tak, jakby mogła prześwidrować mnie wzrokiem. - Wiesz, jak bardzo ona kochała ciebie?

Pokiwałam głową. Nie byłam w stanie odpowiedzieć. Mama przytuliła mnie i zaczęła delikatnie kołysać. Jej dłonie wpijały się w moje ramiona. Potrząsnęła mną leciutko.

- Moja maleńka - szepnęła mama. - Tak bardzo chciałabym, aby Ruth wiedziała, jaka była piękna.

Rozdział siedemnasty

Reese nigdy dotąd nie była na pogrzebie, a ja nie miałam pewności, jak powinnyśmy się zachować. Reese martwiła się, co na siebie włożymy.

- Czy nie powinnyśmy kupić czarnych sukienek? - pytała bez przerwy. - Mamo, kiedy pójdziemy kupić czarne sukienki?

Sprawiała wrażenie, jakby nie mogła się doczekać, kiedy dzień po pogrzebie pójdzie do szkoły w nowej czarnej sukience. Jeszcze niedawno myślałabym podobnie. Teraz mogłam myśleć tylko o cioci Ruth i o tym, jak z nią rozmawiałam przez całe lato. Kiedy mama uciszyła Reese i powiedziała jej, że może włożyć granatową spódniczkę i białą bluzkę, wyszłam na ganek, by usiąść na schodach.

W moim wnętrzu było ciasne, bolące miejsce, nie w samym sercu, lecz nad nim. Przypomniałam sobie, jak wyglądała ciocia Ruth, kiedy się do mnie uśmiechała, jaka była chuda, jak nerwowo drżały jej ręce i jakie miała rozgorączkowane oczy. Ale przede wszystkim pamiętałam, jak śmiała się z Earle'em, a potem całymi godzinami w upalne popołudnia gapiała się w przestrzeń.

„Porozmawiamy czy nie?” - zwróciła się do mnie. Próbowałam, ale w końcu skłamałam. Nie powiedziałam jej, że umiera, ani nie zdradziłam, jak bardzo boję się tatki Glena. Nie powiedziałam jej, że wiedziałam, o czym myślał, gdy na mnie patrzył, i że w jego oczach dostrzegałam nie tylko zakłopotanie i gniew, lecz również coś o wiele bardziej plugawego i złowrogiego. Nie powiedziałam jej, jak mnie dotykał. Za bardzo się wstydziłam. Mama sądziła, że wyjściem jest dla mnie przebywanie poza domem, z dala od tatki Glena i że dzięki cierpliwości, miłości, wzmocnieniu jego poczucia własnej wartości z czasem wszystko się ułoży. Ale nic się nie zmieniło, wszystko zostało jedynie przesunięte w czasie. Za każdym razem, gdy dostawał od ojca reprimendę, gdy nie mógł na czas spłacić rachunków, gdy mama była zbyt zmęczona, by mu się przypochlebić albo na swój sposób wyrwać go z tego marazmu, tatko Glen kierował wzrok w moją stronę, co mroziło mi krew w żyłach.

Nigdy nie powiedziałam tego cioci Ruth ani nikomu. Nie wiedziałam, jak to zrobić.

Głowa bolała mnie tak bardzo, że nie usłyszałam wołania tatki Glena. Wciąż siedziałam na ganku, kiedy tatko wyszedł drzwiami frontowymi.

- Wołałem cię, dziewczyno.

Schwycił mnie za ramię. Nie zdążył wziąć prysznicza i twarz miał wciąż spoconą, a jego uniform cuchnął rozlanym mlekiem. Spojrzałam na niego z nienawiścią i zauważyłam, że ma zwężone źrenice.

- Nie słyszałam cię - odparłam chłodno.

- Akurat. - Szarpnął mnie, zmuszając, abym wstała.

- Naprawdę! - krzyknęłam. Krew dudniła mi w skroniach; — Nie słyszałam cię. Nie masz prawa zarzucać mi kłamstwa.

Przez otwarte drzwi dostrzegłam, jak mama wychodzi z kuchni, wycierając dłonie w ręcznik.

- Glen! - zawołała. - Glen!

- Sądziysz, że jak zmarła twoja ciotka, możesz mi pyskować? - Tatko Glen aż się zaplawał z wściekłości. - Wydaje ci się, że możesz tak bezczelnie się do mnie odzywać? No to lepiej się dobrze zastanów, bo kara cię nie ominie!

Wciągnął mnie do domu. Reese zeskoczyła z kanapy i pobiegła do sypialni.

- Glen! - zawołała raz jeszcze mama, idąc za nami, ale on się nie zatrzymał. Uderzyłam ramieniem o framugę, gdy wepchnął mnie przed sobą do łazienki. Zachwiałam się i pewnie bym upadła, ale on wciąż trzymał mnie za rękę. Drzwi z trzaskiem zamknęły się za nami.

- Glen! Nie rób tego! Glen! - Mama zaczęła dobijać się do drzwi łazienki.

Stałam sztywno wyprostowana, patrząc na tatkę Glena, dłonie zacisnęłam w pięści. Na jego twarzy malowało się napięcie, szyja nabiegła czerwienią. Przytrzymał mnie jedną ręką, a drugą wyciągnął pasek ze szlufek u spodni.

- Tylko ani słowa - zasyczał. - Ani mi się waż.

Nawet nie pisnę, pomyślałam. Nie powiem ani słowa, nie krzyknę, nie tym razem.

Przyspilił mnie do umywalki, lekko uniósł i pochylił. Sięgnęłam ręką i schwyciłam się umywalki, nie chciałam go dotykać choćby nawet przez chwilę. Nie. Nie. Nie. On szalał z wściekłości, pluł, bił mnie, ale trafiał także w ściany. Za drzwiami mama zaczęła krzyczeć. Tatko Glen stękał. Nienawidziłam go. Nienawidziłam. Pasek unosił się i opadał. Moje uda płonęły żywym ogniem. Ból. Czy ciocia Ruth też czuła taki ból? Czy krzyczała? Ja nie krzyknę. Nie wydam z siebie żadnego dźwięku. Nawet nie pisnę.

Później było tak cicho, że słyszałam bicie własnego serca. Dźwięki wracały powoli. Na ręczniku były plamy krwi, kiedy mama go płukała. Patrzyłam na to odrętwiała. Opierałam się o jej biodro, leżąc na ich łóżku. W domu było zimno. Z radia płynął głos Conway Twitty śpiewającej To wszy-y-ystko jest na ni-i-iby.

- Czemu, kochanie? Dlaczego musiałaś tak się zachować? Jutro pogrzeb. Raylene spodziewa się, że pomożemy jej posprzątać u Ruth, zanim wszyscy tam pójda, dziecko Almy jest chore, a teraz... - Położyła mi na karku mokry ręcznik. - Kostko, czy to z powodu Ruth? Czy dlatego zaczęłaś krzyczeć na Glana? Wiesz przecież, kochanie, że nie wolno tego robić.

Skórę miała tak bladą i tak wielkie sińce pod oczami. Starła szminkę z ust, ale na podbródku wciąż jeszcze został mały, rozmazany ślad. Jej usta zadrżały. Drżącymi palcami zapaliła papierosa, trzymając dłoń na moim ramieniu. Czułam jej kościstą rękę. Usłyszałam jej szept, jakby mówiła do siebie:

- Po prostu nie wiem, co robić.

Zamknęłam oczy. Liczyło się tylko jedno. To, że nie krzyknęłam.

Noc przed pogrzebem spędziłam z ciocią Raylene u Ruth, pomagając jej sprzątać i smażyć szynkę oraz robić dwie potrawy, jedną z kluskami i z serem, drugą warzywną z dodatkiem mąki kukurydzianej. Deedee cały wieczór słuchała radia zamknięta w swojej sypialni, a Travis wciąż był jeszcze w domu pogrzebowym, kiedy ciocia Raylene zapędziła mnie do łóżka. Obudziłam się późno i musiałam szybko wziąć kąpiel, podczas gdy ciocia Raylene usmażyła biszkopty i bekon. Poprzedniego wieczora zachowywałam się ostrożnie, żeby Raylene nie zobaczyła sińców na moich nogach, gdy kładła mnie do łóżka w pokoju Butcha. Była tak zaaferowana, że niczego nie zauważyła. Tego ranka nie miałam apetytu, ale i tak posłusznie zjadłam biszkopta z bekonem i wypłam resztę kawy cioci Raylene, gdy ona się ubierała. Następnie wyszłam na ganek, by na nią zaczekać.

W radiu puszczała Get a Job The Silhouettes, staccato chóru i gitarowe riffy odbijały się głośnym echem w ciszy poranka. Deedee siedziała na ganku na bujanym fotelu ubrana w koszulę nocną i z wałkami we włosach.

- Nie cierpię tego hillbilly nigdy nie znosiłam tej muzyki - rzekła, próbując zagaic rozmowę, a ja tylko na nią patrzyłam. - Lepiej się ubierz. Ciocia Raylene jest już przygotowana.

Rozejrzałam się wokoło, poszukując innych, ale furgonetki wujka Trávisa wciąż nie było widać, nie dostrzegłam też nikogo innego. Deedee sprawiała wrażenie, jakby nie zmrużyła oka. Paliła chesterfielda bez filtra, jej dłoń lekko drżała, oczy miała przekrwione, powieki półprzymknięte, bo raziło ją słońce.

- Ale mama zawsze puszczała tylko taką muzykę - ciągnęła, jakbym w ogóle się nie odezwała. - Samo wycie, jodłowanie, zawodzenie, jękliwa, śmieciowa muzyka. Wściekała się za każdym razem, gdy przełączałam radio na moje ulubione stacje, nazywała to muzyką czarnuchów. Twierdziła, że to mnie zepsuje. Jakby ciągle nie powtarzała mi, że i tak jestem już do niczego. -

Deedee zgięła jedną nogę i oparła łokieć o kolano, papierosa trzymała tuż przy ustach. W drugim ręku ścisnęła prawie pustą paczkę, a na podłodze, obok spodeczka z popiołem, leżało pudełko zapalek.

W radiu zapanowała cisza, a potem zaczęła się kolejna piosenka.

- Elvis Presley i Jordanaires - oznajmił prezenter - wystąpi w to cudowne popołudnie w parku rozrywki w Spartansburgu. Możecie się założyć, że tam będę. A teraz już sam król - muzyka rozlegająca się w tle przybrała na sile... - Mam kobietę, co jest wredna tak jak mało kto...

- Wdziałam Elvisa trzykrotnie. Co o nim myślisz, kościana głowo? Lubisz Elvisa? - Deedee spojrzała na mnie niemal z nienawiścią.

Wzruszyłam ramionami.

- Może być. Nigdy go nie widziałam.

- Ty w ogóle niczego nie widziałas.

- Fakt.

Deedee cisnęła niedopalek za poręcz ganku i łypnęła na mnie gniewnie.

- Wiesz, ona cię kochała, znacznie bardziej niż mnie.

Nic nie powiedziałam. Ciocia Raylene wyszła na ganek i włożyła rękawiczki.

- Deedee, lepiej zrób porządek z włosami i ubierz się. Powinnaś być gotowa pół godziny temu. Travis już czeka w domu pogrzebowym.

- Siedzi tam całą noc. - Deedee podkuliła stopy i zakryła dłonią oczy. - Wysłałam do niego Greya z odświętnym garniturem, kiedy zorientowałam się, że nie wróci do domu.

- Cóż, wcale mnie to nie dziwi. - Ciocia Raylene lekko dotknęła policzka Deedee i po raz pierwszy dostrzegłam rozmazane ślady łez. - Dobrze, że dopilnowałaś, by porządnie wyglądał. A teraz chodź już, dziewczyno. Wstawaj i ubierz się. Nie mamy czasu, koniec z wylegiwaniem się na ganku.

Deedee opuściła dłoń na uda i energicznie pokręciła głową.

- Ja nie jadę. - Oblizła usta i odchrząknęła. - Zrozum, Raylene, nie mogę pojechać z wami. Zresztą po co? Żeby wszyscy się na mnie gapili? Mamie byłoby to obojętne, a ja równie dobrze mogę wypłakać się tutaj.

- Wstań, Deedee. - Ciocia Raylene popchnęła bujany fotel tak, że Deedee straciła równowagę i aby nie wylądować na podłodze, musiała podeprzeć się stopą. - Nie zamierzam dłużej się z tobą patyczkować. Masz pięć minut, żeby włożyć sukienkę i buty. Wałki możesz zdjąć w samochodzie.

- Już mówiłam, że nie jadę. I nie pojedę!

Trzask siarczystego policzka zdumiał mnie tak samo jak Deedee. Uniosła dłoń do twarzy, podczas gdy Raylene znowu się zamachnęła.

- Powiedziałam, wstawaj. - Głos cioci Raylene był cichy, lecz stanowczy. - Dość tego. Dziś wieczorem albo może jutro porozmawiamy o twojej mamie. Potem będziesz mogła uzalać się i sarkać do woli, a także kłać w żywy kamień i narzekać, jeśli będziesz miała ochotę. Ale teraz pojedziesz na pogrzeb, tak jak ona by sobie tego życzyła. Jeżeli tego nie zrobisz, za dziesięć lat od dziś pożałujesz, że cię tam wtedy nie było i znieńawidzisz samą siebie. Mnie z pewnością nie może na tej uroczystości zabraknąć. Więc podnieś wreszcie tyłek z fotela i obmyj twarz, zanim znów ci przyłożę.

Deedee zawahała się, rozdziawiła usta, a Raylene uniosła dłoń do ciosu. Deedee natychmiast poderwała się z miejsca i wbiegła do domu. Usłyszałyśmy szum puszczanej wody, a potem tupot stóp na schodach. Ciocia Raylene westchnęła i zgarnęła za uszy kilka kosmyków. Popatrzyła na mnie z uwagą.

- Wsiadaj do samochodu - powiedziała. - Nie mamy czasu na dalsze ceregiele.

Earle'a zwolnili z więzienia przedterminowo, aby mógł wziąć udział w pogrzebie cioci Ruth. Zjawił się w domu pogrzebowym pijany, w nowiutkim czarnym garniturze i starych butach roboczych, obejmując ramieniem irytująco młodą i przeraźliwie chudą dziewczynę, której nikt wcześniej nie widział. Stałam z przodu przy Almie i Raylene, gdy zobaczyłyśmy, jak wchodzi po schodach. Skinął do mnie głową, lekko, prawie niedostrzegalnie, ale przez cały czas patrzył na swoje siostry. Kiedy Raylene parsknęła, kazał dziewczynie zaczekać w pikapie.

- Nie bądź upierdliwa, Raylene - rzekł, gdy dziewczyna się oddaliła. - Tylko ta mała utrzymuje mnie przy życiu.

- A co ty robisz dla niej?

- Wszystko, co mogę, siostró, wszystko, co tylko zechcesz.

- I poślubisz ją? - Ciocia Alma sprawiała wrażenie zmęczonej i zniecierpliwionej.

- Mam taki zamiar. Pewnie, że tak, do licha. Jasne.

- Niech cię diabli, Earle, skończony głupiec z ciebie, któregoś dnia przez jedną z tych kobiet trafisz za kratki na dłużej.

- Nie trafię do paki przez jakąś kobietę. - Earle zachwiał się w przód i w tył. - Żadna kobieta się na to nie odważy.

- Oj, Earle. - Raylene pokręciła głową i wzruszyła ramionami. Objęła go i przytuliła do piersi. - Cieszę się, że tu jesteś. - Kiedy go puściła, uśmiechnęła się po raz pierwszy od śmierci Ruth. - Ta mała kupiła ci ten garnitur?

- A co? Nie podoba ci się? - Earle przesunął dłonią po bokach marynarki. Był tak chudy, że kiedy zgiął ręce, ciemny materiał trzepotał niczym skrzydła

kruka. Włosy wciąż miał obcięte na zapałkę, ale znów ciemne, jakby je ufarbował. Tylko wtedy gdy uśmiechał się z zakłopotaniem, wyglądał jak tamten dawny Earle. - Nie uważasz, że wybrała naprawdę ekstragajerek?

- Jest rzeczywiście ekstra, zwłaszcza że nie ty za niego zapłaciłeś. Beau ubrał się w swój najlepszy, czarny garnitur, ale nie wyglądał w nim rewelacyjnie. Podnosił to jedną, to drugą rękę, próbując jakoś go dopasować. Bił od niego odór whiskey, ale od lat nie wyglądał na bardziej trzeźwego i, co więcej, rozdrażnionego; taki był zdenerwowany, że wciąż przygryzał dolną wargę.

- Czemu tu jeszcze stoimy? - Odwrócił się do Raylene, jakby to ona tu rządziła. - Ten pogrzeb powinien się odbyć dwa dni temu, a my stoimy na tych stopniach, jakbyśmy w ogóle nie zamierzali złożyć Ruth do ziemi.

- Beau! - Alma wyglądała na zde gustowaną. - Nie mów tak. Dzieci cię usłyszą.

Głos Raylene był łagodny i obojętny.

- Czekamy, bo Travis nas o to poprosił. Liczy na to, że Tommy Lee, Dwight i D.W. dotrą tu i razem z nami wezmą udział w pogrzebie.

- Diabła tam! Oni nie przyjadą! Od dwóch lat nikt nie widział Tommy'ego Lee, a gdy ostatni raz słyszałem o D.W., był w drodze do Kalifornii. - Beau odchrząknął i splunął. - Travis nie myśli.

- To fakt. Nie myśli - wtrąciła Raylene beznamietnie. - Na jego miejscu ty zachowywałbyś się tak samo. Ruth chciała, aby wszystkie jej dzieci wróciły do domu, a Travis po prostu stara się wypełnić jej ostatnią wolę. Daj mu jeszcze parę minut, niedługo zacznie się ceremonia. Tylko nic nie mów Travisowi.

- Nie zamierzałem mu niczego mówić - oburzył się Beau. - Nie jestem głupi.

- Daj spokój, Beau. - Earle położył mu rękę na ramieniu. - Chodź ze mną na chwilę do wozu.

- O, Boże. - Alma sprawiała wrażenie, jakby miała zaraz zacząć krzyczeć. - Teraz obaj się uchłają.

- Nie dbam o to. - Raylene wyjęła chustkę z torebki i wytarła usta. - Beau musi się napić, wtedy będzie zachowywał się normalnie. Kiedy jest trzeźwy, w ogóle go nie poznaję. Nie mam pojęcia, co może zrobić. Ale gdy Earle poczęstuje go whiskey, kto wie, może się nawet rozplacze. Niech obaj zadbają o siebie nawzajem.

Zauważyłam na cmentarzu Butcha, wyglądał dziwnie w ciemnym, przydużym jak na niego garniturze. Później powiedział mi, że zjawił się tam kilka godzin wcześniej i patrzył, jak grabarze kończą rozpinać baldachim nad wielkimi wieńcami, udrapowanymi wstęgami i ogromnymi bukietami kwiatów,

po czym zabezpieczają baldachim przed wiatrem. Było zimno i szaro, nie zanosilo się na deszcz, ale silny wiatr targał złożonymi tam kwiatami. Na stojaku umieszczono specjalną kompozycję w kształcie serca, wewnątrz którego pochyłe litery układały się w słowo MATKA. Stał nieopodal, z dłońmi zaciśniętymi mocno przed sobą.

- Kostko - wyszeptał Butch, gdy stanęłam obok niego. - Lepiej usiądź, i dtrr Nie chcę siadać. - Wiatr zakołysał wieńcem w kształcie serca i oboje wyciągnęliśmy ręce, aby go przytrzymać.

- Słyszałam, że spędziłaś z nią całe lato.

- Taa.

- Przyjechałam tu raz, przed Świętem Dziękczynienia, aby się z nią zobaczyć. Zostałam tylko kilka dni. Przykro mi, że nie miałem okazji się z tobą spotkać. - Mówił cicho. Patrzyliśmy na kolejne osoby podchodzące i zajmujące swoje miejsca. Mama, Raylene, Alma i Carr zebrały się wokół babci. Już dawno jej nie widziałam. Miała bladą twarz, pozbawione wyrazu oczy i była jakaś taka wiotka.

- Wygląda na to, że doktor coś jej zaaplikował - wyszeptałam do Butcha.

- Kiepsko wygląda - przyznał Butch. Jego plecy zeszywniały i odwrócił się na chwilę, by skierować wzrok w stronę cmentarnego pola, pełnego niskich płyt nagrobnych. Gdy znów odwrócił się w moją stronę, zauważyłam, że usta miał mocno zaciśnięte, a oczy zaczerwienione.

Nevil, Earle i Beau trzymali się na dystans, obserwując podjeżdżający karawan i mężczyzn, którzy mieli ponieść trumnę do grobu. Zauważyłam wśród zebranych Dwighta i D.W, ale Tommy'ego Lee nie było.

Wiał porywisty wiatr. Mężczyźni niosący trumnę walczyli, by utrzymać leżące na niej kwiaty. Kaznodzieja upuścił swoje papiery, a mały Earle podbiegł, by je pozbierać. Patsy Ruth i Mollie siedziały obok Reese, Grey i Garvey z tyłu, za nimi. Tempie obok męża, tuż za mamą. Inne miejsca były zajęte przez kobiety z kościoła baptystów w Bushy Creek. Kiedy kaznodzieja zaczął od: „Umiłowani siostry i bracia”, wszyscy jak jeden mąż potaknęli bezgłośnie.

- Niech to diabli - usłyszałam szept Butcha. - Niech to diabli.

- Niech to diabli - przyznałam.

- Brakowało muzyki - powiedziałam do Butcha, kiedy wróciliśmy do domu cioci Ruth.

Siedział obok mnie na wiklinowym fotelu, który wujek Travis wystawił na podwórzu. Sięgał do kieszeni i ukradkiem pociągał z małej, prawie pustej butelki whiskey. Pod fotelem miał również flaszkę pabst blue ribbon,

ulubionego piwa Nevila, które wlewał do metalowego kubka do kawy i pił, nie przejmując się niczym. Nie wiem, ile wypił, ale wydawał się zrelaksowany; pomimo chłodu miał na sobie stary wojskowy płaszcz wujka Trávisa, a na szyi wełniany kraciasty szalik. Od wujka Nevila pożyczyłam: kurtkę na baranku i skórzane rękawiczki, nie było mi zimno, ale nie zdziwiło mnie, że nikt inny się do nas nie przyłączył.

- Co powinni zagrać? - rzucił do mnie Butch. - Którąś z tych zawodzących piosenek Carter Family? Może tę o budowaniu domu dla Pana - i zaczął nucić refren Kiedy przełamie się krąg. Z jego ust przy każdym oddechu wypływały niewielkie obłoczki pary.

- Nie umiesz śpiewać - powiedziałam.

- Nikt z nas nie umie. - Podał mi whiskey. - Może łyeczka? Ogrzejesz się.

Nie powiedziałam ani słowa, tylko pociągnęłam spory łyk. Posmakowała mi. Whiskey była mocna, gorzkawa, ale przyjemnie rozgrzewała. Butch zaśmiał się łagodnie, uniósł butelkę i napełnił kubek pabstem.

- Tylko nic nie mów mamie. Urwałaby mi głowę.

- Daj trochę.

Zabrałam mu kubek, zanim zdążył zaproponować i wypiłam na raz tyle piwa, ile zdołałam. Smak miało dość łagodny w porównaniu z whiskey, ale przełykanie sprawiło mi ból - czy to z powodu zimna, czy też dlatego, że wzięłam zbyt duży haust. Chociaż kto wie, może przełykanie piwa zawsze jest bolesnym procesem.

Butch przyjrzał mi się uważniej.

- Chcesz się urznąć? - zapytał.

- Myślisz, że mogę?

- Och, z pewnością. Ale może będę musiał przynieść jeszcze parę flaszek, abyś zrobiła to jak należy.

- Earle też tu jest. Założę się, że moglibyśmy zdobyć trochę whiskey od niego albo od Beau.

- A niech mnie, Kostko! Czyżbyś dorosła pod moją nieobecność? Pijesz piwo i kradniesz whiskey?

Opróżniłam kubek i oddałam mu.

- Mimo to wciąż uważam, że na pogrzebie powinna grać muzyka. Ciocia Ruth uwielbiała muzykę.

- Taa. - Butch stuknął kłykciami o kubek; rozległ się głuchy brzęk. - Taa. Faktycznie. Uwielbiała odtwarzać te stare, porysowane płyty. Zatrzymała je nawet po tym, jak D.W popsuł adapter. Zawsze mówiła, że chce kupić nowy,

ale nigdy nie miała dość pieniędzy. Kilka razy pożyczyłem adapter od Earle'a, aby mogła posłuchać muzyki.

- Earle pożyczył jej adapter latem zeszłego roku, kiedy tam byłam. Puszczaliśmy sporo jej płyt.

Butch uśmiechnął się.

- Nie mów mi. Gospel Train, zgadza się? Hank Williams, Monroe Brothers, Hazel Cole i... jak mu było - Blind Alfred Reed, zgadza się? Założę się, że nie odpuściła też Wabash Cannonball i Where the Soul of Man Never Dies.

- Pistol Pachin Mama. - Sięgnęłam pod fotel Butcha po butelkę pabsta, podniosłam do ust i opróżniłam.

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

- Naprawdę lubiła ten kawałek. Śpiewaliśmy go razem któregoś popołudnia. - Odstawiłam pustą butelkę pod fotel.

Pokręcił głową.

- A niech mnie - wyszeptał. - Zapomniałem o tym, cholera. Pochylił głowę i ukrył twarz w dłoniach. Patrzyłam, jak jego ramiona naprężają się, poczułam się dziwnie odrętwiała i zdystansowana, alkohol jak wata przytępił moje zmysły.

- A niech mnie - Butch zaklął i wstał. - Nienawidzę tego. - Kopnięciem przewrócił fotel, kopnął weń raz jeszcze, przesuwając go o kilka stóp do tyłu i poprawił po raz trzeci. - Nie spodziewałem się, że się tak pocuję. Kiedy rozmawiałem z Deedee, oboje przysięgaliśmy, że nie będziemy się tak zachowywać, a ona teraz siedzi w sypialni mamy, szlochając, jakby serce jej pękło, jakby straciła najbliższą, ukochaną przyjaciółkę. A przecież, do cholery - rzucił, podniesionym głosem, odwracając się do mnie plecami - ona i mama praktycznie nie znosiły się nawzajem.

Pokiwałam głową.

- To bez sensu, prawda? Zawsze myślałam, że Deedee nienawidziła cioci Ruth, bo bez przerwy źle o niej mówiła. Ale dziś rano... - przerwałam, by otrzeć twarz. - Teraz wszystko wygląda inaczej.

- A niech mnie, urżnęłaś się.

Butch podszedł do mnie, odchylił mi głowę do tyłu i nachylił się w moją stronę. Jego usta przywarły do moich, język wślizgnął się między rozchylone wargi i dotknął mojego. Odsunęłam się gwałtownie.

- De masz lat, Kostko? - zapytał.

- W maju kończę trzynaście - odparłam.

- Trzyńście. - Butch pokiwał głową. - Zawsze cię lubiłem - wyszeptał. - I wciąż cię lubię. Nie jesteś taką kretyką jak cała reszta. - Wyprostował się. - Węc nie rób z tego większego zamieszania.

Podniosłam się niepewnie. Spódniczka przykleiła mi się z tyłu do ud. Poprawiłam ją i poczułam, że zdrapuję sobie przy tym jeden ze strupów. Skrzywiłam się, ale Butch schylił się po butelkę po piwie i niczego nie zauważył. Wróciłam do środka, szłam powoli, ostrożnie stawiając nogę za nogą. Bycie na rauszu to całkiem przyjemne uczucie. Spodobało mi się, zwłaszcza to odrętwienie.

W domu było tak gorąco, że nie miałam czym oddychać. W kuchni pełno było kobiet, stały w małych grupkach, rozmawiały i pilnowały, żeby w piecu palił się ogień. Mama i Alma siedziały przy stole, Alma opierała się na ramieniu mamy. Carr stała przy kontuarze, krojąc szynkę i układając plastry na talerzu. Towarzyszyły jej Tempie i Mollie, które przygotowywały inne produkty.

Nigdzie nie dostrzegłam Raylene. Zajrzałam do salonu, ale powietrze było gęste od dymu i przesycone wonią whiskey, mężczyźni rozmawiali ze sobą przyciszonymi głosami. Travis siedział na kanapie, z głową odchyloną do tyłu, czerwonymi policzkami i nosem fioletowym od rysujących się na nim żyłek.

Przeszłam wzdłuż korytarza, przytrzymując się dłońmi ścian. To wcale nie było trudne. Dopóki szłam powoli, z uniesioną głową, nie miałam najmniejszych problemów. Weszłam do łazienki, przejrzałam się w lustrze. Byłam spocona, miałam rumieńce. Na pewno wyglądałam na nieźle urżniętą, przynajmniej tak sądziłam. Uśmiechnęłam się. Było za gorąco. Okno nad toaletą wydawało się zamalowane, zaklejone na amen. Stanęłam okrakiem na sedesie i zaczęłam tłuc pięściami we framugę, aż udało mi się je otworzyć. Chłodne powietrze owiało moją twarz. Schyliłam się niezdarnie, zsunęłam majtki, podciągnęłam spódniczkę i nie odwracając się, usiadłam na sedesie. Nigdy jeszcze sikanie nie wydawało mi się równie przyjemne. Oparłam policzek o chłodną, porcelanową pokrywę rezerwuaru i cieszyłam się, że mogłam sobie ulżyć.

Z tyłu za mną otworzyły się drzwi. Podniosłam się zaskoczona i poślizgnęłam się, by ponownie opaść na sedes. Odwracając się, próbowałam się podnieść, ale głośno czknęłam i ponownie klapnęłam na deskę. Raylene zaśmiała się.

- Kto poczęstował cię alkoholem, Kostko? - Nie wydawała się zagniewana. Zamknęła za sobą drzwi i przytrzymała mnie jedną ręką. - Zdrowo się umiałaś.

- Wcale nie. Wypiłam tylko łyczek.

- Uhm-hm. Tak, na pewno. - Zaśmiała się, oderwała trochę papieru z rolki i podała mi. - Chodź. Spróbujemy postawić cię na nogi. - Wsunęła dłoń pod mój prawy łokieć i pomogła mi wstać. Chciałam znów usiąść na desce, ale ciocia zmusiła mnie, abym wstała.

- Ciociu Raylene.

Odwróciłam się, aby znów na nią spojrzeć, przekonać ją, że wcale się nie upiłam. Jej wyraz twarzy kompletnie mnie sparaliżował. Patrzyła na moje majtki, owinięte wokół lewego buta i wyraźnie widoczne w jasnym świetle brunatne plamy na materiale. Odsunęła mnie lekko od siebie, a drugą ręką zadarła mi spódniczkę. Próbowałam ją opuścić odrętwiałymi palcami, ale trzymała mnie zbyt mocno.

- Na rany Chrystusa! Przeszył mnie dreszcz.

- Proszę, nie.

Ale ona już otworzyła drzwi. Wyciągnęła mnie na zewnątrz. Próbowałam się opierać, lecz bez powodzenia. Zaciągnęła mnie do pustej sypialni Deede.

- Earle - zawołała ciocia Raylene. - Earle, przyjdź tu. Przyjdźcie tu zaraz, ty i Beau.

- Nie - powtórzyłam. - Proszę, proszę.

- Nic nie mów, Kostko. Nikt cię nie skrzywdzi. Przysięgam. Już nikt cię więcej nie skrzywdzi.

Earle wszedł do sypialni.

- Czemu tak krzyczysz, Raylene? Na górze śpią dzieciaki, a ty wydzierasz się tak, że słyhać cię w sąsiednim hrabstwie.

Raylene odwróciła się gwałtownie ku niemu.

- Zamknij się, spójrz na to! Obróciła mnie i zadarła mi spódniczkę.

- N-nie, nie - wykrztusiłam.

- O, cholera. - Głos Earle'a był cichszy i bardziej przerażający, niż mogłam sobie wyobrazić. Zacisnęłam palce na karku, opuściłam głowę, a moim ciałem wstrząsnęły gwałtowne spazmy.

- Zostawcie mnie - prosiłam. Majtki wciąż miałam owinięte wokół lewego buta.

- Cii, cii. - Ramiona cioci Raylene otuliły mnie jak pled. Usiadła na łóżku i przytuliła mnie do siebie. - Ciii.

Earle zniknął. Drzwi znów się otworzyły. Stanęli w nich Nevil i Beau.

- To prawda? - rzucił ostro Beau. - Ten skurwiel pobił ją do krwi?

- Jak psa - odparła Raylene. - Złał dzieciaka pasem aż po kolana. - Zdjęła majtki z mojego buta i rzuciła nimi w niego. - Ja bym go zabiła - rzekła tak beznamiętnym tonem, że z miejsca jej uwierzyłam.

- Nie - jęknęłam.

- Cholera! - Głos Nevila był zmieniony nie do poznania. Z korytarza dobiegł krzyk, głośny trzask, a potem głos Earle'a wołającego: - Zatłukę cię, ty sukinsynu! - Nevil i Beau odwrócili się równocześnie.

- Nie! - wyjęczałam. - Ciociu Raylene, proszę!

Ale ona tylko przytrzymała mnie mocniej. Odwróciłam się, zaczęłam się z nią szarpać, próbując się uwolnić. Wtem oplotły mnie ramiona mamy. Prawie przestałam oddychać.

- Mamo! Przepraszam. Tak mi przykro.

- Ciii, Kostko - Jej głos brzmiał jak głos Raylene. - Nic nie mów, kochanie. Już wszystko dobrze.

Wciąż przerażona, przywarłam do niej kurczowo. Od strony frontu domu dochodziły przeraźliwe trzaski i łomot. Wypadli na ganek. Raylene stała zwrócona plecami do drzwi sypialni, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, jakby spodziewała się, że spróbujemy zamierzyć się na nią i wybiec z sypialni. Mama przytrzymała mnie i jeszcze raz wyszeptwała:

- Już dobrze.

Po kilku minutach Raylene podeszła i usiadła przy nas.

- Anney - rzekła cicho. - Anney, czy ciebie też pobił? Powiedz mi, czy on cię skrzywdził?

- Glen nigdy by mnie nie skrzywdził, Raylene. Wiesz o tym. - Mama pocałowała mnie w czubek głowy. - Nigdy nie podniósł na mnie ręki. - Westchnęła i smętnie spuściła głowę.

- Och, Anney. - Raylene próbowała ująć mamę za rękę, ale mama szybko je cofnęła.

- Nie dotykaj mnie. Nie waż się - wycodziła gniewnie mama. Przyciągnęła mnie ku sobie. Dygotałam w jej ramionach; ona także cała się trzęsła.

- O Boże, Raylene. Tak mi wstyd. Nie umiałam go powstrzymać, a wtedy... sama nie wiem.

Jej głowa kołysała się w górę i w dół. Kiedy znów się odezwała, jej głos był silny, pełen desperacji.

- On ją kocha. Wiem, że tak jest. On kocha nas wszystkie. Sama nie wiem. Sama nie wiem. O Boże, Raylene. Ja go kocham. Wiem, że mnie nienawidzisz. Czasami nienawidzę samej siebie, ale kocham go. Po prostu go kocham. - Uniosłam wzrok. Oczy mamy błyszczały. Usta miała otwarte, wargi rozchylone tak, że widać było zęby, mięśnie szyi napięte i wyraźnie widoczne. Jej podbródek unosił się i opadał, jakby chciała się rozplakać, ale nie mogła. -

Od tak dawna modlę się i mam nadzieję, łudzę się i udaję. Trzymam się go kurczowo, po prostu się go trzymam.

- Mamo - jęknęłam i próbowałam się do niej przytulić. - To ja go rozzłościłam. Naprawdę.

- Kostko. - Raylene wyciągnęła do mnie rękę.

- Nie! - Cofnęłam się jak oparzona i wtuliłam twarz w ramię mamy.

- Ciii. Ciii - szepnęła mama.

Znieruchomiałam i usłyszałam, jak Raylene opuszcza rękę.

Nasłuchiwałyśmy odgłosów z ganku. Te głuchoe łupnięcia to ciało tatki Glena uderzające o ścianę. Te jęki dobywały się z jego ust. A przekleństwa cedzili moi wujkowie. Włożyłam palce do ust i mocno przygryzłam. Uniosłam wzrok. Nade mną twarze mamy i Raylene prawie się stykały; obie drżały i tuliły się do siebie.

Rozdział osiemnasty

Wszystko rozpada się w proch i pył, o wiele szybciej, gdy wiążącym je fundamentem jest kłamstwo. Tak właśnie było z mamą i tatką Glenem. Ciocia Raylene zgodziła się, abyśmy zostały u niej, ale mama nie chciała nawet o tym myśleć. W ciągu jednego dnia, który tatko Glen spędził w szpitalu, przeprowadziliśmy się do mieszkania nad targiem rybnym, o kilka przecznic od zabitego deskami sklepu Woolwortha. Każdego ranka musiałam mijać te pozasłaniane okna wystawowe, by dotrzeć do skrzyżowania, skąd autobus zabierał nas do szkoły. Widziałam robotników wymieniających potłuczone szyby wystawowe na nowe, wzmocnione, a któregoś dnia spostrzegłam nawet mocno zestresowanego Tylera Highgardena, nadzorującego wnoszenie do sklepu przez zreperowane drzwi pudeł z najprzeróżniejszymi towarami i produktami. Nawet na mnie nie spojrzął, ale poczułam, jak jeżą mi się włoski na karku. Gdyby nie cały ten chaos, pewnie powiedziałabym mamie, co zrobiłam. Ale mama i ja nie rozmawiałyśmy.

Mieszkanie było dwupokojowe, z sypialnią i większym pokojem pełniącym wszelkie inne funkcje. W kuchni był piec, lodówka i zlew w małej niszy, przy drzwiach do łazienki. Łazienka cuchnęła wilgocią, pleśnią i rybami: ta ostatnia woń dochodziła ze sklepiku poniżej. W mieszkaniu było ciemno, okna trzeba było umyć parę razy, aby doprowadzić je do porządku. Jedyną przyjemną rzeczą była tapeta w niebieskie kwiaty, na ścianie oddzielającej kuchnię od reszty większego pokoju. Kiedy siedziałam przy stole, odrabiając pracę domową, zawsze spoglądałam na tę tapetę. Nie chciałam patrzeć na Reese, która przesiadywała w kuchni, z gniewną miną kolorując książeczki, ani na mamę, która siedziała w milczeniu na kanapie, paląc papierosy, ocierając oczy i słuchając radia.

Mama zostawiła w poprzednim mieszkaniu telewizor, pralkę, większość mebli i zastawy stołowej oraz wszystkie bibeloty i ostatnie srebra. Zabrała maszynę do szycia, deskę do prasowania oraz większość swoich i naszych ubrań. Jako że nie było nas przy pakowaniu rzeczy, trudno mi było określić, czym kierowała się, gdy coś zabierała albo zostawiała, a ponieważ sama nie chciała o tym mówić, nie pytałam jej. Reese skrzywiła się na brak telewizora i roweru, ale mama obiecała, że w swoim czasie kupimy nowe. Nie zaoponowałam, nie skarżyłam się, prawie się nie odzywałam.

To wszystko było moja wina, milczenie mamy i gniew Reese. Leżałam w łóżku, z pięściami zaciśniętymi pod brodą i kolanami podciągniętymi do piersi. Ostatnie dni były dla mnie jak nerwowy, chaotyczny sen, nie pamiętałam lania,

które spuścił mi tatko Glen, ale twarz mamy, gdy informowała mnie o śmierci cioci Ruth - tak, wspomnienie włamania do Woolwortha prysło, ale pozostawała rozmowa z Butchem, zamiast hałasu i zamieszania, kiedy Benny, ciocia Fay i ciocia Carr pojechali z tatką Glenem do szpitala, pamiętałam, jak ciocia Raylene pokazywała moje uda wujkowi Earlowi. Wciąż próbowałam dociec, jak mogłam temu wszystkiemu zapobiec. Gdybym nie wypila tego piwa i nie pokazywała się nikomu, nie doszłoby do całej tej awantury.

Tego wieczora u Ruth ciocia Raylene powiedziała, żebym się nie zadreczęła, bo mama potrzebuje czasu, aby sobie wybaczyć. Ale co? - zastanawiałam się. Mama nie zrobiła nic złego. To przeze mnie Glen wpadł w złość. To ja doprowadzałam wszystkich do szewskiej pasji. Nie, powiedziała Raylene. Nie wolno mi tak myśleć. Pełnym przejęcia głosem szeptała, że mama mnie kocha, że ona mnie kocha i że kocha mnie Earle i pozostali wujkowie. Tuliła mnie do siebie, ale ja jej nie słuchałam. Zacisnęłam zęby i dociskałam język do podniebienia tak mocno, że aż rozboleło mnie gardło. Mama miała twarz szarą jak popiół, milczała i nawet nie chciała na mnie spojrzeć. To była moja wina, wszystko to moja wina. Wszystko schrzaniłam.

Tatko Glen zjawił się w restauracji, bo chciał porozmawiać z mamą, ale ona zamknęła się w łazience i nie wyszła, dopóki kierownik go nie wyprosił. Wróciła do domu, usiadła na kanapie i wypaliła paczkę papierosów, gapiąc się tępo w przestrzeń. Kiedy Reese próbowała z nią pomówić, mama kazała nam położyć się do łóżka wcześniej niż zwykle. Następnego ranka, kiedy poszła na rozmowę o pracę u JC Stevensa, ja mogłam myśleć tylko o tym, że przez całe lata nieodmiennie zapewniała mnie, że nie znosiła tego typu wielkich zakładów. Kiedy Reese i ja wróciłyśmy ze szkoły, odnalazłyśmy przy zlewie kartkę, z informacją, że będzie pracowała do wpół do ósmej, a my miałyśmy otworzyć na kolację puszkę szynki z fasolą. Reese zjadła swoją porcję w formie kanapki z dwóch kromek chleba i ani razu się do mnie nie odezwała. Poszłam na tyłu sklepu rybnego, gdzie stały wielkie, brudne od soli palety i wietrzyły się puste balie. Usiadłam na jednej z odwróconych balii, między stosami palet i płakałam cicho, aby nikt mnie nie usłyszał.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała mama do mnie i Reese, ale nie wytłumaczyła, jak to się stanie. Kiedy Reese rozbeczała się i powiedziała, że chce wrócić do domu, mama przytuliła ją i obiecała, że pozwoli, by spędziła to lato z Patsy Ruth. Siedziałam przy stole i obserwowałam je z drugiego końca pokoju, wspominając ostatnią ucieczkę mamy od tatki Glena. Tamta trwała tylko parę dni. Ta ciągnęła się już ponad tydzień. Jak długo to potrwa? Jeszcze tydzień? Miesiąc? Wbiłam paznokcie w miękkie ciało przy łokciach i zaczęłam

kołysać się leciutko na krześle. Nie chciałam się rozplakać, nie chciałam, żeby mama to widziała. Nie mogłam się rozplakać.

Dla Reese wszystko było atrakcyjną przygodą, dopóki mama nie zabroniła jej pójść i podpisać się na gipsie wujka Wade'a. Trzy dni po pogrzebie Ruth wujek Wade postrzelił się w prawą stopę i był uwięziony w domu, z nogą w gipsie, który chłopcy okleili nalepkami ze stacji paliw. Usłyszałyśmy o tym w szkole od małego Earle'a, ale mama zignorowała prośby Reese i zamiast tego przyniosła do domu serię kolorowanek.

- Nie życzę sobie, ażebyś szła gdzieś, gdzie nie mogłabym mieć cię na oku - rzekła do Reese. Kiedy przyszła ciocia Raylene, mama nie zaprosiła jej do środka, tylko odezwała się do niej przez drzwi.

- Zostaw nas w spokoju, Raylene. Chcę побыć trochę sama. Potrzebuję czasu, aby wszystko przemyśleć.

- Anney, nie możesz się tak ukrywać jak przestępca. - Ciocia Raylene sprawiała wrażenie zniecierpliwionej. - Nie zrobiłaś nic złego. To nie twoja wina.

- Nie obchodzi mnie, czyja to wina! - krzyknęła mama. - Chcę po prostu zostać sama!

Ciocia Raylene jeszcze dwukrotnie zawołała mamę po imieniu, ale wreszcie zeszła powoli do samochodu i odjechała.

Spaliśmy w jednym dużym łóżku, ale mama zazwyczaj układała się na kanapie, zasłaniając ręką oczy. Tej nocy, gdy mama położyła się na kanapie, zapłakała, tak cicho, że ledwie ją słyszałam przez zamknięte drzwi. Zwinęłam się w kłębek na brzegu łóżka i przysłuchiwałam się jej szlochaniu, aż w końcu usnęłam, przyśniło mi się, że ściany naszego mieszkania rozpadły się i można było zobaczyć stąd dom, w którym tatko Glen siedział przy otwartym oknie, czekając na nasz powrót. Kiedy obudziłam się o świcie, poszłam sprawdzić, czy z mamą wszystko w porządku. Próbowałam zachowywać się cicho, ale ona nie spała, tylko leżała na wznak ze wzrokiem utkwionym w brudny, szary sufit.

- Kostko - wyszeptała.

Chciałam poczuć dotyk jej ramion, ale stałam w bezruchu, sztywna jakbym kij połknęła, z zaciśniętymi ustami i suchymi oczami.

- Och, Kostko - westchnęła mama.

Usiadła i pociągnęła mnie ku sobie, tak że oparłam się głową o jej ramię. Moim ciałem wstrząsał spazmatyczny szloch, tym dziwniejszy, że łzy nie pociekły. Dłoń mamy zaczęła poruszać się mechanicznie, gładząc mnie po włosach, jakbym była zbitym psem. Po sposobie, w jaki mama mnie dotykała, zorientowałam się, że gdybym do niej nie przyszła, nie przytuliła się, nigdy by

mnie nie objęła. Wzdrygnęłam się pod wpływem dotyku tej nieczulej dłoni; odtrąciłam ją i pobiegłam do sypialni. Położyłam się obok Reese i nakryłam głowę poduszką. Reese obudziła się i zaczęła narzekać, a kiedy przyszła mama, schowałam się jeszcze bardziej i nie zareagowałam, gdy zawołała mnie po imieniu.

- Nie rób tego, Kostko - rzekła gniewnym, pełnym niepokoju tonem. Wślizgnęłam się pod koc. Po chwili mama mruknęła: - Dość tego - i zabrała Reese. Moja głowa pulsowała żarem.

Leżąc samotnie na łóżku, rozmyślałam o tatce Glenie i jak podchodził do mnie z tyłu, by opleść mnie ramionami i przycisnąć do siebie. Wspominając tę chwilę, wcisnęłam obie dłonie między uda i napięłam wszystkie mięśnie. Kiedy byłam już całkiem zeszywniała, zaczęłam przypominać sobie, od czego się to wszystko zaczęło. Co ja takiego zrobiłam? Czemu tak mnie nienawidził? Może byłam zepsutą dziewczynką, złą, paskudną, przygłupią, brzydką i szurniętą, tak jak mówił. Może faktycznie taka byłam, ale nie dbałam o to. Nienawidziłam go, a teraz nienawidziłam także Reese i mamy. Byłam oceanem nienawiści, który wrzał i kipiał w mojej głowie.

Ostatnim razem byłam z siebie taka dumna, że nie krzyknęłam, że się nie rozplakałam, czułam, że to ważne. Ale niby dlaczego? Niezależnie od tego, czy krzyczałam, szarpałam się, czy stałam nieruchomo, wszystko wyglądało jednakowo. Zwinęłam się w kłębek i zaczęłam o tym rozmyślać, o tym, jak mnie bił, przytrzymywał, jak się próbowałam szarpać, jak czułam jego zapach i dotyk jego członka na swoim brzuchu. Przyszpilał mnie do swojego uda, kiedy mnie bił. Czy ejakulował? Czy bił mnie, aż spuścił się w spodnie? Na tę myśl coś ścisnęło mnie w gardle. Wpijałam nadgarstki coraz mocniej w ciało między udami, czując przy tym narastający ból. Pamiętałam jego zapach, jego sapanie nade mną, gorący pot skapujący mi na skórę i to, jak mną potrzasał, głośno przy tym stękając. Nie, to, czy krzyknęłam, czy nie, było bez znaczenia. Wszystko rozgrywało się tak, jak on tego chciał. To nie miało nic wspólnego ze mną ani z tym, co zrobiłam. To była zwierzęca żądza, po prostu mnie wykorzystywał. Przeturlałam się i zacisnęłam zęby na poduszce. Ogarnął mnie przejmujący wstyd. Czułam się jak samobójczyni stojąca na moście i szykująca się do ostatniego skoku.

Jakiś czas później zasnęłam zapłakana. Przyśniło mi się, że znów byłam dzieckiem pięcio-, może czteroletnim, opierałam się o biodro mamy, a ona trzymała dłonie na moich ramionach. Coś mówiła, jej głos niósł się nade mną, jak szept wśród gwiazd. Wszystko było bezpieczne i przyćmione, ciepłe i spokojne. Ona mnie trzymała, a ja czułam się kochana. Tuliła mnie do siebie, a

ja wiedziałam, kim jestem. Kiedy wsunęłam rękę pomiędzy uda, nie było w tym nic grzesznego. To było jak jej szept, jak muzyka albo modlitwa w ciemnościach. Tak właśnie być powinno, i to było naprawdę dobre. Obudziłam się z twarzą mokrą od łez, ale nie wiedziałam nawet, że płakałam, dłonie wciąż trzymałam między udami.

- Mamo - szepnęłam, ale ona już poszła do pracy. Byłam sama, w sypialni panowała cisza. Sporo czasu minęło, odkąd ostatni raz obudziłam się w takich warunkach, z takim samopoczuciem, przepelniona słodkim, nienasyconym żarem rozlewającym się między moimi udami, ten żar prawie sprawiał mi ból, ale był też na swój sposób przyjemny.

Uniosłam dłonie i rozcapierzając palce, przyjrzałam się im w świetle sączącym się przez zaciągnięte zasłony. Przeturlałam się powoli, rozluźniając mięśnie nóg i pleców i trzymając dłonie na wysokości twarzy. Oświetlenie zmieniło się, gdy wiatr poruszył zasłonę. Pomyślałam o ogniu, szalejącym, przetaczającym się przez Greenville i oczyszczającym ziemię. Opuściłam ręce i zamknęłam oczy.

- Ogień - szepnęłam. - Niech spali to wszystko.

Przetoczyłam się na brzuch, wsuwając obie ręce pod siebie. Zacisnęłam zęby i zaczęłam się kołysać, oczyma duszy widziałam rozszalałą pożogę, gorejące stogi siana, ogień odcinający ludziom drogę ucieczki, spłoszone sylwetki próbujące uciekać przed nadciągającą zagładą, sama także byłam jak sparaliżowana, a ryk zbliżającego się ognia przybierał na sile.

- Tak - powiedziałam. - Tak - powtórzyłam, kołysząc się rytmicznie i eksplodowałam dzięki swojej wprawnej dłoni, a orgazmowi towarzyszyła wizja płomieni strzelających aż pod niebo.

Obudziłam się po południu, a w mieszkaniu wciąż było czysto i cicho. Podniosłam się ostrożnie. Na kuchni stała zimna kawa i na talerzu nakrytym lnianym płótnem leżały suchary. Napiłam się kawy i zagryzłam sucharem z plasterkiem sera. Na stole znalazłam karteczkę od mamy. „Nigdzie nie idź - napisała w krótkim liściku. - Wrócę do domu przed zmierzchem, to porozmawiamy”.

Poczułam ucisk w gardle. Nie miałam ochoty na tę rozmowę. Nie wiedziałam, co mogłabym mamie powiedzieć. Ubrałam się szybko w dzinsy i ciepłą, bawełnianą koszulkę. Wychodząc, zaniknęłam za sobą drzwi na klucz. Kiedy znalazłam się na ulicy, pomyślałam o Reese wracającej do pustego domu i dzwoniącej do mamy, do pracy. Na pewno się zdenerwuje. Ruszyłam szybkim krokiem. Gniew dodał mi animuszu. Nie dbałam o to, kto na mnie będzie zły

ani co może się wydarzyć. Niewykluczone, że na autostradzie przejedzie mnie jakiś samochód.

To Fay żona Nevila, odwiozła tatkę Glena do szpitala po tym, jak zabrała go z trawnika i postawiła znowu na nogi.

- Nie umrze - powiedziała. - Ale powinien obejrzeć go lekarz. I na to rozcięcie nad okiem trzeba będzie założyć ze dwa szwy.

Ciocia Carr i Benny też z nimi pojechali.

- Zawsze trzeba dać mężczyźnie szansę - rzekła, zanim wsiadła do samochodu. Wcześniej próbowała powstrzymać wujków okładających tatkę Glena pięściami i za wtrącanie się w nie swoje sprawy zarobiła po twarzy.

- Moja żona jest gotowa poprowadzić samochód, którzy należy do mnie - rzeki Nevil łagodnym tonem. - Nie zrobiłaby tego, gdybym nie chciał dać temu bydlakowi szansy.

Pił czarną kawę z miseczki na zupe, kłykcie miał spuchnięte i poharatane, podobnie jak Earle i Beau. Beau zarobił kopniaka w usta i stracił ząb. Osunął się na krzesło, grożąc, że powybijają Glenowi wszystkie zęby, kiedy tylko będzie mógł ponownie zacisnąć pięści.

Przez cały ten czas tatko Glen milczał. Twarz miał okrwawioną i posiniaczoną, ledwie się trzymał na nogach, ale nawet nie pisnął, kiedy Benny pomagał mu wsiąść do auta. Zakrył oczy dłonią i rozsiadł się wygodnie na fotelu. Ciocia Carr przyniosła jego płaszcz.

- Powinieneś się wstydzić - syknęła do Earle'a, przechodząc przez salon cioci Ruth.

- A niby czego - odparował Earle, sącząc Jacka danielsa wprost z butelki, na zmianę z Beau. - Nie wstydzę się, że dołożyłem temu bydlakowi.

Usiadł przy stole z Beau i Nevilem, wszyscy byli spoceni, posiniaczeni, podpici i gniewni. Żaden z nich nie spojrział na mnie, kiedy przechodziłam obok z mamą i Raylene, choć Earle poderwał się chwiejnie i najpierw objął mamę, a potem mnie. Cuchnął krwią, poczułam zmieszany z wonią whiskey metaliczny zapach. Odepchnęłam go, próbując się uwolnić, ale on jakby nie zwracał na to uwagi i puścił mnie dopiero, kiedy mama wyrwała mnie z jego objęć.

- Jedziemy - rzekła do mnie.

Raylene i Nevil szli za nami do pontiaca; Raylene powtarzała:

- Powinnaś wpaść do mnie.

Ale mama zdawała się jej nie słyszeć. Było ciemno, chłodno, Reese cała się trzęsła.

Ciocia Alma przyniosła parę koców.

- Powinniśmy porozmawiać - powiedziała. - Potrzebujesz pomocy. Potrzebujesz pomocy, Anney, i nie powinnaś wracać do tego domu sama.

Nevil pokiwał głową.

- Posłuchaj nas, Anney - rzekła Raylene, ale mama otuliła Reese kocem, a drugi podała mnie. Kiedy jej siostry podchodziły zbyt blisko, wyciągała dłoń przed siebie w obronnym geście.

- Nie - powiedziała stanowczo. - Nie zatrzymujcie mnie. Wiem, co muszę zrobić.

Tej nocy spałyśmy w aucie, podczas gdy mama przestraszała cały dom, pakując rzeczy, które chciała zabrać, i wkładając do bagażnika. Postawiła pudła za przednim siedzeniem, a rozłożywszy na nich prześcieradła i kapy, urządziła w ten sposób naprawdę wielkie łóżce. Przed świtem pojechała z nami na parking przy stacji kolejowej i zatrzymała wóz pod jedną z dużych lamp łukowych. Zasnęła na przednim fotelu, otoczona kocami i poduszkami. Gdy nastął dzień, zawiozła nas do restauracji, pozwoliła, abyśmy zjadły śniadanie, a sama poszła wynająć mieszkanie, które wybrała z ogłoszenia w gazecie. Działała tak szybko, stanowczo i zdecydowanie, że nie sposób było z nią porozmawiać ani nawet zapytać, co się dzieje. Ale ja wcale nie musiałam jej pytać. Wiedziałam.

Dotarcie do domu cioci Raylene zajęło mi większą część dnia. Szłam tym samym tempem, z tą samą niespożytą energią, którą widziałam u mamy od pogrzebu cioci Ruth. Idąc, podśpiewywałam sobie czasami cicho, kiedy indziej głośno, Mama, He Treats Your Daughter Mean Ruth Brown i Walking After Midnight Patsy Cline. Przy skrzyżowaniu White Horse Road i Eustis Highway zaczęłam nawet nucić Ehdsa Presleya. Śpiew powstrzymywał mnie od płaczu. Pozwalał mi iść dalej. Budził we mnie zadziorność i hardość. Czułam się pełna nienawiści, ale mocna; wredna, ale i potężna. Ciocia Raylene wcale się nie zdziwiła, widząc mnie wchodzącą na ganek. Siedziała na bocznym ganku, gdzie przygotowywała ziemię pod sadzonki. Ręce miała umazane ziemią, włosy związała chustką, na jej policzku dostrzegłam rozmazany ślad.

- Kostko - rzekła pospiesznie, po czym zaczęła mieszać czarnoziem z potażem. - Dawno cię nie widziałam.

Otarłam twarz. Pot spływał mi po karku. Bolały mnie stopy. Usiadłam na stołku.

- Przynieś sobie coś do picia z kuchni - powiedziała ciocia Raylene, ale ja nie ruszyłam się z miejsca. Po pewnym czasie ucisk w moim gardle minął. Patrzyłam, jak ciocia wsypuje ziemię do koszy, do każdego dodaje trochę nawozu i kontynuuje mieszanie, przegarniając ziemię, nawet na mnie nie spojrziała.

- Idzie wiosna - rzekła w końcu. Pokiwałam głową.

- Teraz mieszka tu twój wujek, Earle.

Wytarła dłonie w ścierkę i wyjęła z kieszeni kombinezonu papierosy, a później zapaliła jednego, opierając się o stół z koszami.

- Wynajął pokój w centrum z tą małą, którą przyprowadził na pogrzeb, ale wygląda, że był to jego kolejny krótki romans, bo ona wciąż tam mieszka. Earle wziął tyle, ile pomieściło się w dwóch walizkach, i śpi na kanapie. Nie chce zająć pokoju dla gości, twierdzi, że nie zabawi tu długo.

- Mama zawsze powtarza, że Earle żyje od kobiety do kobiety. Powiedziała tatce Glenowi, że Earle ogląda się za coraz młodszymi dziewczynami, a w jego życiu nie liczy się nic prócz whiskey i rodziny. - Przerwałam zdziwiona, że sama wspomniałam o tatce Glenie. Nagle na ganku zrobiło mi się gorąco.

- Powiedziałam mu, że następnym razem powinien znaleźć sobie wdówkę, jakąś grubą, starszą dziewczuchę, która by mu prasowała koszule i myła plecy. Ale Earle lubi młode, pełne wigoru. Chyba jest jak wszyscy mężczyźni, kocha wdzięczne kobiety, zwłaszcza te, którym może zaimponować, praktycznie nic nie robiąc. A dziewczyny, które wyszukuje... Boże, aż mi serce pęka na widok tych małych, zblakanych owieczek, które do niego ciągną. Wystarczy, że Earle cieplej się do nich odezwie i wszystkie są jego. Przypominają owoce dojrzewające w słońcu, ciężkie i soczyste, czekające tylko, aby ktoś je zerwał.

Zaczęłam wiercić się na stołku.

- Wujek Earle jest pewien, iż żadna kobieta nigdy nie żałowała, że mu się oddała.

- Chryste Panie, ty też go kochasz, tak jak one wszystkie, zgadza się? - Ciocia Raylene spojrzała na mnie, marszcząc czoło. - Nie sądzisz, że okrutnie obchodzi się z tymi dzieciakami? Nigdy się z żadną nie rozwiódł, nigdy nie związał się z żadną na dłużej niż na parę miesięcy. Bóg tylko wie, ile dzieci rozsiał po świecie.

- Ani jednego. - Przygryzłam dolną wargę.

- A niby skąd ty to wiesz?

- Powiedział mi, że dopilnował, by nie spłodzić więcej dzieci, bo dość ich już narobił.

- Cóż za zapobiegliwość z jego strony! - Ciocia Raylene zgasiła papierosa o jeden z koszy. Podeszła do mnie i podniosła jedną z framug okiennych, opartych o ścianę. Przeniosła ją i ułożyła tak, by nakryć nią dwa kosze. Pozostawiła mieszankę, by nagrzać się na słońcu. Raylene nie spojrzała na mnie, a jej usta przypominały wąską, białą kreskę. Wiedziałam, że jest na mnie zła.

- Zeni się z nimi tylko dlatego, że one tak bardzo tego chcą. - Piekły mnie oczy, jakby łyzy, których nie mogłam wycisnąć z siebie w drodze tutaj, zaczęły napływać mi do oczu. Uniosłam dłonie i zacisnęłam je w pięści. - On je kocha! - krzyknęłam. - Kocha je bardziej, niż na to zasługują.

- Kostko. - Ciocia Raylene odwróciła się do mnie i pokręciła głową. - Dziewczyno, masz doprawdy pokrętne pojęcie na temat miłości. Słowo daję.

- Czyżby? - zapytałam, sarkastycznie przeciągając zgłoski, i podniosłam się z miejsca. - A czyja to wina? Hę? Skąd mam wiedzieć cokolwiek na temat miłości? Jestem jeszcze jedną nieświadomą, niedouczoneą Boatwrightówną. Zwykłym śmieciem, który ledwie umie się podetrzeć i potrafi jedynie pluć na odległość. Tak jak ty, mama, Alma i cała reszta. - Splunęłam w bok. - A niech mnie - wycedziłam, patrząc jej prosto w oczy. - Niech mnie wszyscy diabli. Drugich takich jak my nie ma na całym świecie.

W jej czarnych oczach pojawił się gniew, ale nie przestraszyłam się ani trochę. W moim wnętrzu wrzało, skóra zdawała się płonąć. Nienawiść i gniew rozpałyły mnie do tego stopnia, że mogłabym zionąć ogniem. Kiedy ujęła mnie za przegub, poczułam, że stają mi dęba włoski na przedramieniu. Lodowaty prąd przeszył mnie od stóp do głów.

- Ludzie są tacy sami - szepnęła. - Wszyscy starają się robić, co mogą, i najlepiej, jak umieją.

Wzięłam głęboki oddech i wypuściłam powietrze.

- Inni nie tłuką się wciąż między sobą. Nie upijają się w sztok i nie strzelają do siebie nawzajem, żeby potem z tego żartować. Nie zrywają się, by porzucić mężów w środku nocy, bez słowa wyjaśnienia. Nie przenoszą się na skraj miasta bez męża, dzieci albo nawet dobrej przyjaciółki, nie chodzą non stop w kombinezonie roboczym i nie sprzedają złomu przy drodze!

Ciocia Raylene założyła ręce na piersiach i spojrzała na mnie.

- Nie lubię, gdy się na mnie krzyczy, nigdy nie lubiłam. Zacisnęła dłonie na ramionach tak mocno, że zaczęły jej drżeć palce.

- Nie wiem, jak jest z innymi ludźmi, ale ja zawsze wierzyłam, że w tym życiu wszyscy robią to, co muszą. - Przerwała i po chwili dodała: - Kiedy będziesz miała trzydzieści lat, własne dzieci i będziesz ze wszystkich sił się starała zdobyć kilka dolarów, wtedy możesz śmiało na mnie krzyżeć. Choć, kto wie. - Pokręciła głową i odwróciła się, strzepując grudki ziemi z uda. - Zbliża się pora kolacji. A ty jesteś cała brudna. Doprowadź się do porządku, a potem cię nakarmię, czy ci się to podoba, czy nie.

- Nie musisz mnie karmić. - Nie mogłam na nią spojrzeć i powiedziałam jej tego prosto w oczy. Opuściłam głowę i wytarłam nos rękawem.

- Wiem, co muszę, a czego nie. Przemyśl to sobie, a zrozumiesz, że żyję właśnie tu i w taki sposób dlatego, że mogę robić, co mi się żywnie podoba.

Spojrzałam na nią z wahaniem. Twarz cioci Raylene poczerwieniała; nie patrzyła na mnie. Wzrok miała skierowany w przestrzeń ponad autostradą. Wyglądała, jakby chciała się rozplakać, podobnie jak ja, ale ona również zdołała się skutecznie pohamować.

- Powiedziałam, idź, umyj się. Poszłam.

Historie, które zaczęłam odtąd wymyślać na swoje potrzeby, zmieniły się. W półśnie, poprzedzającym zapadnięcie w głęboki sen, zaczęłam wyobrażać sobie autostradę biegnącą na północ. Nie prawdziwą drogę, ta nasza ocieniona była przez wysokie trawy i stare drzewa. Zwieszał się z nich mech, a małe ptaki o szaroniebieskich skrzydłach podfrwały od skraju szosy w stronę drzew.auta mknęły z rykiem silników, ale nie zatrzymywały się, a Gwiazda Polarna lśniła nad ich reflektorami jak światło latarni morskiej. Szłam tą drogą sama, rażno przebierając nogami i pokonując kolejne mile. Żaden samochód się nie zatrzymał. Nikt mnie nie wołał. Tylko gwiazda wskazywała mi drogę, a ja nie miałam pewności, dokąd mnie doprowadzi.

Spędziłam z Raylene trzy dni, a potem mama zadzwoniła, by powiedzieć, że albo wracam do domu, albo muszę zacząć chodzić do szkoły tutaj. Dość dawno temu słyszałam o wiejskiej szkole od Garveya, wiedziałam, że zniechęciłabym ją. Nie mieli tu nawet biblioteki. Z wahaniem wróciłam do mieszkania nad targiem rybnym. Mama kupiła mi nowe trampki, bo poprzednią parę zdążyłam już zedrzeć, ale nie powiedziała ani słowa na temat mojej ucieczki. Parę razy przyłapałam ją, jak patrzyła na mnie z wyrazem bolesnego skupienia, lecz nie zapytałam, o czym myśli. Reese powiedziała, że mama była wściekła, gdy zniknęłam z domu, i już miała zadzwonić na policję, kiedy otrzymała telefon od Raylene.

- Rozmawiały dosyć długo.

Ciocia Raylene powiedziała mamie, że powinna pozwolić ci się wyciszyć, a mama na to, żeby Raylene nie mieszała się w nie swoje sprawy. Sądziłam, że zaczną się na siebie wydzierać jak to zwykle, ale mama w pewnej chwili po prostu się poddała. Odparła, że nie wie, co ma z tobą zrobić, w ogóle nic już nie wie i że możesz zostać z Raylene na zawsze, jeżeli tylko zechcesz.

Reese uśmiechnęła się do mnie przymilnie.

- Nie spodziewałam się, że wrócisz. Myślałam, że będę już zawsze mogła spać po twojej stronie łóżka. - Reese najbardziej skarżyła się, że musiała spać pośrodku, bo mama i ja sypiałyśmy raczej niespokojnie. - Nie chciałabym, aby

mama wściekła się kiedyś na mnie tak jak na ciebie - dodała. - Nie rozumiem, jak możesz w ogóle to znieść.

Ja też tego nie wiedziałam.

Zupełnie jakby świat zaczął rozpadać się w zwolnionym tempie. Dwa dni po moim powrocie najmłodsze dziecko Almy w końcu zmarło, serduszko przestało bić, czego wszyscy spodziewali się, odkąd mała przyszła na świat. Fay zadzwoniła do mamy z tą wiadomością, a Raylene zjawiała się, by zostać ze mną i z Reese na czas pobytu mamy u Almy.

- Zawsze miałaś z nią najlepszy kontakt - powiedziała do mamy Raylene - a ona ciężko to zniosła. Zupełnie jakby nikt z nas się tego nie spodziewał.

- Wiesz, jak Alma kochała małą Annie - odparła mama. - Może spodziewała się, że mała umrze, ale na pewno chciała, by żyła.

Nawet w mieszkaniu słyszałam, co mówiła, chociaż ona była już wtedy na podeście.

Mówiła cicho, ale słowa były tak pełne napięcia, że podeszłam do drzwi.

Patrzyłam, jak mama schodzi po schodach, podczas gdy Reese wprowadziła Raylene do środka, by pochwalić się kolorowankami. Któregoś razu babcia opowiedziała mi o tym, jak mama wkrótce po moich urodzinach poszła ze mną do gmachu sądu i posprzeczała się tam z urzędnikiem o sposób, w jaki wypisano mój akt urodzenia. Gdy mi o tym opowiadała, oczy babci błyszczały, a jej usta wykrzywiały drapieżny uśmiezek.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo mama cię kocha - rzekła. - Nawet sobie tego nie wyobrażasz.

Może tak jak ciocia Alma kochała Annie albo jak Ruth swoich synów - D.W, Dwighta i Tommyego Lee, do tego stopnia, że zmusiła Travisa, by opóźnił ceremonię pogrzebową do czasu, aż wróci do domu. Obgryzając paznokcie, patrzyłam, jak mama znika w oddali i zastanawiałam się, czy wciąż mnie jeszcze kochała i co zrobię, kiedy wrócimy w końcu do tatki Glena.

Raylene przywiozła ze sobą domowej roboty przetwory z jagód. Ona i Reese zrobiły ciasto z jagodami według przepisu, który Raylene poznała, gdy była w trasie z wesołym miasteczkiem. Na dno rynienki położyły trochę masła, posypały je brązowym cukrem, po czym wrzuciły na to jagody, znów masło i na to wszystko szczyptę białego cukru. Górną warstwę stanowiło nieosłodzone ciasto biszkoptowe. Pół godziny i ciasto z jagodami było gotowe. Nie było tak pyszne jak ciasta cioci Fay, ale Reese się nim zajadała, sama opędzłowała prawie pół rynienki. Potem leniwie oparła się o stół i prawie przysypiała, z lekko rozchyłonymi niebieskimi ustami.

Ciocia Raylene przejrzała malunki i wybrała ten z japońskim pejzażem, którego nie chciało mi się dokończyć. Pomachała nim w moją stronę.

- Reese mówi, że nie chcesz jej go dać, a przecież jest nawet nieskończony.

- Może kiedyś go dokończę.

Raylene odłożyła malunek na miejsce. Spodziewałam się, że powie coś więcej, ale tylko się odwróciła i zaczęła sprzątać w kuchni.

Wciąż jeszcze było wczesnie. Wyszłam na podest, by patrzeć stamtąd na przejeżdżające auta, mieszkańców pobliskiego osiedla spieszących do nowego sklepu spożywczego, który oferował wiele towarów w promocji, ciężarówki z mężczyznami wracającymi z pracy do domu, autobus z kościoła baptystów w Bushy Creek z gromadką ciekawskich dzieci rozglądających się dokoła i przypatrujących mi się nienawistnym wzrokiem. Ja też spojrzałam na nie spode łba. Gniew jak wolno sączący się jad zatrzymał moją duszę, ucząc mnie nienawidzić tych, którzy pałali nienawiścią wobec mnie. Za kogo one się uważają? - szepnęłam do siebie. Myślą, że są ode mnie lepsze? Ze udało im się złapać Pana Boga za nogi? Czym się wyróżniają, tym, że co niedziela z rana siadają na ganku i patrzą na cały świat z pogardą?

- Nienawidzę ich - powiedziałam do cioci Raylene, gdy podeszła do mnie z tyłu, machając do przejeżdżającego właśnie autobusu. - Gapią się na nas jak na paskudne dziwolągi.

Ciocia Raylene wydłubywała nasiona jagód spomiędzy zębów. Wlepiała wzrok w przestrzeń i zaskoczyła mnie, wyciągając rękę i poklepując mnie po ramieniu.

- Patrzą na ciebie tak, jak ty patrzysz na nie - odparła bez ogródek. - Nie wiesz, kim są te dzieciaki. Może są wredne, głupie i pełne nienawiści. A może nie. Nie wiesz, co się z nimi dzieje, gdy wracają do domu. Nie znasz ich rodziców ani krewnych, nie wiesz, czemu coś robią ani czego się boją. Noszą inne ciuchy niż ty i przejeżdżają szybko obok, dlatego wydaje ci się, że są bogate, okrutne i źle o tobie myślą. Może patrzą, jak siedzisz tutaj, zajadasz jagody i łypiesz na nie spode łba - i po prostu ci zazdroszczą, pragną tego, co masz i boją się, co mogłabyś im zrobić, gdyby kiedykolwiek weszły na twoje podwórko.

Sięgnęła, wyjęła z kieszeni kapciuch i zaczęła zwijać skręta.

- Wymyślasz różne historyjki na ich temat. Wymyśl historię, w której musiałybyś zamieszkać tam, gdzie one, należeć do ich rodziny i przejeżdżać tą drogą. Spójrz na to z ich punktu widzenia. Może wtedy przestaniesz traktować innych z góry i nienawidzić ich bez powodu.

Spojrzałam na nią z kwaśną miną.

- Ludzie mówią, że uciekłaś z wesołym miasteczkiem, aby być z mężczyzną, który tam pracował, ale nigdy nie wspominają o nim choćby słowem. Jak to się stało, że cię nie poślubił?

Bibułka w dłoni cioci Raylene zadrzała.

- Ludzie mówią? Ludzie gadają różne rzeczy. Uciekłam z wesołym miasteczkiem, to fakt, ale nie zrobiłam tego dla mężczyzny, zrobiłam to dla siebie. I nigdy nie chciałam nikogo poślubić. Lubię swoje życie takie, jakie jest, dziewczyno. Sama o nie zadbałam, tak jak ty najwyraźniej dbasz o swoje, dzięki mojej dumie, uporowi i sporej dawce gniewu. Lepiej dobrze się zastanów, Ruth Anne, czego naprawdę chcesz i na kogo jesteś zła. Powiadam ci, myśl intensywnie.

Polizała bibułkę i sklepiła skręta. Zapaliła go i włożyła zużyta zapalną do kieszeni. Paliła powoli, z namaszczaniem, obserwując mnie, jakby liczyła, że spróbuję się z nią pokłócić, ale w porę zdążyłam się pohamować. Kiedy w końcu znów się odezwała, lekko drżał jej głos.

- Nie jest dziś tak zimno. Wcale nie jest zimno. To ani chybi znak, że nadchodzi wiosna.

Odwróciłam głowę i nie powiedziałam ani słowa. Po chwili Raylene wzruszyła ramionami i wróciła do środka. Ja przykucnęłam i objęłam kolana ramionami. Obserwowałam przejeżdżające auta i słuchałam, jak Reese przekomarza się z ciocią Raylene, która kazała jej już iść do łóżka. Zamknęłam oczy i spróbowałam wymyślić dla siebie historyjkę. Udałam, że wróciłyśmy do tamtego domu, w West Greenville, który mama tak bardzo lubiła, że tatko Glen wstąpił do kościoła zielonoświątkowców i zdobył pracę obwoźnego sprzedawcy, dzięki czemu zarabiał mnóstwo pieniędzy, a równocześnie spędzał wiele czasu z dala od domu. Wyobrażałam sobie, że mama zmieniła pracę na taką, w której mogła siedzieć tak długo, jak tylko miała ochotę, gdzie zarobki były spore, gdzie nigdy się nie poparzyła ani nie musiała spinać włosów z tyłu tak mocno, że aż bolała ją od tego głowa. Może mogłaby zostać nauczycielką? Albo jedną ze sprzedawczyń kosmetyków u Jordana Marsha? Przygryzłam wargi i wyobraziłam sobie to wszystko - Reese w nowej sukience na Wielkanoc, siebie samą z całą masą książek, które chciałam przeczytać, mamę siedzącą na słońcu z uniesionymi nieznacznie nogami, tatkę Glena przebywającego gdzieś daleko w trasie i powracającego do domu tylko po to, by wywołać uśmiech na ustach mamy. Zasnęłam i śniłam o tym, i muszę przyznać, że był on naprawdę cudowny.

Rozdział dziewiętnasty

Tej wiosny burze były niesamowite, istne oberwania chmury, strugi deszczu zalewały wszystko, od rozpadających się starych ruder przy Old Henderson Road po magazyny i kafejki przy White Horse Road, ale dzień, kiedy ciocia Alma oszalała, był wyjątkowo pogodny, upalny i suchy, błoto na drogach i podjazdach wyschło, tworząc sztywne wzniesienia. Był poniedziałek, tego dnia Reese po szkole miała udać się do Fay i Nevila i pójść z ich córkami na zakupy.

- Ma prawie dziewięć lat - rzekła do mamy Fay. - Jest już dość duża. Nie wolno być nadmiernie opiekuńczą.

Kiedy Reese zaczęła ją prosić, mama, choć z pewnym wahaniem, zgodziła się.

Wracałam powoli do domu, próbując sprawić, by moja spódnica nie wydymała się na wietrze, i rozmyślając o luksusie wolnej godziny lub dwóch, zanim Reese wróci do domu, kiedy będę mogła poleżeć na kanapie, słuchając radia, pijąc coca-cole i czytając powieść, którą w końcu udało mi się zwędzić z biblioteki. Gdy mijalam Woolwortha, przytrzymując jedną ręką spódniczkę, w podmuchach wiosennego wiatru, a w drugiej niosąc buty, zobaczyłam mamę wychodzącą z mieszkania i zbiegającą po schodach. Wciąż miała siatkę na włosach i białe buty na płaskim obcasie, toteż nie mogła być w domu długo. Po sposobie, w jaki się poruszała, zauważyłam, że coś jest nie tak, więc przyspieszyłam kroku i dotarłam do auta w tej samej chwili co ona. Zanim schwyciłam dłoń za klamkę, mama uruchomiła silnik pontiaca. Wskoczyłam do środka i cisnęłam moje książki na tylne siedzenie, zanim zdążyła mnie powstrzymać, ale zaskoczyła mnie tym, że nie kazała mi wysiąść, tylko dodała gazu i wóz z piskiem opon wypadł na autostradę.

- Chodzi o twoją ciocię Almę - oznajmiła. - Mały Earle dzwonił. Wydawał się przerażony. Nie wiem nawet, co się właściwie stało, więc nie pytaj.

Mama miała srogą minę, była wystraszona i wściekła zarazem. Zastanawiałam się, co się stało, czy wujek Wade coś narozrabiał, czy może któryś z kuzynów. Od śmierci Annie cioci Almie mogły się przydarzyć różne rzeczy.

- Czyż nie prowadzimy urozmaiconego życia? - zapytała ciocia Alma, gdy widziałyśmy się ostatnio. - Przez cały czas spotykają nas jakieś tragedie.

Skoncentrowałam się na ściskaniu klamki przy drzwiczkach, gdy mknęłyśmy w stronę West Greenville Highway. Skręciłyśmy w zjazd przy Old Henderson Road, minęłyśmy stację benzynową, gdzie wujek Wade pracował przed swoim wypadkiem, a stamtąd zjechałyśmy w polną drogę, gdzie za rok

rzekomo miała być budowana autostrada międzystanowa. Ciocia Alma mieszkała na jednej z opustoszałych, przeznaczonych do wyburzenia farm i wprowadziła się tam po śmierci Ruth.

Mały Earle czekał na nas przy płocie, opodał skrzynki na listy, twarz miał bladą, na koszuli brązowe zacieki z błota. Na górnej wardze można było dostrzec smarki i przez cały czas wycierał rękami przód koszuli, w miejscu gdzie był najbardziej ubłocony. Mama nie wysiadła z auta, tylko zatrzymała wóz i wychyliła się przez opuszczoną szybę.

- Wszystko w porządku? - zapytała, a on pokiwał głową. Jakoś nie wydawało mi się, aby było z nim wszystko w porządku.

- Jest teraz w domu - wyszeptał, jakby bał się odezwać głośniej. - Próbowałem. Naprawdę próbowałem, ale nie pozwoliła mi nic zrobić. - Objął się mocno ramionami. - Jest tam sama. Zabrałem dziewczynki i zadzwoniłem do was. - Zapadła cisza, bo po paru słowach łapczywie nabierał powietrza. - A potem wujek Earle. Wujek Earle zabronił mi tam wracać, a ona tak mnie wystraszyła, że hej. Mama mnie wystraszyła. - Przerwał i spojrzał w stronę pylistego podjazdu biegnącego opodał i znikającego wśród sosen. - O, Boże, ciociu, jej kompletnie odbiła szajba. Dokładnie tak, jak przewidywał tato!

- Wytrzymaj buzię i nic nie mów - rzuciła oschle mama. - Niedługo przyślę po ciebie Kostkę i nie chcę, żebyś niepotrzebnie wystraszył swoje siostry. Obmyj buzię i doprowadź się trochę do porządku.

W jej głosie pobrzmiwała nienawistna nuta, nigdy nie słyszałam, aby kiedykolwiek zwracała się w ten sposób do dziecka. Przestałam przyglądać się małemu Earlowi i przeniosłam wzrok na nią. Omal nie spadłam z siedzenia, gdy mama uruchomiła silnik i ostro wjechała na podjazd. Z tyłu, za nami usłyszałam ryk innego silnika i obejrzawszy się przez ramię, zobaczyłam wzbijającego kłęby rdzawego kurzu pikapa wujka Earle'a. Słysząc było brzęk narzędzi na pace. Wujek krzyczał coś, ale mama nie zatrzymała się, tylko wjechała na podwórze i omal nie stratowała beczek okalających ogródek. Zatrzymała wóz, wyłączyła silnik i wyskoczyła z wozu. Przesunęłam się na fotel kierowcy, aby wybiec w ślad za nią, ale mama nie odwracając się, zabroniła mi wysiadać z pontiaca. Znieruchomiałam, podczas gdy ona pobięła w stronę ganku i skulonej na nim postaci cioci Almy.

Wokoło biegały spłoszone kurczaki, za pontakiem powoli opadał kurz, ale poza tym dokoła panowały cisza i spokój. Zauważyłam kilka białych jak ściana twarzy patrzących spoza drucianej siatki - Patsy Ruth, Reese i córek Fay, Grace i Mattie. Słońce prażyło, było gorąco i parno, ale pod orzechem wciąż nie wyschły kałuże. Nie dostrzegłam wujka Wade'a ani jego pikapu i wszystko

wydawało się dziwnie spokojne. I nagle zauważyłam, że wszystkie kosze z kwiatami cioci Almy walały się na podwórzu, wszędzie było pełno ziół i pąków. Przy jednym z koszy leżała porcelanowa wyżymaczka ze starej pralki, a niewyraźne kształty wśród kałuż i kurzu okazały się ubraniami. Doszedł mnie głos mamy, kojący szept delikatnie akcentowanych słów, które przypomniały mi to, jak ciocia Alma zwracała się do małej Annie. Ciocia Alma nic nie mówiła, siedziała skulona i nie zareagowała, gdy mama objęła ją i zaczęła szeptać jej do ucha uspokajające, pozbawione sensu słowa.

Po cichu otworzyłam drzwiczki auta i wysiadłam. Nadepnęłam na widelec wbity zębami w ziemię. Wszędzie walały się talerze i naczynia kuchenne, z rozwalonego klombu sterczała ubijaczka do jajek. Przystąpiłam potłuczony talerz, dostrzegłam pod gankiem tuziny szpułek nici, a pod prawą przednią oponą pontiaca kombinerki. Wszystko pokrywał kurz, dopiero z bliska można było dostrzec szczegóły i rozpoznać poszczególne przedmioty. Podmuch wiatru zwał kilka pasemek rudobrązowych włosów ze szczotki leżącej obok strzaskanego lusterka, przy błotniku auta. Schyliłam się i zauważyłam plik wyblakłych zdjęć, na wpół zagrzebanych pod zmiażdżonymi płatkami egzotycznych kwiatów. Kanciasty kształt opodal wyglądał jak żaluzje, które u cioci Almy wisały w łazience.

- Kochanie. Dziewczyno. Już wszystko dobrze - mówiła mama.

Spojrzałam na nią. Ciocia Alma opierała stopy o mały stosik czarnych, nierównych kawałków czegoś, co było kiedyś płytami na czterdzieści pięć obrotów, a jej jasne pończochy zsunęły się aż na brązowe buty z pooblamywanymi obcasami. Miała ubłocone kolana i łydki, co widać było wyraźnie, bo kwiecista sukienka, którą miała na sobie, zadarła się jej do połowy ud. Poniżej kolan zwieszała się jej też biała bawełniana halka. Rękawy wyblakłego niebieskiego swetra miała podciągnięte i ubłocone jak sukienkę. Ręce brudne, zakurzone, paznokcie połamane i skórki powyrywane do żywego mięsa.

Ujrzałam krew. Wśród plam z błota na dłoniach, sukience, swetrze, łydkach i twarzy cioci Almy była krew. To krew pozlepiała jej włosy. Przeszedł mnie dreszcz, a skóra na czubku głowy zaczęła mnie piec i świerzbić na przemian. Ciocia Alma splotła palce dłoni na podolku. Patrzyła przed siebie, ale wzrok miała mętny. Powoli rozwarła palce i uniosła je do twarzy, przesuwając pokiereszowanymi paznokciami po policzkach, by odgarnąć włosy do tyłu, i przy okazji umazała sobie krwią skronie. Miała rany na przedramionach, na lewym policzku i jeszcze jedną na szyi, pod brodą. Rozdziawiłam usta.

Odwrociłam głowę, wszędzie było szkło, potrzaskane, błyszczące w słońcu odłamki szkła. Stałam boso na podwórzu pełnym walającego się szkła.

- On niedługo wróci - odezwała się ciocia Alma. - Wróci lada chwila, ja to wiem. Jestem przygotowana na jego powrót.

- Tak - rzekła mama. - Widzę, kochanie. Na pewno. Obie posiedzimy tu i zaczekamy na niego. - Przez cały czas patrzyła Almie prosto w oczy, jakby tylko jej obecność utrzymywała Almę w ryzach. Jedna z dziewczynek stojących przy ogrodzie zaczęła nagle pochlipywać. Odwróciłam się, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że wszyscy do reszty postradali rozum. Kobiety w całym Greenville złączą jedna po drugiej rozbijać sprzęty domowe, a potem usiądą i będą czekać na koniec świata, wschód słońca czy Bóg wie co jeszcze. Mnie ten pomysł wydał się doskonały.

- Kostko, odejdz stamtąd - usłyszałam szept wujka Earle'a.

Stał przy zakręcie drogi, opodal zagajnika sosnowego, jego czarne włosy lśniły w słońcu, a na twarzy malował się niemal komiczny wyraz silnego zdenerwowania.

- Chodź, dziewczyno. Wsiądź do auta, pozwól, żeby twoja mama się tym zajęła. - Dłonie oparł na udach, szczęki miał mocno zaciśnięte. Wydawał się śmiertelnie przerażony.

- Poderżnę mu gardło - oświadczyła ze spokojem ciocia Alma. - Już nawet przygotowałam brzytwę.

- Gdzie ją masz? - spytała mama.

- W kieszeni. - Ciocia Alma poklepała kieszonkę przy sukience. Wsunęła prawą dłoń do kieszeni, której wcześniej nie zauważyłam, i wyciągnęła brzytwę, z ostrzem złożonym w gładkiej, obłej rękojeści. Energicznie ruszyła nadgarstkiem i otworzyła brzytwę, srebrzyste ostrze zaślniło w promieniach słońca. Uniosła lewą rękę i położyła na niej otwartą brzytwę, wpatrując się w błyszczący przedmiot jak w największy skarb.

- Tak, to w zupełności wystarczy - powiedziała mama rzeczowym, spokojnym tonem. Zerknęła na mnie. - Kostko, wejdz do środka i przynieś cioci szklankę herbaty. - Przeniosła wzrok na wujka Earle'a i nieznacznie pokręciła głową. Earle potaknął bezgłośnie i zaczął wycofywać się w stronę zagajnika. - Musisz się trochę ogarnąć, Almo. Wyglądasz, jakby złapała cię burza.

Zaśmiała się półgłosem i delikatnie pociągnęła siostrę za rękę. Alma zadrżała i skuliła się nad brzytwą. Mama znieruchomiała, twarz miała pozbawioną wyrazu.

Spojrzałam na nie. Nigdy jeszcze nie były do siebie bardziej podobne. Ciocia Alma była o dziesięć lat starsza od mamy i o jakieś dwadzieścia funtów cięższa, ale miała równie twarde rysy twarzy i zapadnięte, podkrążone oczy. Ich włosy były tak samo suche i delikatne, tyle że mama miała jaśniejsze od częstych płukanek i spłaszczone, bo w pracy nosiła siateczkę ochronną. Włosy cioci Almy miały lekko rudawy odcień typowy dla wszystkich kobiet z jej strony naszej rodziny. Ale najbardziej podobne były ich szyje, napięte, z węzłami ścięgien sterczących spod skóry, tak że zagłębienia przy obojczykach wydawały się jeszcze głębsze i bardziej rzucały się w oczy. Skórę miały jednakową, szorstką od ciężkiej pracy i zaczerwienioną pod opalenizną, choć ciocia Alma nie używała makijażu, a mama była cała spocona. Nie ulegało wątpliwości, że należały do jednej rodziny i w dodatku były siostrami; kiedy głośno przełknęłam ślinę, obie odwróciły się ode mnie z tym samym wyrazem twarzy.

- Nie można cię poprosić nawet o taki drobiazg? - rzuciła mama, jakby ciocia Alma nie siedziała umazana od stóp do głów własną krwią.

Ciocia Alma drgnęła, uniosła głowę i spojrzała na mnie. Nie wiedziałam, co mam zrobić ze stopami.

- Ech, te dziewczynki. - Ciocia Alma westchnęła. - Wiecznie tylko myślą o niebieskich migdałach. Marzycielki.

- To fakt - przyznała mama i pokręciła głową z rezygnacją. Miałam chęć wybuchnąć śmiechem, ale tylko się zaczerwieniłam. He muszę mieć lat, żeby przestały w końcu tak o mnie mówić? Wzięłam głęboki oddech i przestąpiłam porozwalane doniczki, połamane płyty i weszłam po schodach. W drzwiach też walały się rozmaite rzeczy, przez co nie można było domknąć siatkowych drzwi. Krzesła w kuchni rozbito na kawałki, stół przewrócono, szuflady kredensu powyjmowano, a zawartość opróżniono na podłogę. Powoli podeszłam do lodówki, zdziwiona, że te drzwiczki pozostały zamknięte, ale jeszcze bardziej zdumiało mnie, że zawartość pozostała nienaruszona, a w zamrażarce był lód. Herbata była już gotowa, cały dzbanek. Zawróciłam w stronę ganku, by ujrzeć mamę i ciocię Almę, które wciąż siedziały na stopniach.

- Ty też napijesz się herbaty, mamo? - zapytałam półgłosem.

- Z przyjemnością, kochanie. - Objęła ciocię Almę i mocno przytuliła. - Twoja ciocia i ja chcemy tu trochę posiedzieć, zanim weźmiemy się w końcu do sprzątnia.

- Chcę jeszcze jedno dziecko - mówiła bełkotliwym głosem ciocia Alma. Ułożyłyśmy ją w łóżku Patsy Ruth, okutaną w koce, z obandażowanymi

rękami. Wielkie, stare łóżko Almy zostało rozłupane na dwoje, choć nie miałyśmy pojęcia, jak udało się jej przełamać grube, dębowe wezglowie. Leżała teraz, mamrocząc z cicha, bełkotliwym tonem po tym, jak mama zaaplikowała jej miksturę z whiskey, gorącej wody, miodu i cytryny.

- Tak mu powiedziałam. Powiedziałam, że chcę jeszcze jedną małą dziewczynkę. - Przerwała. Wciąż trzymała w ręku zamkniętą brzytwę, ale ścisnęła ją tak mocno, że nie zdołałyśmy jej odebrać.

Trochę ogarnęłyśmy dom, wysłałyśmy dzieciaki do cioci Raylene i dopilnowałyśmy, aby wujek Wade nie wrócił do domu, dopóki po niego nie pošlemy. Podwórze posprzątałyśmy tylko z grubsza, zbierając potłuczone szkło i porozrzucane rzeczy, po czym opatrzyłyśmy ciocię Almę. Żadne z dzieci nie ucierpiało, wystraszyły się tylko. Jediną ofiarą było jedno ze szczeniąt, na które spadło coś ciężkiego, łamiąc mu kark. Grey i Garvey zjawili się przed zmierzchem, aby zająć się podwórzem i pozaganiać biegające dokoła zwierzęta. Mama nie pozwoliła chłopcom wejść do domu. Patrzyłam na nich przez pewien czas, gdy kręcili się tam i z powrotem, kręcąc głowami i nie mogąc nadziwić się rozmiarom zniszczeń dokonanych przez ciocię Almę.

Mama pozostała przy Almie, próbując ją uspokoić i wyciszyć, przez cały czas osłaniała mnie swoim ciałem przed brzytwą, którą ciocia trzymała w lewym ręku. Rozmawiała, jakby nic się nie stało, mówiła głównie o mnie, o tym, jaka ze mnie marzycielka, jak wolno reaguję na polecenia i jak bardzo przypominam moją stryjeczną babkę Malvenę. Zdziwiłam się, słysząc to wszystko, zwłaszcza gdy powiedziała, że zostanę z Almą i trochę jej pomogę, bo przecież właśnie nadeszła wiosna.

- Przydałaby ci się tutaj pomoc, Almo - rzekła do niej mama. - Na pewno ucieszyłabyś się z towarzystwa Kostki. Może nawet od czasu do czasu zaśpiewałaby dla ciebie.

Rozdziawiłam usta i stanęłam jak zahipnotyzowana tak blisko łóżka, jak tylko się odważyłam. Czy mówiła serio? Czy naprawdę uważała, że można na mnie polegać? Czy faktycznie przypominałam babcię Malvenę? Czy naprawdę sądziła, że umiem śpiewać?

Ciocia Alma prawie nie zwracała uwagi na słowa mamy, tylko wciąż skarżyła się na wujka Wade'a.

- Powiedziałam: „Daj mi dziecko, Wade. Po prostu daj mi dziecko”. - Próbowała usiąść, a mama nachyliła się, by ją uspokoić, i ułożyła się obok niej. - Wiesz, co mi odpowiedział? Wiesz, co powiedział? - rzekła Alma, ścisnąc mamę kurczowo za rękę. Nie czekała na odpowiedź. Schwyciła rąbek koca i zaciskając pięść, potrząsnęła nią, cedząc przez zęby. - Powiedział: „Sęka w tym,

że ja nie chcę tego samego co ty. Jesteś stara, brzydka i tłusta jak krowa taplająca się w kałuży skwaśniałego mleka. Nie tknąłbym cię, nawet gdybyś wykapała się w wannie pełnej whiskey i nałożyła torbę na głowę". Śmiał się ze mnie. A potem po prostu wyszedł. - Położyła się na łóżku. Łzy spływały jej po twarzy, wargi się zacisnęły. Pokręciła głową. - Przez cały ten czas dbałam o niego, kochałam go, rodziłam mu dzieci, prałam, gotowałam i kochałam go. Kochałam go, a on tak mnie potraktował. - Zaczęła szlochać. To był rozdierający dźwięk. - I jeszcze Annie! - rzuciła przez łzy.

Mama przytuliła ciocię Almę jak małą dziewczynkę i kołysała ją delikatnie. To nie trwało długo. W ciszy, jaka potem zapadła, obie zaczęły szeptać między sobą, ale nie dosłyszałam słów. Chyba mama powiedziała, że Wade jest czuły i kochający i że Alma nadal go kocha. I wtedy głos cioci znów zabrzmiał mocno i zdecydowanie.

- Właśnie dlatego zamierzam poderżnąć mu gardło - odparła lakonicznie. - Gdybym nie kochała tego sukinsyna, pozwoliłabym, aby żył wiecznie.

- Kiedy kobieta zaczyna świrować, lepiej nie wchodzić jej w drogę - rzekł żartobliwie wujek Earle do Greya i Garveya, gdy wieczorem stali we trzech na ganku, paląc i pijąc piwo. Tak bardzo chcieli wejść do domu, że mama im w końcu pozwoliła, powynosili więc niektóre połamane meble i zrobili to po cichu, aby nie budzić Almy.

- Ech, te kobiety - mruknął Garvey. - Ale przecież nietrudno nimi kierować.

- Tak ci się wydaje! - Wujek Earle zaśmiał się. - Powiadam ci, chłopcze, nigdy nie wiesz, co może zrobić kobieta. Pamiętasz tę małą z Nashville, którą przywiozłem tu przed dwoma laty, takie słodkie maleństwo, nie większe od Kostki, jasnowłose, blade i rozchichotane?

- Nieduża, tak. - Grey prawie się roześmiał. Chyba dobrze ją pamiętał. - Była tak nieśmiała, że nikt do końca jej nie znał.

- No więc owo maleństwo - ciągnął wujek Earle - ta mała istotka którejś nocy omal nie obcięła mi jaj nożyczkami. Ledwie się jej wymknąłem, a ona była strasznie zawzięta. Gdyby nie to, że byłem od niej dwa razy cięższy i z dziesięć razy bardziej przerażony, zrobiłaby ze mnie eunucha. - Zaśmiał się, jakby na myśl o tym ogarnęło go zdenerwowanie. - Powiadam wam, kobiety są niebezpieczne. Nie należy o tym zapominać. - Oparłam się twarzą o siatkowe drzwi. Zaskrzypiały nieznacznie i wszyscy spojrzeli w moją stronę. Na tle światła płynącego z kuchni musiałam wyglądać jak nocna zjawą, bo wszyscy wzdrygnęli się gwałtownie. Oblicze Earle'a znieruchomiało.

- Kostko - powiedział. - Lepiej wróć do mamy. Może potrzebować twojej pomocy.

Grey stał w milczeniu obok Earle'a, trzymając w dłoni puszkę piwa. Odczekałam chwilę, patrząc na niego i wspominając, jak obiecał mi, że nigdy nikomu nie powie o tym, co zrobiliśmy. Uniósł puszkę i wypił spory łyk. Wydawał się taki dumny, że stoi na ganku i pije razem z wujkiem Earle'em.

- Nie słyszałaś, co powiedział Earle? - rzucił oschle Garvey. Spojrzałam na niego i parsknęłam drwiąco. Mały chłopiec pozujący na mężczyznę nie mógł mnie przestraszyć, ale mimo to zrejterowałam. Doskonale pamiętałam tę dziewczynę z Nashville. Była tak nieśmiała, że jąkała się, odpowiadając na każde pytanie, i w dodatku bała się wszelkiego robactwa. Przekomarzaliśmy się z nią, aż zaczynała płakać i biegła do Earle'a, jakby był jej ojcem, a nie potencjalnym przyszłym mężem. Nie wyglądała na kogoś, kto mógłby kogokolwiek skrzywdzić ani nawet o tym pomyśleć. Nie tak jak ciocia Alma, która była w sumie Boatwrightówną i nawet gdy nie dostawała świra, mogła być równie groźna jak każdy mężczyzna.

Ale z kobietami nigdy nie wiadomo, skonstatowałam. Spojrzałam na swoje dłonie w słabym świetle lampy, którą mama pozostawiła na kontuarze przy zlewie. Moje dłonie były drobne, pod bladą skórą rysowały się sine żyłki jak u mamy i Almy. Wszystkie miałyśmy małe dłonie. Spojrzałam w stronę sypialni. Nawet stąd widziałam rozbebeszone, zniszczone łóżko.

Nie, pomyślałam, z kobietami nigdy nic nie wiadomo. I kto wie, może tak samo jest z dziewczętami.

- Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo przypominasz Alnę. - Był prawie ranek. Głos mamy dochodził z ciemności, od strony drzwi. - Ale kiedy siedziałyśmy na schodach, a ty stałaś na podwórzu, ujrzałam to wyraźnie. Zobaczyłam cię taką, jaką będziesz, gdy dorośniesz. Będziesz tak piękna jak Alma w twoim wieku, piękniejsza, niż możesz sobie wyobrazić.

Milczałam. Otuliłam się kocem, siedząc na materacu małego Earle'a pod ścianą, gdzie położyłyśmy go wcześniej tego wieczoru. Ciocia Alma w końcu zasnęła, a mama uznała, że my też powinnyśmy trochę odpocząć. Ona jednak jeszcze przez godzinę siedziała oparta o poduszkę, paląc papierosa, a ja wpatrywałam się w ciemność, słuchając krów wędrujących po pastwisku w pobliżu domu.

Mama poruszyła się niespokojnie i odwróciła w moją stronę.

- Kostko - rzekła półgłosem. - O czym tak ciągle rozmyślasz?

- W zasadzie o niczym. - Spojrzałam na żarzący się koniuszek papierosa. Moje oczy przywykły do ciemności i mogłam dostrzec kontur jej ciała, ramiona wsparte na poduszce i ręce spoczywające na kocu. - O niczym ważnym.

- Jesteś stale taka cicha, ciągle tylko obserwujesz. - Głos mamy był łagodny, delikatny i wyciszony jak rzadko kiedy. - Wiem, kiedy się złościś. Masz wtedy okrutną twarz, a ostatnio stale cię taką widziałam. - Poruszyła się nieznacznie i zgasiła papierosa w talerzyku stojącym na podłodze. - Sęk w tym, że kiedy się złościś, nie potrafię odgadnąć, co się dzieje w twoim wnętrzu. Nigdy nie wydajesz się szczęśliwa. Sprawiasz wrażenie, jakbyś na coś czekała. Na co czekasz, Kostko?

Na twój powrót do tatki Glena, pomyślałam i mocniej otuliłam ramiona kocem.

- Kostko?

Przyłożyłam kłykcie do szyi, poczułam ciepło i tętno pulsujące pod skórą.

- Kostko, śpisz?

- Nie.

- Nie chcesz ze mną porozmawiać?

Moje palce były wilgotne, podobnie jak podbródek i brzeg koca. Przypomniałam sobie spojrzenie cioci Almy tego popołudnia, kiedy mówiła o swojej miłości do Wade'a i chęci zabicia go. Nie rozumiałam tego rodzaju miłości. Nie rozumiałam niczego. Przełknęłam ślinę i próbowałam stłumić w sobie wszelkie emocje.

- Wciąż się na mnie złościś, prawda? - Mama sprawiała wrażenie, jakby była bliska łez. Pochyliłam się i przytknęłam usta do brzegu koca. - Nic mi nie powiesz?

Na ciemnym pastwisku jedna z krów zamuczała. Znów przełknęłam ślinę.

- Czekam, aż wrócisz do domu - odparłam. - Czekam, kiedy wrócisz do tatki Glena.

Zapanowała długa cisza.

- Sądziś, że mam taki zamiar? - szepnęła w końcu mama.

- Owszem - odpowiedziałam.

- Och, Kostko. - Usiadła, wyjęła następnego papierosa i zapaliła. W blasku dogasającej zapałki ujrzałam jej blade, lśniące policzki. - Podejdiesz tu i usiądziesz przy mnie?

- Nie. - Nawet nie drgnęłam. Miałam wrażenie, jakbym stała się nadwrażliwa, jakbym mogła usłyszeć wszystko: stapanie krów po wilgotnej trawie, krople rosy skapujące z dachu, dudnienie przepełnionego strachem serca mamy.

- Kostko, nie zniosłabym, gdybyś mnie znienawidziła - rzekła.

- Nie mogłabym cię znienawidzić - odparłam. - Nie mogłabym cię znienawidzić, mammo.

- Ale jesteś przekonana, że do niego wrócę.
- Tak. - Kaszlnęłam i odchrząknęłam.
- Boże, Kostko! Nie mogę wrócić. Nie chcę, żebyś mnie znienawidziła.
- Nigdy cię nie znienawidzę. - Wzięłam głęboki oddech i powiedziałam, siląc się na beznamiętny ton: - Wiem, że go kochasz. Wiem, że go potrzebujesz. A on jest dla ciebie dobry. Dla Reese też. On po prostu... - Zaniepokoiłam się przez chwilę. - Sama nie wiem.

Milczałyśmy przez jakiś czas. Kiedy mama znów się odezwała, jej głos brzmiał jak głos małej dziewczynki, zagubionej i przerażonej.

- Może on musi z kimś porozmawiać. Raylene mówiła, że może powinien skontaktować się z lekarzem.

Otadałam twarz i wzruszyłam ramionami. Czułam się zmęczona, śmiertelnie zmęczona, aż trudno mi było oddychać.

- Może - mruknęłam.

- Nie wrócę, dopóki nie upewnię się, że jesteś bezpieczna - oznajmiła mama z przekonaniem w głosie. - Obiecuję ci, Kostko.

- Nie wrócę. - Te słowa były tak ciche i obojętne, jakby nie wypłynęły z moich ust. Ale kiedy je wypowiedziałam, odzyskałam trochę werwy i animuszu.

- Nie próbowałabym cię do tego zmusić, kochanie.

- Wiem, że nie. Nie o to chodzi, mamó. Wiem, że nie próbowałabyś mnie zmusić.

Usiadłam, pochyliłam głowę i usłyszałam, że moje kręgi szyjne wydały dziwny odgłos, jakby mięśnie przestały się naprężyć. Kiedy znów się odezwałam, głos miałam silny, a słowa brzmiały czysto i wyraźnie.

- Wiem, że ty wrócisz, mamó, i może powinnaś. Nie wiem, co jest dla ciebie dobre, ale wiem, co sama muszę zrobić. Nie zamieszkać znów z tatką Glenem. Nie chcę. Mogłabym zostać na trochę u cioci Carr albo wprowadzić się do Raylene. Chyba ucieszyłaby się z mojej obecności. Ale niezależnie od tego, jaką podejmiesz decyzję, gdy wrócisz do tatki Glena, wiedz, że ja z tobą nie wracam.

- Kostko. - Mama poderwała się z materaca tak szybko, że odruchowo przywarłam palcami do ściany. Ujęła mnie za ramiona i lekko ścisnęła. - Co chcesz mi powiedzieć? - spytała.

Widziałam jej twarz. Musiał wzejść księżyc. W słabym świetle kości policzkowe i zapadnięte oczy mamy wyglądały upiornie. Była przerażona.

- Kocham cię - powiedziałam - ale nic innego nie przychodzi mi do głowy.

Ścisnęła mnie mocniej. Wbiła mi paznokcie w skórę, strach przydał jej sił. Pokręciła głową i przyciągnęła mnie ku sobie.

- O Boże, co ja zrobiłam! - zawołała.

- Przestań, mamó - rzekłam półgłosem. - Proszę. - Puściła mnie, ale wciąż klęczała tuż obok. Zastanawiałam się, czy widziała mnie równie wyraźnie jak ja ją. A skoro tak, to co dostrzegła na mojej twarzy.

Zaczęło padać. Nie było wiatru, krople deszczu bębniły o dach, to był przyjemny dźwięk. Mama zakryła oczy dłońmi.

- W porządku - powiedziała. - W porządku.

Przełknęłam ślinę. Chciałam wyciągnąć do niej rękę, powiedzieć, że jest mi przykro, że nie chciałam, że z nią wrócę, ale nie mogłam się poruszyć. Po dłuższej chwili mama wstała i wróciła na swój siennik. Już więcej nie paliła. Przykryła się kocem i znieruchomiła, mogło się wydawać, że zasnęła, kiedy tylko na dobre ułożyła się na pościeli.

Jakiś czas później, o świcie, gdy leżałam z głową przykrytą kocem, usłyszałam płacz mamy, starała się nie hałasować i prawie jej się udało. Zdradzał ją tylko urywany, nierówny, nerwowy oddech. Moje oczy były suche. Nie miałam ochoty płakać. Nie byłam pewna, czy jeszcze kiedykolwiek będę do tego zdolna.

Rozdział dwudziesty

U cioci Almy było naprawdę spokojnie. Nadeszła wiosna i na podwórzu i w okolicznych lasach na dobre się zazieleniło i zaroiło od śpiewających ptaków. Troje szczeniąt, które przeżyły, dokazywało i baraszkowało w najlepsze. Ubrania walające się na podwórzu trzeba było wytrzepać z kurzu przed praniem. Pralka działała bez zarzutu, choć Earle nie potrafił naprawić wyżymaczki. Rozwieszałam mokre rzeczy na sznurze, który Grey rozciągnął między gankiem a orzechem, choć nie do końca udało się je doprać i niektóre mama zdecydowała się wyrzucić. Przy ganku ułożyłam sporą stertę rzeczy tak zniszczonych, że nie można ich już było naprawić, a wujek Earle potem je wywiózł.

Alma powoli dochodziła do siebie. Nie miała ochoty na rozmowę, ja zresztą też nie. Mama pojawiała się na chwilę każdego popołudnia, potem co drugi dzień, aż w końcu raz na tydzień. Przynosiła Almie łakocie, puree z kukurydzy i fasoli, marynowane jarzyny, biszkopty. Dla mnie miała książki, zwykle w broszurowej oprawie i z drugiej ręki, albo pisma otrzymane od kobiet pracujących u Stevensa. Któregoś popołudnia Alma oddała jej brzytwę, którą nosiła w kieszeni fartucha.

- Myślę, że poczujesz się lepiej, jeśli ją gdzieś schowasz - powiedziała do mamy.

Obie spojrzały na zabójcze narzędzie.

- Na pewno nie będzie ci już potrzebna? - Mama powiodła palcami po gładkiej, polerowanej rękojeści, w której kryło się ostrze. - Jeżeli czujesz się dzięki temu lepiej, może powinnaś ją zatrzymać.

- Nie. - Ciocia Alma westchnęła i nerwowo przeczesала palcami włosy, które całkiem posiwiały w ciągu tygodni od owego incydentu, kiedy zdemolowała swój dom, a które skróciła brzytwą poprzedniego popołudnia. - Już jej nie potrzebuję. Wciąż nie chcę widzieć Wade'a, ale nie mam już ochoty podrzynać mu gardła.

- No i dobrze - mruknęła mama. - Niech żyje, aby cierpiał. Jest teraz u Fay, a Carr nie odstępuje go ani na chwilę. Twierdzi, że nie odważy się wrócić do domu, dopóki nie będzie miała pewności, że Wade'owi nic się nie stanie. Ale Wade jest narażony na ciągłe zrzędenie i marudzenie Carr i sprawia wrażenie, jakby mógł znowu coś sobie odstrzelić. Obie się uśmiechnęły.

Nikt nie wspominał ani słowem, że miałabym wrócić do szkoły. Mama przyniosła mi listę książek do przeczytania i list od nauczycielki, która napisała, że jeśli moja absencja nie potrwa dłużej niż miesiąc, powinnam

nadrobić zaległości. Zastanawiałam się, co powiedziała jej mama, ale nie zapytałam. Cieszyłam się, że nie muszę siedzieć na tych nudnych lekcjach, że mogę czytać książki, spędzać czas z Alną, kłaść się późno i wstawać, kiedy mam na to ochotę. Mama i ja znów zaczęłyśmy się dogadywać, ale ta więc była niezwykle krucha. Usłyszałam od Reese, że mama kilkakrotnie spotkała się z tatą Glenem i że znów rozmawiali. Próbowałam nie martwić się o przyszłość i nie myśleć za dużo na żaden temat. Pracowałam w ogródku Alny, by ocalić tyle ziół i kwiatów, ile tylko mogłam, zasadziłam przyniesione przez Raylene szczepy i sadzonki. Dni były jak marzenie, długie i ciepłe, noce przyjemne i chłodne. Nie miewałam żadnych snów i budziłam się spokojna.

Tego popołudnia, kiedy zjawił się tato Glen, Alna zajmowała się w ogrodzie sadzonkami pomidorów przyniesionymi dzień wcześniej przez Raylene. Zamierzałam wybrać się na piknik, spakowałam więc do płóciennej torby butelkę herbaty z cytryną i kilka kromek chleba z masłem orzechowym. Szczenięta wpadły do kuchni i uganiały się między moimi nogami, prosząc o coś dobrego. Dałam każdemu z nich odrobinę masła orzechowego i wyszłam na ganek, by patrzeć, jak zajadają z apetytem, a potem jeszcze oblizują sobie nawzajem mordki.

Śmiałam się z nich, gdy na podwórzu zajechał ford i z auta wysiadł tato Glen. Wyglądał tak samo, choć miał bliznę nad lewym okiem i kiedy szedł do ganku, wyraźnie utykał. Nosił ubranie robocze, spodnie khaki i białą koszulę z rękawami podwiniętymi do łokci. Brązowe buty miał zakurzone i znoszone. Jego policzki pokrywał drobny zarost, jakby ostatni raz golił się wczoraj wieczorem. Stałam i patrzyłam, jak wchodził po schodach, i nie wiedziałam, co mam teraz zrobić.

- Kostko - odezwał się. Głos miał głęboki i chrapliwy. Zastanawiałam się, czy ciocia Alna w ogródku za domem zdołała go usłyszeć. Oczy miał żywe, pełne napięcia, szczęki zaciśnięte. - Twojej mamy tu nie ma, prawda? - zapytał.

Pokręciłam głową, że nie. Schowałam ręce za plecami i mocno splotłam palce. On wszedł na ganek, otaksował mnie wzrokiem od stóp do głów. Jego usta zwarły się w cienką kreskę.

- Wydoroślałaś - rzekł. - Niedługo zaczniesz spotykać się z chłopcami. Wyjdiesz za mąż, może założysz własną rodzinę. - Splunął przez barierkę. - Złamiesz jakiemuś mężczyźnie serce, tylko dlatego, że możesz.

Oblizyłam usta, rozwarłam dłonie.

- Przyniosę coś do picia - powiedziałam.

Szybko otworzyłam siatkowe drzwi, ale on był tuż za mną i zdjął moją dłoń z zasuwki.

- Przynieś - zgodził się. Spojrzał na stół, gdzie wciąż jeszcze stał otwarty słoik z masłem orzechowym. - Robisz sobie kanapkę? Zrób i mnie jedną.

Nie wiedziałam, co począć. Przynieść mu szklankę herbaty, zrobić kanapkę, położyć uszy po sobie i mieć nadzieję, że lada chwila wróci ciocia Alma? Pomyślałam o niej i jej zabandażowanych dłoniach, zeszywniałych palcach i chudej szyi. Znowu spojrzałam tatce Glenowi w oczy i nawet nie drgnęłam. Za bardzo się bałam.

- Nie zachowuj się tak. Nie masz powodu, aby się mnie bać - powiedział. - Wiesz, rozmawiałem z Anney. Ona wróci. Obiecała. Potrzebuje tylko trochę czasu, aby dojść do porozumienia z tobą. - Zauważyłam, że znowu zacisnął i rozwarł dłonie. Opuścił swe wielkie ręce wzdłuż boków, pokręcił głową i zaśmiał się. - Ta kobieta kocha cię bardziej, niż sądziłem. Nie potrafię tego pojąć. Potrzebuje czasu, aby się z tobą dogadać - rzucił drwiąco. - Potrzebuje czasu dla ciebie. Słodki Boże. - Wzruszył ramionami, oparł dłonie na biodrach i nachylił się w moją stronę. - Musisz jej powiedzieć, że wszystko jest w porządku - rzekł. - Musisz powiedzieć jej, że chcesz, abyśmy znowu byli wszyscy razem. - Przerwał i spojrzał na mnie z przejęciem.

Rozbolał mnie brzuch. Spuściłam wzrok. Zacisnęłam spocone dłonie w pięści.

- Nie - wyszeptałam. - Nie chcę już z tobą mieszkać. Mama może do ciebie wrócić. Powiedziałam jej to, ale ja nie wrócę. Nie mogę. I nie chcę.

- Nie chcesz? - Dotknął mego policzka. Spojrzałam na niego. - Nie chcesz ze mną mieszkać? - Jego oczy były jak twarde, niebezpieczne kamyki, usta zwały się w gniewną kreskę. - Nie masz jeszcze trzynastu lat, dziewczyno. Nie mów mi, co zamierzasz robić. Jestem twoim tatą. I zrobisz to, co ci każę.

- Nie - odparłam półgłosem.

Gardło miałam tak ściśnięte, że nie mogłam wykrztusić nic więcej. Zauważyłam, że się ode mnie odsuwa, zamyka oczy i łączy dłonie przed sobą, jakby chciał się pomodlić. Pokręcił głową.

- Nie - powtórzyłam.

- Próbuję przemówić ci do rozumu, dziewczyno. Chcę, żebyś pomówiła ze swoją mamą. I przestań się wygłupiać, zanim mnie rozzłościś. - Jego złączone dłonie zadrżały. Otworzył oczy.

- Nie - powtórzyłam. - Wolałabym umrzeć, niż znowu z tobą zamieszkać.

- Doprawdy? - Jego usta wykrzywił złośliwy uśmiezek. - Założę się, że tak - dodał szeptem.

Zapadła długa cisza. Słyszałam jedynie bicie mego serca.

- Zrób mi tę kanapkę - mruknął - i pogadamy. Stałam w bezruchu, obserwując jego twarz i dłonie.

- Nie. Nie chcę już rozmawiać. Chcę, żebyś stąd poszedł. Idź sobie. Pokręcił głową i wciąż się uśmiechał.

- Powiem mamie - rzuciłam w przyływie desperacji. - Powiem jej. Jego dłonie uniosły się, schwyciły mnie za ramiona i potrząsnęły.

- Nie chcesz zrobić swojemu tatce kanapki? - Głos miał schrypnięty z wściekłości. - Nie chcesz nic dla mnie zrobić? - Kolejne potrząśnięcie.

Dźwignął mnie w górę, aż zawisłam w powietrzu. Otworzyłam usta. Chciałam krzyknąć, ale nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Przypomniałam sobie, jak mnie podnosił w przeszłości, potrząsał, a potem przyciskał do piersi, ocierał się o mnie, obmacywał i wpijał palce w moje ciało, sprawiając ból. Zawsze bałam się krzyknąć, stawić mu opór. Zawsze odnosiłam wrażenie, że to moja wina, ale teraz to już nie miało znaczenia. Nie dbałam już o to, co może się wydarzyć. Nie zamierzałam być dłużej bierna. Próbowałam mu się wyrwać, a on się zaśmiał. Puścił mnie. Zatoczyłam się na stół.

- To ty. To przez ciebie. Ona mnie kocha, wiem to. Ale ty wszystko psujesz, wchodzisz nam w drogę. Przez ciebie tracę rozum, a ona ma wyrzuty sumienia. Wstydzisz się ciebie i swojej miłości do mnie. Nie może zostawić mnie przez ciebie. To nie w porządku.

Jego ton stał się bardziej oschły i szorstki, ale nie przybrał na sile i to właśnie ten cichy sposób mówienia mnie przerażał. Przypomniałam sobie Almę z brzytwą w ręku i szaleństwem w oczach. Oczy tatki Glena były takie same, przepełniało je szaleństwo. Był w nich ból, głęboki ból, ale najsilniej płonęła w nich nienawiść. Nagle jego pięść wystrzeliła naprzód jak na sprężynie. Jego kłyckie otarły się o mój podbródek i osunęłam się ciężko na stół.

- Nie zniszczysz mnie tak łatwo - warknął. - Anney wróci, tak powiedziała. Tylko potrzebuje trochę czasu. Rozumiem ją, po tym wszystkim, co się wydarzyło. - Nachylił się w moją stronę, wyciągając jedną rękę. - Ale jeżeli do mnie nie wróci, zabiję cię. Rozumiesz? Skręcę ci kark.

- Dotknął dłonią mego policzka, ucha, szyi i przesunął rękę w dół ku małym wzgórkom moich piersi. Jego niebieskie oczy zlustrowały mnie od stóp do głów. - Aaaach - jęknął tatko Glen.

Przycisnął mnie do piersi, mocno, bardzo mocno. Miałam w ustach krew, w skroniach mi szumiało. Zesztywniałam jak deska albo jak nóż do masła, który schwyciłam bez namysłu. A wtedy on pocałował mnie, wsunął mi język do ust. Dźgnęłam nożem w górę, w jego bok. Nóż prześlizgnął się po pasku,

rozsmarowując masło na materiale koszuli, ale nawet jej nie rozdarł, choć z pewnością sprawił mu ból. Byłam tego pewna.

- Niech cię diabli! - Odepchnął mnie od siebie, tak że uderzyłam plecami o blat i osunęłam się na podłogę, a wtedy on podszedł i zaczął mnie kopać. Jego but trafił mnie w ramię. Sięgnął ręką, schwycił mnie za przegub i mocno szarpnął w górę, aby zaraz opuścić. Coś pękło, głośno chrupnęło, poczułam mdłości, a ręka opadła mi bezwładnie na podłogę.

- Ty mała zdziro.

Znowu mnie kopnął, tym razem trafiając czubkiem buta w bok głowy i rozcinając ucho, buchnęła krew. Po chwili jego but wbił się w mój brzuch, odturlałam się w bok i opryskałam sobie strugą wymiocin prawą rękę.

- TY! - rzucił wściekle, a jego głos rozbrzmiał echem w mojej głowie

- TY CHOLERNY MAŁY BĘKARCIE!

- TY! - wycedziłam. - Mama nigdy do ciebie nie wróci. Nie pozwolę jej. Nienawidzę cię.

- Modliłem się, żebyś zdechła - wycedził przez zęby. Jego palce schwyciły mnie z przodu za bluzkę i zmięły materiał. - Żebyś zdechła i zostawiła nas samych. Gdyby nie ty, wszystko byłoby w porządku. I ja też dałbym sobie ze wszystkim radę. - Zaszłochał i pociągnął mnie ku sobie, tak że musiałam uklęknąć.

Zakołysałam się w przód i w tył, aż moja bluzka pękła i znów upadłam na podłogę. On raz jeszcze mnie schwycił i coś mocno uderzyło mnie między nogi. Krzyknęłam. To jego but czy noga? Osunął się na mnie.

- Nigdzie nie pójdziesz. - Zaśmiał się. - Uważasz, że jesteś już dorosła. Myślisz, że jesteś taka duża i zła i umiesz mi się postawić. Zaraz pokażę ci, jaka jesteś duża i dorosła!

Palcami rozchylił to, co zostało z mojej bluzki, rozdarł suwak przy moich spodniach i ściągnął mi je do kolan, choć próbowałam przytrzymać je lewą ręką. Próbowałam wierzgać, ale przyszpilił mnie do podłogi. Łzy spływały strużkami po mojej twarzy, ale nie płakałam. Przeklinałam go.

- Niech cię szlag! Bodajbyś zdechł! Niech cię piekło pochłonie! Silnym szarpnięciem ściągnął mi majtki aż do kostek, a drugą ręką rozpiął suwak i rozporek przy swoich spodniach.

- Zamknij się. Zaraz sprawię, że się zamkniesz. Nauczę cię. Rozerwał moje majtki, jakby były z papieru. A potem dźwignął mnie lekko w górę i rozwarł mi szeroko nogi.

- Ty skurwielu! - Próbowałam go uderzyć całkiem zdrtwiałą prawą ręką.

- Ty mała szmato. Powiniennem był to zrobić już dawno temu. Zawsze tego chciałaś. Nie mów, że nie.

Kolanem rozwarł mi uda szerzej, a jedną ręką zdzielił na odlew w twarz. Zaśmiał się, jakby spodobało mu się, że ma na kłykciach moją krew, i uderzył mnie znowu. Otworzyłam usta, aby krzyknąć, a on zacisnął rękę na mojej szyi.

- Dam ci to, czego zawsze chciałaś - wycedził i osunął się na mnie całym ciałem.

Z moich ust dobywało się ciche skomlenie. On zaczął manipulować palcami między moimi udami, przygotował mnie, otworzył, po czym cofnął się nieznacznie i spojrzał na mnie oczyma gorejącymi nienawiścią.

- A teraz - warknął i wdarł się we mnie, osuwając się z kolan. - Teraz dostaniesz nauczkę. - Z jego ust raz po raz padały krótkie, gniewne zdania. - Nigdy więcej nie będziesz mi pyskować. Będziesz trzymać gębę na kłódkę. I robić, co ci każe. Powiesz Anney to, co ci kazałem.

Zaparło mi dech. Zaczęłam się krztusić. A on wbijał się we mnie raz za razem rytmicznymi ruchami bioder. Miałam wrażenie, jakby rozdzierał mnie od środka, przy każdym pchnięciu uderzałam pośladkami o podłogę, a on sprawiał mi ból, wdzierając się we mnie i napierając całym ciężarem.

- BOŻE! - krzyknęłam ze wszystkich sił, ale nie dość głośno, nie na tyle, aby ktokolwiek coś usłyszał, lecz puścił moją szyję i zdzielił mnie w twarz, rozbijając mi wargi o zęby. Zaczął poruszać się rytmicznie. - Nauczę cię, ja cię nauczę. - Za każdym razem, gdy to powtarzał, walił moją głową o podłogę.

Zdechniesz! Zdechniesz! - wrzeszczałam w myślach. Zgnijesz, a twoje ciało zacznie odpadać od kości. Bóg ci za mnie odpłaci. Twoje kości szezną, a krew będzie płonąć żywym ogniem. Rozerwę cię na strzępy i rzucę psom na pożarcie. Jak w Biblii, tak jak być powinno, Bóg weźmie za mnie odwet. Bóg nie pozwoli, by coś takiego uszło ci płazem!

Przez cały czas macałam lewą ręką wokół siebie w poszukiwaniu jakiejś broni, czegokolwiek. Gdzie się podział ten nóż? Gdzie była ciocia Alma?

Podniósł się, opierając całym ciężarem o moje ramię, i raz po raz wbijał we mnie członek niczym miecz.

Daj mi coś! Cokolwiek! - błagałam. Na próżno próbowałam go ugryźć, ale miałam poobijane wargi i zęby zacisnięte zbyt mocno. Daj mi coś!

Zesztywniał, odchylając głowę do tyłu i szczerząc zęby. Poczułam, jak jego uda drżą, dotykając mego ciała, a moje pośladki zaczęły się ślizgać w kałuży krwi rozlewającej się po podłodze. Proszę, Boże, błagam, Boże. Pozwól mi go zabić. On zwiotczał, dysząc ciężko. Zdjął dłoń z moich ust, ale nie chciałam już krzyczeć. Krew i soki, jego i mój pot, krew ściekała mi po szyi i udach, między

obolałymi piekącymi udami czułam lepkość i jego zapach. Jak to możliwe, że to stało się tak szybko? Próbowałam oblizać usta, ale miałam zbyt spuchnięty język. Nie mogłam nim poruszać, otwierałam i zamykałam usta, lecz nie wydawałam żadnego dźwięku. Czarne i czerwone plamy wzbity się pod sufit i spłynęły z powrotem w moją stronę. Tato Glen poruszył się lekko, mamrocząc coś, czego nie słyszałam ani nie rozumiałam. Z tyłu, za nim ujrzałam otwarte drzwi i promienie popołudniowego słońca. Zamknęłam oczy, otworzyłam je i poczułam, że na chwilę straciłam przytomność. On wciąż leżał na mnie, ale coś było nie tak, coś wisiało w powietrzu. Znowu zerknęłam w stronę drzwi i wtedy ją zobaczyłam. Wielka, biała twarz mamy zbliżała się w naszą stronę, w moją stronę.

- Mamo - próbowałam wykrztusić, ale nie udało mi się wydobyć z siebie głosu. Ciało Glena drgnęło i zsunęło się ze mnie.

Powietrze uderzyło mnie jak pięść, docierając do wszystkich moich otwartych i wilgotnych miejsc. Zaszlochałam. A on krzyknął.

- ANNEY!

Uderzyła go czymś, czego nie dostrzegłam. A potem zaczęła chwytać różne rzeczy, naczynia z kuchni, talerze, szklanki, wszystko, czym tylko mogła w niego rzucić. Uśmiechnęłam się, kąciki moich ust popękały, ale to nie miało znaczenia. .. - NIE, ANNEY, NIE!

- TY POTWORZE!

- Nie, kochanie. To nie to, co myślisz.

Wobec tego, co to jest? - pomyślałam i przewróciłam się na brzuch. Ból, kolana, uda, twarz, wszystko mnie bolało, ale to nie miało znaczenia. Było jakieś odległe, nierzeczywiste. Tuż przy mojej twarzy spoczywała moja ręka, odrętwiała, bez czucia, jakby obca.

- TY! - krzyknęła moja mama.

Znowu usłyszałam trzaski, ale nie uniosłam wzroku. Czy pomyśli, że chciałam, aby to zrobił? Czy uzna, że go o to poprosiłam? Co on jej powie? Musiałam powiedzieć jej, że z nim walczyłam, że nigdy, przenigdy, nie chciałam, aby mnie dotykał. Ale wypływająca ze mnie krew odbierała mi całą energię i zabierała powietrze. Nie mogłam mówić ani nawet myśleć. Przez chwilę pragnęłam umrzeć, aby nie zobaczyć więcej twarzy mamy czy jego. Nigdy więcej. Przenigdy.

Proszę, Boże, niech on umrze, niech ja umrę, niech ktoś umrze.

Nie pozwól mu skrzywdzić mamy.

- Ty draniu! Ty potworze!

- Anney, proszę!

- Nie dotykaj mnie! Nie dotykaj jej!

Czułam w ustach smak łez, smarków i krwi płynącej z ucha. Splunęłam i spróbowałam się podnieść. Musiałam wstać, zrobić coś, zabrać stąd mamę.

Mama dotykała mnie, obmacywała, sprawdzała, co mi zrobił. Trochę przejaśniało mi w głowie i uniosłam wzrok. On był w drugim końcu pokoju, blady ze zgrozy, a ona klęczała obok mnie. Poczułam, jak narasta we mnie ryk, i zacisnęłam zęby. Musiałyśmy stąd uciekać jak najdalej od niego. Podniosłam się na kolana.

- Chodź, kochanie - zagruchała, jakbym znów była dzieckiem. - Zabiorę cię do lekarza. - Dłońmi wygładziła moją bluzkę, zawiązała rozdarte poły materiału na wysokości mego brzucha i powoli podciągnęła mi spodnie, zakrywając moją nagość.

- Anney, nie, zaczekaj - mówił, ale ona go nie słuchała.

To dobrze. Nie przerywaj. Rób swoje, mamó. Wyprowadź nas stąd.

- Chodź, dziecino - rzekła i podniosła mnie z podłogi. Zakołysałam się, nogi miałam jak z waty, a cały brzuch potwornie mnie bolał. Wszędzie unosiły się barwne plamy. Spojrzałam na tatkę Glena. Twarz miał pustą jak moje wnętrze. Lodowata zgroza zacisnęła mroźne palce wokół mego serca. Chodź, musimy stąd wyjść, wydostać się stąd. Ty nic nie wiesz, mamó, nie rozumiesz.

- Och, dziecino - szeptała i tuląc mnie do siebie, ruszyła w stronę drzwi.

I wtedy odzyskałam trzeźwość umysłu. To było przerażające. Myślałam perspektywicznie. Strzelba wujka Trávisa była w jego domu, w szafie u cioci Ruth. Gdybym tam dotarła, dostała tę broń w swoje ręce, zabrałabym ją, ukryła i czekałabym, aż znów się tu zjawi, bo wiedziałam na pewno, że prędzej czy później tutaj przyjdzie. Będzie stał przy drzwiach albo na środku pokoju, opowiadając swoją wersję wydarzeń, tłumacząc wszystko, płacząc, błagając albo trzymając mamę za ramiona, tak jak to robił ze mną. Musiałam być ostrożna, nikt nie mógł mnie postrzymać, dopóki nie odstrzelę mu głowy albo nie trafię go w szyję, aby tryskająca z niej krew zbryzgała wszystko dokoła. Musiałam to zrobić. Musiałam, w przeciwnym razie on zabiłby mnie i ją, wiedziałam, że któregoś dnia by nas wykończył. Jeżeli miałam umrzeć, to na moich zasadach.

- Do Ruth, mamó - wyszeptałam. - Zabierz mnie do Ruth.

Jeżeli tylko zdołam dostać tę strzelbę w swoje ręce, już jej nie oddam. Może mogłabym udawać, że jest mi potrzebna tak jak Almie brzytwa, substytut lalki czy czegoś w tym rodzaju, aby potem wszyscy mogli powiedzieć gliniarzom: „Nie spodziewaliśmy się, że zrobi z niej użytek. Naprawdę”.

- Musimy zawieźć cię do szpitala - rzekła mama.

Nie, do Ruth. Ale ona mnie nie słuchała. Czy powiedziałam to na głos, czy tylko w myślach?

- Anney. Och, Anney. - Tatko Glen był tuż przy nas, miał krew na twarzy. Czy to jego krew, czy moja? Zastanawiałam się. Coś go uderzyło. Patrzyłam na jego twarz jak na mapę drogową, którą próbowałam zapamiętać, by odzyskać własną tożsamość. Kiedy strzelę mu prosto w twarz, nie zostanie już nic, nie będzie już odwrotu.

No i dobrze.

- Proszę, Anney. - Szlochał jak dziecko, a ona objęła mnie ramieniem. Drugą ręką spoliczkowała go, a potem poprawiła raz jeszcze, zaciśniętą pięścią.

- Auu! - zawył. - Nie! Nie! - Zachwiał się do tyłu, potykając się o porozrzucone wszędzie naczynia.

- Anney! - zaskomlał. - Nie wiem, co się stało. Chciałem z nią tylko pomówić, kochanie. Chciałem nakłonić cię, abyś wróciła do domu, żebyśmy znów byli wszyscy razem!

Mama szła dalej, ciągnąc mnie za sobą, biodrem otworzyła drzwi i nieomal zwlokła mnie po schodach. Nie zatrzymując się ani na chwilę, bez wahania szła w stronę swojego auta.

- Anney! Proszę! Ja nie chciałem! Coś mi odbiło. Odbiło mi! Proszę, posłuchaj mnie, kochanie!

Zakręciło mi się w głowie. Wszystko mnie bolało, ale już było lepiej, znacznie lepiej. Odzyskiwałam siły, a wraz z nimi zdolność myślenia. Byłam strasznie słaba, ale nie miałam już wrażenia, że mięśnie są poodrywane od ścięgien i kości. Mogłam się już poruszać. Wymyślę jakiś sposób. Spójrzcie, co ze mną zrobił. Opowiemy wszystkim, co się stało. To będzie samoobrona. Usprawiedliwione działanie. Uśmiechnęłam się, czując strużkę krwi spływającą po mojej szyi. Spójrzcie, co ze mną zrobił! Dzięki ci Boże!

- Anney! - Szedł za nami. - Anney! Błagam! Nie zatrzymuj się, mamó.

Przez trawnik i piaszczyste podwórze do samochodu. Mama szeptała mi do ucha i tuliła mnie z całej siły do siebie. Otworzyła drzwiczki, usadowiła mnie na przednim siedzeniu i uniosła mi nogi. On wciąż nawoływał ją po imieniu. Myślałam intensywnie i powoli zarazem. Jak mogłam to zrobić. Nie było tu strzelby ani nawet noża do masła.

- Anney, proszę. Odezwij się do mnie. Błagam, kochanie. Proszę cię, Anney.

Obeszła go szerokim łukiem, podbiegła do auta z drugiej strony i otworzyła drzwiczki. On był tuż przy niej, szlochając i załamując ręce. Oparł się o drzwiczki, prawie je przymykając, zaczęła szamotać się, by znów je otworzyć.

- Anney, wiesz, jak cię kocham. Nie skrzywdziłbym jej, najdroższa, ale coś mi odbiło. Po prostu mi odbiło!

Prześlizgnęłam się po fotelu, próbując jej dosięgnąć, pomóc, ale nie dałam rady. Powietrze stało się gęste jak galareta. Musiałam się przez nie przedzierać. Zaciśnęłam zęby i brnęłam cał po calu, aż oparłam się o kierownicę i patrzyłam, jak mocują się z drzwiczkami.

- Mamo.

Spojrzała na mnie, twarz miała dziwną i pustą.

- Mamo - powtórzyłam.

Mama znów spoliczkowała Glena, otwartą dłonią, a potem walnęła zaciśniętą pięścią. Odgłosy tych uderzeń były głuche i przeraźliwe, ale nie tak upiorne jak skowyt, jaki popłynął z jego ust, kiedy go uderzyła.

- Puść - wycedziła. Zachwiał się, pot zalewał mu oczy. Jego usta poruszały się bezgłośnie, rysy twarzy się zmieniły. - Puść - powtórzyła.

Zaczął szlochać i osunął się na kolana, dłońmi wciąż trzymał się mamy i drzwiczek. Pochylił głowę i szepnął:

- Zabij mnie, Anney. No dalej. Nie mogę bez ciebie żyć. I nie chcę! Zabij mnie! Zabij!

Mama odstała od niego i drzwiczki zatrzasnęły się z hukiem.

- O nie - westchnęła z przejęciem. Jej twarz stała się lustrzanym odbiciem jego oblicza, usta miała jak on szeroko otwarte, mięśnie jej szyi rysowały się pod skórą.

- Zabij mnie - powtórzył głośnie. - Zabij mnie! - Uderzył głową o metalowe drzwiczki, cofnął się i rąbnął w nie raz jeszcze. Przy każdym uderzeniu krzyczał na całe gardło, głuche dźwięki poprzeplatane były wrzaskami. - Zabij mnie! Zabij mnie!

Mama była tak blisko, że mogłam jej dotknąć, ale miała odwróconą głowę, patrzyła na Glena. Nie zwracała na mnie uwagi.

- O Boże! - krzyknęła, a ja puściłam kierownicę.

- Nie! - wyszeptałam, ale mama mnie nie słyszała.

- Glen! - rzekła. - Glen!

Jęknęła i ukryła twarz w dłoniach, szlochała, jej ciałem wstrząsały gwałtowne spazmy. Ja też zadygotałam na ten widok.

- Glen, przestań - powiedziała. - Przestań. - Schwyciła go za głowę, zaciśnęła ręce na jego czole, aby przestał uderzać nim o drzwiczki.

- Przestań.

Miała na palcach krew. Płakała. On znieruchomiał. Uspokoił się. Zamknęłam oczy.

- Nie - powtórzyłam.

Znów się odezwał, zagłuszając mój głos. Spokojnie, cicho, powiedział:

- Zabij mnie, Anney. Zabij mnie.

Próbowałam dosięgnąć jej prawą ręką, ale ból był zbyt silny. Jęknęłam.

- Mamo - rzuciłam błagalnie, ale wciąż na mnie nie patrzyła.

- Boże drogi, Boże drogi, Boże drogi. - Płakała cicho, żałośnie, cierpiała.

Przyciągnęła go do siebie, przytuliła jego twarz do brzucha. Ponad jej biodrem widziałam jego okrwawione czoło.

- Mamo - wyszeptałam.

- Pomóż mi, Boże - zaczęła szlochać przeraźliwym, łamiącym się głosem. - Pomóż mi.

Widziałam jej palce na ramieniu Glena, zbielełe, zaciśnięte mocno kłykcie. Zaciśnęłam usta i nie krzyknęłam, choć bardzo chciałam. W moim wnętrzu płonął gniew, poczułam, jak ściska mnie w gardle. Powiedziałam, że nigdy nie mogłabym jej znienawidzić, ale nienawidziłam jej, że tak go tuliła, gdy stała tuż obok, oplakując jego cierpienie. Czy mogła mnie kochać i tak się do niego kleić? Odchyliłam głowę do tyłu. Nie chciałam na nich patrzeć. Chciałam dostać w swoje ręce strzelbę Trávisa albo moją kotwiczkę z ostrymi hakami. Chciałam, żeby wszystko się skończyło, żeby nastąpił koniec świata, nieważne co, cokolwiek, abym tylko nie musiała leżeć, brocząc krwią, i patrzeć, jak tuli go do siebie i płacze. Uniosłam wzrok ku szarzącemu niebu. Na ciemniejącym, niebie zaczęły pojawiać się pierwsze gwiazdy. Chciałam je zobaczyć, tę ciemność i gwiazdy. Gdzieś w oddali usłyszałam donośny ryk, fala nocy i rozpacz była tuż obok, czekała na mnie, a ja, nie zwlekając, podążyłam za nią w mrok.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Ciocia Alma miała album z wycinkami z gazet, zaproszeniami na ślub, zawiadomieniami o pogrzebach i zdjęciami dzieci, przyklejonymi strona za stroną pod nagłówkami gazet. „Och, nasza rodzina stale pojawia się na łamach gazet” - żartowała, pokazując ludziom ten album. Najbardziej lubi dwustronicowy artykuł z „Greenville News”, opisujący wypadek, kiedy to kabriolet wujka Earle'a wjechał do salonu fryzjerskiego mieszczącego się naprzeciwko gmachu sądu, parę miesięcy przed tym, jak ten doszczętnie spłonął. Są tu zdjęcia przedstawiające przód auta oparty o fryzjerski fotel, zaledwie kilka stóp od potłuczonych luster, i drugie, Earle'a siedzącego na chodniku, z twarzą w dłoniach. Są tu również zdjęcia ukazujące fryzjera przetrząsającego wnętrze zniszczonego zakładu z pomocą policjanta z drogówki i babci Boatwright. Fryzjer ma dziwną minę, trzymając w dłoniach pędzel i miseczkę. Jego ręce są trochę rozmazane, co oznacza, że musiały mocno dygotać.

NIE WPADŁ, ŻEBY SIĘ OGOLIĆ głosi podpis pod zdjęciem auta przy fryzjerskim fotelu.

Obok tepej twarzy Earle'a krótka odnotacja: BOATWRIGHT.

Na tych zdjęciach wujek Earle wygląda groźnie jak złodziej lub morderca, tego rodzaju wizerunki przedstawiające wymizerowane, złowrogie twarze wiszą na ścianach w urzędach pocztowych. To wyblakłe czarno-białe zdjęcie zdaje się przedstawiać postać rodem z horroru, żywego trupa. Babcia, moja mama, wujkowie, ciocie, kuzyni, my wszyscy na czarno-białych zdjęciach wyglądamy jak nieboszczycy.

- Wyglądamy gorzej od innych - poskarżyłam się któregoś dnia cioci Almie.

- Och, olej to - odparła. - Rozmyty tusz i szary papier sprawiają, że wszyscy wyglądamy, jakby byli trochę szurnięci. - Chyba rozzłościła się, że nie okazałam więcej szacunku i entuzjazmu dla jej słynnego albumu, ale ja na tych zdjęciach nie potrafiłam rozpoznać prawie nikogo z całej naszej rodziny. Gorzej niż szurnięci, wszyscy mieliśmy wielkie, pozbawione wyrazu oczy, rozdziawione usta i ogólnie kretyński wyraz twarzy. Nawet zdjęcia ze ślubów wyglądały fatalnie. Ciocia Alma upierała się, że to nie ma nic wspólnego z nami, tylko po prostu my wszyscy, Boatwrightowie, nie jesteśmy fotogeniczni.

- Kretyńsko wychodzimy na zdjęciach i tyle - rzekła. - Forsa robi wielką różnicę. Potrzeba sporo grosza, aby ktoś na zdjęciu wyglądał jak żywy, aby w jego oczach można było dostrzec cząstkę duszy.

Teraz ja też jestem w albumie cioci Almy.

Gdy tylko zobaczyłam swoje zdjęcie na pierwszej stronie „News”, wiedziałam, że trafi do jej zbiorów i nie było mi to w smak. Na tym zdjęciu opierałam się na ramieniu Raylene, twarz miałam bladą i pociągłą, podbródek zanadto wystający, oczy znikły gdzieś wśród głębokich cieni. Bez wątplenia byłam Boatwrightówną, zawziętą i brzydką jak one. Wyglądałam jak wypatroszona ryba, z rozdziawionymi ustami, zabandażowanym barkiem i ramieniem i śladami krwi na szyi. Tak, bez wątplenia byłam Boatwrightówną - to nie była tylko moja krew.

Gdy odzyskałam przytomność w Greenville Hospital, mocno zacisnęłam zęby i nie krzyknęłam, nawet gdy doktor nastawił mi wybite ze stawu ramię, a potem mocno obandażował rękę, unieruchamiając ją przy ciele. Mama też tam była, wyniosła mnie z auta i zmusiła lekarza, aby natychmiast mnie obejrzał. Pielęgniarka odebrała mnie z jej rąk, a mama cofnęła się i okrwawionymi palcami leciutko dotknęła mojego policzka. Spojrzałam na twarz pielęgniarki, a potem zaczęłam szukać wzrokiem mamy ale jej już nie było. Znikła, zanim zdążyła podać pielęgniarce nazwisko.

- Chodź, kochanie. - Pielęgniarka o łagodnym głosie przesunęła palcami po moich włosach, pogłaskała mnie delikatnie po głowie. Przez chwilę wypatrywałam plakietki z jej imieniem, ale nie miała żadnej. - Tylko spokojnie. Bo zrobisz sobie krzywdę.

Jej palce pachniały spirytusem i talkiem. Wydawała się miła. Zastanawiałam się, czy ma dzieci.

- Szukam guzów i dalszych zadrapań - rzekła, podczas gdy doktor wciąż zajmował się moim nadgarstkiem. Miałam spore zadrapanie na skroni i przy udzie, krew z tych ran zalała mi szyję oraz ramię. Kto by pomyślał, że z paru draśnień może popłynąć aż tyle krwi. Pielęgniarka była delikatna i nie spieszyła się. Pozwoliłam, by mnie dotykała, odwracając głowę, i podążałam wzrokiem za jej uśmiechem, jak niemowlę patrzące na sutek. Patrzyłam, ale nic nie mówiłam. Nie powiedziałam jej, jak bardzo cierpię. Na pewno dostrzegła ból w moich oczach. Tak jak rozbite wargi. Gdy przez moment dostrzegłam swoje odbicie w lustrze w gabinecie przyjęć, przeraziłam się. Nie poznałam samej siebie, twarz w lustrze należała do jakiejś obcej osoby o zapadniętych, podkrążonych oczach, ostro zarysowanych kościach policzkowych i ustach zaciśniętych tak mocno, że stały się prawie niewidoczne.

- Ramię będzie ci jeszcze przez jakiś czas dokuczało. - Doktor, mówiąc te słowa, nie patrzył na mnie, lecz zapisywał coś w karcie. - A nadgarstek jest mocno zwichnięty. Parę miesięcy potrwa, zanim całkiem wydobrzeje. - Pielęgniarka wacikiem zamoczonym w spirytusie zmywała zaschniętą krew z

mego policzka. Patrzyłam nie na niego, lecz na nią. - Będziemy musieli trochę poczekać, zanim coś ci zaaplikujemy.

Doktor otaksował mnie wzrokiem od stóp do głów, lustrując sińce na moich udach i opuchnięte, zdarte do żywego kolana. Położył dłoń na moim karku i lekko ścisnął.

- A teraz powiedz mi, czy coś jeszcze cię boli.

To mogło być pytanie. Albo i nie. Spojrzałam na niego beznamiętnie. Zastanawiałam się, gdzie się podziała mama. Co się stało z tatką Glenem? Nie pamiętałam przejazdu od domu Almy ani niczego, co mówiła do mnie mama. Czy powiedziała im, co się stało? Czy ktokolwiek wiedział? Gdzie się podziała mama i czemu nie było jej przy mnie?

Zastępca szeryfa stał oparty o drzwi, dopóki pielęgniarzka nie przyniosła mu składanego metalowego krzeselka, aby je postawił pod ścianą. Był młodym chłopakiem o rumianej twarzy i jasnych włosach obciętych tak krótko, że widać było przez nie różową skórę czaszki. Przypominał mi bliźniaków, kiedy wrócili z więzienia, sztywni, dumni, pewni siebie i ostrzyżeni na zapałkę. Ten też był pewny siebie, wygładził bluzę munduru, żeby nie było widać fałd przy rękawach. Miał delikatne usta i mały podbródek, ale kiedy na mnie spojrzał, wydał wargi i starał się wyglądać groźnie. Oglądał zbyt wiele telewizji, zapewne uważał siebie za kogoś w rodzaju obrońcy porządku publicznego. Próbowałam zgrywać niebezpieczną, ale powieki miałam wilgotne i opuchnięte, swędziały mnie szyja i usta za bardzo bolały, abym mogła je zacisnąć. Tamten wciąż wygładzał bluzę i patrzył na mnie. Po chwili zaczęłam czuć się coraz bardziej jak dziecko, mała dziewczynka, zraniona i samotna.

Zanim zjawił się szeryf Cole, który szedł sztywnym krokiem, jakby ciążył mu szeroki, skórzany pas i przyprawiał o ból pleców, poczułam się tak mała, że nie byłam pewna, czy zdołam wykrztusić choć słowo.

- Ruth Anne - powitał mnie oficjalnie.

Postawił stół obok mego łóżka i usadowił się na nim z głośnym stęknięciem, po czym pokręcił głową tak energicznie, że usłyszałam, jak zatrzeszczały mu kręgi szyjne. Uśmiechnął się i oparł dłonie na udach.

- Chcesz ze mną porozmawiać? Powiesz mi, co się wydarzyło?

Przełknęłam ślinę. Oliwkowa cera, wielki nos, jeszcze większe oczy, silny podbródek i mocno przerzedzone siwe włosy zaczesane do tyłu. Szeryf Cole nie przypominał nikogo znajomego. Ludzie mówili, że pochodził z Marylandu i nigdy nie zostałby szeryfem, gdyby nie to, że był praktykującym baptystą, diakonem, zanim jeszcze poślubił dziewczynę z Greenville. Z wielkim, miękkim brzuchem przypominał raczej kucharza niż szeryfa.

Spojrzałam w jego ciemne oczy. Miał łagodny, prawie leniwy głos, ton uprzejmy i pełen szacunku. Sprawił, że chciałam z nim pomówić, opowiedzieć, co się stało. Ale to wszystko było takie pogmatwane, takie trudne do ogarnięcia. Od czego miałam zacząć? Jak powinnam zacząć? Od tego, że ciocia Alma oszalała? A może od tego, że tatko Glen schwycił mnie i rozdarł bluzkę? Powróciłam myślami do tamtego zdarzenia na parkingu, dawno temu, gdy czekał na wieści o mamie i swoim synu.

- Właściwie nie jest z tobą tak źle - rzekł do mnie szeryf. - Lekarz mówi, że się wyłizesz.

Uniosłam głowę, wiedziałam, że na mojej twarzy pojawiło się przerażenie.

- Doktor mówi, że nie masz wstrząśnienia mózgu, ale musisz zostać na pewien czas pod obserwacją. Na zewnątrz czekają twoi krewni. Doktor właśnie z nimi rozmawia.

- Mama? - wychrypiałam.

- Nie rozmawiałem jeszcze z twoją mamą. Ale są tam twoje ciotki. Niedługo pozwolę im się z tobą zobaczyć - Zaczął kartkować strony, wyjął pióro i spojrzał na mnie. - A teraz musimy dowiedzieć się, co właściwie zaszło, Ruth Anne. Wiem, że nie czujesz się za dobrze, ale spróbuj ze mną pomówić. - Jego oblicze złagodniało, jakby chciał mnie trochę uspokoić. - Powiesz mi, co się stało, i niedługo pozwolimy ci wrócić do domu. - Przyłożył pióro do kartki.

Zamknęłam oczy. Mama z nim nie rozmawiała. Nagle poczułam się tak zmęczona, że nie mogłam nawet zaczerpnąć tchu.

- Nazywają cię Kostka, tak? Milczałam.

- Kostko, chcę, żebyś wiedziała, że nikt cię nie skrzywdzi. Nie dopuszczę do tego. Wszyscy widzimy, że dość już przeszłaś. Tylko powiedz mi, kto cię pobił. Powiedz mi to, dziewczyno.

Głos miał ostrożny, spokojny, przyjazny. Glen w mundurze. Świat był pełen takich Glenów, a ja nie chciałam mieć z tym światem nic wspólnego.

- Kochanie - rzekł szeryf. Nie spodobało mi się, że tak się do mnie zwraca. Przecież mnie nie znał. - Musimy dowiedzieć się, co zaszło.

Nie. Język napęczniał mi w ustach. Nie chciałam już nic wiedzieć.

- Mamo - wyszeptałam niedosłyszalnie, zaciskając mocno zęby. Nie mogłam niczego powiedzieć temu mężczyźnie. On o mnie nie dbał. Nikt o mnie nie dbał. Nawet ja sama o siebie nie dbałam.

- Ruth Anne. - Wychylił się do przodu i wyszeptał mi wprost do ucha: - Chcę ci pomóc. Opowiedz mi, co się wydarzyło. Zajmę się wszystkim. Wszystko będzie dobrze.

Nie. Wydawało mu się, że wie wszystko. Ten skurwiel w mundurze umiał gładko mówić i obiecywać gruszki na wierzbie, ale ja wiedziałam, że mogę liczyć tylko na siebie. Byłam sama.

- Chcę do domu - powiedziałam. - Chcę do mamy. Szeryf Cole położył dłoń na mojej i westchnął.

- Dobrze. No dobrze, dziewczyno.

Spojrzałam na niego, przypominając sobie, co Raylene powiedziała tamtej nocy, gdy wyznałam jej, jak bardzo nienawidzę ludzi, którzy patrzyli na nas jak na śmieci. Jak sobie z tym radził szeryf Cole? Co czyniło go tym, kim był? Aż do teraz nie zastanawiałam się nad tym. Nie chciałam o tym myśleć.

Podwójne drzwi otwarły się szeroko. Odwróciłam się z nadzieją, ale ta szamocząca się dziko postać to nie była moja mama. Raylene mocowała się z pielęgniarką, odpychając ją i nieomal tracąc przy tym swój czarny płaszcz.

- Puszczaj! - rzuciła donośnym tonem. - Precz z łapami ode mnie. - Odepchnęła od siebie kobietę i ruszyła naprzód jak walące się drzewo, masywna, nieuchronna i kojąco znajoma.

- Kostko. Dziecino. - Jej słowa odbijały się głuchym echem od bielonych ścian. - Och maleńka, co oni ci zrobili?

Raylene nachyliła się nade mną i owionął mnie jej zapach. Otworzyłam usta jak pisklę, krzyknęłam i wyciągnęłam do niej zdrową rękę. Powtórzyłam dwukrotnie jej imię i przytuliłam się do jej piersi. Miała takie silne ramiona, czułam się w nich taka bezpieczna. Nie puszczaj mnie, pomyślałam. Błagam, nie puszczaj mnie.

- Co pan robi z tym dzieckiem? - Poczułam, że lekko się odwróciła, usłyszałam nad sobą jej grzmiący głos. - Może powie mi pan, jakim prawem siedzi tu z nią sam na sam, a mnie nie wolno wejść?

Szeryf Cole odpowiedział spokojnie:

- Musimy dowiedzieć się, co zaszło.

- Przecież pan widzi - ucięła Raylene. - Wystarczy na nią spojrzeć. Jest obolała, wystraszona i nie potrzebuje, by ktoś jeszcze sprawiał jej ból. Zamierzał pan trzymać mnie od niej z daleka, aż spróbuje rzucić się z okna albo powie to, co pan chciał pan usłyszeć?

- Pani Boatwright, przykro mi, ale ta dziewczyna padła ofiarą napaści. Zostanie w tej sprawie wszczęte śledztwo.

- Ty durniu, ona ma zaledwie dwanaście lat. Teraz powinna przede wszystkim poczuć się bezpieczna i kochana, a nie samotna i przerażona. Ma pan rację, sprawiedliwości musi stać się zadość. I nadejdzie taki dzień, kiedy

Bóg osądzi nas wszystkich. Co pan powie, kiedy nadejdzie ten dzień? Jak pan wytłumaczy Bogu, w jaki sposób potraktował pan to dziecko?

- Nie ma potrzeby... - zaczął, lecz nie pozwoliła mu dokończyć.

- Owszem jest - odparła. - Bóg mi świadkiem, że jest. - Mówiła z przejęciem jak natchniona. - Bóg to wie.

Notes zamknął się z trzaskiem. Spojrzałam i kątem oka dostrzegłam, jak szeryf Cole łypie gniewnie na Raylene, chowając notes do kieszeni.

- Proszę do mnie zadzwonić, gdy będzie gotowa opowiedzieć nam, co się stało.

Ciocia Raylene parsknęła pogardliwie i przytuliła mnie mocno. Szeryf wyszedł.

- Moja maleńka - szepnęła mocnym głosem Raylene, odgarniając mi włosy z twarzy. - Och moja mała bidulko, leż spokojnie. Zabierzemy cię do domu. O nic się nie martw. Niczym się nie przejmuj. Zabiorę cię do domu i dopilnuję, abyś była bezpieczna.

Rozdział dwudziesty drugi

Nic nie mogło powstrzymać Raylene. Kiedy lekarz uparł się, by zatrzymać mnie do rana na obserwacji, usiadła na krześle obok mego łóżka i nic nie mogło jej stamtąd ruszyć. Przez całą noc trzymała mnie za rękę, podczas gdy ja kręciłam się niespokojnie, nie mogąc zasnąć. Moje ramię pulsowało tęnym bólem, a usta miałam tak spuchnięte, że mogłam jedynie cichutko pojękiwać.

- Nic nie mogę jej podać - mówiła pielęgniarka do Raylene za każdym razem, gdy zaglądała do mego pokoju.

- Wiem. - Raylene pokiwała głową. - Tylko przynieś mi, proszę, słomkę. - Dzięki niej wypłam parę łyków coli; Raylene nuciła pod nosem, podczas gdy ja wpatrywałam się w sufit.

Rano lekarz uważnie zbadał moją potylicę, a Raylene, siedząc na krześle, patrzyła na niego spode łba. Byłam odrętwiała z bólu i wyczerpania, nie potrafiłam się nawet uśmiechnąć, gdy burcząc i mamrocząc z cicha, wypełniał formularz niezbędny, by wypisać mnie do domu. Pielęgniarka dowiozła mnie do wyjścia na wózku inwalidzkim. Zauważyłam czekającego na zewnątrz fotografa, ale Raylene tylko parsknęła gniewnie. Dźwignęła mnie jak szmacianą lalkę i nie oglądając się na boki, zaniosiła do furgonetki. Raylene posadziła mnie blisko siebie, zanim uruchomiła silnik, ale ja osunęłam się bezwładnie na drzwiczki i skierowałam wzrok za szybę. Nie mogłam spojrzeć na ciotkę, nie wsłuchiwałam się w słowa, które kierowała pod moim adresem. Pocieszające szepty, których nie rejestrowałam. Nie spytałam o jedno, co mnie interesowało. Gdzie była mama? Co się z nią stało?

Kiedy samochód zatrzymał się na podwórzu, przed domem Raylene, słońce prażyło w najlepsze, złociste promienie lśniły wśród wilgotnej, wiosennej trawy. Rzeka płynęła wartko, poziom wody był niski, wiatr nie wiał. Otarłam pot z szyi i patrzyłam, jak wielkie, żółte, nieznane mi psisko wypełza spod ganku i staje przy stopniach, przekrzywiając łeb. Raylene westchnęła i zgasila silnik.

- Ale to w sumie dość proste i może któregoś dnia zrozumiesz. - Odwróciła się, by na mnie spojrzeć. - Któregoś razu zapytałaś mnie o to, jak żyję bez męża, dzieci czy choćby przyjaciółki. Widzisz, kiedy pracowałam w lunaparku, miałam przyjaciółkę, kogoś, kogo kochałam bardziej niż samą siebie, kochankę, z którą pragnęłam i zamierzałam spędzić resztę życia. Ale byłam oszalała z miłości, zbyt szalona, by osądzić, co robię. I zrobiłam coś strasznego, Kostko. - Skóra na jej kościach policzkowych naprężyła się, jakby całe jej wnętrze nabrzmiało ze wstydu. Kręciła głową, ale wciąż patrzyła mi w oczy. -

Kostko, żadna kobieta nie powinna zostać postawiona przed wyborem pomiędzy jej dzieckiem a ukochaną osobą, między swoim dzieckiem a mężem. Ja zmusiłam ukochaną kobietę do takiego właśnie wyboru. Została ze swoim dzieckiem, a ja wróciłam tu sama. Nigdy nie powinno było do tego dojść. Nie powinno. To prawie ją zabiło. I mnie niemal też. - Ciocia Raylene na chwilę zakryła oczy, po czym odgarnęła włosy do tyłu. - Boże! - Opuściła ręce i odwróciła się do mnie. - Czasami tym, których kochamy, robimy straszne rzeczy - powiedziała. - Nie umiemy tego wytłumaczyć. To nas zżera od środka, ale nic nie możemy na to poradzić. Wiem, że zastanawiasz się, co z twoją mamą. Nie potrafię ci odpowiedzieć. Nikt z nas tego nie wie. Nie wiemy, co się z nią dzieje. Nikt nie wie, dokąd pojechała. Nie umiem tego wytłumaczyć, Kostko. Po prostu nie umiem, ale wiem, że mama cię kocha. Nie możesz w to wątpić. Kocha cię nad życie i nigdy nie wybaczy sobie tego, co ci zrobiła, do czego dopuściła.

Ciocia Raylene mocno schwyła kierownicę i spojrzała na mnie.

- Nie powinnam tyle mówić. Zbyt wiele już powiedziałam. - Otarła usta. - Potrzebujemy trochę czasu. Ty potrzebujesz czasu. Wiesz, jak wyglądasz, dziewczyno?

Odwróciłam się. Wiedziałam, jak wyglądam. W szpitalu, gdy na chwilę zostawiono mnie w łazience samą, przejrzałam się w lustrze i zrozumiałam, że stałam się inną osobą. Starszą, bardziej wredną, surową, szurniętą i pełną nienawiści. Miałam jej w sobie całe mnóstwo. Splunęłam na swoje odbicie w lustrze, na swoje życie, nie obchodziło mnie już, kim byłam czy będę. Miałam ochotę wyśmiać ich wszystkich, Raylene i pielęgniarki, które patrzyły na mnie, jakbym była ze szkła, tak krucha, że byle wstrząs może sprawić, że rozprysnę się na kawałki. W moim wnętrzu wrzało. Byłam tym, kim miałam się stać, i ta osoba wydawała się naprawdę straszna.

- Ruth Anne - szepnęła ciocia Raylene. - Spójrz na mnie, dziewczyno. Przestań myśleć o tym, co się stało. Nie myśl o tym. Postaraj się nie myśleć o niczym. Jeszcze nie jesteś w stanie tego zrozumieć. I nie musisz. To nie ma sensu, a ja nie umiem ci tego wyjaśnić. Sama sobie nie umiem tego wyjaśnić. Twoja mama... - Przerwała, a ja spojrzałam na nią. - Mama cię kocha. A ty się trzymaj. Po prostu się trzymaj. Z czasem będzie lepiej. Wszystko się jakoś ułoży, obiecuję.

Obiecuję, powiedziała. Skrzywiłam się. I rzuciłam jej nienawistne spojrzenie.

Raylene patrzyła na mnie, jakby zranił ją mój gniew, ale nie powiedziała ani słowa, tylko ciężko wysiadła z furgonetki. Szła powoli, przyciskając torebkę do

brzucha, i przystanąła tylko na moment, by poklepać po łbie psa, po czym położyła torebkę na jednym ze stopni. Wróciła i wyciągnęła mnie z szoferki, jakbym była lekka jak piórko. Zniosła mnie do domu i położyła do łóżka. Pies przyszedł za nami. Usiadł na dywanie, a następnie wyciągnął się na nim leniwie. Leżałam nieruchomo, nie zważając na to, co robi ciocia Raylene, myślałam o kobiecie, którą kochała, o kobiecie, która bardziej niż ją kochała swoje dziecko. Tego już było dla mnie za wiele. Zastanowię się nad tym kiedy indziej.

Pies popatrzył na mnie pełnymi nadziei brązowymi ślepiami, wywalił jęzor, jakby czekał, aż zaproszę go, by wskoczył na łóżko. Przyglądał mi się wielkimi, smutnymi ślepiami i czekał cierpliwie. Miałam chęć rzucić się, tłuc go pięściami, aż popękają wszystkie kości, skopać go, aż rozkrwawię sobie stopy, wrzeszczeć, aż mój język urwie się i wypadnie mi z ust, ale wszystko działo się powoli, słowa i odczucia leniwie przepływały w moim mózgu. Byłam otepiała i powolna. Ból w ramieniu dodawał mi otuchy, pulsowanie w skroniach brzmiało jak muzyka, której potrzebowałam, by móc oddychać.

Wszystko mnie bolało: ręka na temblaku, wspomnienie troskliwych palców pielęgniarki, nawet biodro, które dotykało materaca; światło, które wpadało przez szybę, raziło moje oczy. Najbardziej jednak bolało mnie serce, ten wielki nabrzmiały obiekt w mojej piersi. Za każdym razem, kiedy zamykałam oczy, widziałam twarz Glena pochylającego się nade mną. Odwracałam głowę, jakby w moich uszach wciąż brzmiały modlitwy mamy, i nawet spojrzenie ciepłych, wiernych psich ślepi raziło moją skórę, jakby ktoś orał ją widelcem. W oczach szeryfa Cole'a ujrzałam moje życie, godne pogardy, nic nieznaczące, beznadziejne. Mama mnie opuściła i tylko to się Uczyło. Kiedy Raylene przyniosła mi później trochę zupy, nawet jej nie tknęłam.

- Nienawidzę jej - wyszeptalam. - Nienawidzę jej.

- Wybaczysz - rzekła Raylene. Zakryłam usta dłonią.

Jak możesz komuś wybaczyć, skoro nie potrafisz nawet wymówić imienia tej osoby, gdy nie możesz zamknąć oczu i wyobrazić sobie jej twarzy? Nie rozumiałam tego. Gdy myślałam o mamie, widziałam ją z odrzuconą do tyłu głową, otwartymi ustami i okrwawioną głową Glena przyciśniętą do brzucha. Nie chciałam nawet tego sobie przypominać, nie chciałam znów na to patrzeć. Odwróciłam się, zamknęłam oczy i modliłam się, aby mrok powrócił. Chciałam umrzeć. Nic nie jadłam, milczałam, zasłaniałam twarz i prawie w ogóle nie wstawałam z łóżka. Ciocia Raylene po jakimś czasie dała mi spokój, a ja obudziłam się z wilgotnymi oczami, otwartymi ustami, ale nie pamiętałam, co mi się stało. Słyszałam tylko, jak psisko uderza ogonem o dywan. Bicie mojego

serca i pulsowanie w skroniach dostosowały się do tego rytmu. Wszystko we mnie mówiło „nie”, powtarzało to, wybijało rytm, nuciło i śpiewało. Byłam jedynie szeptem w ciemności, powtarzającym „nie” i czekającym na śmierć. Rano przyszła Raylene i nakarmiła mnie kaszą. Tego dnia nie próbowała nakłaniać mnie do rozmowy, ale następnego wyciągnęła mnie z łóżka i wyniosła na ganek, by posadzić mnie w słońcu na bujanym fotelu. Nie patrzyłam na nią, nic nie mówiłam, ale ona o to nie dbała. Podlewała rośliny, karmiła psy i kury i stała na schodach ganku, paląc papierosy, aż od rzeki powiał chłodniejszy wiatr. Wtedy zaniósła mnie z powrotem do łóżka. Następnego dnia, powoli, z mozołem sama się z niego zwlokłam, zjadłam trochę i wyszłam na ganek, by ciężko osunąć się na fotel. Ale to nie była oznaka poddania się. Chciałam jeść i posiedzieć na świeżym powietrzu, lecz nie miałam ochoty rozmawiać.

Zostałam na ganku i wciąż z nikim nie rozmawiałam, ani z Raylene, ani z Earle'em, kiedy przyniósł swój rozklekotany adapter i próbował mnie rozbawić. Puścił kilka płyt, których słuchałam z ciocią Ruth, ale ja siedziałam tylko w bezruchu, wpatrując się tępo w przestrzeń. W końcu poszedł. Raylene nie próbowała zagaić rozmowy. Przyniosła trochę fasoli do łuskania, co zrobiłam bez większego entuzjazmu. Poprosiła także, abym oderwała lamówkę ze starych zasłon, ale nie zrobiłam tego. Nie próbowałam się z nią kłócić. Po prostu zostawiłam zasłony nietknięte, leżące na zakurzonej podłodze ganku obok bujanego fotela. Spałam w nim ale Raylene zagroziła, że choćbym się wrywała i wierzgała, siłą zaciągnie mnie do łóżka.

- Nie pozwolę, abyś spała na ganku - rzekła.

W tej sytuacji podniosłam się z trudem i wpełzłam do łóżka, by zwinąć się w kłębek jak staruszka dręczona skurczami i spazmami bólu. Zrobiłam, co musiałam, aby tylko dali mi spokój. Usłyszałam, jak Raylene rozmawia z Earle'em o mamie. Martwili się. Nikt nie wiedział, dokąd wyjechała. Nikt nie wiedział również, co się stało z Glenem, choć wujkowie mówili o ufundowaniu nagrody dla tego, kto go odnajdzie. Earle był nieugięty. Beau kupił nową strzelbę, ale to Nevil śmiertelnie przeraził Raylene. Któregoś wieczora przyszedł do domu Raylene i stanął przede mną bez słowa. Palcem wskazującym dotknął mego posiniaczonego podbródka, włosów i nachylił się, by pocałować mnie w policzek swymi popękkanymi, spierzchniętymi ustami. Chciałam się odezwać, ale tylko na moment wstrzymałam oddech, wpatrując się w jego ciemne, posępne oczy.

- Obiecuję - powiedział, a ja zauważyłam, że Raylene zasłoniła usta dłonią.

Wiedziałam, co to oznaczało, i uśmiechnęłam się.

Nevil się odwrócił i zbiegł żwawo po stopniach ganku. Raylene zawołała go po imieniu, ale on się nie zatrzymał. Fay powiedziała Raylene, że Nevil przestał sypiać w domu. Mieszkał teraz w swoim pikapie, przemierzając nocami drogi hrabstwa.

- On się zabije - rzekła do mnie Raylene, ale ja nie odpowiedziałam. Nie dbałam już o to, kto może zginąć.

Tej nocy, kiedy zjawiała się mama, Raylene słuchała kolejno wszystkich płyt, które przyniósł Earle. Ta muzyka wydawała się odbijać echem od dachu ganku, srebrzystej tafli rzeki i nocnego nieba. Słysząc było gitarowe brzemienie i dźwięczny głos Patsy Cline śpiewającej *Walking Afer Midnight*. Tło dla jej głosu stanowiły gitarowe riffy i mocne tony perkusji.

Słuchałam z uwagą, a potem piosenka dobiegła końca i po krótkiej przerwie znów usłyszałam głos Patsy, śpiewającej tę samą piosenkę raz jeszcze, od początku; trzaski porysowanej, starej płyty sprawiły, że rozdzierający głos stracił nieco na sile, a ja zapragnęłam rozplakać się tak szczerze, jak przy cioci Ruth.

Cisza przedłużała się, rozpraszana z lekka szmerem rzeki. Wiatr przybrał na sile i zelżał. Muzyka powróciła, ale piosenka była już inna. Nie Patsy Cline. Kitty Wells *Talk Back Trembling Lips*. Jej charakterystyczny głos drżał i powracał zuchwale, donośniejszy niż zaciąganie Patsy. Mama zawsze mawiała, że Kitty ma „przydymiony głos”, nie tak czysty jak Patsy, ale znajomy. Ten surowy akcent jak u Beau czy Almy, zniekształcanie samogłosek i przeciąganie sylab, aby dopasować się do chóru. Zakołysałam się, słuchając muzyki. Następną piosenką również należała do ulubionych utworów mamy, Patsy Cline mówiłam całemu światu, że to nie Bóg stworzył wiejskie anioły. Przeppełnił mnie smutek.

Wlepiłam wzrok w pajęczynę popękanej, łuszczącej się farby na dachu ganku. Otworzyłam usta, aby zapłakać, lecz nie dobył się z nich żaden szloch. Łzy spływały mi po twarzy, ale nawet przy tym nie pisnęłam. Płaczą tylko dzieci. Ja nie byłam dzieckiem. Może powinnam zostać u cioci Carr w Baltimore albo pojechać do Eustis i odwiedzić ciocię Marvellę i Maybelle. Zamknęłam oczy i oblizalam wargi.

Siatkowe drzwi zamknęły się z trzaskiem. Odwróciłam głowę.

Mama stała w bezruchu; miała na sobie jedną ze starych sukienek z krótkimi rękawami, ramiona splotła poniżej piersi, głowę uniosła wysoko. Patrzyła na mnie spod półprzymkniętych powiek. Na jej widok moje serce zabiło szybciej.

Ciocia Ruth powiedziała jej po pogrzebie Lyle'a Parsonsa, że aż do śmierci będzie wyglądać tak samo. „Teraz wyglądasz jak Boatwrightówna. Dokładnie

tak". Przez te wszystkie lata jej przepowiednia się sprawdzała. Wiek i wyczerpanie wyorały siateczkę zmarszczek pod ustami i oczami mamy, jej podbródek wyostrzył się, przy skrzydełkach nosa pojawiły się wgłębienia, ale wciąż można było dostrzec jej dawne piękno i urodę.

Teraz ta twarz się zmieniała. Zupełnie jakby jej kości się poprzemieszczały, ciało zapadło, drobne wcześniej zmarszczki pogłębiły, a szare cienie stały się czarne jak noc.

Oddychałam ciężko, patrząc na nią, czułam się, jakbym była pod wodą. Przeszła przez ganek, z posępną twarzą i zaciętym wyrazem ust. Widać było napięte mięśnie jej szyi. Podeszła do bujanego fotela. Moja twarz wyglądała jak gipsowa maska. Muzyka wciąż grała. To nie Bóg nas takie stworzył, pomyślałam. Same się do tego doprowadzałyśmy.

- Dziecino. - Głos mamy brzmiał jak ochryply szept. Nie poruszyłam się, milczałam.

- Kostko. - Dotknęła mego ramienia. - Och, dziewczyno.

Nie mogłam się cofnąć, ale wciąż milczałam. Zastanawiałam się, czy widziała swoje odbicie w moich oczach.

Cofnęła się nieznacznie i przykucnęła obok mnie.

- Wiem - powiedziała. - Sądzisz zapewne, że cię nie kocham albo nie kocham cię dość mocno. - Objęła się ramionami i zadygotała, jakby było jej zimno. - Kostko, nigdy nie chciałam, abys cierpiała. Chciałam, abys była bezpieczna. Pragnęłam, byśmy wszystkie były bezpieczne. Nie spodziewałam się, że tak się stanie. Nie przypuszczałam, że Glen tak cię skrzywdzi.

Mama przymknęła oczy i odchyliła głowę, jakby nie mogła dłużej patrzeć mi w oczy. Jej usta otworzyły się i zamknęły kilkakrotnie. W kącikach jej oczu spostrzegłam łzy.

- A ja go tylko kochałam. Wiesz o tym. Kochałam go i nie widziałam, jaki był naprawdę. Nie mogłam uwierzyć. Nie wyobrażałam sobie... - Przełknęła ślinę, po czym otworzyła oczy i popatrzyła wprost na mnie.

Odnalazłam jej spojrzenie, zobaczyłam jej zapadnięte wymizerowane oblicze, podkrążone, zaczerwienione oczy, drżące usta. Chciałam skłamać, zapewnić, że nigdy w nią nie zwątpiłam, że nic nie mogło osłabić mojej miłości do niej, ale nie mogłam. Straciłam moją mamę. Była obcą osobą, a ja czułam się tak staro, jakby moje wnętrze obróciły się w kamień i pył. Za każdym razem, kiedy zamykałam oczy, znów widziałam krew we włosach Glena, jego twarz wtuloną w jej brzuch i czułam czarną rozpacz, którą mogła załagodzić jedynie śmierć. Modliłam się o śmierć. Może to nie była jej wina. Na pewno nie moja. Może nie było w tym niczyjej winy. Może, jak twierdzi Raylene,

czasami po prostu tak bywa, tak jak każdego dnia ktoś komuś gdzieś łamie serce.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo cię kocham - rzekła, z twarzą białą jak u porcelanowej lalki. - Jak bardzo zawsze cię kochałam.

Moje serce znowu pękło. Pragnęłam odzyskać moje życie, mamę, ale wiedziałam, że nigdy tak się nie stanie. Dziecko, którym byłam, odeszło na zawsze, podobnie jak dziecko, którym kiedyś była ona. Stałyśmy się nowymi osobami i już nie znałyśmy się nawzajem. Pokręciłam rozpaczliwie głową.

- Mamo - powiedziałam, nie chciałam nic mówić, ale nie mogłam się powstrzymać. Zadygotałam, a słowo wypływające z moich ust zabrzmiało jak ptasi skrzek, wysoki i rozdzierający. Szloch, jaki pojawił się chwilę później, był ochrypły i nieprzyjemny. Zdrową ręką schwyciłam mamę z przodu za sukienkę i nie zważając na ból w barku, wychyliłam się do przodu, by się do niej przytulić. Objęła mnie, a ja wtuliłam twarz w jej szyję i słuchałam, jak do mnie szepcze.

- Już dobrze, dziecino. Wypłacz się. Śmiało, wyrzuć to z siebie. - Jej dłonie dotykały mnie delikatnie, ale zaraz cofnęły się, jakby obawiała się, że sprawi mi ból, a zarazem wciąż pragnęła utrzymać fizyczny kontakt. - Jesteś moją małą dziewczynką. Nigdy nie pozwolę ci odejść.

Ponad ramieniem mamy ujrzałam stojącą w drzwiach Raylene, twarz miała czerwoną jak młode jabłko. Mama odgarnęła mi włosy z twarzy, dotykała moich policzków, pieściła. Wtuliłam twarz w jej szyję i wyrzuciłam to z siebie. Cały ból. Cały smutek. Cały gniew. Poczucie winy i wstyd. One powrócą. Będą powracać w nieskończoność. Pragnęłyśmy najprostszych rzeczy, kochać, być kochane i bezpieczne, wspólnie, razem, ale nie udało się nam, nie wyszło i nie wiedziałam, jak mogłabym to odzyskać.

Muzyka ucichła, noc wypełniła się szumem rzeki. Mój szloch stracił na sile, a potem umilkł zupełnie. Mama zakołysała się na obcasach. Sójka sfrunęła z dachu ganku i wystrzeliła ku ciemniejszemu niebu. Pies krążył z nosem tuż przy zakurzonej trawie. Raylene cicho wymówiła najpierw imię mamy, a potem moje; głos miała ochrypły i przenikliwy jak akordy gitary elektrycznej, znajomy niczym głos Kitty Wells albo chóru gospel. Mama spojrzała na nią i pokiwała głową. Potem wyprostowała się i poklepała mnie po ręku opartym o podłokietnik fotela. Jej zapach, ten znajomy aromat soli i masła, nieomal znów wycisnął z moich oczu łzy, ale czułam się pusta. Tylko na nią patrzyłam.

Raylene miała rację. Niczego nie rozumiałam. Ale nie chciałam zrozumieć. Wdok mamy ranił mnie niemal tak samo jak do niedawna jej brak.

Na kolanach zobaczyłam kopertę. Mama ją tam położyła. Wychyliła się do przodu i pocałowała mnie w policzek, poniżej miejsca, gdzie musnęły mnie usta Nevila. Wspomnienie jego gorejących gniewem oczu zaniepokoiło mnie. On nie wybaczy. Był teraz gdzieś tam, ścigając swoją ofiarę. Prawie krzyknęłam. Mama dotknęła moich ust palcem wskazującym. Jej spojrzenie przeniknęło mnie na wskroś.

- Kocham cię, Kostko - rzekła. - Nigdy o tym nie zapominaj. Jesteś moją małą córeczką i kocham cię.

W świetle płynącym z wnętrza domu jej zapadnięte policzki lśniły, a oczy dziwnie błyszcząły. Nachyliła się, pocałowała moje palce i wstała. Ciocia Raylene wyszła na ganek, ale mama natychmiast się cofnęła i znów pokręciła głową. Patrzyliśmy, jak przechodzi przez podwórze, i usłyszałyśmy, jak uruchamia swego pontiaca w ciemnościach za zakrętem drogi.

- Cholera - Raylene zaklęła. Załomotała pięścią we framugę. - Cholera - powtórzyła i opuściła rękę, jakby nic innego nie przyszło jej do głowy.

Trzymałam w ręku kopertę i patrzyłam na ramiona ciotki. Drżały, ale Raylene milczała.

- Wiesz, dokąd się wybiera? - zapytałam.

- Nie. - To słowo zabrzmiało jak szept. Raylene lekko uniosła rękę, po czym znów je opuściła. Nie odwróciła się do mnie, a ja zrozumiałam, że nie chce, bym zobaczyła jej twarz.

- Do Kalifornii - powiedziałam. - Albo na Florydę. On zawsze powtarzał, że kiedyś nas tam zabierze, do miejsca, gdzie rosną pomarańcze, a mężczyzna może znaleźć przyzwoitą pracę. - Mój głos brzmiał tak szorstko i wrogo, że ledwie go rozpoznałam. Czułam się stara i przemarznięta do szpiku kości, choć przecież noc była ciepła. Przeniosłam wzrok z mojej zabandażowanej ręki na kopertę. Była duża, żółta, urzędowa i niezaklejona. Sięgnęłam do środka.

Wewnątrz znajdował się złożony we troje akt urodzenia. RUTH ANNE BOATWRIGHT. Matka: ANNEY BOATWRIGHT. Ojciec: NIEZNANY. Nieomal wybuchnęłam śmiechem, czytając ten dokument. Tłoczona pieczęć hrabstwa, pieczęć szpitala w Greenville, rodzinna legenda na imitacji pergaminu. Nigdy tego wcześniej nie widziałam, ale słyszałam wiele historii na ten temat. Rozłożyłam cały dokument.

U dołu nie było pieczęci z legendarnym, wstydliwym napisem, ta część dokumentu była czysta, nieskazitelna.

Spojrzałam ponad biodrem Raylene i barierką ganku w mrok nocy. Co ona zrobiła? Pokręciłam głową i przełknęłam ślinę. Nic nie wiedziałam, niczego nie rozumiałam. Może nigdy nie zrozumiem. Kim była mama, kim pragnęła być

czy co chciała robić, zanim przyszłam na świat? Gdy się urodziłam, jej świat legł w gruzach, nadzieje prysły, a ja pięłam się po jej życiu jak kwiat kierujący się ku słońcu. Czternaście lat i przerażenie, piętnaście i już matka; gdy poślubiła Glena, miała zaledwie dwadzieścia jeden lat. Jej życie nałożyło się z moim. Jaka będę w wieku piętnastu, dwudziestu, trzydziestu lat? Czy będę tak silna jak ona, równie spragniona miłości, tak samo zdesperowana i zawstydzona?

Miałam suche oczy, a noc otuliła mnie jak czarny koc. Nie byłam stara. Za parę tygodni skończę trzynaście lat. I byłam już tym, kim miałam się stać. Włożyłam złożoną kopertę do kieszeni. Kiedy Raylene podeszła do mnie, pozwoliłam, by dotknęła mego ramienia, przechyliłam głowę, by się o nią oprzeć, chłonąc ciepło jej ramienia, jej miłość. Byłam tym, kim miałam być, kimś takim jak ona, jak mama, Boatwrightówną. Ujęłam Raylene za rękę, a gdy nasze palce się splotły, patrzyłam w milczeniu, jak wokół nas zamyka się ciemność nocy.